

SUE FORTIN

SIOSTRZYCZKA

SIOSTRZYCZKA



DWIE SIOSTRY
JEDNA MÓWI PRAWDĘ
DRUGA MA OBSESJĘ

Sue Fortin

Siostrzyczka

Tłumaczenie:
Marta Żbikowska

O AUTORCE

Sue Fortin urodziła się w Hertfordshire, ale większość dzieciństwa przemieszczała się z miasta do miasta wraz z rodziną, aż osiedliła się w West Sussex. Jest zamężna i ma czwórkę dzieci, które cierpliwie czekają, kiedy spędza czas przy klawiaturze. W wolnych chwilach uwielbia przebywać z rodziną na wzgórzach South Downs lub wybrzeżu, pomiędzy którymi znajduje się ich dom. Sue należy do organizacji Crime Writers' Association.

@suefortin1

www.suefortin.co.uk

*Nie mogłabym napisać książki o siostrach i nie zadedykować jej Jacqueline –
mojej własnej siostrze.
Muszę jednak postawić sprawę jasno. Ta książka nie ma nic wspólnego
z naszą relacją!*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Są na świecie miejsca, w których mróz szczypie tak mocno, że palce drętwieją, a z ust lecą białe obłoki. Ale to nie one są najzimniejsze. Czasami najchłodniej jest w domowym ognisku, wśród członków rodziny.

Leżę w łóżku, które nie należy do mnie. Tego jestem pewna. Zaczniemy od tego, że materac jest twardszy. Brakuje mu miękkości, do której przywykłam. Niepewnie prostuję palce dłoni i słucham cichego szelestu materiału. Tworzywo sztuczne? A na koniec wnioskuje, że to wodoodporny materac.

Czuję ciężar pościeli. I znowu dostrzegam różnicę. Wypełniona włóknem poliestrowym kołdra nie jest tak ciepła i miękka jak w domu. Jest cięższa i twardsza. Chwytam ją między palce. Przywodzi mi na myśl wykrochmaloną wełnę. Ciężkości zapewne dodaje jej położony na wierzchu koc. Założę się, że jest niebieski.

Po chwili wycofuję się z zakładu. Równie dobrze koc może być niebieski albo zielony... a nawet biały. Ostatnio o wszystko się ze sobą zakładam.

Ale na pewno jest tkany.

Celowo nie otwieram oczu. Zza zamkniętych drzwi słyszę niedające się rozpoznać głosy osób chodzących w tę i z powrotem, zbliżających się i oddalających od pokoju niczym fale morskie.

W powietrzu unosi się delikatny zapach środków odkażających. Pachnie słodko i sterylnie, co jedynie potwierdza moje pierwotne przypuszczenia.

Jestem w szpitalu.

Kolejny zapach. Ten znam bardzo dobrze. To woda po goleniu o świeżej, cytrusowej nucie. Kupiłam mu ją rok temu. Świętowaliśmy ósmą rocznicę naszego małżeństwa. Woda była z wyższej półki, ale nie przejmowałam się kosztem. Nigdy nie skąpiłam pieniędzy na Luke'a.

FOREVER - czyli „na zawsze”. Tak się nazywa. I ta nazwa okazała się dosyć ironiczna. W tym roku raczej nie kupię mu prezentu z okazji rocznicy. Ani w następnym.

- Clare, słyszysz mnie? Śpisz? - pyta cicho, a jego twarz jest tuż przy moim uchu.

Nie chcę z nim rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Nie czuję się gotowa. Intuicja podpowiada mi, żeby milczeć. Gdy chwyta moją dłoń i wplata w nią palce w lekkim uścisku, ku swemu zaskoczeniu mam ochotę mu się wyrwać, ale nie robię tego, tylko leżę bez ruchu.

Po chwili słyszę cichy świst otwieranych drzwi i skrzywienie szpitalnych chodaków o linoleum.

Ktoś, czyli najpewniej pielęgniarka, mówi:

- Pan Tennison? Na zewnątrz czeka policjant. Chciałby z panem

porozmawiać.

- Jak to? Teraz?

- Chciałby porozmawiać także z panią Tennison, ale powiedziałam mu, że na razie jest to niemożliwe.

Mąż puszcza moją dłoń, a ja słyszę skrzypnięcie krzesła o podłogę.

- Dziękuję - odpowiada.

Razem z pielęgniarką wychodzą z pomieszczenia. Luke musiał nie domknąć drzwi, bo doskonale słyszę rozmowę na zewnątrz.

- Detektyw Phillips - przedstawia się policjant. - Przepraszam za to najście, panie Tennison. Chcieliśmy porozmawiać z pańską żoną, ale pielęgniarka powiedziała, że nie odzyskała jeszcze przytomności.

- Nic się nie stało - odpowiada Luke.

Słyszę cień protekcjonalności w jego głosie. Wyobrażam sobie, że stoi prosto, jak zawsze, kiedy próbuje zaznaczyć swoją pozycję. Jak zawsze, kiedy się kłócimy.

- Może pan będzie mógł nam pomóc?

- Spróbuję - odpowiada lekko poirytowany.

Osoby, które go nie znają, nie wychwyciłyby tego. Ale ja tak. Ostatnio słyszę to coraz częściej, więcej niżbym chciała.

- Jak by pan określił usposobienie żony poprzedzające wczorajszy... incydent? - pyta Phillips.

Incydent? Jaki incydent? Próbuję przypomnieć sobie, o czym mówi policjant, ale mam w głowie pustkę.

Z zamyślenia wyrывa mnie mąż, który pyta:

- Usposobienie?

- Jej nastrój. Była wesoła? Smutna? Zestresowana? Zależnio...

- Wiem, co znaczy to słowo - przerywa mu Luke.

Tym razem irytacja w jego głosie jest już wyraźnie słyszalna. Jestem pewna, że rzucił detektywowi rozszłoszczone spojrzenie pod tytułem: „Masz mnie za idiotę?”.

Próbuję sobie przypomnieć, jak się ostatnio czułam. Smutna, zła, obrażona... To właśnie podpowiada mi podświadomość, ale nie potrafię wskazać powodów.

Luke milczy, zastanawia się przez chwilę. Jestem pewna, że szuka najlepszej odpowiedzi. Jeśli mogę polegać na swojej pamięci, będzie to odpowiedź sprzeczna z tym, co zapamiętałam.

Powoli falami wracają do mnie skrawki wspomnień. Zaczynam odczuwać gniew. Zastanawiam się, czy Luke myśli o tym, że byłam wściekła, lub o tym, że stałam się uparta. Czy tak właśnie mnie nazwał podczas jednej z ostatnich kłótni? Tak, tak, już pamiętam.

- Chyba oszalałaś - powiedział wtedy.

Czy wyjawi to detektywowi? A jeśli tak, to czy doda, co sprawiło, że „chyba oszalałam”?

- Clare miała trudny okres w życiu, wiele spraw do przetrwania - odpowiada w końcu.

- Co ma pan na myśli? - drażni detektyw.

- Miała trudności z zaadaptowaniem się do zmian, które zaszły w jej życiu osobistym - mówi Luke, chociaż jestem pewna, że myśli: „Nie twój interes”.

O co mu chodzi, kiedy mówi o zmianach w moim życiu osobistym? Co się takiego wydarzyło, że wylądowałam w szpitalu?

Próbuję nadażyć za własnymi myślami. Odpowiedź nie przychodzi od razu, ale zaczynam mieć złe przeczucia. Odczuwam narastający strach, który tuli mnie w swych złowrogich ramionach. Wiem, że stało się coś strasznego. Zrobiłam coś potwornego. Coś, czego mój umysł nie chce przyjąć do wiadomości. Coś, co stoi w sprzeczności z moimi przekonaniem.

Przecież ja, Clare Tennison, jestem dobrym człowiekiem. Kobieta sukcesu, adwokatem i współpracowniczką w spółce Carr, Tennison & Eggar Solicitors. Z troską opiekuję się Marion, moją matką, z oddaniem wychowuję córki, Chloe i Hannah. Jestem kochającą i pełną oddania żoną Luke'a. Na Boga, należę przecież do zarządu szkolnego! Clare Tennison nie robi złych rzeczy!

Skąd więc to narastające poczucie winy? Co ja takiego uczyniłam?

Robię wszystko, żeby odwlec moment prawdy. Walczę ze sobą, próbuję odgonić złe myśli. Życie w strachu, jakkolwiek potworne, jest lepsze od świadomości tego, co zrobiłam.

I nagle... Bum!

Jak grom z jasnego nieba uderza mnie to, co się stało. Wspomnienie jest wyraźne, jakbym patrzyła przez świeżo wypolerowaną szybę.

Trzymam kierownicę. Jadę do domu. Wskazówki prędkościomierza i obrotomierza skaczą w górę i w dół, kiedy zmieniam biegi i manewruję na wąskich uliczkach. Żywopłoty przy domach zlewają się w jedno, a drzewa na poboczu spowija mgła jak na romantycznych akwarelach.

Wyrasta jak spod ziemi. Stoi na środku drogi bez ruchu, kiedy prosto na nią pędzi kilkutonowa metalowa puszka! Jak mogłam jej nie zauważyć? Jest środek dnia, widać wszystko doskonale. Nie oślepia mnie słońce, a deszcz nie pogarsza widoczności. Powtarzam, widzę wszystko doskonale.

Pojawia się znikąd. Krzyczę i wciskam hamulec. Słyszę pisk opon, oczami wyobraźni widzę ślady, które zostają na nawierzchni. Skręcam kierownicę w lewo, próbuję ją wyminąć, ale jest za późno.

Na wspomnienie tępego huku ciała o samochód dostaję mdłości. Mam ochotę wymiotować, ale wydobywa się ze mnie tylko głęboki jęk płynący prosto z serca i trzewi. Wyraz czystej rozpacz. Zbyt bolesnej, by przerodzić się w łzy.

Podświadomie zwijam się w pozycję embrionalną. Gips uniemożliwia mi poruszanie lewą ręką, ale prawą łapię się za zabandażowaną głowę, jakbym szykowałam się do awaryjnego lądowania w spadającym samolocie. Czuję rwanie w ręku, jakbym wyrwała sobie żyłę.

Następne, co pamiętam, to uwijający się wokół mnie personel. Pielęgniarki na początku wydają się delikatne, ale wraz z upływem czasu coraz bardziej stanowczo powtarzają prośby, żebym się uspokoiła. A także bez końca powtarzają, że wszystko będzie w porządku. Trochę później już

dosadniej nakazują, żebym przestała się szarpać. Że wyrwałam wenflon i zrobię sobie krzywdę. Po chwili dobiegają mnie łagodne, ale zdecydowane słowa Luke'a.

- Spokojnie, dziecinko - mówi pieszczotliwie. Dawno nie słyszałam, żeby tak mnie nazywał. Tego sformułowania używa tylko w stosunku do dziewczynek, kiedy są złe i smutne. Kiedy Chloe przewraca się na ziemię i rozcina kolano, albo gdy Hannah odkrywa, że Wróżka Zębuszka nie istnieje. - Wszystko będzie dobrze. Przysięgam.

Z całego serca chciałabym, żeby miał rację, ale jak może być dobrze, jeśli jestem odpowiedzialna za tak straszną zbrodnię? Moim ciałem targa kolejna fala płaczu.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to chłodny płyn sączący się powoli do moich żył przez kroplówkę. Im dalej w głąb ciała, tym bardziej szczypie. Po chwili czuję, że moje mięśnie rozluźniają się, a wizja rozmywa się we mgle. Powoli odpływam do dnia, w którym ten koszmar się zaczął.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sześć tygodni wcześniej...

Przez chwilę wydaje mi się, że nie muszę wstawać do pracy. Cieszę się na ciepłą, leniwą niedzielę. Jest koniec września. W świetle słońca jest jeszcze gorąco, ale muślinowa firanka raz na jakiś czas powiewa na chłodnym wietrze. W takie dni lubię spać przy otwartym oknie. Czuję się wolna.

Po chwili schodzę z powrotem na ziemię i stawiam czoło ponurej rzeczywistości. Daleko mi do prawdziwej wolności, do tego, by być wolną osobą. Szczególnie o tej porze roku, kiedy wielkimi krokami zbliżają się urodziny mojej siostry.

Odwracam się na drugi bok i przytulam do śpiącego Luke'a, szukając pocieszenia w ciepłym dotyku bliskiego mi człowieka. Patrzę na zegarek. Powoli dociera do mnie, że jest poniedziałek. Wyłączam budzik. Nie wiem, po co w ogóle go nastawiłam. Ostatnio i tak budzę się przed nim. Nie mogę powiedzieć, żeby sen mi sprzyjał.

Myślę o mamie i o tym, że we wrześniu zawsze wpatruje się w kalendarz, nerwowo odliczając dni do dwudziestego ósmego. Zostało już tylko czterdzieści osiem godzin. Powinnam się już do tego przyzwyczaić. Minęło dwadzieścia lat. To szmat czasu, a mimo to nigdy nie udało mi się oswoić emocji, które budzi we mnie ten dzień. Mam wrażenie, że z każdym kolejnym rokiem nieobecność mojej siostry stawała się jeszcze bardziej dojmująca i bolesna, aż po same trzewia. Tak jakbym czuła nie tylko swoje cierpienie, ale też cierpienie mamy.

Przez tyle lat pragnęłam, żeby Alice wróciła. Nie tylko ze względu na mamę, ale też z czystego egoizmu. Chciałam, żeby wiszącą nad nami czarną chmurę wreszcie przepędził wiatr. Nie chciałam być znana jako siostra dziewczynki, której tata uciekł do Ameryki. Ani jako córka kobiety w żałobie. Chciałam być Clare Kennedy. Chciałam mieć normalną rodzinę.

Dalej tego pragnę.

Za pół godziny będę musiała rozpocząć codzienną procedurę „budzenia dziewczynek do szkoły i przedszkola”. Na razie przytulam się do Luke'a. Czasami czuję, jakby chłonał cały smutek i wszystkie lęki, które się we mnie kłębią, dając miejsce innym uczuciom i niosąc ulgę tłumionym emocjom.

Porusza się delikatnie, a ja przytulam go mocniej. Po ośmiu latach małżeństwa i z dwójką dzieci wciąż nie możemy się sobą nacieszyć.

Odwraca się do mnie i daje mi buziaka.

- Dzień dobry, kochanie - mówi, po czym zamyka oczy, przewraca się na drugi bok i dodaje: - Dobranoc, kochanie.

- Hej, koleżko! Tak łatwo mi się nie wywiniesz - szepczę mu do ucha,

głaszcząc po klatce piersiowej i odwracam go z powrotem w swoją stronę.

Otwiera jedno oko i spogląda na budzik.

- Chryste, Clare, jest dopiero piąta trzydzieści.

- Nie marudź... - Próbuję stłumić jego protest pocałunkami.

W kącikach jego ust dostrzegam uśmiech. Otwiera drugie oko i pyta rozbawiony:

- Jak śmiesz stosować tak podstępne metody?!

Przytula mnie mocno, a ja zatapiam się w jego objęciach, próbując nie myśleć o nadchodzących wyzwaniach codziennego życia.

- To jak się dzisiaj czujemy? - pyta mama, wchodząc do kuchni.

Jesteśmy z Lukiem w trakcie szykowania śniadania i wydawania kolejnych poleceń dziewczynkom. No dobrze, przyznam, że siedmioletnia Hannah wykazuje się większą kreatywnością i potrzebuje tylko kilku słów zachęty, ale trzyletnia Chloe wymaga o wiele bardziej zdecydowanego podejścia.

Mieszkamy z moją mamą, Marion, w domu, w którym się wychowałam. Wprowadziliśmy się tu, kiedy Luke zmagał się z ciężkim losem początkującego malarza, a ja stawiałam pierwsze kroki na rynku pracy po skończeniu uniwersytetu. Dla niektórych mój mąż nadal nosi etykietkę „klepiącego biedę artysty”. Mówiąc „niektórzy”, mam na myśli mamę. Choć na jej obronę dodam, że tak naprawdę jest bardzo tolerancyjna.

Odkąd pojawiły się dziewczynki, nasza rodzina powiększyła się do pięciu osób. Ale budynek, w którym mieszkamy, czyli staroangielska plebania, jest na tyle duży, że mama mogła wydzielić nam odrębny salon, a Luke ma nawet własną pracownię w dobudówce.

- Ten dom jest za wielki dla mnie samej, a ceny nieruchomości w Brighton są absurdalnie wysokie. Poza tym zawsze lubiałam towarzystwo. Będę mogła obserwować, jak dziewczynki dorastają, a wy nie będziecie musieli zatrudniać opiekunki - stwierdziła.

Miała rację. Z praktycznego punktu widzenia jej argumenty miały sens. Mimo to wszyscy znaleźliśmy prawdziwy powód, dla którego nie chciałam się wyprowadzić.

Nie mogłam. Nie po tym, co się stało.

Chciałam kupić z mężem własne miejsce, budować tylko nasze wspomnienia, ale nie pozwalało mi na to sumienie. Nie chciałam zostawić mamy samej.

- Powinnaś uwolnić się od wydarzeń z dzieciństwa - zasugerował Luke. Leżeliśmy wtedy w łóżku, a on po raz ostatni próbował mnie przekonać.

Owszem, miał rację, ale wiedziałam, że tak już zostanie. Mogłoby się to zmienić tylko wtedy, gdyby Alice wróciła do domu.

- Chodź do mnie, Chloe - rzucam, podnosząc córkę z kocyka. - Posadzimy cię przy stole. Dzień dobry, mamo.

Sadam córeczkę w krzeselku i przysuwam ją do stołu. Luke podaje mi miseczkę płatków śniadaniowych weetabix i pogwizdując, parzy herbatę.

- Ktoś ma dzisiaj dobry nastrój - zauważa mama, nakładając sobie tosta.

I choć mówi to z uśmiechem, zdradza ją ton głosu.

Ja i Luke wymieniamy nad stołem porozumiewawcze spojrzenia.

- Jest piękny poranek, świeci słońce, otacza mnie moja ukochana rodzina. Łącznie z tobą - oświadcza radośnie i posyła jej uśmiech numer jeden, próbując choć trochę ją rozweselić.

Mama odwraca wzrok, wpatruje się w kalendarz na ścianie. Jestem pewna, że patrzy na datę odległą od dzisiaj o dwa dni.

- Chciałabym pojechać do miasta. Muszę odebrać coś od jubilera - mówi.

Nie oczekujemy, że puści parę z ust, i tak wiemy, że chodzi o prezent urodzinowy dla Alice. Nie było Gwiazdki czy urodzin, na które mama nie kupiłaby jej jakiegoś upominku „na później, kiedy wróci do domu”. Nigdy nie na „jeśli wróci”.

- Podrzucę cię, jeśli chcesz - proponuje Luke. - Możemy zawieźć Chloe do przedszkola i pojechać prosto stamtąd.

- Naprawdę? Dziękuję, to takie miłe. - Tym razem uśmiecha się przyjaźniej.

Cieszę się, że mama i mój mąż się lubią. To bardzo ułatwia mieszkanie pod jednym dachem. Większość rodzin, które znamy, spotyka się przy stole późnym popołudniem, na obiadokolację. Ale najważniejszym posiłkiem u Tennisonów jest śniadanie, bo często zostają w pracy do późna. To nieodpowiednia pora dla dziewczynek na jedzenie. I chociaż wiem, że nie jest to wymarzone rozwiązanie mojego męża, naprawdę doceniam, jak bardzo się dla nas wszystkich stara.

- Hannah, masz dzisiaj lekcję gry na flecie - rzucam, w pośpiechu pakując w Chloe płatki. - Luke, nie zapomnisz? Książka z nutami chyba leży na pianinie w salonie.

- Wszystko pod kontrolą - oznajmia, a po chwili nachyla się nad Hannah i teatralnym szeptem pyta: - Wiesz, gdzie jest książka z nutami?

Hannah rzuca mi przelotne spojrzenie, po czym również szeptem odpowiada:

- Myślałam, że ty wiesz, tatusiu.

Udaję, że nie zauważam, kiedy Luke przykłada palec do ust i szepcze:

- Zostaw to mnie. Rozwiążę tę zagadkę.

Hannah chichocze, a jej tatuś mruga do mnie porozumiewawczo, po czym ceremonialnie nalewa wszystkim herbatę.

- Chryste, Luke, spójrz, która godzina. Przecież w każdy poniedziałek rano mam odprawę z Tomem i Leonardem. Jedz, kochanie, jedz.

Próbuję wcisnąć w Chloe kolejną łyżkę, ale Luke wrywa mi ją z rąk.

- Leć. Nie każ szefowi na siebie czekać.

- On już nie jest moim szefem. Nie wiem, czy pamiętasz, ale jesteśmy partnerami - uściślam, po czym popijam z filiżanki herbatę i parzę się w język.

- A mimo to zachowujesz się, jakby Leonard ciągle był twoim szefem. Tom zresztą też. Niech chociaż raz na ciebie poczekają, okej?

Ignoruję jego słowa i całuję dziewczynki na pożegnanie.

- Miłego dnia, skarby. Hannah, nie zapomnij dać nauczycielce pozwolenia na uczestnictwo w konkursie pływackim. Chloe, nie rozrabiaj w przedszkolu. Mamusia bardzo was kocha, dziewczynki.

- Ja ciebie też kocham - odpowiada Hannah i daje mi całusa, kiedy manewruję wokół stołu.

- Ja ciebie też kocham - powtarza po siostrze Chloe z pełną buzią.

- Pamiętaj, że masz wrócić dzisiaj do domu z Daisy - przypominam córce, po czym zwracam się do Luke'a, żeby potwierdzić szczegóły: - Pippa odbierze Hannah i weźmie ją do siebie na herbatę. Podrzuci ją do nas później.

Pippa jest jedną z niewielu przyjaciółek, jakie mamy od wyprowadzki na wieś. Gdyby nasze córki nie zaprzyjaźniły się w szkole, zapewne nigdy byśmy się nie poznały.

- Do zobaczenia, mamo! - Muskam ją lekko w policzek, a na końcu żegnam się z Lukiem, który obejmuje mnie w talii i całuje o parę sekund dłużej, niżby wypadało.

Potem puszcza mnie i oznajmia:

- Idź, kotku, i pokaż im swoje pazury. Tańcz jak motyl, kąsaj jak osa - mówi, boksując się z niewidzialnym wrogiem jak Muhammad Ali.

Czuję ogarniający mnie przyływ miłości. Luke jest moim najlepszym przyjacielem, kochankiem, mężem. Jest dla mnie wszystkim.

Przybijam mu piątkę, ściągam z oparcia krzesła marynarkę i wychodzę z kuchni na korytarz, skąd biorę teczkę i wózek transportowy obładowany dokumentami, które zabrałam do poczytania przez weekend. Już mam wychodzić, ale ostatni raz odwracam się i krzyczę przez ramię:

- Nie zapomnij...

- Fletu! - Luke i Hannah kończą za mnie chórem.

Podróż do Brighton z miejscowości, w której mieszkamy, przy ładnej pogodzie zajmuje niecałe trzydzieści minut. Włączam radio i podśpiewuję, starając się odepchnąć na bok myśli o Alice. Kiedy kończy się piosenka, spiker zapowiada utwór tygodnia. Rozpoznaję go po pierwszych trzech taktach: *Slipping through my fingers*. To piosenka zespołu ABBA. W ułamku sekundy oczy zachodzą mi łzami, a w klatce piersiowej czuję tak silny ból, że na kilka sekund tracę ostrość, ledwie widząc drogę przed sobą. Ta piosenka zawsze przypomina mi mamę, Alice i pustkę, która nam po niej została.

Dźwięk klaksonu sprowadza mnie na ziemię. Serce zaczyna tłuc mi się w piersi, ale tym razem z powodu skoku adrenaliny. Przejechałam na czerwonym świetle.

- Cholera! - Z całej siły wciskam hamulec, żeby uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym samochodem. Jestem wdzięczna za niezawodny ABS w moim bmw. Może wykona parę żabek, ale na pewno się zatrzyma. Macham ręką do kierowcy w geście przeprosin. Na szczęście on też zahamował.

Nigdy nie uczyłam się czytać z ruchu warg, ale jestem pewna, że użył

każdego pejoratywnego określenia ze słownika slangu, które przyszło mu do głowy. Odpowiadam bezgłośnie „przepraszam”, patrzę, jak wrzuca bieg i odjeżdża ze skrzyżowania z piskiem opon, tą ostatnią manifestacją złości.

Bez dalszych przeszkód dojeżdżam na parking Carr, Tennison & Eggar Solicitors. Parkuję i spoglądam w lusterko, żeby skontrolować stan swojego makijażu. Wparowanie do pracy z czarnymi strugami pod oczami nie jest najlepszym pomysłem.

Uspokajam się, biorę aktówkę i wózek, po czym popycham drzwi odrestaurowanego domu z lat trzydziestych, w którym znajduje się nasze biuro.

- Dzień dobry, Nino - witam recepcjonistkę, otwierając drzwi biodrem i ciągnąc za sobą wózek.

- Dzień dobry, Clare - odpowiada, patrząc na mnie przelotnie, ale za chwilę znowu podnosi wzrok i przygląda mi się uważnie. Ewidentnie nie udało mi się ukryć, że płakałam. Na szczęście Nina powstrzymuje się od komentarza.

- Tom i Leonard są już w sali konferencyjnej - rzuca tylko, kiwając głową w stronę drzwi po drugiej stronie korytarza.

Spoglądam na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Mogą chwilę poczekać. Odniosę dokumenty i jeszcze raz poprawię makijaż.

Moja sekretarka siedzi przy biurku w niewielkiej recepcji obok mojego gabinetu.

- Dzień dobry, Sandy. Jak ci minął weekend?

- Dzień dobry, Clare. Bardzo dobrze, a tobie?

- Dobrze, dziękuję. - Podczas wymiany uprzejmości staram się nie patrzeć Sandy w oczy, żeby nie zauważyła rozmazanego tuszu. W środku dużej szafy na dokumenty mam wstawione lustro. Staję przed nim i wycieram twarz chusteczką.

- Tutaj jesteś! Wszystko w porządku? - Dostrzegam w lustrze Leonarda, który wparował do mojego biura.

- Teraz już tak - mówię, nakładając szczoteczką nową warstwę tuszu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Padłam ofiarą poniedziałkowej wściekłości kierowców.

- Z twojej winy?

Przez chwilę się waham, co oczywiście zdradza, że w myślach rozważam, czy wybrać prawdę, czy fałsz. Leonard zamyka za sobą drzwi i podchodzi do mnie.

- Na pewno wszystko w porządku? Przecież wiem, że ten tydzień jest dla ciebie trudny.

Zawstydzona spuszczam wzrok. Niedobrze, że pokazuję po sobie dużo więcej uczuć, niżbym chciała, i że miewam problemy z koncentracją. Po chwili spoglądam na Leonarda w lustrze, starając się wyglądać na pewną siebie. Ostatni raz przejeżdżam szczoteczką po rzęsach i rzucam z uśmiechem:

- Naprawdę. Ale dziękuję za troskę.

Leonard poklepuje mnie po ramieniu ojcowskim gestem, ale po chwili znów wchodzi w rolę biznesmena:

- W takim razie chodź, czekamy na ciebie. Mam mało czasu. Zaraz przyjdzie ta przekłeta pani Freeman.

- Pani Freeman? - Chowam do kieszeni tusz, próbując sobie przypomnieć, czy rozmawialiśmy o niej na ostatniej odprawie, po czym ruszam za Leonardem do sali konferencyjnej.

- Tak. Ta zgorzkniała stara krowa. Nie wiem, jak jej mąż z nią wytrzymuje. Ale jestem pewien, że ta kobieta świetnie udaje. To jedna z tych dwuworkowych: nie wystarczy, że założysz jej worek na głowę. Sam też musisz założyć na wypadek, gdyby jej spadł.

- Ależ Leonardzie! - karcę go z emfazą. - Nie wolno tak mówić! - Oczywiście nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Leonard bywa szczerzy do bólu, co czasami graniczy z wulgarnością. Z drugiej strony jest kopalnią zabawnych anegdot.

Tom stoi w sali konferencyjnej przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Odwraca się, kiedy wchodzimy do środka.

- Znalazłeś ją! Świetnie! - Uśmiecha się do mnie i siada przy stole. - Poprosiłem o kawę dla ciebie. Jak ci minął weekend?

- Dobrze, dziękuję - odpowiadam, zajmując miejsce. Weekend wcale nie był udany. Prawdę mówiąc, był kompletnie do bani. Mama radzi sobie z nadchodzącymi urodzinami o wiele gorzej niż w poprzednich latach, a Tom doskonale o tym wie. W ciągu ostatnich kilku lat nieraz musiał stawiać czoło moim emocjonalnym wybuchom.

- Szkoda, że nie było cię na grillu. Udało ci się pozatwierać swoje sprawy? - zmieniam temat.

- Tak. Przykro mi, że nie mogłem przyjść, ale Isabella chciała, żebym zawiózł Lottie na przyjęcie na cześć babci.

- Isabella dalej daje się we znaki? - pyta Leonard i zajmuje miejsce na krańcu stołu.

- Od czasu do czasu. Głównie chodzi jej o pieniądze. Ostatnio wymyśliła, że chce zabrać Lottie do Nowego Jorku. Takie wyjazdy kosztują fortunę i oczywiście to ja będę musiał zapłacić. Gdzie się podziały te czasy, kiedy ludzie zadowalali się weekendowym wypadem nad morze?

- Tak to już jest, jak się nie spisze intercyzy małżeńskiej - oświadcza Leonard, otwiera notes i wyjmuję z kieszeni długopis marki Mount Blanc. - Myślicie, że inaczej przetrwałbym trzy rozwody?

Wymieniamy z Tomem złośliwe uśmieszki. Leonard bez przerwy gada o zaletach intercyzy.

- Tak, tak, wiemy - kwituje Tom.

- Po ślubie też można to zrobić - zachęca Leonard. Nawet na nas nie patrzy, tylko z nosem w komputerze niecierpliwie stuka długopisem o biurko.

- Jak na razie układa mi się z Lukiem. Myślę, że jakoś sobie poradzimy - rzucam wymownie. Od jego słów cała się najeżyłam.

- Unosisz się dumą. Rozumiem.

Nie odpowiadam Leonardowi. Ta rozmowa nie ma sensu. Nigdy się ze sobą nie zgodzimy.

Tom patrzy na mnie pytająco, jakby chciał się upewnić, że wszystko ze mną w porządku. Przytakuję. Potem przechodzimy do interesów.

Nasze poniedziałkowe poranne „rozmowy”, jak je żartobliwie nazywamy, są szansą dla każdego z nas, żeby wdrożyć pozostałych w sprawy, nad którymi pracujemy. Leonard jest perfekcjonistą i uważa, że te spotkania są kluczem do sprawnie funkcjonującego biznesu. Niewątpliwie stanowią też miły początek tygodnia, który przypomina nam o rodzinnym charakterze naszej firmy, czyli tym, na czym zależy całej naszej trójce.

Po odprawie i pierwszym spotkaniu idę do Toma zapytać, czy znajdzie dla mnie chwilę. Jego sekretarka uderza w klawiaturę z prędkością światła. Rzuci mi przelotny uśmiech znad komputera, ale od razu wraca do pracy. Drzwi do biura są otwarte, skąd wnioskuję, że mogę wejść. Nie jesteśmy ważniakami, nie musimy się zapowiadać.

- Puk, puk - mówię, wchodząc do biura. - Szybka kawka? - proponuję, unosząc dwa kubki.

- Tylko tak do mnie mów, kochana!

Tom i ja znamy się jeszcze z uniwersytetu, broniliśmy się w tym samym czasie. W studenckich latach mieliśmy przelotny romans, ale po skończeniu uczelni uznaliśmy, że to, co się zdarzyło w Oksfordzie, tam też na wieki wieków zostaje. Byliśmy ambitni, każde z nas chciało zrobić karierę. I chociaż zaczynaliśmy w różnych firmach, nie zerwaliśmy kontaktu. Po roku przepracowanym tutaj dałam znać Tomowi, że szukamy ludzi. I obojgu nam zaproponowano partnerstwo.

Przymykam nogą drzwi, stawiam na biurku Toma jeden z kubków i pytam:

- Może mi teraz opowiesz, co tak naprawdę wydarzyło się wczoraj? - Siadam naprzeciwko.

- Właśnie za to cię lubię - odpowiada Tom. - Żadnej intercyzy. Nie owijasz w bawełnę, nie chodzisz wokół tematu, budując napięcie. Walisz prosto z mostu.

- Nawet gdybym próbowała owijać w bawełnę, kazałbyś mi przejść do sedna.

- To prawda - przytakuje Tom. - Ale szczerze mówiąc, nie ma o czym mówić. Kiedy Isabella dowiedziała się, że chcę zabrać Lottie do siebie, obudziła w sobie złość. Zresztą... dobrze wiesz, jaka ona jest.

- To żalosne, że ciągle się tak zachowuje. Przecież jesteście już trzy lata po rozwodzie - komentuję, nie kryjąc dezaprobaty.

- Znasz ją - rzuca Tom.

Owszem, znam. Tom żartuje, że porywczosć Isabelli i jej napady zazdrości to uboczny skutek włoskiego pochodzenia. W takich chwilach jestem wdzięczna, że Luke ma luźniejsze podejście do tego, co się kiedyś wydarzyło między mną a Tomem.

- Ale dość już o mnie. Lepiej powiedz, co u ciebie - zmienia temat.

Przez chwilę milczę. Walczę ze sobą. Może powinnam zgrywać niewiniątko i udawać, że nie wiem, o czym mówi? Ale on doskonale wie, jak ważna jest dla mnie zbliżająca się rocznica, która kładzie się cieniem na horyzoncie, więc poddaję się i z ciężkim westchnieniem mówię:

- Ciężki tydzień. Stan mamy pogarsza się z dnia na dzień. Liczyłam na to, że w ten weekend dzięki spotkaniu z przyjaciółmi trochę się rozchmurzy. I wiem, jak bardzo się starała, ale myślami błędziła gdzie indziej. Leonard był kochany, przez większość popołudnia kręcił się wokół niej i wyglądało na to, że jest z tego zadowolona.

- Miałem na myśli ciebie. Wiem, jaka jest twoja mama. I wiem, że niewiele można dla niej zrobić. - Popija kawę i dodaje: - Chodziło mi o ciebie, Clare. Jak się czujesz? Dobrze sypiasz? Wyglądasz na zmęczoną.

- Sugerujesz, że wyglądam fatalnie? - rzucam z uśmiechem.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Wiem, wiem... Ale skoro pytasz, to przyznaję, że nie sypiam najlepiej. O tej porze roku zawsze ogarnia mnie niepokój. Nigdy nie wiem, co tak naprawdę czuję w związku z tą sytuacją i co powinnam czuć. Czy jestem zła na mamę? Na Alice? Na samą siebie? Wczoraj wieczorem zastanawiałam się, czy naprawdę za nią tęsknię, czy tylko nie mogę zaakceptować faktu, że zaginęła? To było tak dawno temu... - Przez chwilę milczę, wyglądając przez okno. - Wiesz, że wynajęliśmy prywatnego detektywa, żeby ją odnalazł? Oczywiście nic nie wskórał.

- Kto by pomyślał, że w dzisiejszych czasach tak trudno kogoś znaleźć - w zadumie mówi Tom. - Kiedy szukaliśmy jej razem, wyglądało to podobnie.

- Mogła zmienić nazwisko. Jest już po dwudziestce, więc bardzo prawdopodobne, że wyszła za męża. A może wcale nie chce, żeby ją odnaleziono?

- To możliwe. Sugerowałaś to mamie?

- Wspominaliśmy o tym, no i mama nie jest naiwna, rozważa różne warianty. Tyle że, jak sądzę, nie odpuści, dopóki nie dowie się prawdy, jakakolwiek by była. Ale poziom emocji, z którym musimy się zmierzyć każdego roku o tej porze, po prostu mnie przerasta. Nie mam pojęcia, co z tym robić.

Dzwoni telefon Toma.

- Tak, Nino? Owszem, jest tutaj. - Patrzy na mnie, słuchając recepcjonistki, i z każdą chwilą robi się coraz bardziej poważny. - Dobrze, dziękuję. Cześć, Luke, z tej strony Tom. Już ci ją daję.

Mój mąż nigdy nie dzwoni do mnie do pracy. Kiedyś ustaliliśmy, że będzie dzwonił tylko w nagłych wypadkach.

Wyrywam Tomowi słuchawkę.

- Luke, co się stało? - niemal krzyczę. - Dziewczynkom nic nie jest?

- Nie, dziewczynki mają się świetnie - odpowiada, ale słyszę po jego głosie, że coś jest nie tak. - Z mamą też wszystko w porządku - dodaje, przewidując moje kolejne pytanie. - Nic się nie stało, tylko...

- Powiedz wreszcie, o co chodzi!
 - Twoja mama jest w szoku. Musisz przyjechać do domu.
 - W szoku? O czym ty mówisz? - Patrzę pytająco na Toma, jakby znał odpowiedź.
 - Chcesz, żebym z nim porozmawiał? - pyta bezgłośnie Tom, wskazując na słuchawkę.
- Kiwam przecząco głową, a Luke kontynuuje:
- Posłuchaj, kochanie, twoja mama dostała list... - Milknie na chwilę. Wyobrażam go sobie, jak nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Czuję w jego głosie napięcie. Wreszcie dodaje: - List... od Alice.
 - Alice?! - Jej imię ledwie przechodzi mi przez gardło.
 - Tak, od niej.
 - Masz na myśli moją siostrę?
 - Tak, właśnie ją.
 - Jasna cholera! - Zrywam się z krzesła, ale mam miękkie nogi, więc muszę podeprzeć się o zagłówek. - Jadę do was. - Rozłączam się.

ROZDZIAŁ TRZECI

Droga Marion!

Mój list na pewno Cię zaskoczył. Od dłuższego czasu zastanawiam się, czy powinnam do Ciebie napisać. Zaczynałam listy, kreśliłam je i pisałam od nowa. Co mam powiedzieć matce, której nie widziałam od dwudziestu lat? Nie byłam pewna, czy się odzywać. Z drugiej strony milczenie też wydawało mi się niewłaściwe.

Pewnie się zastanawiałaś, dlaczego nie pisałam wcześniej, ale dopiero niedawno udało mi się zdobyć Twój adres. Przecież taty nie mogłam o niego poprosić. Od najmłodszych lat czułam, że to temat, którego nie wolno mi poruszać. Byłam dzieckiem, kiedy przyjechalismy do Ameryki, ale wspomnienia, które zachowałam o Anglii, są mi drogie.

Pamiętam, jak piekłyśmy razem maślane ciasteczka z kolorową posypką. Pamiętam, że pozwalałaś mi oblizywać miskę po cieście. Pamiętam wieczorne czytanie książek i to, że moją ulubioną była historia o kocie, który nie lubi ryb. Pamiętam huśtawkę i to, jak piszczalałam z radości, krzycząc: „Wyżej, jeszcze wyżej!”. Chciałam dosięgnąć stopami chmur. Wyobrażałam sobie, że będą miękkie i puchate jak cukrowe pianki.

Pamiętam Twój piękny uśmiech. Zawsze dużo się śmiałaś i miałaś różową szminkę. Matową, nie pstrokatą. Kiedy mówiłaś, lekko migotała w słońcu. Czasami, gdy bawiłam się w przebieranki z Clare, pozwalałaś nam jej użyć. Kiedy ją nakładałam, układałam usta w literkę „O”, tak samo jak ty to robiłaś każdego dnia.

Zawsze pielęgnowałam te wspomnienia. Były i są dla mnie bardzo cenne. Ojciec nie lubił, kiedy mówiłam o Anglii, która z każdym dniem wydawała się coraz bardziej odległa. Aż wreszcie nastał ten czas, gdy przestałam myśleć o domu każdego wieczoru. Dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, miesiące w lata. Ale nigdy nie wyzbyłam się wspomnień, tylko przestałam tak często je przywoływać.

Nigdy nie zapomniałam Ciebie ani Clare, ale moje życie zostało skierowane w innym kierunku. W głębi duszy zawsze marzyłam, że kiedyś Was znajdę albo Wy znajdziecie mnie. A skoro mi się to udało, chciałabym utrzymywać kontakt.

Może nie wiecie, ale mój tata, Patrick, zmarł w zeszłym roku. Po jego śmierci Roma, moja macocha, dała mi wasz adres. Powiedziała, że zawsze chciała to zrobić, ale tata jej nie pozwalał. Nie wiem, co się wydarzyło między wami. To był u nas temat tabu. Niezależnie od tego, co się stało, chcę, żebyś wiedziała, że zawsze czułam się przez Ciebie kochana i właśnie miłość skłoniła mnie, żeby do Ciebie napisać.

Mam nadzieję, że mój list nie jest zbyt bolesny. Przepraszam, jeśli

rozdrapałam stare rany.

Bardzo chciałabym dowiedzieć się, co u Ciebie i Clare. I mam nadzieję, że to, co zaczynam tym listem, nie będzie jedynie zamknięciem starego rozdziału w życiu.

Twoja córka

Alice

Xx

PS. Dopiero kiedy zmarł tata, znalazłam mój akt urodzenia i uświadomiłam sobie, że kiedyś nazywałam się Kennedy, a nie Kendrick. Tata zmienił nam nazwisko, kiedy się tu przeprowadziliśmy. Nie wiedziałam o tym wcześniej... To by tłumaczyło, dlaczego nie udało się Wam mnie znaleźć, jeśli próbowaliście. X

Palcami wodzę po kartce papieru, który jeszcze niedawno trzymała w rękach moja mała siostrzyczka. Zmiana nazwiska wszystko wyjaśnia. Nic dziwnego, że nie mogłyśmy jej znaleźć, skoro szukałyśmy nie tej osoby. Wszystkim detektywom podawałyśmy dane: Patrick Kennedy. Pamiętam, że jeden z nich był pewien, że znajdziemy ojca, nawet jeśli jest obywatelem USA. Ale kiedy napotkał problemy, zaczął się usprawiedliwiać, że w Ameryce mieszka całe zatrzęsienie Patricków Kennedych o irlandzkich korzeniach i nie może zidentyfikować tego, którego szukamy. Jaka szkoda, że nie wiedziałyśmy o zmianie nazwiska!

Nagle wszystko nabrało sensu. Ojciec nie chciał, byśmy go odnalazły. Zaplanował to jeszcze przed wyjazdem. Ale wcale mi nie było choćby tylko przykro z powodu jego śmierci. Jak miałabym go opłakiwać po tym, co musiałyśmy przez niego przechodzić? Nie mogłam mu wybaczyć.

Ojciec nas oszukał, ale to była jego specjalność. Do perfekcji opanował sztukę dokuczania innym, był mistrzem w prawieniu i czynieniu złośliwości, miał zero empatii. Ale nie ma sensu się tym więcej zadreć. Dostałyśmy list od Alice! To niesamowite! To, co zrobił ojciec, nie ma już żadnego znaczenia. Liczy się tylko przeszłość.

Mama ma łzy w oczach. Na ten widok sama poczułam gułę w gardle. Przebiegam przez pokój i klękam przy niej, żeby ją przytulić. Wraz ze łzami wylewamy z siebie dwadzieścia lat cierpienia.

- Clare, ona do nas wróci - mówi mama, pochlipując. - Przyjedzie tutaj.

Długo trwamy w uścisku. W końcu prostuję się i uśmiecham do niej, a ona odwzajemnia uśmiech. Kładzie dłonie na moich policzkach, przykładając czoło do mojego.

- Tak długo o tym marzyłam.

- Wiem, mamó. Wiem - szepczę. - Znalazła nas. Po godzinach, dniach, miesiącach poszukiwań, po latach życia ze złamanym sercem... w końcu nas znalazła.

Mama opiera się o kanapę, a ja siadam przy niej. Zabiera mi list i prostuje go w miejscach, gdzie pozginałyśmy go w spontanicznym objęciu.

- Kendrick. - Smutno potrząsa głową. - Szkoda, że nie wiedziałyśmy...

- Nie myślmy o tym, mamó. Nie zmienimy przeszłości. Teraz najważniejsza

jest przyszłość – mówię z mocą.

- Masz rację. Potrzebuję tylko czasu, żeby się z tym oswoić. Zauważyłaś, co napisała o ojcu? – Wskazała palcem fragment listu.

- Nie żyje. Wiem. – Wzruszam ramionami. Nie czuję się związana z mężczyzną, o którym opowiada Alice. Jedyne, co pamiętam, to że się go bałam. Drżałam na dźwięk jego grzmiącego głosu. Nie znałam go i nie umiem za nim płakać. Nie pamiętam, żeby jego zniknięcie mnie zasmuciło, tęskniłam tylko za Alice. Mój tak zwany ojciec dla mnie nie żył już od dawna. Może dlatego tak mocno zżyłam się z Leonardem? Był jedynym mężczyzną, który w jakimś stopniu zastępował mi prawdziwego tatę.

Resztę poranka dyskutujemy o tym, jak odpisać Alice. Chcemy, by się dowiedziała, że myślałyśmy o niej latami i czekałyśmy z nadzieją, że wreszcie się do nas odezwie. I że ją kochamy. Nigdy nie przestałyśmy.

- Napiszę odpowiedź, a potem ci ją pokażę. Na pewno będziesz chciała dodać coś od siebie – proponuje mama.

- Dobrze. Też zastanowię się, co dopisać.

Kiedy mam pewność, że mama czuje się lepiej, a szok minął, wracam do biura. Tym razem nie potrafię oddzielić pracy od życia prywatnego i przez całe popołudnie łapię się na tym, że myślę o Alice i liście. Dobrze, że mam kompetentną sekretarkę, bo wpisuję błędne nazwiska i kwotę ugody na dokumentach rozwodowych. Sandy spostrzega oba moje błędy.

- Nic dziwnego, że nie mogłaś się skupić – mówi Tom, kiedy po skończonej pracy wychodzimy na parking. – Sam przez cały dzień nie myślałem o niczym innym.

- Naprawdę?

- Tak. Zaginięcie Alice było bardzo ważnym wydarzeniem w twoim życiu, więc siłą rzeczy było też istotne dla mnie.

Przez chwilę zastanawiam się nad jego słowami. Pewnie ma rację, chociaż nigdy tak o tym nie myślałam.

- Uważasz, że jej zaginięcie w decydujący sposób ukształtowało moją osobowość? – pytam.

- Nie ująłbym tego aż tak kategorycznie, ale na pewno jest to ważna część twojego życia. Nie uciekniesz od tego.

- Faktycznie.

- Chyba za dużo myślisz – Przyjacielsko szturcha mnie w bok. – A co Luke myśli o tym wszystkim?

- Nie był zbyt rozmowny – przyznaję, wspominając to, co wydarzyło się wcześniej. Przez większość czasu mój mąż siedział w fotelu i nas obserwował. Zaparzył herbaty, przytulił mnie, ale nic nie mówił.

- Ile wie na temat tego, co się wydarzyło?

- Wszystko. Tyle samo co ty czy ja. Tata zabrał Alice na wakacje i nigdy nie wrócił. To koniec opowieści. Bo prawdę mówiąc, mama i ja tylko tyle wiemy, nic więcej. – Łapię się na tym, że oczy zachodzą mi łzami. Przeklinam się w duchu za to, że nie potrafię utrzymać w ryzach emocji. Nie jestem beksą. Nigdy nie byłam.

Tom przez chwilę mi się przygląda, a ja zaczynam się czuć nieswojo. Wtedy przyciąga mnie do siebie i przytula. Nagle zdaje mi się, jakbym z powrotem była na studiach. Ogarnia mnie znajome uczucie spokoju i bezpieczeństwa, kiedy jestem w jego ramionach. Całuje mnie w czubek głowy.

Wyrywam się, niemal zderzając z nim czołem. To nie w Toma ramionach powinnam szukać ukojenia. Robię krok w tył.

- Dziękuję - mówię, unikając jego wzroku. - Lepiej już wrócę do domu. Zobaczę, co mama napisała. Myślałam o tym przez całe popołudnie. Nie chcę, żeby dała się ponieść emocjom i wystraszyła Alice - plotę bez sensu, zawstydzona starymi uczuciami, które na moment się we mnie rozbudziły.

Tom chowa ręce w kieszeniach. Uśmiecha się kącikiem ust, w jego oczach widzę rozbawienie.

- O co ci chodzi? - pytam.

Tom potrząsa głową, po czym nachyla się, żeby podnieść swoją teczkę.

- Spokojnie, Clare. To był tylko przyjacielski uścisk.

- Tak, wiem. - Jestem zażenowana przesadną reakcją. - Od rana mam huśtawkę nastrojów.

Przytulam go i daję buziaka w policzek - takiego, jakim codziennie witamy się i żegnamy. Przyjacielskiego. Kumpelskiego. Jak koledzy z pracy.

- A to na dowód, że jestem tego świadoma.

Kiedy przyjeżdżam do domu, Luke jest na górze i kąpie dziewczynki. Na głowie ma pasemko żółtej akrylowej farby. Drugie, niebieskie, na policzku.

- Widzę, że wreszcie znalazłeś czas na malowanie. Jak ci poszło? - pytam, klękając przy wannie. Spłukuję plecy Chloe, a ona piszczy i śmieje się z radości.

- Całkiem nieźle - odpowiada Luke. - Chociaż ciężko było mi się skupić. Może zrobię drugie podejście, kiedy nasze dwa diabełki pójdą spać. Chodź, Hannah, czas wychodzić. Trzymaj ręcznik.

- Złap mnie za rękę. - Pomagam Hannah wyjść z wanny i otulam ją ręcznikiem.

- Ja też! Ja też! - woła Chloe.

Zawsze chce robić to co Hannah. Przypomina mi w tym Alice, która chodziła za mną całymimi dniami, prosząc, żeby mogła dołączyć do moich zabaw. Na ogół się zgadzałam, ale pamiętam, że czasami działała mi na nerwy. Chciałam być sama. Chodziłam na kraniec ogrodu i chowałam się przed nią. Prawie zawsze czułam się później winna. Przez dwadzieścia lat życia miałam wyrzuty sumienia za każde takie zdarzenie, kiedy jej odmówiłam. Marzyłam o tym, żeby jej wynagrodzić te braki, a teraz wreszcie dostałam szansę od losu.

Kładziemy z Lukiem dziewczynki do łóżek. Siadam przy Chloe i patrzę, jak odpływa w krainę snu, myśląc o Alice. Jakby pisząc ten list, pozwoliła mi na powrót do starych wspomnień.

Oczami wyobraźni widzę siostrę w ogrodzie. Na białym obrusie

w czerwoną kratę bawiłyśmy się misiami i lalkami w podwieczorek. Zebrałyśmy jeżyny i maliny. Wiedziałyśmy, że nie są trujące.

Później, nie pamiętam dlaczego, położyłam na talerzykach kilka grzybów, które znalazłam w ogródku. Kiedy podniosłam wzrok, Alice jadła jeden z nich. Powiedziałam, żeby go wypluła, i bawiłyśmy się dalej. Kiedy skończyłyśmy, Alice wróciła do domu i rozchorowała się.

Mama zadzwoniła po lekarza, który nie potrafił wyjaśnić, co dolega Alice. Byłam zbyt przerażona, żeby pisnąć choćby słowo. Bałam się reakcji ojca. Kiedy doktor wyszedł, wymusiłam na siostrze obietnicę, że nikomu nie wspomni o grzybach. Na szczęście następnego dnia poczuła się lepiej, ale nigdy nie powiedziałam nikomu, co się naprawdę stało.

Drzwi do sypialni otwierają się i przez szparę wlewa się strumień światła.

- Wszystko w porządku, kochanie? - pyta szeptem Luke.

Rzucam ostatnie spojrzenie na śpiącą Chloe, po czym wstaję i ruszam do wyjścia.

- Co robi Hannah?

- Jest na dole z twoją mamą. Jedzą kolację. - Przytula mnie. - Jak się czujesz?

- Dobrze, chociaż przez cały dzień myślałam o Alice.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Ta sytuacja jest jednocześnie ekscytująca i przerażająca.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, ale bądź ostrożna. Nie decyduj pochopnie. Nie chcę, żebyś została zraniona. - Odgarnia mi z twarzy kosmyk włosów.

- Co masz na myśli?

- Minęło dużo czasu, nie znacie się w dorosłym życiu. Czasami takie spotkania kończą się zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażamy.

- Ale z ciebie optymista! - Uwalniam się z objęć i zdejmuję spódnicę oraz żakiet. To mój ulubiony moment dnia, kiedy ściągam z siebie niewygodne eleganckie ubranie i wskakuję w spodnie dresowe i T-shirt.

- Po prostu jestem ostrożny... - zaczyna Luke.

Czuję, że ma ochotę coś dodać, ale się powstrzymuje.

- Co takiego? - naciskam, wkładając koszulkę. - Co jeszcze chciałeś powiedzieć?

- Nic.

- A właśnie że chciałeś.

- Nie znasz jej zamiarów. - Wzrusza ramionami.

- Jej zamiarów? Niby co to ma znaczyć?

Zirytował mnie. Dlaczego nie potrafi cieszyć się razem ze mną? Przecież wie, jakie to ważne zarówno dla mnie, jak i dla mamy. Skąd w nim ten sceptycyzm?

- Nie wiesz, co twój ojciec powiedział Alice na temat rozstania z mamą. Jej wersja zdarzeń może być zupełnie inna niż twoja... - Po chwili milczenia wzdycha ciężko i dodaje: - Posłuchaj, Clare. Ciesz się, że Alice odezwała się do was. Wiem, że ta strona twojego życia zawsze wiązała się z bólem

i jeśli powrót siostry ma oznaczać ustanie tego bólu, to masz moje całkowite wsparcie. Sugeruję tylko, żebyś była ostrożna i nie działała pochopnie, a wtedy na pewno wasze spotkanie będzie udane.

Idzie na dół, zostawiając mnie samą z przemyśleniami. Trzeba przyznać, że udało mu się zasiać ziarenko zwątpienia w mojej głowie. Jak Alice się o nas dowiedziała? Co słyszała na nasz temat? Czy może w ogóle nas pamiętać? Myślami wracam do dnia, w którym zniknęła.

Siedziałam w salonie, pomagając jej z kolorówką, kiedy usłyszałam początek ostrej wymiany zdań między rodzicami, która miała wkrótce przerodzić się w jedną z ich coraz częstszych kłótni.

Z minuty na minutę mama mówiła coraz donośniej i coraz cieńszym głosem. Nie słyszałam, co dokładnie mówiła, ale pamiętam, że z trudem dobywała słowa. Jakby dusiła w sobie myśli, które nie mogą swobodnie wydostać się na zewnątrz przez zaciśnięte gardło.

Z kolei ojciec grzmiał niskim głosem, jakby ciskał piorunami o ściany. Nawet siedząc w kuchni, czułam chłód, który bił od niego i rozchodził się po całym domu. Był oschły i zimny.

Nagle drzwi do kuchni otworzyły się tak zamasyście, że uderzyły kławką o ścianę – zresztą nie pierwszy już raz – rzeźbiąc małe wgłębienie. Z korytarza dobiegał tupot kroków ojca. Szedł do salonu, a za nim dreptała zawodząca mama.

Usiadłam na kanapie i wtuliłam się w poduszki, szukając schronienia w fałdach materiału. Podkuliłam kolana pod szyję, schowałam głowę w ramionach. Drżałam, wciąż czułam zimno.

Alice siedziała na podłodze i kolorowała książeczkę o księżniczkach, nieświadoma nadciągającej ku nam burzy.

Siostra nigdy nie czuła zimna. Zawsze było jej ciepło. Zewsząd otaczała ją miłość.

Ojciec wparował do salonu. Mama tuż za nim.

Odważyłam się spojrzeć.

Miała przekrwione, przeszklone oczy. Nie przejmowała się łzami, które ciekły jej po policzkach. Nie zwróciła na mnie uwagi.

- Patrick, proszę... - błagała ojca. - To nie jest dobry pomysł. Nawet nie wiem, dokąd chcesz jechać.

- Już ci mówiłem. Zatrzymam się u krewnych, których nie odwiedzałem od dawna.

- Właśnie o tym mówię. Po co chcesz tam wracać po dwunastu latach? Twoi rodzice nie żyją, nie masz rodzeństwa. Dlaczego nie możemy pojechać tam razem?

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Nie możemy zrobić tego razem? Pojechać całą rodziną? Dlaczego chcesz jechać z Alice, a mnie i Clare zostawić? - Jej głos się załamał, otarła łzy.

- Zamilcz, kobieto! Przestań wreszcie dramatyzować! Jadę na wakacje. Alice jedzie ze mną. To wszystko. - W przeciwieństwie do mamy mówił stanowczym, stonowanym głosem. Kiedy zwrócił się do Alice, pogarda

i obrzydzenie ustąpiły miejsca czułości. – Wstawaj, kochanie. Włóż kurtkę, raz-dwa. Bądź grzeczna.

Podał Alice czerwoną puchową kurtkę. Siostrzyczka przez chwilę się wahała. Myślę, że dopiero wtedy uświadomiła sobie, że coś jest nie tak.

– Mamusia też jedzie? I Clare? – zapytała.

– Tylko ty i ja. – Ojciec delikatnie pomachał kurtką. – Ubieraj się, kochanie.

Alice wstała posłusznie, wsunęła ręce w rękawy i odwróciła do niego, żeby zapiął przetyczki.

Mama klęknęła przy niej i wtuliła się w jej włosy. Obsypywała ją pocałunkami i głaskała. Trzymając za główkę i patrząc jej w oczy, bez przerwy powtarzała:

– Kocham cię. Mamusia bardzo cię kocha.

– Wystarczy już tego cyrku, jeszcze ją zestresujesz. – Ojciec wyrwał jej Alice.

Na mnie nie spojrzał ani razu. Nie czekałam na to spojrzenie. Bałam się, że jeśli mnie zobaczy, postanowi również i mnie zabrać ze sobą, a ja nie chciałam z nim jechać. Chciałam zostać z mamą. Wtuliłam się głębiej w poduszki, przyciągnęłam kolana jeszcze wyżej.

Ojciec złapał moją siostrę za rękę i ruszyli do wyjścia. Przy drzwiach Alice zawahała się i spojrzała na mnie oraz na mamę.

– Pa, mamusiu. Pa, Clare – powiedziała cichutko.

Często zastanawiałam się nad tym, czy faktycznie się wtedy żegnała. A może tylko sprawdzała, czy pozwolimy jej odejść?

Mama podbiegła do nich i złapała ojca za ramię.

– Zadzwoń, kiedy będziecie na miejscu. Musisz mi powiedzieć, gdzie się zatrzymacie. Wróćcie za dwa tygodnie, prawda?

Ojciec nie odpowiedział. Stracił jej rękę i rzucił tylko:

– Chodź, Alice.

Chciałam zrobić coś, żeby ją zatrzymać. Chciałam powstrzymać ojca, ale byłam tak przerażona, że w ogóle nie mogłam się ruszyć. Bo co, gdyby ojciec mnie zauważył? I gdyby chciał zabrać mnie ze sobą? Sparaliżowana strachem kątem oka patrzyłam, jak Alice zniknęła za rogiem.

Kiedy wyszli, pobiegłam do okna. Widziałam, jak siostrzyczka wsiada do samochodu. Ojciec nachylił się nad nią i zapiął jej pas. Zamknął drzwi, po czym przeszedł na przód i usiadł za kierownicą. Przez tylną szybę dostrzegłam ciemne włosy Alice.

Nagle odwróciła się. Spojrzała na mnie, patrzyła mi prosto w oczy. Wtedy zrozumiałam, że już nie wróci.

Obie to rozumiałyśmy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zeszłej nocy źle spałam. Budziłam się co kilka godzin, przewracałam z boku na bok. Śniłam o Alice i ojcu, który zamieniał się w węże i pająki. Tak dla ścisłości, brzydzę się jednych i drugich. W pewnym momencie Luke odwrócił się w moją stronę i półprzytomny pogłaskał mnie po głowie. Wyszepiał kilka słów otuchy i powiedział, że powinnam spróbować zasnąć. Doceniłam ten gest, choć na nic się nie przydał.

Schodzę do kuchni, jako pierwsza. Ubrana i gotowa do wyjścia, szykuję śniadanie dla Chloe. Pierwszy pojawia się Luke.

- Jak się czujesz? - Całuje mnie w czoło. - Źle spałaś.

- To prawda - przyznaję. - Ale nie mów mamie.

- Czego nie mówić babci? - pyta Hannah, mamląc tosta z dżemem.

- Nie mówi się z pełną buzią. Poza tym nie wszystko, o czym mówimy, jest przeznaczone dla twoich małych uszek - odpowiada Luke, pieszczotliwie pociągając ją za płatek ucha, na co Hannah uśmiecha się, eksponując wymazane dżemem zęby.

- Chodząca piękność! - Robię do niej głupią minę.

Hannah zaczyna się śmiać, a ja czuję ulgę, że zapomniała już o swoim wcześniejszym pytaniu.

- Jak poszły wczorajsze zajęcia muzyczne? - pytam, żeby mieć pewność, że nie wrócimy do tematu.

- Fajnie. Uczymy się nowej piosenki.

- Jak się nazywa? - pytam, wycierając chusteczką buzię Chloe. - Raz-dwa i zrobione. Popatrz, jaka jesteś czyściutka.

Odpowiedź Hannah mi umyka, bo moją uwagę odwraca wchodząca do kuchni mama. Pierwsze, na co zwracam uwagę, to jej wzrok. Wcześniej był przygaszony i smutny. Patrząc z bliska, łatwo było dostrzec w jej oczach cierpienie, które nosiła w sercu po niezabliźnionych ranach.

Dziś jednak wygląda zupełnie inaczej. Jej oczy błyszczą radośnie. Prawdę mówiąc, chyba pierwszy raz w życiu mogę powiedzieć o niej coś takiego. Biją od niej blask, ciepło i szczęście.

- Dzień dobry, kochani - wita nas, siadając przy stole. W rękach trzyma kartkę papieru. - To mój list do Alice. Chcesz go przeczytać? - pyta, ale to zwykła formalność, bo dobrze wie, że będę chciała. Podaje mi go, zanim zdążę odpowiedzieć. - Strasznie nabazgrałam, przepiszę go później. Pomyślałaś, co chciałabyś dodać od siebie?

- Dzisiaj to zrobię. Nie mogę uwierzyć w to, że wreszcie będę mogła do niej napisać. Tyle razy wyobrażałam sobie, że to robię. - Uśmiechamy się do siebie ciepło.

- To wspaniale - mówi mama i wskazuje list. - Przeczytaj.

Alice, moja najdroższa córeczko!

Nawet nie wiem, od czego zacząć. Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa, że do mnie napisałaś. „Szczęśliwa” to za mało powiedziane. Jestem w euforii! Tak się cieszę, że postanowiłaś mnie znaleźć. Czekałam na to od dnia, w którym wyjechałaś do Ameryki. Czekałam bez końca, aż wreszcie moje najskrytsze marzenie właśnie się spełniło.

My, to znaczy ja i Clare, bardzo długo próbowałyśmy Cię odszukać. Clare przetrzepała media społecznościowe i wynajmowała prywatnych detektywów, ale nie wiedziałyśmy o tym, że zmieniłaś nazwisko. To, co się stało między mną a Twoim ojcem, miało miejsce dawno temu i rzadko o tym myślę. Jedyne, o czym myślałam, to Ty. To długa i skomplikowana historia i najlepiej będzie, kiedy porozmawiamy o niej osobiście. Tyle czasu marzyłam o tym, żeby wziąć Cię na ręce, moja piękna, kochana córeczko! Chciałam Cię przytulić, zobaczyć, posłuchać Twojego głosu, zapytać, co u Ciebie. Jedyne, o czym teraz marzę, to żeby się z Tobą spotkać. Proszę, powiedz mi, że przyjedziesz nas odwiedzić. Zapłacę za Twoją podróż. Będziesz mogła zatrzymać się tutaj, w swoim domu, w swoim pokoju. Ale jeśli wolisz, mogę pojechać do Ciebie, do Ameryki. Zdecyduj tylko i daj mi znać.

Jest tyle rzeczy, o których chciałabym porozmawiać, i tyle, o które chciałabym Cię zapytać.

Kocham Cię.

Mama

XXX

- To piękny list, mamó. Ale wiesz, że Alice podała nam swój adres mejlowy? Będzie szybciej - sugeruję, oddając jej list.

- Tak się cieszę, że mogę potrzymać w dłoniach prawdziwy list, który wyszedł spod jej pióra. Pomyślałam, że może ona też się ucieszy, kiedy dostanie ode mnie coś namacalnego - mówi mama. - Poza tym rzadko używam poczty elektronicznej. Nawet nie wiem, czy jeszcze pamiętam hasło.

- Hasło można łatwo zresetować. - Gdy mama patrzy na mnie powątpiewająco, dodaje: - Mogę też założyć ci nowe konto.

- Możesz zadzwonić do niej przez Skype'a - proponuje niespodziewanie Hannah. Patrzę na córkę, która wyłapała z naszej rozmowy o wiele więcej, niżbym przypuszczała. Ale chyba nie powinnam się martwić, że jest taka bystra. Uśmiecham się do niej. - No co? - rzuca zaczepnie. - Przecież używamy Skype'a, żeby porozmawiać z babcią Sheilą i dziadkiem Michaeliem.

- Czy to jest ten program, w którym można zobaczyć ludzi na ekranie? - pyta mama.

- Tak, właśnie ten. Korzystamy z niego, gdy dzwonicmy do rodziców Luke'a - Mama krzywi się na moje słowa, a ja nie mogę powstrzymać śmiechu. - Nie podoba ci się ten pomysł, prawda?

- Nie o to chodzi. Chciałabym tylko dobrze wyglądać, pójść do fryzjera. To już wolę mejla. Możemy go wysłać z twojej skrzynki?

- Oczywiście, chociaż myślę, że Alice wolałaby pisać bezpośrednio do ciebie. - Zapisuję adres siostry w telefonie, dopijam herbatę i sprawdzam godzinę na zegarku. - Muszę wychodzić do pracy. Wrócimy do tego później.

- Liczyłam na to, że Alice dołączy do listu zdjęcie. Ciekawa jestem, jak teraz wygląda - w zadumie mówi mama.

- Może to taki pierwszy krok - odpowiadam, chociaż sama byłam zaskoczona, że tego nie zrobiła. Nie chcę jednak martwić mamy. - A może my dołączymy nasze zdjęcie do mejla?

- Tak, to dobry pomysł. Luke, potrafisz je zeskanować?

- Oczywiście, Marion. Powiedz tylko, które.

Całuję go na pożegnanie i szepczę mu do ucha:

- Dziękuję. - Daję dziewczynkom po buziaku. - Miłego dnia, ślicznotki.

Czasami niełatwo się z nimi rozstać. Kocham swoją pracę, zawsze chciałam być adwokatem i ciężko pracowałam, żeby osiągnąć ten cel. Przeważnie nie traktuję moich zawodowych zajęć jak przykry obowiązek, wręcz przeciwnie, czuję się jak ryba w wodzie. Ale są dni, kiedy ciężko pożegnać się z rodziną. Wiem, że Hannah i Chloe będą pod dobrą opieką i niczego im nie zabraknie. Poza tym równie dobrze to Luke mógłby pracować w biurze, a ja w domu. Mimo to czasami dopada mnie poczucie winy, że zostawiam córeczki. Zastanawiam się wtedy, czy nie wolałabym zaganiać ich do mycia zębów czy wkładania bucików. To prawda, jestem zadowolona z podziału ról, jaki wypracowaliśmy z Lukiem, i wiem, że dobrze sobie ze wszystkim radzimy, ale są dni, kiedy skrycie marzę o tym, żeby mieć biuro tutaj.

Zapytałam kiedyś Leonarda, czy nie mogłabym dwa lub trzy razy w tygodniu pracować z domu, ale jasno dał do zrozumienia, co o tym sądzi:

- Kiedy jesteś w pracy, powinnaś skupiać się tylko i wyłącznie na niej. W domu będziesz się łatwo rozpraszać, niezależnie od tego, jakie masz intencje. Poza tym wolę, żebyś w chwilach kryzysowych była pod ręką.

Mimo moich protestów i zapewnień, że przecież byłabym zawsze dostępna pod telefonem czy mejlem, nie dał się przekonać. Wręcz przeciwnie, demonstracyjnie podkreślił swoją pozycję i lata doświadczeń w pracy sądowej, a także podał w wątpliwość moje umiejętności i to, czy nadaję się na jego partnerkę. Nierzadko padałam ofiarą docinek Leonarda, ale tamtego dnia wróciłam do domu z podkulonym ogonem.

Kiedy dojeżdżam do pracy, wciąż jeszcze nie mogę przeboleć rozstania z dziewczynkami. Wchodzę do biura i witam się z sekretarką z recepcji w holu, ale nie zwalniam kroku. Nie jestem w nastroju na pogawędkę.

- Cześć, Sandy. Wszystko gra? - pytam swojej sekretarki.

- Dzień dobry, Clare. Tak, wszystko w porządku.

- Chcę dzisiaj popracować nad sprawą McMillana. Potrzebuję kilku godzin spokoju. Gdyby ktoś dzwonił, niech zostawi wiadomość, zajmę się tym po południu - informuję z uśmiechem i znikam w biurze.

Zamykam za sobą drzwi. Mamy z Tomem i Leonardem niepisaną umowę, że zamknięte drzwi oznaczają: „nie przeszkadzać”. Rozkładałam na biurku

akta McMillana i zagłębiam się w lekturze.

Leonard dał mi tę sprawę, wiedząc, że jest trudna. Uważał, że dobrze mi zrobi, jeśli nabiorę trochę doświadczenia w prawie spółek. McMillan jest też przyjacielem Leonarda „od kieliszka”, i wydaje mi się, że chodziło mu też o to, by pochwalić się mną, tak jak rodzice chwalą się dziećmi przed znajomymi. Na przykład prosząc, żeby zaśpiewały piosenkę, zatańczyły albo policzyły do dziesięciu po francusku. Tyle że tym razem to ja występuję, a on będzie zbierał laury i chwalił się, że jestem jego podopieczną, kiedy inni będą klepać go po plecach i gratulować.

Kiedy dostałam tę propozycję, wzdrygnęłam się na myśl o reprezentowaniu krewnych Leonarda, szczególnie w zakresie prawa spółek, które jest domeną Toma. Postanowiłam jednak nie pokazywać po sobie, że przeraża mnie ogrom pracy.

McMillan jest poważanym lokalnym biznesmenem z politycznymi ambicjami, który każdą najdrobniejszą ryskę na swoim wizerunku likwiduje procesami sądowymi. Mówiąc w skrócie, moim zadaniem jest nie tylko wygranie procesu o niezgodne z prawem zwolnienie, wytoczonego przez barmana klubu, którego jest właścicielem. Mam również upewnić się, że dobre imię McMillana na tym nie ucierpi.

- Nawet nie próbuj się od tego wymigać. Jestem pewien, że doskonale sobie poradzisz. A dobry werdykt też nie zaszkodzi firmie - oznajmił Leonard, kiedy wręczał mi akta.

- Czyli nie ma presji? - zażartowałam gorzko.

Spojrzał na mnie z powagą i odparł:

- Ależ jest presja, i to olbrzymia, więc lepiej się postaraj. Masz wygrać. - Ruszył do wyjścia, a na odchodnym rzucił jeszcze: - Chyba że nie czujesz się na to gotowa.

- Jestem gotowa - powiedziałam bez zająknięcia. Umiem czytać między wierszami. Gdybym powiedziała, że nie jestem gotowa, mogłabym zapomnieć o stanowisku partnerskim.

Przez dwie godziny studiuję akta, ale mimo mojej prośby słyszę pukanie i Leonard otwiera drzwi.

- Chciałem się tylko upewnić, że jeszcze się trzymasz. Sandy wspomniała, że pracujesz nad sprawą McMillana. Jak ci idzie? - Kiwa głową na leżące przede mną papiery i książki.

Opieram się o wezglowie fotela i odkładam ołówek na biurko.

- Nieźle. Tak jak podejrzewaliśmy, nie jest łatwo. To, że oskarżyciel ma świadka, nie ułatwia sprawy.

- W takim razie my też musimy znaleźć świadka.

- To nie będzie takie proste. Jak się okazuje, McMillan nie należy do najpopularniejszych pracodawców.

- Znajdź świadka, Clare.

- Zrobię co w mojej mocy. - Nie zabrzmiało to przekonująco i od razu żałuję tego, co powiedziałam. Przed sądem nie będę mogła pozwolić sobie na niepewność. Wahanie w moim głosie nie umyka Leonardowi.

- Nie wciskaj mi takich banałów. Musisz znaleźć świadka. Koniec i kropka. Nie będę się powtarzał.

- Oczywiście. - Zaczynam przekładać papiery z miejsca na miejsce, próbując uniknąć kontaktu wzrokowego. Nic dziwnego, że Leonard jest najlepszym adwokatem w mieście, znanym ze swojej bezwzględności w sądzie. Przebywanie z nim w jednym biurze naprawdę bywa stresujące, nawet jeśli gra w tej samej drużynie.

- McMillan jest ambitny i wpływowy. I tak ma zostać. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak.

Oczywiście, że rozumiem. McMillan bardzo pomógł naszej firmie finansowo. Wynegocjował dla Leonarda umowę, dzięki której nie będzie musiał się martwić o emeryturę. Wszystko to uzgodnili przy kilku piwach w klubie.

- To dobrze. Wiem, że wiele się u ciebie ostatnio dzieje. Rozmawiałem z twoją matką, opowiedziała mi o Alice. Swoje zmartwienia zostawiaj w domu. Musisz się nauczyć oddzielać życie prywatne od zawodowego. To dla twojego dobra.

- Wiem. Właśnie staram się to robić - rzucam poirytowana, że mama zdążyła już opowiedzieć Leonardowi o mojej siostrze. Rozumiem, że są przyjaciółmi z dawnych lat i Leonard wie o naszej przeszłości, ale świadomość, że jest na bieżąco, nie pomoże mi oddzielić życia zawodowego od prywatnego.

- Wygrana w sprawie McMillana będzie nie tylko kolejnym laurem dla naszej firmy, ale również twoim osobistym zwycięstwem. Jesteś moją podopieczną, Clare. Nie schrzań tego - rzuca na odchodne.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy wracam, dziewczynki są już po kąpieli i ubrane w piżamki. Zostałam w pracy dłużej, więc Luke zaczął czytać Chloe bajkę na dobranoc. Jestem trochę zła, że na mnie nie poczekał. Uwielbiam czytać dziewczynkom przed snem, chociaż nie wiem, w jakim stopniu chodzi o przyjemność, a w jakim o uspokojenie sumienia, które dokucza mi, że za mało czasu spędzam w domu. Luke jest tego świadomy i kiedy zaczyna beze mnie, czuję się, jakby mnie karał.

- Cześć, skarbkę - mówię cicho, wchodząc do sypialni.

Chloe natychmiast wyrywa się z jego objęć i biegnie po łóżku w moją stronę.

- Mamusia! Mamusia! - Rzuca się mi na szyję, a ja obsypuję ją pocałunkami. - Tata czyta. Króliczek zgubił balonik. - Kiedy opowiada mi historię balonika, robi się śmiertelnie poważna.

- Oj, biedny króliczek - dzielam jej troskę.

- Spokojnie, Chloe. I wracaj pod kołdrę. - Luke odkrywa kołdrę i poklepuje materac.

- Ja dokończę. - Zdejmuję marynarkę i rzucam ją na kraniec łóżka.

Chloe zaczyna skakać z radości na łóżku.

- Ma-ma! Ma-ma! - skanduje.

Luke wzdycha ciężko, wstaje, podaje mi książkę i daje całusa w policzek.

- Umarł król, niech żyje król! Dobranoc, kochanie. Śpij dobrze. - Żegna się z Chloe buziakiem.

Teraz nie tylko czuję się winna, że późno wróciłam do domu, ale i z tego powodu, że pozbawiam męża możliwości spędzenia wieczoru z córką.

Chloe zasypia, mając pewność, że króliczek znalazł balonik, a ja schodzę na dół. Luke i Hannah oglądają telewizję w salonie.

- Mama nie chciała do nas przyjść? - pytam, siadając na kanapie obok córki.

Luke siedzi w fotelu z nogami przewieszonymi przez oparcie.

- Nie, ogląda program ogrodniczy w swoim pokoju - odpowiada. - Powiedziałem, że wpadniesz później się przywitać. Został obiad, jeśli jesteś głodna. Odgrzać ci?

- Dziękuję, jadłam późny lunch. Zrobię sobie później kanapkę. Pracowałam dzisiaj nad sprawą McMillana.

Luke uśmiecha się do mnie i wiem, że nie jest już zły za czytanie bajki.

- Jak ci minął dzień, Hannah? - Zarzucam jej kosmyk włosów za ucho.

- Było okej - odpowiada ze wzrokiem wlepionym w telewizor. Coś ją rozśmiesza, więc nie naciskam, nie chcę psuć jej zabawy. Gdyby miała powody do zmartwień, na pewno by mi o nich opowiedziała. Czasami nie ma

sensu wypytywać o to, co działo się w szkole. Wystarczy świadomość, że jest szczęśliwa.

- Luke, zeskanowałeś zdjęcia dla mamy?

- Ma się rozumieć!

- Dziękuję, kochanie. A wspominała coś jeszcze o mejlu? - Sięgam po telefon, żeby zalogować się do skrzynki pocztowej, którą dla niej założyłam.

- Wydaje mi się, że wolałaby jednak wysłać list. - Wzrusza ramionami.

- List będzie szedł co najmniej pięć dni.

- Mamy czas. Pozwól mamie zrobić to po swojemu. Zresztą może chwila wytchnienia też dobrze wam zrobi?

Jak zawsze ma rację. Nie ma pośpiechu. Doceniam spokój, jaki niesie ze sobą przebywanie w domu. Zamierzamy wejść w nową relację z osobą, której zupełnie nie znamy. To, co o niej wiemy, jest tylko wspomnieniem.

Kiedy spoglądam na Luke'a, jest już skupiony na programie w telewizji. Córkę też wciągnęło na całego.

- Pójdę do mamy - informuję.

Zaparzam dwie herbaty i pukam do jej salonu. Staram się nie upuścić tacy, kiedy naciskam na klamkę.

- O, dzień dobry, kochanie - wita mnie mama. - Przyniosłaś herbatkę! Dobrze trafiłaś, program właśnie się skończył.

Odstawiam tacę na stolik kawowy. Pokój jest widny i przestronny, wysoki sufit dodaje mu dostojności. Meble mamy świetnie by wyglądały na okładkach magazynów lifestylowych, w których przeprowadza się wywiady z Panią Domu. Wystrój jest tradycyjny i elegancki. Zupełnie inny niż w naszym salonie, w którym dominują puchate kanapy, kolorowe dywany i miękkie narzuty. Chaotycznie, ale przytulnie.

- Przepisałaś list do Alice? - pytam i siadam na fotelu z zakrzywionym oparciem w kolorze ciemnego burgundu.

- Tak, jest na moim biurku. - Kiwa głową w stronę edwardiańskiego stolika przy oknie. - Nie zamykałam koperty, żebyś też mogła dorzucić coś od siebie. Napisałaś już?

- Jeszcze nie. Zrobię to, kiedy wypijemy herbatę.

- Dobrze, tylko nie zapomnij. Nie chcę, żeby Alice myślała, że jej nie odpiszemy.

Żegnaj się z mamą, wracam do naszego salonu i kładę list na stole obok telefonu.

- Co to? - pyta zaciekawiony Luke.

- To tylko list od mamy do Alice. Dopiszę też coś od siebie.

Hannah zaczyna marudzić. Dobranocka się skończyła.

- Chodź, położę cię spać. Pożegnaj się z tatą - mówię.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo byłam zmęczona. W jednej chwili siedzę przy łóżku córki, słuchając jej opowieści o tym, że jakiś kolega z klasy napisał jej imię na tablicy, za co nauczyciel wysłał go do dyrektora, a w kolejnej Luke delikatnie potrząsa mnie za ramię i szepcze, żebyśmy przeniosła się do łóżka.

- Zasnęłaś. - Wyprowadza mnie z sypialni i zamyka za sobą drzwi. - Miałaś kilka ciężkich dni, a teraz się to na tobie odbija.

- Muszę najpierw napisać do Alice. - Ruszam na półpiętro. - Przyjdę, jak tylko skończę.

Schodzę do swojego gabinetu. To mały pokój z przodu domu, mieści się tam tylko biurko, biblioteczka i kilka półek. Nic wielkiego, ale bardzo się przydaje, kiedy muszę popracować nad czymś wieczorami lub w weekendy, choć oczywiście staram się tego nie robić.

Siadam przy biurku i wyjmuję czystą kartkę papieru. Mimo kazań Leonarda, że pracę należy oddzielać od spraw prywatnych, przez cały dzień myślałam o tym, co napiszę.

Droga Alice.

Przeszczęśliwa. Zachwycona. Oniemiała. W euforii. Piszę te słowa, choć nie są w stanie oddać tego, jak bardzo się ucieszyłam, kiedy mama powiedziała mi o Twoim liście. Nie mogę w to uwierzyć! Cały czas szczypię się w policzek, żeby upewnić się, że to nie sen.

Tak często o tobie myślałam! Ostatnia rzecz związana z Tobą, jaką pamiętam, to kiedy wyjeżdżałaś z tatą. Pamiętam Twoją małą buźkę, gdy patrzysz na mnie przez okno samochodu, który odjeżdżał z podjazdu.

Nigdy nie straciłam nadziei, że kiedyś Cię znajdę. Ale to Ty znalazłaś nas! Przez cały ten czas myślałam o tym, gdzie jesteś i co robisz.

Dziękuję, że do nas napisałaś. Nie mogę się doczekać, kiedy napiszesz znowu. Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy. Moja droga, kochana siostrzyczko, znów jesteś z nami!

Ściskam mocno!

Clare

Xxx

Nie rozpisuję się. Jest mnóstwo rzeczy, które chciałabym jej powiedzieć, ale nie zamierzam przelewać ich na papier. Chcę ją zobaczyć na własne oczy. Przytulić. Chcę, żebyśmy znowu były razem. Ja, ona i mama. Przestrogi Luke'a pobrzmiwają echem z tyłu głowy, ale staram się o nich nie myśleć. Alice wróciła i przynajmniej na razie tylko to się liczy.

Składam kartkę na pół i wsuwam do koperty mamy, która leży w salonie. Zaklejam kopertę i odkładam gotowy do wysłania list. Czuję w środku przyjemne ciepło. Całuję opuszki palców i dotykam imienia Alice na kopercie, w duchu śmiejąc się z tego dzieciennego gestu.

- Znalazłaś nas - szepczę, po czym gaszę światło i idę się położyć.

Kolejny poranek to istna mordęga. Dwa razy przestawiam budzik na później, zanim udaje mi się wstać. To dziwne, przecież nigdy mi się to nie zdarza.

Śniadanie pamiętam jak przez mgłę. Głównie staram się nadrobić czas. W pośpiechu żegnam się ze wszystkimi i wybiegam z domu z poczuciem, że czegoś zapomniałam.

Uruchamiam silnik i odhaczam w myślach, czy wszystko wzięłam: telefon,

torebka, portfel, teczka. Są.

Dopiero kiedy jestem pod biurkiem i spotykam listonosza, który wręcza mi pocztę, przypominam sobie, czego nie wzięłam.

- Do jasnej cholery! - klnę głośno. Listonosz patrzy na mnie speszony. - Przepraszam, nie mówiłam do pana. Zapomniałam zabrać z domu listu do wysłania. Niech to szlag!

Wysłałam SMS-a do Luke'a z prośbą, żeby wysłał list mamy.

- Wyglądasz dziś na zagubioną - zauważa Tom, kiedy podaję pocztę recepcjonistce.

- Zawsze potrafiłeś sprawić, że kobieta czuje się przy tobie kwitnąco - odpowiadam z przekąsem. - Lepiej się na coś przydadaj i włącz ekspres do kawy.

- Tak jest! - Tom saltuje, stuka obcasami i odmaszerowuje do kuchni.

Kawa poprawia mi nastrój. W domu lubię pić herbatę, ale w pracy pozwalam sobie na odrobinę kofeinowego haju.

- Zawsze smakuje lepiej, kiedy zrobi ją ktoś inny. Dziękuję - mówię do Toma. Stoimy w kuchni.

- Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby Pani Spokojna-I-Opanowana-Tennison czuła się zagubiona, prawda?

- Tak. Niestety zaczynam odczuwać negatywne skutki huśtawki nastrojów. - Mój telefon wibruje. To Luke, pisze, żebym nie martwiła się listem, załatwi to. Odkładał telefon na blat.

- Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać - delikatnie proponuje Tom.

Doceniam jego wielkoduszność.

- Przez całe życie marzyłam o tym, żeby Alice odezwała się do nas - mówię, wpatrując się w ciemnobrązowy płyn i wdychając aromat. - Pamiętasz zdmuchiwanie świeczek w dzieciństwie? Trzeba było pomyśleć życzenie. Na urodziny czy w Nowy Rok, kiedy wybijała północ. Albo kiedy wrzucało się monetę do fontanny. Za każdym razem życzyłam sobie, żebyśmy odnalazły Alice albo żeby ona odnalazła nas. Żebyśmy znowu byli szczęśliwą rodziną. - Milknę, żeby napić się kawy i przełknąć łyżę.

Tom odstawia kubek i kładzie mi rękę na ramieniu.

- Uważaj, czego sobie życzysz? - komentuje pytająco.

- Nie. Tak. To znaczy tak jakby. - Próbując trzymać w ryzach emocje, choć jednocześnie mam wrażenie, że Tom wysysa ze mnie zdolność do samokontroli. - Teraz, kiedy wreszcie to się stało... Boję się.

Stawia mój kubek obok swojego. Podchodzi bliżej i obejmuje mnie.

- Masz prawo się bać i nie ma w tym nic złego. To bardzo ważne wydarzenie w twoim życiu. Spróbuj okiełznać ten strach, przerobić go w coś pozytywnego. - Głaszcz mnie po plecach. - Dodam jeszcze tylko, że to przyjacielski gest z mojej strony. Nie chcę, żebyś znowu się przestraszyła, jak ostatnio.

- Chciałbyś. - Śmieję się z jego żartu, czując niejaką ulgę, że rosnące między nami napięcie zelżało.

Tom jeszcze raz mnie przytula, po czym odsuwa się i bierze mnie za rękę.

- A tak serio, Clare, przecież wiem, ile to dla ciebie znaczy. Nie zapomniałem. Jak mógłbym?

- Dzięki, doceniam twoje wsparcie - przytakuję z uśmiechem.

- Zawsze cię wspierałem. Nigdy nie zapomnę tych wspólnie przesiedzianych przed komputerem godzin, kiedy próbowaliśmy namierzyć Alice. Ani tych milionów telefonów! Pamiętasz prywatnych detektywów, których wynajmowaliśmy, żeby ją odnaleźli?

- Pierwszy był kompletnie do bani. Wyrzucanie pieniędzy w błoto! - Uśmiecham się na to wspomnienie.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, że twój ojciec zmienił Alice nazwisko.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że jeden w sumie drobny szczegół zaważył na całych poszukiwaniach. Szukanie Alice Kennedy okazało się stratą czasu i pieniędzy. Gdybyśmy wiedzieli, że nazywa się Kendrick... - Wzdycham ciężko.

- Nie idźmy tą drogą. To niekonstruktywne. Nie powinienem być w ogóle zaczynać tego wątku.

- Nic się nie stało. Nie przepraszaj. Masz rację, teraz już nic na to nie poradzimy. To samo mówiłam mamie. Powinnaś zacząć słuchać własnych rad. Rozgrzebywanie przeszłości nie ma sensu.

Przez chwilę milczymy, trzymając się za rękę i patrząc sobie w oczy. Tom masuje kciukiem moje kostki, jak za dawnych lat. Moje ostatnie słowa dotyczyły prób odnalezienia Alice, ale Tom chyba czyta między wierszami. Próbuję coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie. Nie chcę znowu wyjść na idiotkę. Pewnie to ja doszukuję się wszędzie drugiego dna.

Tom pierwszy przerywa ciszę:

- Kiedy mówiłem, że będę cię wspierał, nie rzucałem słów na wiatr. Byliśmy w tym razem - mówi głosem cichym i niskim, patrząc mi w oczy. - Przez całe życie nosiłaś to brzemień na barkach. Teraz, kiedy zostało zdjęte, potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić. Twój świat został wywrócony do góry nogami i zrobienie porządku z emocjami i ponowne określenie swojej pozycji w rodzinie trochę potrwa. Daj sobie czas, nie śpiesz się. Wpuść Alice do swojego życia.

- Mówisz, jakby to było takie proste. - Odwracam wzrok i chcę odejść.

- Chodź do mnie. - Wzmacnia uścisk i przyciąga do siebie. - Nie musisz mieć zawsze wszystkiego pod kontrolą. Wiem, że to nie w twoim stylu, ale jak już nieraz mówiłem, myślę, że twoja potrzeba kontroli wynika z emocjonalnego chaosu, któremu musiałaś stawiać czoło w dzieciństwie. Naucz się wyłączać tryb kontroli i słuchać intuicji, inaczej zwariujesz.

- Dzięki, postaram się - odpowiadam z uśmiechem.

- Mówię poważnie, Clare. Pamiętasz, co się stało w Oksfordzie?

Oczywiście, że pamiętam. Na samo wspomnienie przechodzą mnie ciarki. Niełatwo zapomnieć o takim zdarzeniu, kiedy to człowiek traci przytomność i przez trzy dni nie jest w stanie wyjść z łóżka. Wszystko zaczęło się od kolejnych bezowocnych poszukiwań. Chciałam zapisać smutki, ale źle

zareagowałam na alkohol. Przynajmniej taka jest moja teoria.

Tom uważa, że to przez stres i napięcie związane z zawziętymi poszukiwaniami. Przez trzy dni opiekował się mną jak dzieckiem. Podpisywał się za mnie na zajęciach, a później pomagał nadrobić zaległości. Bez jego wsparcia na pewno nie zdałabym egzaminu, który mieliśmy tydzień później.

Biorę głęboki wdech, próbując zdusić lęk i udowodnić Tomowi, że umiem się zrelaksować. Nie chcę, by myślał, że jestem sztywniakiem.

- Od razu lepiej - mówi. - Jak tylko przestaniesz się spinać i analizować wszystko do entej potęgi, to zrozumiesz, że wtedy o wiele łatwiej można sobie ze wszystkim poradzić. Uwierz mi, znam się na tym. A teraz wracajmy, zanim Leonard nas znajdzie. Jest ostatnią osobą, której wścibstwa teraz potrzebujemy.

- Tak, wracajmy - powtarzam za nim, chociaż nie zgadzam się ze słowami Toma na temat Leonarda. Zawsze wykazywał zainteresowanie moim życiem i nie uważam, żeby wściubiał nos w nie swoje sprawy. Raczej wiązałam to z jego przyjaźnią z moją matką. - Chociaż nie sądzę, żeby Leonard miał złe intencje - dodaję na jego obronę.

Tom otwiera drzwi na korytarz.

- Skoro tak twierdzisz - rzuca, unosząc brwi, jakby się ze mną nie zgadzał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jest sobota. Witam weekend z otwartymi ramionami. Miejsce na łóżku obok mnie jest puste. Przez zaspane oczy dokonuję inspekcji: pościel jest gładka i puszysta jak wieczorem. Ani jednej fałdki. Widocznie Luke w ogóle się nie kładł.

Pewnie jest w szale twórczym. Pracuje nad pejzażem abstrakcyjnym dla amerykańskiej galerii. Dostał zlecenie od klienta, który w zeszłym roku odwiedził Wielką Brytanię i zobaczył jego prace w pawilonie artystycznym w Brighton. Luke był jednocześnie podekscytowany i pełen obaw.

Kiedy wróciłam wczoraj z pracy, był w swojej pracowni. Poprosił mamę, żeby położyła dziewczynki.

Jest jeszcze wcześnie, nie ma nawet szóstej, ale moje ciało nie potrafi na weekend wyłączać wewnętrznego budzika. Wstaję, wkładam szlafrok i na bosaka wychodzę na korytarz. Zaglądam do dziewczynek, starając się ich nie obudzić. Jeszcze śpią, ale za około pół godziny Chloe na pewno zacznie się wiercić.

Omijam dwa skrzypiące schodki, czyli drugi od góry i pierwszy od dołu. Balansuję, trzymając się poręczy. Kiedy byłam mała, puściłam ze schodów samochodzik i trochę ją pokieraszowałam. Mieszkam tu całe życie i doskonale wiem, jak w środku nocy dostać się do lodówki, nie budząc przy tym nikogo. Albo jak przemknąć przez dom niezauważona przez rozwścieczonego ojca.

Pracownia Luke'a mieści się na końcu krótkiego korytarzyka odchodzącego od głównego korytarza. To wciąż część posiadłości, jednak znajduje się w takim zakamarku, że nie dociera tam hałas zazwyczaj panujący w reszcie domu.

Pukam do drzwi i wchodzę, nie czekając na odpowiedź. Czasami Luke jest tak pochłonięty pracą, że mnie nie zauważa. Szybko okazuje się, że to jeden z tych dni. Stoi przodem do płótna z pędzlem w jednym ręku i paletą farb w drugim. Ma na sobie bawełniane spodnie do chodzenia po domu i białą koszulkę. Jest bosy, a liczne plamy na stopach wskazują, jakimi kolorami pracował. Patrzę na jego chaotyczną czuprynę i zastanawiam się, kiedy ostatnio czesał włosy. Niedługo będą tak splątane, że trzeba będzie zaciągnąć go do fryzjera. Mama często powtarza, że Luke jest moim trzecim dzieckiem, ale puszczam te uwagi mimo uszu. Lubię opiekować się swoją rodziną. Są dla mnie wszystkim.

Opieram się o ścianę i przez chwilę podziwiam męża wymachującego pędzlem między paletą a płótnem. W tle cichutko pogrywa radio. Strauss? Nie jestem pewna.

- Kiepski byłby z ciebie szpieg - mówi po kilku minutach rozbawiony Luke,

nie przestając malować. Dopracowuje fragment pejzażu, na którym znajduje się niebo.

Moim zdaniem niczego tam nie brakuje, ale nie mam tak wprawnego oka jak on. Podchodzę do niego, obejmuję go w talii i całuję w ramię.

- Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać, ale nie mogłam spać. Poczułam się trochę samotna. Nie kładłeś się dzisiaj, prawda?

- Chciałem najpierw skończyć tutaj. - Daje mi buziaka. - Nastąpił ekscytujący przełom.

- Masz na myśli obraz? - Spoglądam na płótno. Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, gdzie szukać tego przełomu.

- Nie chodzi o sam obraz - odpowiada rozbawiony moją reakcją. Odkłada paletę i pędzel na zlew przy oknie. - Dzwonił do mnie Teddy Marconi.

Przez chwilę wyteżam umysł, żeby przypomnieć sobie, o kim mowa, wreszcie mówię:

- Zaraz... to twój amerykański klient?

- Brawo! Zaprosił mnie do swojego domu w Miami.

- Miami? To świetnie! - Luke często odwiedza swoich klientów, lubi wiedzieć, gdzie planują powiesić zamawiane obrazy. Podobno pomaga mu to zrozumieć, jaki efekt chcą osiągnąć. Większość jego kupców to Brytyjczycy. Obraz, który właśnie maluje, ma zawisnąć w londyńskim apartamencie Marconiego. Kiedy Luke pojechał spotkać się z nim w Kensington, skorzystałam z okazji i też się zabrałam na wycieczkę, żeby pozwiedzać okolicę. Wieczorem wróciliśmy do hotelu. Pamiętam, że było bardzo romantycznie.

- Prawda? Aż ciężko mi w to uwierzyć - odpowiada.

- Tym razem też mnie zabierzesz? - przekomarzam się. Krótka wycieczka do Londynu to jedno, ale minimum trzydniowy wspólny wyjazd do Ameryki to całkiem coś innego. Co byśmy zrobili z dziewczynkami? Nie możemy aż tak wiele wymagać od mamy.

- Właśnie chciałem o tym porozmawiać... Przykro mi, kochanie. Marconi chce, żebym przyjechał w przyszłym tygodniu, we wtorek. Opłaci przelot i pobyt. Powiedział, że jedyne, czego ode mnie oczekuje, to żebym pojawił się na miejscu. Jeśli dadzą ci tydzień wolnego, możesz polecieć ze mną.

- Chcesz mnie tu zostawić, a sam wygrzewać się w Miami? - Robię smutną, nadąsaną minę, ale zaraz dodaję: - Mam nadzieję, że mi to wynagrodzisz.

Ciągnie mnie za pasek szlafroka i wsuwając dłoń w jego fałdy, rzuca:

- Z przyjemnością.

Po krótkim tête-à-tête Luke postanawia trochę odpocząć od pracy. Kiedy ma wenę, zdarza mu się pracować po dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Potem potrzebuje kilku godzin, żeby odespać.

- Zrobię dziewczynkom śniadanie. A później pójdziemy na bulwar, dobrze? Szkoda marnować tak piękną pogodę na siedzenie w domu. Kupimy lody, pospacerujemy nad morzem.

- Brzmi świetnie. Obudź mnie na lunch - odpowiada Luke, ziewając.

Kiedy wychodzimy z pracowni, natykamy się na Chloe, która właśnie zeszła na dół.

- Czas na śniadanie! - Biorę ją na ręce. - Chodź, najpierw się ubierzemy.

Kiedy wchodzimy na górę, wskakuję pod prysznic, a Luke w tym czasie jest z Chloe. Słyszę, że bawią się w łaskotki. Nic wielkiego, ale Chloe to uwielbia. I wystarczy, żeby czymś ją zająć, dopóki się nie ubiorę.

Nagle słyszę piknięcie telefonu. Mojego, sama podłączyłam go do ładowarki na nocnym stoliku. Dostałam mejla.

Spoglądam na nadawcę i moje serce zaczyna bić szybciej.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spogląda na mnie Luke, przewracając się na brzuch.

- To tylko mejl.

- A co na ogół robi się z mejlami? Czyta je i na nie odpisuje - odpowiada.

Chloe piszczy z radości i wspina mu się na plecy, a Luke wzdycha ciężko, przygnieciony jej ciężarem.

Sięgam po telefon. Zaczynam obawiać się tego mejla. To, że nawiązała z nami kontakt, wywołało u mnie lawinę emocji. Może wreszcie zaczynam trzeźwo myśleć? Najpierw byłam w fazie szoku, później ekstazy, a teraz przyszła kolej na nieufność. Zastanawiam się, czy ktoś opisał fazy emocjonalne, przez które przechodzi człowiek, który nagle odnalazł zaginionego członka rodziny. Tak samo jak emocjonalne fazy podczas żałoby. Później wpiszę to w Google'a.

- To Alice. Wysłała mejla na adres, który założyłam dla mamy - informuję Luke'a. - Zejdę na dół i powiem jej, żeby go otworzyła.

- Nie wolisz najpierw sama go przejrzeć?

- Czemu?

Wstaje z ziemi z Chloe, która uczepiła się jego szyi.

- Ja wiem? Na przykład żeby w razie czego przygotować mamę na złe wieści.

- Jakie złe wieści? - oburzam się.

- Nieważne. Zapomnij.

- Ani mi się śni. O co ci chodzi?

Nie puszczając Chloe, Luke wstaje z łóżka. Wyglądają, jakby ćwiczyli cyrkową sztuczkę.

- Na przykład o to, że Alice mogła zmienić zdanie. - Wzrusza ramionami, po czym stawia Chloe na ziemi. - Nie przejmuj się tym, co powiedziałem. Na pewno wszystko będzie w porządku.

Po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że faktycznie może mieć rację.

- Tylko rzuć okiem.

Siadam na łóżku i otwieram wiadomość. Ikonka spinacza do papieru wskazuje, że mejl zawiera załącznik. Sama wiadomość nie chce się załadować, więc przewijam na dół, żeby w osobnym oknie otworzyć załącznik. Jestem pewna, że to będzie zdjęcie Alice. Wreszcie zobaczę swoją siostrę! Zamykam oczy i wracam do momentu, w którym widziałam ją po raz

ostatni. Jej małą buźkę wyglądającą przez okno samochodu.

Otwieram oczy. Spodziewam się, że zobaczę młodą kobietę, ale ku mojemu zaskoczeniu widzę dwie osoby siedzące na kanapie. Na pewno nie jest to selfie, tylko zdjęcie zrobione z daleka z pomocą samowyzwalacza lub kogoś trzeciego. Dwie mniej więcej dwudziestoletnie kobiety mają ciemnobrązowe włosy falami opadające na ramiona. Powiększam zdjęcie, żeby lepiej im się przyjrzeć, a już szczególnie szukam tych pięknych niebieskich oczu, o których tak często myślałam. Jednak w miarę powiększania obraz traci ostrość, staje się coraz bardziej zamazany, więc nie jestem w stanie dostrzec koloru oczu.

W tym czasie wiadomość załadowała się. Patrzą na sam jej koniec. Alice żegna się i pisze w postscriptum:

Jestem po lewej.

- Alice - szepczę.
- Która to Alice? - pyta Luke, zaglądając mi przez ramię.
- Ta z lewej.

Postawiona na ziemi i puszczona samopas Chloe z wielkim zapałem wyciąga z szafy kolejne pary moich butów. Uśmiecham się do niej.

- Myślisz, że jest do mnie podobna? - zwracam się znowu do Luke'a.

Przez chwilę przygląda się zdjęciu.

- Trudno powiedzieć. Może? Macie takie same włosy, mocno zaznaczone kości policzkowe. Kim jest ta druga dziewczyna?

Pośpiesznie przeglądam mejla, szukając odpowiedzi.

- Jej przyjaciółka, Martha... - A gdy dokładniej przeczytałam wiadomość, dodaję gwałtownie: - O cholera!

- Co się stało?

- Chce do nas przyjechać, ale razem ze swoją przyjaciółką. To dziwne. Skąd taki pomysł? - zastanawiam się, patrząc na Luke'a.

- To problem?

- Wolałabym, żeby przyjechała sama. Chociaż z drugiej strony może jest nieśmiała i chce przyjechać z kimś, z kim czuje się różnie. - Uśmiecham się sympatycznie, to znaczy w taki sposób, w jaki ludzie uśmiechają się, kiedy chcą wyrazić współczucie. Przeważnie też, oczywiście nieświadomie, zdradzają zażenowanie sytuacją i kompletny brak wiary w to, co mówią. - Pójdę powiedzieć mamie.

Mama zaczyna płakać, kiedy otwieram mejla na jej komputerze, i dotyka ekranu w miejscu, w którym widzi Alice.

- Moja kochana córeczka - powtarza kilka razy, po czym dodaje: - Nie mogę się doczekać, kiedy ją przytulę.

- Przyjedzie z koleżanką - zaczynam delikatnie. - Czytałaś ten fragment?

- Tak. Nie ma problemu. Mnie to nie przeszkadza, najważniejsze, żeby Alice była szczęśliwa.

Wymieniamy z Lukiem porozumiewawcze spojrzenia. Jego wzrok mówi: „Odpuść”. Zna mnie na wylot. To zresztą jeden z powodów, dla których nigdy nie przestanę go kochać. Dobrze wie, że moim zdaniem mama jest

zbyt entuzjastycznie nastawiona, a ja wciąż się zastanawiam, czy porozmawiać z nią o tym. Kiwając głową, daje mi do zrozumienia, że nie warto, po czym odwraca się ode mnie i pyta:

- Marion, chcesz, żebym wydrukował to zdjęcie?

- Naprawdę możesz? Byłoby cudownie! To niesamowite, że mejle przychodzą tak szybko, ale jednocześnie chciałabym mieć coś namacalnego - odpowiada z uśmiechem, po czym zwraca się do mnie: - Położę je razem z innymi jej rzeczami.

- Świetny pomysł. - Mama mówi o czarnej walizce, w której trzyma ulubioną sukienkę i kilka starych zabawek Alice. Na przykład misia, który stracił oczka, albo króliczka w niebieskiej kamizelce podobnego do Piotrusia Królika. Jest tam też jej piżamka w biedronki, książeczka o zoo i mnóstwo innych rzeczy, które do niej należały. Łącznie z corocznie kupowanymi prezentami pod choinkę.

Luke drukuje zdjęcie, a mama zabiera je ze sobą i wychodzi.

- To rozumiałe, że tak to przeżywać. Ma dużo do przemyślenia, do poustawiania sobie w głowie. Ty zresztą też - mówi, masując mi kark. - Jak się z tym wszystkim czujesz?

- W porządku. Najważniejsze, że mama jest szczęśliwa.

- Nie o to pytałem.

- Bardzo się cieszę, tylko... - Zaczynam się wahać. Nie chcę, by zabrzmiało to tak, jakbym się bała, że kiedy pojawi się moja siostra, zejdem na drugi plan. Luke czeka, aż dokończę. - To wszystko dzieje się tak szybko i szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że Alice przyjedzie z przyjaciółką. Zabieranie kumpeli na pierwsze spotkanie z rodziną wydaje mi się nie na miejscu.

- Masz rację, ale postaraj się tym nie przejmować. Daj się ponieść wydarzeniom. Może Alice potrzebuje wsparcia kogoś bliskiego.

- Wcześniej tak nie myślałeś - zauważam.

- Nie mam na to wpływu - mówi Luke. - Alice przyjedzie niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, więc powinniśmy to zaakceptować i cieszyć się tym. Nic więcej nie dodam. Jestem pewien, że wszystko się ułoży.

- Chciałabym mieć podobne podejście.

- Clare, kochanie... Wiem, że to dla ciebie trudne dni i nie nadążasz za emocjami. Sam zainwestowałem mnóstwo czasu i energii w Alice, mimo że nie jest moją siostrą. Oczywiście mówimy o zupełnie innej skali, ale ja też uczestniczyłem w próbach namierzenia Alice. Wydaliśmy na to tyle pieniędzy... to znaczy ty wydałaś. Grunt, że to wszystko jest już za nami, bo Alice nas znalazła. Znowu masz siostrę, twoja mama ma córkę, ja będę mieć szwagierkę, a dziewczynki ciocię. Skoncentrujmy się na pozytywach.

- A skoro już mówimy o dzieciach... - Podnoszę wzrok i nasłuchuję dźwięków dochodzących ze schodów i półpiętra. - Wygląda na to, że Hannah wstała.

Zrobiło się późno. Wkładam na twarz maskę szczęśliwej mamy i zabieram

dziewczynki na drugie śniadanie. Pierwsze nas ominęło. Luke ma rację, powinnam skupić się na pozytywach. Moja siostrzyczka wraca. Ale chociaż powtarzam sobie w głowie te słowa niczym mantrę, nie potrafię wyzbyć się niepokoju, który czuję głęboko w trzewiach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kilka kolejnych tygodni mija błyskawicznie. Jestem zaskoczona szybkim obrotem spraw. Myślałam, że najpierw wymienimy parę wiadomości, kilka razy porozmawiamy przez telefon, i dopiero wtedy mama i Alice zadecydują o spotkaniu. Spodziewałam się, że dojdzie do niego najwcześniej za trzy miesiące, ale im wystarczyła wymiana dwóch mejli. Chcą się spotkać jak najszybciej. Bez telefonów, bez Skype'a.

- Na pewno jesteś na to gotowa? - pytam mamę dzień przed przyjazdem Alice, kiedy idziemy do jej starej sypialni.

Sugerowałam przemalowanie majtkoworóżowych ścian i wymianę zasłon w kropeczki, ale mama uparła się, że wszystko ma zostać jak dawniej. Jest przekonana, że Alice pamięta swój pokój, a ja zaczynam skrycie modlić się o to, żeby tak było. Oczywiście tylko ze względu na mamę. Może powinnam przygotować ją na inną ewentualność? Nie, to bez sensu. Nie brałam udziału w wymianie mejli i nie czuję się jeszcze tak mocno związana z Alice jak ona.

- Pokój wygląda ślicznie, mamó - dodaję. - Alice na pewno się ucieszy, ale nie smuć się, jeśli będzie potrzebowała czasu, żeby sobie wszystko przypomnieć. Ostatni raz przebywała tutaj bardzo dawno temu, kiedy była malutka. - Kładę dłoń na jej ramieniu.

- Wiem, kochanie. Jej przyjazd może być dla nas trudny, ale przygotowałam się na to. Nie jestem aż tak naiwna.

Wchodzimy do pokoju gościnnego i robimy ostatnią szybką kontrolę. Wszystko jest gotowe na przyjazd drugiego gościa. Czyste ręczniki leżą na łóżku. Przygotowałyśmy też szlafrok i niezbędne kosmetyki.

- Lepiej niż w hotelu! - mówię.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Byłabym wniebowzięta, gdyby ktoś przygotował dla mnie taki pokój - dodaję, po czym zerkam na zegarek. - Już późno. Chodźmy spać. Musimy być na Heathrow o siódmej trzydzieści.

Wbrew temu, co mówię, nie mogę zasnąć. Kiedy słyszę budzik o wpół do piątej, czuję ulgę. Mama czeka już na mnie w kuchni. Widocznie denerwuje się spotkaniem tak samo jak ja. Po cichu wymykamy się z domu, żeby nie obudzić Luke'a i dziewczynek. Przez kilka minionych tygodni prawie go nie widywałam, bo po powrocie z Ameryki zaszył się w pracowni. Jest bardzo podekscytowany i chce jak najszybciej skończyć zamówienie z Londynu, żeby zacząć pracę nad kolejnym.

- Luke dobrze sobie radzi z zamówieniami? - pyta mama.

- Tak, dobrze - rzucam skupiona na drodze. - To będzie prawdziwy przełom w jego karierze. Mówimy o kilku tysiącach funtów. Amerykański klient jest zachwycony jego pracami. - Gdy docierają do mnie moje słowa,

uświadamiam sobie, jak bardzo się staram. Zawsze kiedy rozmawiam z mamą o Luke'u i pieniądzach, próbuję go bronić. Nie potrafię zapomnieć o tym, że mama nie wspiera naszego układu. Nie ma nic przeciwko temu, żebym robiła karierę, która pozwala mi na finansową niezależność, ale nie podoba jej się, że utrzymuję Luke'a. Kiedyś powiedziała, że przez to jesteśmy od siebie uzależnieni. I gdyby tak się stało, że chciałabym odejść, to po prostu bym nie mogła.

Wiem, że w takich chwilach myśli o sobie i tacie. Mama zawsze miała głowę do pieniędzy. Zgromadziła własny majątek z pensji nauczycielki i spadku. Tata utrzymywał się z własnych przychodów, więc ich rachunki zawsze były oddzielne. Innymi słowy, byli od siebie niezależni, i wyszło im to na dobre. Mama czuła się zdruzgotana po odejściu ojca, ale była zabezpieczona finansowo, dzięki czemu przetrwała, żyjąc na odpowiedniej stopie.

Z zamyślenia wyrywa mnie mama.

- Brzmi obiecująco - mówi. - I nie będziesz musiała się tak stresować.

- Niczym się nie stresuję.

- Oczywiście, ale na pewno byś się ucieszyła, gdyby Luke zaczął dostawać regularną i przyzwoitą pensję.

- Mamo, proszę cię, nie teraz.

- Mówię tylko, że nie musiałabyś się czuć za wszystkich odpowiedzialna. Zarówno Luke'owi, jak i tobie na pewno nie zaszkodzi odrobina niezależności.

- Na wypadek, gdyby przestało nam się układać? To masz na myśli, prawda? - Nie potrafię się powstrzymać przed napastliwym tonem. Jej słowa mnie ranią, więc odwzajemniam się gorzką ripostą.

Czuję, że mama cała się jeży. Kątem oka spoglądam w jej stronę. Siedzi prosto, patrząc przed siebie, ale widzę, że jest napięta jak struna.

- Prawdę mówiąc, tak - odpowiada.

- Mamo, ja i Luke nie mam problemów. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Znamy się jeszcze ze szkoły. Gdyby coś miało się stać, na pewno już by do tego doszło.

- Nie możesz być tego pewna. A jeśli to tylko spokój przed burzą? Myślisz, że wszystko jest w porządku, i to cię zaślepia.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. Powoli chłonę słowa matki. Wiem, że chce mnie chronić. Matką zostaje się na zawsze, nawet jeśli dzieci pozakładają własne rodziny. Mama lubi Luke'a, ale nie rozumie jego podejścia do życia, do własnej kariery, dlatego bywa stronnicza. Pewnie stanę się taka sama, kiedy dziewczynki dorosną i będą mieć chłopaków.

Starannie dobieram słowa, nie chcąc jej zranić:

- Co się stało, że tata odszedł?

Mama nigdy nie powiedziała mi, dlaczego tata zabrał na wakacje (choć obie już wiemy, że to nigdy nie miały być jedynie wakacje) tylko Alice.

- Twojemu tacie znudziło się życie ze mną - odpowiada. - Mówiłam ci już.

- Ale nigdy nie wyjawiaś, dlaczego. - Nagle przytłacza mnie to, że nie

znam prawdy. Bierze się to pewnie z tego, że Alice wraca. Ona też, jak się domyślam, będzie chciała wiedzieć.

- To było dawno temu - mówi mama. - Nie chcę rozdrapywać starych ran. Nie będę rozgrzebywać przeszłości. Przed nami wspaniała przyszłość. Przyszłość z Alice.

- A co powiesz jej, kiedy cię zapyta?

- To samo, co powiedziałam tobie. A teraz proszę, Clare, odpuść. Nie chcę już o tym rozmawiać. To trudny temat. Nie myśl o tym za dużo. - I po krótkiej pauzie dodaje: - Nie chcę, żeby cię to męczyło tak samo jak mnie. Nigdy tego nie chciałam, ale... Och, najważniejsze, żebyście wy byli szczęśliwi.

Po tych jej słowach wiem, że nie ma sensu brnąć w to dalej.

Samolot z Orlando przylatuje zgodnie z rozkładem. Czekamy z mamą w hali przylotów i w tłumie pasażerów wylewającym się z za szklanych drzwi wypatrujemy Alice.

Wychodzi czteroosobowa rodzina, para około trzydziestki z dwójką małych dzieci. Matka niesie brzdąca na rękach, ojciec pcha wózek z bagażami. Na oko czteroletni chłopiec kurczowo trzyma się wózka. Za nimi mężczyzna w garniturze z małą walizką na kółkach i teczką. Jego twarz oprószył dwudniowy zarost. Idzie przed siebie zdecydowanym krokiem, nie rozglądając się wokół, nie szukając nikogo. Domyślam się, że nie pierwszy raz pokonuje tę trasę. Na jego twarzy nie ma ani śladu ekscytacji, pewnie był już w Anglii setki razy. Przez chwilę zastanawiam się, czy jest Brytyjczykiem, czy Amerykaninem.

Za rogiem dostrzegam kobietę o ciemnych włosach i przez chwilę myślę, że to Alice, ale kiedy podchodzi bliżej, dostrzegam towarzyszącego jej mężczyznę. Z plecakami, oboje ubrani w szorty i bluzy z kapturem. Nagle twarz dziewczyny promienieje i lekko szturcha swojego chłopaka. Odwracam się, żeby zobaczyć, gdzie patrzy, i widzę machającą do nich kobietę w średnim wieku. Wychodzą kolejni pasażerowie, ale po Alice i Marcie ani śladu.

- Gdyby spóźniły się na samolot, napisałyby mejla, prawda? - pyta mama.

- Spokojnie, mamó. Na pewno zaraz wyjdą. Przecież wiesz, jak wyglądają odprawy paszportowe.

- Myślisz, że Alice ma brytyjski czy amerykański paszport?

- Nie wiem. To zależy od tego, czy wnioskuje o amerykańskie obywatelstwo.

- Tak, nie wiemy - ze smutkiem przytakuje mama. - Takie szczegóły boją najbardziej. Przypominają mi o tym, że nie znam własnej córki. Powinnam wiedzieć takie rzeczy.

- Nie zadreńczaj się, przecież przez najbliższe tygodnie nadrobisz to wszystko.

Mama wymusza uśmiech, próbując odegnąć melancholijne myśli, a ja spoglądam z powrotem w stronę pasażerów. Dostrzegam młodą brunetkę

o lekko falowanych włosach. Już mam odwrócić wzrok, ale coś podpowiada mi, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Wtedy mama łapie mnie za ramię.

- Tam, popatrz! Alice! - krzyczy radośnie i zaczyna machać.

Kobieta spogląda w naszą stronę. Wygląda na zdenerwowaną. Uśmiecham się szeroko i też zaczynam machać. Wygląda na to, że przyleciała sama, nigdzie nie widzę jej przyjaciółki. Rusza w naszym kierunku, przyspieszając z każdym krokiem, aż w końcu zaczyna powoli biec. Mama rusza w jej stronę. Na ich widok łzy nachodzą mi do oczu. Mama płacze. Rzucają się sobie w ramiona i stoją przytulone, nie myśląc o otaczającym je świecie. Wreszcie mama odsuwa się, chwyta w dłonie twarz Alice i przygląda jej się z uwagą, po czym zaczyna całować po policzkach. Śmieją się do siebie.

W końcu mama pokazuje na mnie i trzymając Alice pod ramię, przyprowadza ją. Dopiero wtedy widzę te niebieskie oczy o jeszcze bardziej intensywnym kolorze, niż zapamiętałam. W ułamku sekundy cofam się do dnia, w którym odeszła. Te same oczy patrzyły na mnie błagalnym wzrokiem w salonie. Czuję napięcie w klatce piersiowej i ucisk w gardle. Biorę głęboki wdech. Robię krok do przodu i nagle trzymam swoją małą siostrzyczkę w objęciach.

- Alice, nareszcie wróciłaś! - słyszę swój głos jak z oddali. Wszystkie wątpliwości i lęki, które miałam przez kilka ostatnich miesięcy, wyparowują razem ze łzami spływającymi po policzkach.

- Cześć, Clare. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Tyle o tobie myślałam! Czasami bałam się, że ty i mama nie jesteście prawdziwe. A teraz moje marzenie wreszcie się spełniło. - Żarliwie odwzajemnia uścisk.

Mówi trochę przez nos jak przystało na Amerykankę z Południa, co jest dla mnie sporym zaskoczeniem. Myślałam, że będzie bardziej podobna do mnie.

- Chodźmy do samochodu. - Ocieram twarz chusteczką, którą wciska mi mama. Alice też jedną wcisnęła. Wszystkie trzy ocieramy łzy, a potem biorę walizkę siostry i już mamy iść, kiedy nagle przypominam sobie o jej przyjaciółce.

- A gdzie Martha? - rozglądam się. - Myślałam, że przyjedzie razem z tobą.

- No tak, przepraszam! W ostatniej chwili musiała zmienić plany i nie mogła przyjechać. No cóż, będę tylko ja. - Z uśmiechem wzrusza ramionami, zaraz jednak poważnieje i pyta trochę niepewnie: - Mam nadzieję, że to nie kłopot? Przepraszam, powinnam dać wam znać jeszcze przed wylotem, ale byłam tak podekscytowana, że zapomniałam.

- Nic nie szkodzi, kochanie. - Mama bierze ją pod ramię. - Nie musisz przepraszać. To nie ma znaczenia. Po prostu cieszymy się, że jesteś.

- Nic by mnie nie powstrzymało, żeby się z tobą spotkać, mamó. - Kładzie nacisk na ostatnie słowo, które brzmi dość dziwnie przy jej amerykańskim akcencie. - Mogę do ciebie mówić „mamo”, prawda?

Mama całuje ją w czubek głowy.

- Oczywiście, kochanie. Będzie mi bardzo miło!

Mijają mnie pogrążone w swoim świecie. Przez chwilę je obserwuję.

Narasta we mnie dziwne i mocno doskwierające uczucie. Może po prostu nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś inny mówi do mamy w ten sposób? Ruszam za nimi bez słowa.

Podróż do domu upływa szybko. Mama siada z przodu, a Alice za mną. Ja kieruję. Mama zadaje jej kilka grzecznościowych pytań typu:

- Jak ci minęła podróż?
- Czy jesteś głodna?
- Miałaś jakieś problemy, żeby wziąć wolne w pracy?

Porusza tylko bezpieczne tematy. Alice odpowiada i zadaje swoje pytania, tak samo bezpieczne: Czy mama prowadzi samochód? Gdzie pracuje? Jakie ma hobby?

Mama wyjmuje fotografię, którą wydrukował dla niej Luke. Jest lekko poszarpana i pogięta na brzegach.

- Dziękuję za zdjęcie - mówi, prostując je na kolanie. - Przywiozłaś więcej? Z czasów, kiedy dorastałaś?

Pamiętam, że mama prosiła o to w ostatnim mejlu. Spoglądam w lusterko na Alice. Z jej miny wnioskuję, że nie.

- Ups, przepraszam! - mówi. - Wiesz co? Mam okropne przeczucie, że na stole w kuchni zostawiłam album, który dla ciebie zrobiłam. Czasami jestem taka roztrzepana! - Puka się w czoło.

- Nic nie szkodzi - odpowiada mama, ale wyczuwam doskonale, jak bardzo jest jej przykro.

- Możemy zrobić całe mnóstwo zdjęć, kiedy tu będziesz. Zrobimy własny album - proponuję.

- Świetny pomysł! - rzuca entuzjastycznie Alice, po czym wyglądając przez okno, dodaje ze smutkiem: - Tata rzadko robił mi zdjęcia.

- Dziewczynki już nie mogą się doczekać, kiedy ciebie zobaczą - próbuję zmienić temat na weselszy. Przez ostatnich kilka kilometrów trajkoczę o córkach. Jakie są teraz, jakie były w przeszłości. O tym, że Chloe jest cicha, delikatna i ostrożna, a Hannah rozrywkowa, żądna przygód i wali prosto z mostu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je poznam. Z trudem do mnie dociera, że jestem ciocią i zaraz zobaczę swoje siostrzenice. I oczywiście twojego męża Luke'a. Jesteś szczęściarą, że masz tak liczną rodzinę - podsumowuje Alice.

Jedziemy krętą drogą, która prowadzi do domu. W końcu mijamy kamienne ogrodzenie wyznaczające początek naszej posesji i skręcamy w drogę gruntową, która prowadzi do czarnej bramy.

- Wygląda trochę znajomo? - pyta mama.

Domyślam się, jak desperacko pragnie, żeby Alice przypomniała sobie jakikolwiek szczegół z dzieciństwa.

- Trochę - przyznaje Alice. - Pamiętam tę czarną bramę. Z jakiegoś powodu utkwiała mi w pamięci.

Wjeżdżam na zwirowy podjazd. Luke i dziewczynki na odgłos nadjeżdżającego auta wyszli nam na spotkanie. Luke uśmiecha się od ucha

do ucha i wygląda bardzo przyjaźnie, ale niezbyt naturalnie. Może, w przeciwieństwie do tego, jak to sobie ułożyłam w głowie, wcale nie traktuje przyjazdu Alice ze spokojem. Wszyscy chodzimy jak na szpilkach. W samochodzie starannie dobieramy tematy rozmów, analizujemy wszystkie słowa, gesty i miny, choć jestem pewna, że to się skończy, kiedy lepiej się poznamy.

Po wyjściu z samochodu Alice podchodzi do dziewczynek. Kuca i mocno przytula Hannah, która jest trochę zdezorientowana. Żeby wybawić ją z opresji, spoglądam na nią, unosząc brwi i uśmiechając się szeroko. Zgodnie z naszą niepisaną zasadą oznacza to „bądź grzeczna i mów miłe rzeczy”. Hannah szybko podłapuje i uśmiecha się do Alice, która spogląda już na Chloe, z kolei która, zwyczajem trzylatek, chowa się za tatusiem.

- Przywitaj się z Alice - nakazuje Luke, ale Chloe czepia się go jeszcze mocniej.

- Nic się nie stało, pewnie się zawstydzila. Będziemy mieć mnóstwo okazji, żeby się zaprzyjaźnić. - Alice wstaje i podaje Luke'owi rękę.

- Jestem Luke, mąż Clare. Miło mi cię poznać.

- Alice Kendrick. Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada siostra i z powagą podaje mu dłoń, a zaraz potem zaczyna się śmiać. - Skoro mamy już za sobą formalne brytyjskie powitanie, to może przywitamy się po amerykańsku? Bardzo się cieszę, że tu jestem! - Rzuca mu się na szyję.

Za jej pleców popatruje na mnie z desperacją, na twarzy ma wypisane wołanie o pomoc. Zaczynam chichotać, na co mama daje mi kuksańca, a Luke mruga do mnie porozumiewawczo. Po chwili Alice wypuszcza go z objęć.

- Wejźmy do środka - zarządza mama. - Na pewno jesteś zmęczona, kochanie. Luke, wniesiesz walizki Alice?

Mama i siostra ruszają do wejścia, a Luke z krzywym uśmiechem rzuca pod nos:

- Tak, pszę pani.

Na szczęście mama tego nie słyszy.

- Przestań! - karzę go, chociaż nie zabrzmiało to przekonująco. Daję Luke'owi buziaka. - Pierwsze lody przełamane! A może ja też powinnam przywitać się z tobą po amerykańsku? - Rzucam mu się na szyję.

- Uważaj, bo jeszcze twoja matka zauważy, że spoufalasz się ze służbą. A zamiast witać się z tobą po amerykańsku, wolę przywitać się z tobą zgodnie ze zwyczajem Tennisonów. Wieczornym zwyczajem. - Daje mi klapsa w pupę i bierze walizki.

Z uśmiechem ruszam w stronę domu. Kiedy podnoszę wzrok, widzę obserwującą nas z daleka Alice. Osłaniam oczy przed słońcem i macham do niej. Uśmiecha się do mnie szeroko, odmachuje i znika w domu. To o wiele miłsze okoliczności niż te, w których widziałam ją po raz ostatni. Potrząsam głową, żeby odgonić złe wspomnienia. Zimne, samotne dni należą już do przeszłości. Dzisiaj świeci słońce, a ja wreszcie czuję jego ciepło przez tyle lat przysłonięte przez chmury.

Dziewczynki już śpią, nawet Hannah, której pozwoliliśmy posiedzieć z nami trochę dłużej. Luke taktownie wykręcił się pracą, żebyśmy ja, mama i Alice mogły porozmawiać we trójkę.

- Zrobię kolację. Mam ser i krakersy. Chcecie kawy albo herbaty? Clare? Alice?

Obie dziękujemy. Pierwszy raz od przyjazdu siostry zostajemy zupełnie same.

- Jak długo jesteście małżeństwem? - pyta Alice.

- Hm... To już osiem lat.

- Osiem? - dziwi się Alice. - To ile lat ma Hannah?

- Siedem. Byłam w czwartym miesiącu ciąży, kiedy się pobraliśmy - odpowiadam bez poczucia zażenowania. W dzisiejszych czasach takie historie nie szokują już jak dawniej. I chociaż nie ma nic dziwnego w tym, że Alice ciekawią losy ledwie odzyskanej rodziny, podskórnie czuję się niezręcznie, bo wiem, że może mnie oceniać.

- Ach tak - uśmiecha się, mrugając porozumiewawczo.

- Pobralibyśmy się nie dlatego, że zaszłam w ciążę - dodaję pośpiesznie. Nie podobają mi się te żarty. - Nie byliśmy razem długo, ale już od trzeciej randki wiedzieliśmy, że się pobierzemy. To wszystko miało sens.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - kwituje Alice. - A może... pożądanie?

- Blisko! - rzucam ze śmiechem.

- Ślub kościelny? - pyta Alice, patrząc na zdjęcia w mojej małej, prywatnej galerii. Większość z nich przedstawia dziewczynki, na kilku jest mama albo ja i Luke. Są też zdjęcia zrobione przez niego podczas urodzin, spacerów po plaży. Różne ulotne chwile z dnia codziennego. Jest w nich jednak urok, którego nie da się osiągnąć w studio. Luke ma do tego oko, ale przecież jest artystą. W każdym zdjęciu, które robi, kryje się coś więcej.

- Nie - odpowiadam. - Co więcej, to Luke nalegał na białą suknię i całą tę resztę. Ja wolałam spokój. Pobraliśmy się w urzędzie stanu cywilnego. Ceremonia była skromna, tylko najbliżsi znajomi i rodzina. Ale później urządziliśmy imprezkę, w sumie to było nasze wesele. - Podchodzę do kredensu i biorę zdjęcie w srebrnej ramce. Trudno byłoby zgadnąć, że to zdjęcie weselne, bo wyglądamy z Lukiem, jakbyśmy szli do znajomych na kolację. Luke ma ciemnogrnatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę z przypinanym kołnierzykiem i wąski krawat. Ja jestem ubrana w sięgającą do ziemi asymetryczną kremową suknię wieczorową na cienkich ramiączkach z delikatną falbanką na dekolcie. W rękach trzymam bukietik dopasowany kolorem do krawatu męża.

Podaję ramkę Alice, a ona ogląda zdjęcie.

- Luke w ogóle się nie zmienił. Zresztą ty też nie. I nic nie widać, żebyś była w ciąży. Masz brzuch płaski jak deska.

- Wtedy wciąż był mały. To moja pierwsza ciąża i nadal miałam mocne mięśnie brzucha. Albo po prostu szczęście.

Przygląda mi się.

- Nadal jesteś bardzo szczupła. - Oddaje zdjęcie.
- Zupełnie jak ty. To pewnie u nas rodzinne - odpowiadam z uśmiechem i odstawiam ramkę na półkę.
- Pewnie tak. Czy ktoś wiedział, że jesteś w ciąży, kiedy się pobieraliście?
Siadam z powrotem i w duchu liczę na jak najszybszy koniec tych odpytywanek.
- Nie. Nikomu nie mówiliśmy, nawet mamie. Zrobiliśmy to dopiero po ślubie.
- Zaakceptowała to?
- Nie zostawiliśmy jej wyboru. - I przyciszonym głosem dodaję: - Na początku była zła, że jej nie powiedzieliśmy wcześniej. Nie rozumiała, czemu tak szybko się pobieramy. Ale kiedy przestała się dąsać, odkryła, że da jej to wiele radości. Uwielbia dziewczynki.
- Są przeurocze. Twoja mama zresztą też. Co ja mówię? Nasza mama! No i Luke... Masz wspaniałą rodzinę. - Niby się uśmiecha, ale jej słowa przepełnione są smutkiem.
Przed sekundą byłam nieskończenie dumna z mojej rodziny, i nagle dopada mnie poczucie winy, że tak się tym pysznię.
- Teraz wszyscy jesteśmy rodziną.
- Rodziną. My wszyscy. Ładnie to brzmi. Rodzina... - Uśmiecha się kącikami ust.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Na pewno nie możesz wziąć wolnego? - pyta mama, kiedy siadamy do śniadania.

Niedziele są u nas zazwyczaj leniwe. Każdy przychodzi do kuchni, kiedy chce, śpimy tak długo, jak chcemy. Dziewczynki są na nogach od godziny. Dostały już swoje porcje płatków śniadaniowych i tostów, a teraz siedzą w salonie. Hannah ogląda telewizję, natomiast Chloe bawi się zestawem kuchennym. Nie jestem z tych, którzy upierają się, że dziecko powinno od samego rana robić konstruktywne rzeczy.

- Przepraszam, mamo, naprawdę nie mogę - mówię, smarując tosta marmoladą^[1]. - W przyszłym miesiącu idziemy do sądu z dużą sprawą. To dla nas bardzo ważne, więc nie mogę sobie pozwolić na wolne. Za to dzisiaj spędzimy dzień wszyscy razem, na przykład możemy pojechać do Brighton. Pokażemy Alice okolicę. - Nalewam sobie herbaty.

- Dobry pomysł. Odwiedzimy miejsca, w które zabierałam was, kiedy byłyście małe. Może to odświeży pamięć Alice. Pójdziemy na plażę i molo, pospacerujemy uliczkami miasta, zjemy rybę z frytkami i lody. Dziewczynki też będą się dobrze bawić - rozpogadza się mama.

Uśmiecham się, a ona sięga po moją dłoń i kładzie ją sobie na ramieniu.

- Mamo, brzmi nieźle, ale... Zupełnie jakbyś nie brała pod uwagę, że kiedy Alice z nami mieszkała, była tak mała, że może niczego nie pamiętać.

- Wiem, wiem. - Poklepuje mnie po rękę.

- Nie chcę, żebyś czuła się rozczarowana i naciskała na innych.

- Widzę, że trafiłem do kuchni o idealnej porze. - Dołącza do nas Luke. - Dzień dobry wszystkim! - Upačkaną farbami rękę podkrada mi tosta. Mieszanka niebieskiego, zielonego i żółci sprawia, że wygląda, jakby miał siniaki. Widocznie znowu całą noc pracował nad zleceniem. - Jak się czujesz? - Daje mi całusa w czoło.

- Dobrze, dziękuję. Jak idzie malowanie? - pytam, gdy podchodzi do czajnika.

- Chce ktoś filiżankę herbaty? Marion?

- Nie, dzięki, ale wyjmij filiżankę dla Alice. Na pewno niedługo się obudzi.

- Malowanie idzie mi świetnie, kochanie. Co dzisiaj robimy? - Siada przy mnie.

- Myślmy o wycieczce do Brighton. Chcemy pokazać Alice miasteczko. Pojedziesz z nami, czy masz za dużo pracy?

- Na razie mam dość, chętnie pojadę z wami. Muszę zrobić sobie przerwę i odetchnąć świeżym morskim powietrzem. No i miło będzie spędzić razem trochę czasu.

Alice schodzi na dół niewiele później. Na jej widok wymieniamy z Lukiem

dyskretne spojrzenia. Siostra ma na sobie kusą koszulkę, która moim zdaniem mogłaby być trochę dłuższa. Ma świetne nogi, jak na Amerykankę przystało, długie i opalone, więc może sobie na to pozwolić. Ja też mam długie nogi, ale są białe jak mleko.

Gdy Alice nachyla się, żeby pocałować mamę w policzek, koszulka podwija się do góry. Luke odwraca wzrok i dosypuje sobie kolejną łyżeczkę cukru do herbaty, żeby zająć się czymś innym.

- Dzień dobry - mówi siostra, prostując się. Odgarnia do tyłu włosy, które po chwili z powrotem opadają na twarz.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś? Nie było ci za gorąco? Materac wygodny?

- Dobrze spałam, muszę tylko przywyknąć do zmiany czasu. - Uśmiecha się do mamy.

- Usiądź, proszę. - Mama wskazuje jej krzesło. - Co zjesz na śniadanie? Mamy tosty, płatki śniadaniowe, słodkie bułeczki. Clare, będziesz tak dobra i zaparzysz kawę? Wolisz kawę czy herbatę?

- Poproszę kawę. Dziękuję, Clare, to miłe z twojej strony.

- Nie ma problemu. - Odkładam niedojedzonego tosta na talerz, ignorując złośliwy uśmiezek kochanego mężulka.

- Chętnie zjem tosty. Pewnie nie macie masła orzechowego i dżemu? - pyta Alice.

- Chyba mamy jeszcze trochę dżemu - mówię, buszując po szafkach. - O jest! Proszę.

Alice bierze ode mnie słoiczek, odkręca pokrywkę i zagląda do środka. Po chwili podnosi wzrok i marszcząc nos, stwierdza:

- Może innym razem. Tu już prawie nic nie ma.

Dziwi mnie, że jest taka wybredna, ale nie komentuję tego.

- Mamy też marmite^[2]. - Zabieram się za parzenie kawy.

- Marmite? - pyta zdziwiona Alice.

- Nawet nie próbuj - ostrzega Luke. - Jest jeszcze marmolada. Istnieje większa szansa, że ci posmakuje.

- Luke, a może kupisz masło orzechowe i dżem w sklepie on-line? - proponuje mama, kiedy wracam do stołu z kawą dla siostry.

- Jestem pewna, że Alice znajdzie coś dla siebie w naszej lodówce. - Nie widzę potrzeby, żeby Luke ruszał na łowy, by zdobyć ulubione potrawy naszej Amerykanki. Zawsze stara się być miły dla mamy, a ona to wykorzystuje. Wracam do szafki i wyjmuję z niej wszystkie słoiki po kolei. Głośny brzęk zdradza moją irytację.

- Marmolada, nutella, miód... - wyliczam.

- No to może miód... - rzuca Alice, ukradkiem spoglądając na Luke'a.

- To miód od tutejszych pszczół. - Podaje jej słoik, po czym odwraca się i patrzy na mnie karcąco.

Wzruszam ramionami, chociaż trochę mi wstyd, że moja frustracja została przez wszystkich zauważona.

Na szczęście po chwili mama zaczyna opowiadać o naszych planach na ten dzień, a ja wraz z resztkami tosta przełykam rozdrażnienie i dołączam do rozmowy.

Siostra cieszy się, że pojedziemy wszyscy razem.

- To będzie nasze pierwsze rodzinne wyjście. Takie prawdziwe. To znaczy takie, które będę pamiętać.

- Nawet nie wiesz, jak długo czekałam na ten dzień - mówi mama.

- Ja też - odpowiada Alice.

Jak na środek października dzień jest zaskakująco ciepły, a bryza łagodna. Maszerujemy wzdłuż wybrzeża w Brighton. Luke pcha wózek Chloe, a Hannah w podskokach idzie obok niego. Ja, Alice i mama podążamy za nimi, trzymając się pod ramię.

- Może pamiętasz, że byłaś tu już kiedyś? - pyta mama.

- Niestety nie. - Alice robi kwaśną minę.

- A molo? Kiedyś często tu bywałyśmy. Kupowałyśmy lody, a potem biegałyśmy tam i z powrotem, patrząc na morze pod nami - wspominam, kiedy podchodzimy bliżej.

- Często zabierałam was do parku rozrywki na końcu mola. Byłyście trochę za małe, ale Clare i tak zawsze udało się wepchnąć na większość atrakcji. A my patrzyłyśmy na nią z daleka.

- Przykro mi, ale byłam za mała, żeby to pamiętać.

Idziemy w kierunku mola, podziwiając widoki. Kamienista plaża o tej porze roku świeci pustkami, a na falach migocze chłodne, jesienne światło.

Hannah podbiega do nas, a Luke czeka, aż go dogonimy.

- Mamo, mamo! Tatuś zabierze mnie do wielkiego oka! - krzyczy podekscytowana.

Niedaleko za mołem stoi Brighton i360. Jest to szklana kapsuła, która wjeżdża i zjeżdża po niemal stu pięćdziesięciometrowym słupie, oferując panoramę rozległą na trzysta sześćdziesiąt stopni. Przynajmniej tak słyszałam. Mam lęk wysokości i kiedy raz poszliśmy tam z Lukiem, niemal cały czas miałam zamknięte oczy.

- Naprawdę? Mogę pojechać z wami? - pyta Alice.

Hannah patrzy na mnie pytająco, czekając na moją odpowiedź.

- Byłoby miło, gdyby Alice pojechała z tobą i tatą, prawda? - Puszczam mamę i przejmuję od Luke'a wózek, kiedy tylko udaje nam się go dogonić. - Mamo, a ty chcesz się przejechać?

- Czemu nie? Jeszcze nigdy tam nie byłam.

Wchodzą przez dwuskrzydłowe drzwi i znikają w szklanej gondoli. Przypomina mi to scenę z filmu Stephena Spielberga *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*. Moja rodzina została właśnie porwana przez kosmitów. Kiedy znów znajdą się na Ziemi, nie będą już tacy sami.

Czekając, aż wrócą, kupuję lody, które jem na spółkę z Chloe. Siedzimy na ławce, słońce wisi nisko na niebie. Tak ustawiam wózek córki, żeby osłonić ją od wiatru. Przejażdżka zajmuje około dwudziestu minut. Kiedy gondola

rusza na dół, podchodzę do drzwi.

Mama i Hannah jako pierwsze wyłaniają się z tłumu, trzymając się za ręce. Nie jestem pewna, kto komu pomaga zejść ze schodków. Kiedy Hannah dostrzega mnie, uśmiecha się szeroko.

- Było super, mamó! - krzyczy, pokonując ostatni stopień.

Za nimi idą Luke i Alice. Również uśmiechają się do mnie. Wygląda na to, że przejażdżka była wielkim sukcesem. Kiedy siostra lekko potyka się na schodach, wstrzymuję oddech. To instynkt macierzyński, tłumaczę sobie, bo od razu wyobrażam sobie, że moja mała Alice się przewraca. Na szczęście chwytą się Luke'a i nie upada.

Schodząc po schodach, trzymają się pod ramię, i tak jest nadal, kiedy są już na ziemi. Alice szepcze mi coś do ucha i zaczynają się śmiać.

Nigdy nie byłam zazdrośnicą... a może po prostu nie miałam powodów, żeby nią być? Na ten widok jednak zaczyna skręcać mnie w żołądku, a na sercu robi się ciężko. Budzą się we mnie pierwotne instynkty, choć nie do końca wiem, dlaczego tak się dzieje. Czy przez to, że Alice w taki właśnie sposób patrzy na Luke'a? Zachowują się, jakby trzymanie się pod ramię było dla nich czymś zupełnie naturalnym. Cokolwiek to jest, nie podoba mi się. Siostra spogląda na mnie i czuję, że odruchowo zaczynam się uśmiechać, ale w środku zamieniam się w Niesamowitego Hulka.

Alice odwzajemnia uśmiech, puszcza Luke'a i podchodzi do mnie.

- To było niesamowite, Clare! - entuzjazmuje się. - Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Szkoda, że nie poszłaś z nami.

- Byłam tam kiedyś z Lukiem. - Ustawiam wózek przodem do kierunku jazdy. - Weźmiesz ją? - pytam go, bo wiem, że Chloe lubi, kiedy on ją prowadzi.

Jakby odruchowo biorę Alice pod ramię i pod wiatr ruszamy wzdłuż wybrzeża. Siostra odgarnia włosy z twarzy i wzdryga się z zimna.

- Bardzo mi się tu podoba, ale to jednak nie Floryda - komentuje.

- Och, jest ciepłutko jak na środek października, przynajmniej według brytyjskich standardów - mówię wesoło. - Będziesz musiała się przyzwyczaić.

- Powinam zabrać więcej ciepłych ubrań.

- Nie przejmuj się, pożyczę ci kilka swetrów. Na moje oko nosimy ten sam rozmiar.

- Jak bliźniaczki - stwierdza Alice.

- Kiedy byłaś mała, ciągle chciałaś pożyczać moje ubrania. - Znowu przypomina mi się sytuacja z grzybami. - Pamiętasz, jak urządziłyśmy piknik dla naszych pluszaków w ogródku? Miałaś wtedy na sobie moją koszulkę w biało-różowe paski. A potem się rozchorowałaś.

- Pamiętam! - mówi Alice. - Twoja koszulka była za duża, wyglądała na mnie jak sukienka.

- Dlatego założyłam ci pasek. Resztki twoich wymiotów utknęły w sprzączce. To było ohydne.

- Zjadłam za dużo słodczy.

- Nie, to przez grzyby! Zjadłaś grzyby, które nazbierałam.
- Naprawdę? Przepraszam, ale nie pamiętam. To było tak dawno temu.
- Od tamtej pory nie chciałaś jeść grzybów, a mama nie miała pojęcia dlaczego. Myślała, że zatrzymała się borówkami.

Robię wszystko, żeby Alice sobie przypomniła. To dla mnie jedno z najważniejszych wspomnień z dzieciństwa. I nasz wspólny sekret.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - naciskam. - A teraz jadasz grzyby?

Łapię się na tym, że w głębi duszy bardzo chcę, żeby okazało się, że Alice nie cierpi grzybów. Nawet jeśli nie pamięta tamtych wydarzeń, elementy układanki złożyłyby się w całość.

- Nie chcę cię rozczarować, ale bardzo lubię grzyby. Nie zadreńczaj się tym, Clare. Najwyraźniej tamten wypadek nie odcisnął piętna na mojej psychice. A na dowód tego, że nie mam ci za złe, odkupię ci tę koszulkę. - Rozbawiona ściska mnie mocno.

Normalnie wydawałoby mi się to naturalnym gestem pomiędzy siostrami, ale tym razem czuję się nieswojo. Jakby Alice przekraczała moje granice.

Przez resztę spaceru zastanawiam się, jak to możliwe, że mimo tak wielu wspólnych doświadczeń zupełnie co innego pamiętamy z przeszłości. Liczyłam na to, że będziemy mieć chociaż jedno czy dwa wspólne wspomnienia, na bazie których odbudujemy naszą siostrzaną więź. Jest mi przykro, że jak dotąd ich nie znalazłyśmy. Owszem, chociaż sama tłumaczyłam mamie, że Alice była za mała, żeby wszystko pamiętać, nie mogę przestać się nad tym zastanawiać. Czy ona w ogóle cokolwiek pamięta? Chyba powinna, prawda?

Wieczorem wskakuję do łóżka obok Luke'a.

- To był wspaniały dzień - oznajmiam, chociaż wciąż jeszcze pamiętam zielonego potwora, który się we mnie obudził.

Luke przez chwilę się kokosi, po czym przytula mnie i pyta:

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście - potwierdzam z naciskiem, chociaż wiem, że mi nie uwierzy.

Zna mnie na wylot i potrafi określić mój nastrój w kilka sekund po tym, jak wejdem do pokoju. I vice versa. No cóż, wspólne lata robią swoje.

- Cieszysz się z przyjazdu Alice? - pyta.

- Tak. Wszystko będzie dobrze, chociaż początki zawsze są trudne - zdobywam się na odwagę, by to wyznać.

- Co masz na myśli?

- Sama nie wiem... - Wzdycham ciężko. - Po prostu jest trochę dziwnie, nie tak, jak sobie wyobrażałam.

- A jak to sobie wyobrażałaś?

- Że będziemy mieć ze sobą więcej wspólnego, że odrodzi się więź. Niby to Alice, moja siostra, ale jakoś tego nie czuję.

- Daj sobie trochę czasu, nie analizuj każdego jej ruchu. Przecież wiesz,

jaka jesteś. Jej na pewno też nie jest łatwo. Daj jej szansę.

- Hm... - Unoszę brwi ze zdziwienia. - Wygląda na to, że już ją polubiłeś. Czy tak?

Trafiony. Cisnęłam w Luke'a jadem zazdrości. Nawet nie wiedziałam, że to potrafię, ale okazało się, że jak najbardziej. I nie mogłam się powstrzymać.

- To miła dziewczyna. Widocznie to u was rodzinne.

Przewraca się na plecy, a ja opieram się na łokciu i pytam:

- Miła? Co masz na myśli? W jaki sposób „miła”?

- Chyba nie jesteś zazdrosna? - Patrzy na mnie kątem oka, jest wyraźnie rozbawiony.

- Ja? Zazdrosna? Skąd ten pomysł?

Uśmiecha się, po czym odwraca mnie na plecy i obejmuje mocno całym sobą. Całuje mnie i dodaje:

- Nie martw się, kochanie. Przecież wiesz, że tylko ty się dla mnie liczysz.

- Nie jestem zazdrosna.

- A mnie się wydaje, że panienka kaprysi - podkpiwa, po czym obsypuje mnie lawiną pocałunków, uniemożliwiając dalszy sprzeciw.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co byś powiedziała na panini i szklanę wina? - proponuje Tom, zaglądając do mojego biura przez uchylone drzwi. Większość tygodnia spędził w sądzie i dopiero teraz mamy okazję porozmawiać.

- Sama nie wiem... - Waham się, patrząc na długą kolumnę nieprzeczytanych mejli.

To był ciężki tydzień. Zaczęło się już w poniedziałek, kiedy Leonard zaczął wiercić mi dziurę w brzuchu w związku ze sprawą McMillana. Czasami czuję się, jakbym wciąż była jego pracownicą, a nie partnerką, chociaż oczywiście nie wygarnęłam mu tego. Łatwiej i prościej było odpowiedzieć na jego pytania, niż wdawać się w kłótnie. Już raz popełniłam ten błąd, chociaż wtedy nawet dla niego nie pracowałam. To było jeszcze w czasach studenckich. Spoczęłam nieco na laurach, bo byłam zbyt skupiona na szukaniu Alice. Leonard na początku mi pomagał, ale nie przeszkodziło mu to w wyrażeniu opinii, że jego zdaniem moje oceny nie powinny uciepować kosztem poszukiwań.

- Daj się wyciągnąć, przerwa dobrze ci zrobi - nie odpuszcza Tom. - Możemy kupić kanapki i zjeść w parku, jeśli wolisz. Opowiem ci, jak zmiażdżyłem w tym tygodniu obronę. - Strzepuje z marynarki pyłek, jakby odsyłał w nicość wyimaginowanych wrogów.

Zaczynam mu ulegać. Jest piękny dzień. Niedługo na dobre rozhula się zima i nie będzie już można rozkoszować się popołudniowymi przerwami w pobliskim parku.

- Właściwie czemu nie? - Zarzucam torbę na ramię. - Park brzmi naprawdę nieźle.

- Jeśli będziemy cicho, Leonard nas nie zauważy - szepcze Tom i lekko wypychając mnie za drzwi, wdraża w życie swój przebiegły plan. Czuję się jak dziecko grające w podchody i nie mogę powstrzymać chichotu.

Zamawiamy panini z bekonem i serem brie oraz kawę. W parku jest ciszej niż w weekendy. Znajdujemy wolne miejsce na ławce przy fontannie. Basen został niedawno wypiaszkowany, a niebieskie dno wyczyszczone. Na wodzie, niczym małe łódeczki, pływają żółto-brązowe liście, które spadły z otaczających zbiornik drzew. Na środku fontanny stoi rzeźba z czymś, co przypomina ni to ryby, ni to syreny. Z ich ust płynie woda. Kiedy byliśmy tu z dziewczynkami, Luke narzekał, że fontanna jest ohydna. Moim zdaniem nie jest taka zła, ale może dlatego, że nie mam takiego oka do sztuki jak on.

- Gratuluję wygranej sprawy - mówię.

- Dzięki. Na początku bałam się, że nie zdołam złamać świadka, ale na szczęście odrobiłem pracę domową i udało mi się podważyć wiarygodność tej kobiety. Kiedy sędzia dowiedział się, że miała na koncie

krzywoprzysięstwo, było po sprawie.

- Cieszę się, że nigdy nie będę musiała występować w sądzie przeciwko tobie. Leonard na pewno się ucieszył.

- Tak, chociaż oczywiście sobie przypisał zwycięstwo i ciągle podkreślał, że to on mnie wszystkiego nauczył.

- Po prostu cały Leonard. A jak ci minął weekend? Opiekowałaś się Lottie?

- Nie, będzie u mnie dopiero w przyszłym tygodniu. Miałem cichy i spokojny weekend. A ty? Jak ci się układa z Alice? - Kładzie rękę na oparciu ławki.

Wiedziałam, że o to zapyta. Pewnie właśnie po to zaprosił mnie na lunch.

- Dobrze. Wszystko w porządku - odpowiadam.

- Tylko tyle? Nie powiesz nic więcej poza tym, że wszystko w porządku?

- Tak to wygląda. - Wzruszam ramionami. - Mama jest wniebowzięta, wygląda na to, że dziewczynki i Luke też ją lubią. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Wyglądasz na przytłoczoną tym wszystkim. Myślałem, że będziesz skakała z radości. - Leciutko pociąga mnie za włosy i dodaje: - Nie wciskaj mi kitu, Clare. Zbyt dobrze cię znam, żeby dać się nabrać. O co chodzi?

Opieram głowę o jego rękę i zamykam na chwilę oczy. Nadal nie potrafię przeanalizować emocji i uczuć związanych z Alice. Otwieram oczy i patrzę na Toma, który uśmiecha się do mnie z sympatią. Wzdycham głęboko i wyrzucam z siebie prawdę:

- No dobrze, mówiąc szczerze, nie wiem, jak mam się z tym wszystkim czuć. I wcale nie jest dobrze. Mam mętlik w głowie. Czuję mnóstwo rzeczy, ale przede wszystkim... Tylko ani mi się waży komukolwiek to powtarzać... - Czekam, aż Tom złoży obietnicę. Kontynuuję dopiero po tym, gdy uniósł w górę dwa palce i wyszeptał „Przyrzekam”. - Przez większość czasu czuję rozczarowanie. Nie jestem tak podekscytowana tym wszystkim, jak myślałam. Czuję się... jak by to nazwać... rozkapryszona, wydelikaccona i marudna. A przecież nie powinno tak być, prawda?

- Dotarłaś do punktu kulminacyjnego. Przez długie lata czułaś na zmianę ekscytację, entuzjazm, frustrację, smutek i rezygnację z powodu nieudanych poszukiwań.

Tom ma rację. Musiałam radzić sobie z tymi i z masą innych emocji.

- Teraz, kiedy wreszcie udało ci się znaleźć Alice, a raczej kiedy ona znalazła ciebie, wszystkie te emocje zniknęły, a ty zostałaś z... miłością? Raczej nie. Może kochasz małą Alice, tę ze swoich wspomnień, ale teraz musisz stawić czoło dorosłej Alice. Te dwie osoby są od siebie oddalone o miliony lat świetlnych. A ty po prostu nie wiesz, co masz czuć. Euforia, która przyszła wraz z jej pierwszym listem, minęła. Miałaś już swoje szczęśliwe zakończenie, a teraz przyszedł czas na budowanie relacji od zera. To będzie długa i wyboista droga. Trudno kochać kogoś, kto tak naprawdę jest dla nas kimś obcym.

- Mówisz jak ktoś, kto dobrze się na tym zna - komentuję.

- Wygląda na to, że trochę tak jest - odpowiada Tom, bawiąc się

kosmykiem moich włosów.

- Wyobrażałam sobie, że to będzie miłość od pierwszego wejrzenia. Myślałam, że nasza więź jest tak silna, że dwadzieścia lat rozłąki nic tu nie zmieni. Ale rzeczywistość nie jest tak piękna jak w filmach czy książkach. Jest stresująca i męcząca.

Wlepiam wzrok w ziemię. Chcę powiedzieć Tomowi, co mnie trapi najbardziej, choć jednocześnie nie jestem jeszcze gotowa, żeby mówić o tym na głos. Z drugiej strony tylko on jeden naprawdę mnie rozumie. Decyduję się zwierzyć. Mogę mu zaufać.

- Wiem, że zabrzmiało tak, jakbym była wariatką, ale w ostatni weekend...

- Milknę i znowu zastanawiam się nad tym, czy mówić dalej, czy odpuścić.

- Co się stało? - zachęca mnie Tom.

- Alice dopiero co przyjechała, a ja już miałam na jej temat złe myśli. A może nawet nie myśli, tylko... uczucia.

- Co przez to rozumiesz?

Zaczynam żałować, że w ogóle podjęłam ten temat. Tom nie odpuści, dopóki nie wyłożę kawy na ławę.

- Poczułam... Sama nie wiem... Zazdrość? Nawet zwykłe drobiazgi mnie irytowały. Na przykład to, że mama wokół niej skacze. Przy śniadaniu, kiedy Alice zażyczyła sobie masło orzechowe i dżem, powiedziałam, że mamy tylko marmoladę, ale to jej nie pasowało. Mama od razu chciała wysłać Luke'a do sklepu, żeby spełnił jej zachcianki! A w niedzielę poszli z Lukiem na wieżę widokową i kiedy zjechali na dół, Alice wisiała na nim, jakby był jej chłopakiem. I wiesz co? Kiedy Hannah nie chciała przybić jej piątki, poczułam, jakby to było moje zwycięstwo, i w głębi duszy jej kibicowałam.

- No nieźle! - Tom wybucha śmiechem. - Coś mi się zdaje, że ludzie nazywają to zazdrością.

- Wiem! Co jest ze mną nie tak?

- Ufasz Luke'owi, prawda? - pyta poważnym tonem.

- Oczywiście, że mu ufam - odpowiadam bez wahania. - Luke mnie kocha i dobrze o tym wiem. Nigdy nie zrobił nic, co mogłoby podważyć moje zaufanie do niego, podać w wątpliwość jego wierność.

- Rozumiem. Chodzi mi tylko o to, że mężczyznom w pewnym wieku łatwo zawrócić w głowie. - Dopija kawę. - Prowadziłem wiele rozwodów, do których dochodziło, bo stary facet zakochał się w młódce.

- Luke nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił. Nie wiem, dlaczego w ogóle zacząłeś ten temat.

- O ile dobrze pamiętam, sama go zaczęłaś. Ale oczywiście ty lepiej znasz swojego męża. Nie będę ci mówił, co masz robić, ani sugerował, do czego on jest zdolny. Pewnie oboje doszukujemy się drugiego dna. Skrzywienie zawodowe. - Bierze ode mnie papier po kanapce, wstaje i celuje do kosza na śmieci. - Poradzisz sobie, Clare, tylko nie bądź dla siebie zbyt surowa. Ani dla Alice. A teraz chodźmy, zanim Leonard wysłę za nami list gończy.

Doganiem go i ruszamy przez park.

- Jestem zmęczona, emocjonalnie wyczerpana, ale przecież wszystko jakoś

się ułoży. Pewnie przesadzam z tym narzekaniem. - Wrzucam do kosza kubek po kawie. - Kiedy do nas wpadniesz, żeby ją poznać?

- No nie wiem. Może to nie jest dobry pomysł? - droczy się ze mną Tom.

- Uspokój się, oczywiście, że to dobry pomysł. Wpadnijcie z Lottie w sobotę. Hannah bardzo się już za nią stęskniła. Pobawią się razem w ogrodzie. A ty po tych wszystkich latach, podczas których wspierałeś mnie w poszukiwaniach, po prostu musisz poznać Alice, innej opcji nie ma. Będzie też Leonard.

- Może...

- Nie „może”, tylko „na pewno”. Przecież nie będziesz nikomu przeszkadzał. Bardzo bym chciała, żebyś przyszedł. Naprawdę. Proszę... - Z jakiegoś powodu nagle bardzo mi zależy, żeby Tom poznał Alice.

- Dobrze, przyjdę - odpowiada bez entuzjazmu.

- Świetnie! Tylko mnie nie zawieź!

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem, Clare?

Kiedy wracam do domu, postanawiam mniej się stresować. Muszę skupić się na szczęściu, które poczułam, kiedy Alice do nas napisała. Za powód swego niepokoju równie dobrze mogę uznać napięcie związane ze sprawą McMillana, nie zaś przyjazd siostry.

Słyszę piknięcie telefonu, spoglądam na ekran i klnę jak szewc. Cholerne zebranie zarządu! Zupełnie o nim zapomniałam. Nie mogę się wymigać. Jestem członkiem podkomitetu, który pilotuje wniosek do władz o ograniczenie możliwości parkowania w okolicy szkoły, a także walczy o dobudowanie nowych pasów ruchu, dzięki czemu droga stanie się bezpieczniejsza dla dzieci. Poza tym wolę tam iść niż później dowiadywać się, co ustalono.

Sprawdzam godzinę. Nie opłaca mi się już jechać do domu, lepiej od razu pojechać na zebranie. Szkoła Hannah jest w Budlington, ale w związku z dynamicznym rozwojem budownictwa mieszkaniowego okoliczne miasteczka zlały się niemal w jedno z naszym małym Little Dray. Niestety łącząca je wąska droga na odcinku stu metrów jest ziemią niczyją. Kiedy w zeszłym roku zamknięto szkołę w Little Dray, wszystkie dzieci musiały przenieść się do podstawówki w Budlington, co mocno odbiło się na infrastrukturze miasta. Nie była przygotowana na dwie lawiny samochodów dziennie, kiedy rodzice zostawiają i odbierają swoje pociechy. Dżipy z napędem na cztery koła i minivany zalewają miasto jak stado wygłodniałych rybitw. Przybywają tłumnie, czekają na swoją kolej i nurkują na mały podjazd przed budynkiem. Potem zwalniają miejsce następnym. Ci, którzy mieszkają w pobliżu, muszą być co najmniej niezadowoleni. Wzdycham ciężko i przygotowuję się psychicznie na spotkanie. Parkuję przed szkołą i przed wyjściem z samochodu wysyłam Luke'owi SMS-a:

Mam jeszcze zebranie w szkole, przepraszam. Postaram się wrócić najszybciej, jak się da. XX

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

Rozumiem, kochanie. Do zobaczenia później.

Na końcu wiadomości jest jeszcze smutny emotikon.

Gdybym wierzyła w siłę modłów, ułożyłabym krótkie podziękowania za to, że mam tak wyrozumiałego męża, dzięki któremu nie dopadają mnie jeszcze większe wyrzuty sumienia niż te, z którymi już muszę się zmagać. Za rok będę mogła zrezygnować z członkostwa w zarządzie. Przyjęłam tę „godność” dla dobra szkoły, bo bardzo potrzebowali porad prawnych. Oczywiście w tej sytuacji zgodziłam się udzielać ich za darmo, jednak zanim zdążyłam się zorientować, weszli mi na głowę.

Kiedy idę przez park, spotykam moją przyjaciółkę Pippę Stent.

- Cześć, co u ciebie? - pytam.

- Nieźle, chociaż na dzisiaj mam jeszcze milion rzeczy do zrobienia. Dlaczego zebrania zawsze wypadają w dni, kiedy mam masę roboty, Baz jest w delegacji, a moja mama akurat umówiła się na kolejną randkę?

- Masz rację, tak zwykle się dzieje. A skoro już o tym mówisz, jak tam życie miłosne twojej mamy?

- Nawet nie pytaj. - Przewraca oczami. - Na portalach randkowych powinna być jakaś granica wieku. Ci ludzie są niemożliwi! Nie wiem, jak to jest być starowinką, ale mam wrażenie, że moja mama zamieniła się z powrotem w nastolatkę. - Gdy przestajemy się śmiać, Pippa dodaje: - Szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałam o dzisiejszym zebraniu.

- Ja też, ale akurat mamy w domu prawdziwy kot.

- No tak! Jak się dogadujecie z gościem? Przepraszam, chciałam powiedzieć: z siostrą.

Na jej pomyłkę odpowiadam machnięciem ręki, mówiąc przy tym:

- Dobrze, wszystko w porządku.

- Wybacz, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. - Pippa spogląda na mnie podejrzliwie.

- No wiesz... - Przez chwilę waham się, czy być z nią szczerą. - Nie jest łatwo. Prawdę mówiąc, jest trochę dziwnie. To tak, jakbyś miała w domu obcą osobę, a mimo to zachowujesz się, jakbyście znali się całe życie... - Dostrzegam zbliżającego się ku nam Michaela, również członka zarządu.

Pippa podąża za mną wzrokiem, po czym proponuje:

- Może wpadniesz do mnie na kawę w wolnej chwili? Wreszcie dłużej sobie pogadamy. - Przyjacielsko poklepuje mnie po ramieniu i zwraca się do Michaela: - Cześć, co słychać? - pyta i wchodzimy do środka.

Zebranie przeciąga się w nieskończoność i gdyby nie to, że należę do komisji, która zajmuje się parkowaniem, bezpieczną jazdą i poszerzeniem drogi, uciekłabym stamtąd z piskiem opon niczym kierowca Formuły 1. Jednak zmuszam się do powolnej jazdy, choć tylko do czasu, bo gdy znikam za rogami, natychmiast dodaję gazu i pędzę do domu. Droga z Budlington do Little Dray jest wąska i kręta, w dodatku nie ma chodnika, czyli piesi i kierowcy nie mają tu lekko. Kiedy jest ciemno, robi się jeszcze gorzej, więc oddycham z ulgą, kiedy za ostatnim zakrętem rozbłyskują światła Little Dray. Mijam aktywowany na fotokomórkę znak drogowy wskazujący

dopuszczalną prędkość na terenie zabudowanym (pięćdziesiąt kilometrów na godzinę) na zmianę ze słowem „Zwolnij”. Dostosowuję się. Nie chcę dostać mandatu. Byłoby to co najmniej ironiczne.

W końcu udaje mi się dotrzeć do domu. Resztką sił przeciskam się przez drzwi z aktówką pełną papierów. Z kuchni dobiega mnie śmiech Hannah. Cieszę się, że Luke pozwolił jej się nie kłaść, dopóki nie wrócę.

- Cześć, kochanie. - Luke wita mnie pocałunkiem. - Niestety Chloe właśnie zasnęła. Była już wyczerpana, więc musiałem ją położyć.

- Jaka szkoda! - Dopada mnie poczucie winy. - Zebranie ciągnęło się w nieskończoność, a ja zupełnie o nim zapomniałam. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zrezygnuję z tej funkcji.

Odstawiam aktówkę i zdejmuję zakiet, a Luke bierze go ode mnie i wieszka na wieszaku.

- Nie zadręczaj się, dopóki jedno z nas kładzie ją spać, wszystko jest w porządku. Naprawdę nie sędzę, żeby musiała przez to w przyszłości chodzić na psychoterapię - żartuje.

Próbując zagłuszyć poczucie winy, zmieniam temat:

- A Hannah? Wszystko w porządku?

- Tak. Jest w kuchni z mamą i Alice. Chciałbym dzisiaj popracować. Nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Nie, skądże. Pracuj, dopóki masz wenę. Chociaż byłoby nieźle, gdybyś w pewnym momencie przyszedł do mnie. Nasze łóżko jest za duże dla jednej osoby.

- Spróbuj mnie powstrzymać. - Daje mi całusa i odchodzi korytarzem. Słyszę, że zatrzymuje się przy kuchni i żegna się z Hannah, po czym rusza do pracowni.

Zdejmuję buty, upewniam się, że nie dostałam już żadnego powiadomienia ani mejla, po czym wyłączam telefon. Koniec pracy na dziś. Z kuchni dobiega mnie zaraźliwy chichot córki. Uśmiecham się pod nosem i schodzę na dół, żeby przyłączyć się do zabawy.

Kiedy wchodzę do kuchni, mój zarezerwowany tylko dla Hannah uśmiech znika błyskawicznie. Córka siedzi w jadalni plecami do mnie, Alice jest tuż przy niej. Pochylają się nad stołem i śmieją z czegoś, czego nie dosłyszałam.

- Cześć - mówię ciepło, stając w drzwiach.

Jednak nie zwracają na mnie uwagi, zgarbione nad czymś, co Hannah trzyma na kolanach. Na stole stoi kilka lakierów do paznokci, w powietrzu unosi się zapach acetonu. Alice podnosi wzrok, kiedy wchodzę do pomieszczenia.

- Cześć, Clare. Co słychać? Jak ci minął dzień?

Hannah odwraca się do mnie przez ramię.

- Alice maluje mi paznokcie! - Cała promienieje z radości i ekscytacji, zaraz jednak dodaje pewną już powagą: - Chciałam mieć takie ładne paznokcie jak Alice.

- Przecież wiesz, co sędzę na temat makijażu i lakierów do paznokci. Idziesz jutro do szkoły. Będziesz musiała je zmyć - wylewa się ze mnie

mimowolnie i mam ochotę sama kopnąć się w kostkę za to, że jestem taką drętwuską.

- Przecież to tylko lakier do paznokci - rzuca Alice rozbawionym tonem, jakim zazwyczaj tłumaczy się dzieciom, że pod łóżkiem nie mieszkają potwory.

- Takie zasady panują w szkole, o czym dobrze wiesz, Hannah - dodają, chociaż wiem, że mówię jak zrzędliva nauczycielka. Dlaczego wyładowuję złość na córce? Przecież tak naprawdę jestem zła na Alice, choć też bezpodstawnie. Skąd miałyby wiedzieć, jak funkcjonują tutejsze szkoły?

Hannah markotnieje i zabiera rękę.

- Masz zmywacz do paznokci? - pytam. - Bo ja nie mam. Nie używam lakierów.

- Tak, oczywiście. Jest tutaj. - Alice macha plastikową buteleczką, której wcześniej nie zauważyłam. - A może wstaniemy trochę wcześniej i rano zmyjemy lakier? Bardzo mi przykro, to wszystko moja wina. Nie miałam pojęcia o rygorach w szkole Hannah. Przepraszam, Clare - mówi, przygryzając wargę.

Córka popatruje na mnie kątem oka, bojąc się spojrzeć mi w oczy. Czuję mocne ukłucie winy i wstydu. Przecież nic się nie stanie, jeśli przez jedną noc będzie miała pomalowane paznokcie. Hannah nie powinna była na to pozwolić, ale jak widać, przegrała walkę z pokusą... Na Boga, przecież ona ma tylko siedem lat! Jeśli ktoś tu jest winny, to tylko ja.

Uśmiecham się, podchodzę do córki i przytulam ją.

- Przepraszam, że się zdenerwowałam. Możesz zostawić lakier na noc. Alice albo ja zmyjemy go rano, zanim pójdziesz do szkoły. - Całuję ją w czoło, a ona odpowiada szerokim uśmiechem.

- Jeszcze raz przepraszam - dołącza się do chóru przeprosin Alice.

Dopiero wtedy zauważam, w co jest ubrana. Ma na sobie różową koszulkę z białym napisem „New York”.

- Mam identyczną koszulkę - mówię. - Co za zbieg okoliczności!

Zza pleców słyszę śmiech mamy, która musiała właśnie wejść do kuchni i usłyszeć naszą rozmowę. Alice również zaczyna chichotać i wymienia z mamą porozumiewawcze spojrzenia, po czym pyta:

- Ty jej powiesz czy ja mam to zrobić?

- Co chcecie mi powiedzieć? - Spoglądam na mamę.

- Clare, jesteś zabawna. Koszulka wygląda dokładnie jak twoja, bo jest twoja!

Mama, Alice i Hannah chichoczą.

- Aha... - Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić. Ten żart wcale mnie nie śmieszy. Alice pewnie myśli, że jestem żałosna. Najpierw robię awanturę z powodu lakieru do paznokci, a teraz nie potrafię się śmiać z afery koszulkowej.

- Oblałam sobie bluzkę. Wzięłam tylko jeden różowy top. Miałyśmy z mamą wychodzić i nie chciałam cała się przebierać, a potrzebowałam czegoś, co będzie pasowało do białych džinsów. Mama powiedziała, że mogę

pożyczyć twoją koszulkę - wyjaśnia Alice. Uderza mnie, z jaką lekkością wtrąca w swoją wypowiedź słowo „mama”, jakby mówiła tak o Marion przez całe życie. - Przepraszam, nie powinnam jej pożyczać bez twojej zgody. Pójdę się przebrać.

Wstaje z krzesła, ale mama ją zatrzymuje.

- Nie wygłupiaj się, Alice. Nie musisz się przebierać. Clare na pewno nie ma nic przeciwko, żebyś pożyczyła jej koszulkę. Prawda, kochanie?

- Oczywiście! Przecież od tego właśnie są siostry! Żeby pożyczać sobie ubrania. Prawda? - Wyszczierzam zęby w nienaturalnym uśmiechu. Uświadamiam sobie, że mama i Alice z każdym dniem są coraz bliżej, a ja zostaję w tyle. Czuję się wykluczona z ich małego klubu.

- Pewnie! - Alice uspokaja się i siada z powrotem przy stole. Bierze w dłoń rączkę Hannah i wracając do zabawy w kosmetyczkę, rzuca: - Siostry dzielą się wszystkim.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dziewczynki są już w łózkach, Luke zaszył się w pracowni, a mama, Alice i ja siadamy w salonie. Przynoszę butelkę wina i nalewam do trzech kieliszków. Zdążyłam już się przebrać w spodnie od dresu i koszulkę.

- Wyglądasz na zmęczoną. Szkoda, że nie mogłaś wziąć wolnego - mówi mama.

Wiem, że nic nie wskóram, gdy będę się tłumaczyć, więc tylko przytakuję i szybko zmieniam temat:

- Jak sobie radzisz ze zmianą czasu, Alice?

- W miarę dobrze. Dzisiaj już lepiej spałam, chociaż obudziłam się koło piątej nad ranem i zeszłam na dół napić się wody. Mam nadzieję, że nie hałasowałam.

- Ja nic nie słyszałam - mówi mama. - W mojej części domu jest cicho jak makiem zasiał. Czasami słyszę, jak Luke otwiera i zamyka drzwi pracowni, ale na ogół może się dziać, co tam tylko w domu się zdarza, a ja i tak nic nie słyszę.

- Luke pracuje w nocy? - pyta mnie Alice.

- Czasami, kiedy dopada go wena twórcza. W zależności od tego, jak bardzo pochłania go praca, przechodzi przez różne fazy.

- Teraz wydaje mi się, że mogłam go słyszeć wczoraj w nocy - stwierdza mama.

- Pewnie tak było. To właśnie ta ostatnia faza, kiedy traci poczucie czasu.

- Popijam z kieliszka.

- Nie przeszkadza ci, że spędza tam całe noce? - z wyraźnym zaciekawieniem pyta Alice.

- Nie bardzo. W końcu to jego praca.

- Mnie by to się nie podobało. Chciałabym, żeby był przy mnie cały czas, a ja zawsze bym wiedziała, gdzie jest.

Śmiejemy się, chociaż trudno mi zrozumieć takie poczucie humoru.

- A jak tam z tobą? Masz chłopaka? - pytam.

- Nie. - Alice przecząco kiwa głową. - Raz czy dwa spotykałam się z kimś, ale to nie było nic poważnego... - Mruga kilka razy i odwraca wzrok.

- Wszystko w porządku? - pyta mama.

- Tak, tak. Przepraszam. - Ociera łzę palcem.

- Co się stało, kochanie? - Mama siada obok niej na kanapie.

Nie wiem, do czego to zmierza, więc nerwowo prostuję się w krześle.

- Nigdy nie miałam prawdziwego chłopaka. Takiego, którego naprawdę bym kochała. - Spogląda na mnie i mamę, po czym dodaje: - Tata mi nie pozwalał.

Widzę, że mama wzdryga się na dźwięk słowa „tata”. Wiem, że to dla niej

trudny temat, ale skrycie liczyłam, że uda nam się go dzisiaj poruszyć. Zarówno mama, jak i ja chcemy dowiedzieć się więcej o dzieciństwie Alice, ale postanowiłyśmy, że przynajmniej na początku pobytu w Anglii nie będziemy jej do tego zmuszać. Wygląda jednak na to, że jest już gotowa.

Gdy mama obejmuje ją ramieniem, Alice spogląda na mnie, szukając otuchy, a ja lekko przytakuję.

- Nie chciałam cię do tego przymuszać, ale skoro już o nim wspomniałaś, może chciałabyś porozmawiać o ojcu? W duchu zawsze modliłam się o to, żebyś miała szczęśliwe dzieciństwo, żeby ojciec był dla ciebie dobry. Przykro mi, jeśli tak nie było.

- Tata był dla mnie dobry i bardzo mnie kochał, ale teraz tak to widzę, że nie chciał pozwolić mi dorosnąć. Długo myślałam, że wszyscy ojcowie są tacy. Wydawało mi się, że Luke będzie taki sam wobec Hannah i Chloe.

- Myślę, że już taki jest. Zawsze powtarza Hannah, że dopóki nie skończy trzydziestki, może zapomnieć o chłopakach - mówię ze śmiechem, bo przypomina mi się, jaką Hannah zrobiła minę, kiedy to usłyszała. A zaraz potem dodała, że chłopcy to śmierdziele.

- Napisałam do ciebie wiele listów - zmienia temat mama. - Ale nie miałam twojego adresu, więc chowałam je wszystkie w pudełku razem z prezentami, które ci kupowałam na Gwiazdkę i urodziny. Kiedy tata zabrał cię do Ameryki, obiecał, że za kilka tygodni wrócicie. - Dostrzegam ból w oczach mamy przemieszany z poczuciem winy. - Jak mogłam na to pozwolić? Dlaczego nie domyśliłam się, że choć zapewniał co innego, to postanowił nie wracać? Tak mi przykro, Alice. - Ociera łzy z oczu.

- Już dobrze, nie płacz, proszę. Wiem, że to nie twoja wina - prosi cicho Alice.

- Kocham cię. Zawsze cię kochałam, nie przestałam ani na chwilę. Twój ojciec był bardzo silnym i despotycznym mężczyzną, a ja byłam bardzo słabą kobietą. Wybacz mi, dziecko, proszę. - Mama łapie ją za rękę.

- Nie muszę ci niczego wybaczać. Jesteś moją mamą.

Przytulają się. Dobrze, że Alice ma w sobie tyle współczucia. Mama nie wyzbędzie się poczucia winy do końca życia, ale na pewno będzie jej łatwiej.

Dolewam wina. Chyba wszystkie tego potrzebujemy, a już mama na pewno. Kiedy się uspokaja, wracam na swój fotel.

- Jesteś bardzo wyrozumiała. Dziękuję, kochanie - mówi Marion.

- Całe życie czekałam na ten dzień, a tata nigdy mi nie powiedział, co się naprawdę stało. Nie chciał o tym rozmawiać.

- Tak wiele dla mnie znaczyło, kiedy w pierwszym liście napisałaś, że nas pamiętasz. To, że zachowałam w głowie urywki chwil, które tu spędziłaś, było miodem na moje serce. Nie mogę przestać się cieszyć, że o nas nie zapomniałaś.

Alice spogląda w moją stronę. Widzę, że zaczyna czuć się niekomfortowo. Być może to dla niej zbyt dużo na raz, ale uśmiecha się do mamy i odpowiada:

- Dla mnie te urywki wspomnień również wiele znaczyły.

Nie wiem, czy mówi prawdę, czy nie, ale w sumie jest mi wszystko jedno. Cieszę się tylko, że mama czuje ulgę. Wiem, że losy Alice nie dawały jej spokoju przez lata.

- A jaka była twoja macocha? - pyta delikatnie.

- Roma? Raczej w porządku. - Alice wzrusza ramionami, po czym wlepia wzrok w dłoń. Znowu dostrzegam u niej zmianę postawy.

- Tylko „w porządku”? Możesz nam o wszystkim powiedzieć. Nie bój się, po prostu chcemy wiedzieć o tobie jak najwięcej. Prawda, Clare?

- Tak, ale tylko jeśli Alice czuje taką potrzebę. - Wzrokiem zadaję mamie pytanie: „Czy naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?!”.
Jednak tego nie wychwytuje albo ignoruje mnie.

- Opowiedz nam, proszę.

- No dobrze... Roma związała się z tatą tylko dla pieniędzy. Wiedziałam o tym od zawsze, szczególnie że przy ojcu była dla mnie miła. Ale kiedy zostawałyśmy same, stawała się okropna. Obiad jedliśmy zawsze przed powrotem taty. Swojemu synowi, Nathanielowi, serwowała olbrzymie porcje, a dla mnie jak dla kanarka. Nie dostawałam też deserów, w przeciwieństwie do Nathaniela.

- To straszne, Alice! - Mama z przerażenia zakrywa usta. - Nie miałam o tym pojęcia!

- Kiedy nie było taty, biła mnie kapciem i zamykała w pokoju na długie godziny.

- Powiedziałaś o tym tacie? - pytam świadoma, że człowiek, o którym mówię, nie jest dla mnie ojcem.

- Tylko raz. Zapytał Romę, czy to prawda, a ona oczywiście zaprzeczyła. Za to ja dostałam następnego dnia jeszcze większe manto.

- Chryste! - Mama zaczyna płakać.

- Twój tata nigdy nie zauważył śladów pobicia? - pytam wstrząśnięta nowymi faktami z życia siostry.

- Nie była głupia. - Alice przybiera kpiący wyraz twarzy. - Nigdy nie pobiła mnie tak mocno, żebym miała duże siniaki, których nie dało się zasłonić ubraniami.

- Jezu Chryste! - To wszystko, co potrafię z siebie wykrztusić. Przez chwilę milczymy, próbując przetrwać te informacje. Popijam wino, po czym odstawiam kieliszek na stół i pytam Alice, jak długo to trwało.

- Aż skończyłam szesnaście lat. - Znowu zwiesza głowę, splata ręce na kolanach i nerwowo bawi się palcami.

Nie wiem, czy z racji mojego zawodu, czy z innych pobudek, pytam:

- Co się stało, że przestała?

Alice nie odpowiada od razu.

- Ja... - Milczy przez długą chwilę. - Nie wiem, czy mogę powiedzieć. Przepraszam.

- Oczywiście, że możesz. Jesteś wśród rodziny, rozmawiasz ze swoją matką. Możesz mi powiedzieć wszystko.

Alice bierze głęboki wdech i podnosi wzrok. Patrzy na kredens i stojące na

nim zdjęcia. Po chwili przytakuje, jakby zebrała siły na wyznanie. Znowu oddycha głęboko i i siada prosto.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jej pozy są wystudiowane, że mają w sobie coś rodem z Hollywood.

- Nathaniel był ode mnie starszy o dwa lata. Którejś nocy wrócił pijany z imprezy. Tata i Roma poszli do przyjaciół na kolację, byłam sama w domu.
- Patrzy na mamę i na mnie.

Czuję, na jakie tory zejdzie ta historia, na szczęście mam doświadczenie w zachowywaniu spokoju. Dzięki klientom, którzy opowiadają mi równie potworne historie, potrafię zbudować wokół siebie mur.

- Bez wchodzenia w szczegóły... on... jakby to powiedzieć... wykorzystał mnie. Był większy i silniejszy, nie byłam w stanie nic zrobić. W dodatku był pijany. Nie miałam szans.

Przysuwam się bliżej i łapię Alice za rękę.

- Zgwałcił cię? Twój brat cię zgwałcił? - pytam delikatnie.

Słyszę, że mama gwałtownie nabiera powietrza w płuca, ale ja ze spokojem patrzę siostrze w oczy. Powinna zrozumieć, że może powiedzieć nam prawdę, i że nikt nie będzie jej oceniał.

Nie uciekając wzrokiem, przytakuje.

- Tak... trochę. Był zbyt pijany.

- Nie da się kogoś trochę zgwałcić. Powiedziałaś o tym komuś?

- Roma i tata wrócili do domu. Tata parkował samochód, Roma pierwsza weszła do domu i usłyszała mój płacz. Wtedy nie miałam już siły się bronić, Nathaniel mógł zrobić ze mną wszystko. Ale Roma ściągnęła go ze mnie i zawlokła do drugiego pokoju. Potem przyszła do mnie i powiedziała, że jeśli kiedykolwiek o tym komuś opowiem, dopiero się przekonam, co to prawdziwe lanie.

- O mój Boże, dziecko! To okropne! Tak mi przykro! - płacze mama.

- Następnego dnia powiedziałam Romie, żeby ona i jej syn trzymali się ode mnie z daleka albo pójde na policję.

- Byłaś u lekarza? Zebrałaś dowody?

Nie chcę przy mamie pytać, czy zabezpieczyła bieliznę albo pościel, żeby zachować DNA Nathaniela. Alice jednak nie wydaje się skrępowana.

- Uznałam, że skoro Monica Lewinsky mogła trzymać... no wiecie... sp... - marszczy nos, co wystarcza za wyjaśnienie - Billa Clintona przez tyle lat, to ja mogę trzymać dowody na Nathaniela. Przynajmniej w teorii. Ale szkoda, że nie widziałyście miny Romy, kiedy jej to powiedziałam.

- Zatrzymałaś bieliznę? - pytam.

- Clare, jesteś typową prawniczką. - Alice uśmiecha się szeroko. - Nie, ale czy ona musiała o tym wiedzieć? Tak czy inaczej, od tamtej pory byłam nietykalna, a kiedy ojciec zmarł, Roma dała mi wasz adres. Powiedziała, że znalazła go wśród jego rzeczy, ale myślę, że miała go dużo wcześniej, tylko nie chciała mi go dać. Zrobiła to dopiero wtedy, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma co liczyć na spadek.

- Tak wiele przeszłaś, jesteś taka dzielna. Jak się z tym wszystkim czujesz?

Wszystko w porządku? – pyta mama.

– Pewnie! To znaczy... nie przeszłam przez nic, czego nie dałoby się rozwiązać psychoterapią. Przynajmniej tak mi mówiono, chociaż teraz wiem, że ty, Clare, i cała rodzina jesteście lepsi niż psychoterapia. Wasza miłość leczy wszystkie rany.

Wiem, że to nie fair myśleć, że Alice sprawia wrażenie, jakby przesadzała i mówiła banały, ale przecież jest Amerykanką, a w Stanach ludzie otwarcie rozmawiają o terapii.

– Ale to już tylko przeszłość. Przed nami wspólna przyszłość! – Ścisła dłoń mamy i uśmiecha się do mnie.

Odwzajemniam uśmiech.

Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem jej odporności na traumatyczne wydarzenia. Umiejętność machnięcia ręką i przejścia do weselszych tematów jest rzadko spotykana u osób po tak trudnych przeżyciach. Miałam klientów, którzy w moim biurze lub na komendzie policji musieli odtworzyć wydarzenia, w których uczestniczyli, i pozostawali niewzruszeni wobec tego, co ich spotkało, ale jeszcze nigdy nie widziałam takiej obojętności jak u Alice. Słuchając jej, miałam wrażenie, że mówi o czymś błahym. Nie mogę przestać myśleć o tym, że gdybyśmy były w sądzie, naciskałabym na nią, żeby pokazała więcej emocji.

Chcę zadać więcej pytań, takich, jakie zadałabym klientowi, szykując go do rozprawy i objaśniając, w jaki sposób obrona może próbować podważyć jego wiarygodność, ale mama zmienia temat, zaczyna pytać o szkołę i edukację. Alice opowiada pokrótce. Odnoszę wrażenie, że niechętnie rozmawia o swojej przeszłości, ale trudno ją za to winić po tym wszystkim, co przeszła. W końcu rozmowa schodzi na mnie. Opowiadam jej więcej o swoim dzieciństwie i przyjaciółach, o tym, jak poznałam Luke'a, i tak dalej.

– Musisz mieć mnóstwo przyjaciół, skoro mieszkasz tu od urodzenia – mówi Alice.

,- Nie mam ich wielu. Większość ludzi, z którymi chodziłam do szkoły wyfrunęła z gniazda, nie mieszkają już w Little Dray. Przyjaźnię się z Pippą Stent, którą znam ze szkoły. Jej córka Daisy to koleżanka z klasy Hannah. Obie należymy też do zarządu. Nigdy nie byłam matką, która lubi posiedzieć na placu zabaw, popijając kawkę, może głównie dlatego, że brak mi na to czasu. Mam za dużo pracy. Luke lepiej zna innych rodziców.

– Nie tęsknisz za pełnoetatowym macierzyństwem? – pyta Alice, czym bierze mnie pod włos.

Momentalnie wzbiera we mnie gniew. Odpowiadam, patrząc jej prosto w oczy:

– Jestem matką. To, że nie wożę dzieci codziennie do szkoły, nie sprawia, że nią nie jestem.

Przez chwilę mam ochotę kogoś spoliczkować. Nie wiem, czy Alice za kwestionowanie mnie jako matki, czy siebie samą za to, jak bardzo się zezłościłam. Alice jest jeszcze młoda i nie ma dzieci, nie wyniosła też z domu najlepszych wzorców. Co może wiedzieć o macierzyństwie?

- Clare, Alice nie chciała sugerować, że jesteś złą matką. Miała na myśli rutynowe obowiązki.

- Oczywiście. Przepraszam, Clare, jeśli cię uraziłam. - Alice przygryza wargę. Razem z mamą patrzę na mnie w oczekiwaniu na reakcję.

- Zapomnijmy o tym. Przepraszam, że wybuchłam gniewem. Jestem potwornie zmęczona. - Wymuszam uśmiech. Mogłabym już się położyć, ale jeśli teraz zniknę, będzie to wyglądało na ucieczkę. Wciąż jestem wściekła na Alice za to, co powiedziała, ale nie chcę zawieść mamy ani rozstawać się w złej atmosferze. Wysłałabym na idiotkę.

Przez kolejne pół godziny opowiadam Alice o swojej pracy. Próbuję nawet wpleść w tę relację śmieszne historyjki o ekscentrycznych klientach i dziwnych powodach, dla których szukali porad prawnych.

- Najciekawsza była para, która nawiązała romans w miejscu pracy i któregoś wieczoru została po godzinach, żeby, jakby to powiedzieć... scementować związek. Zaczęli od seksu na biurku. Później chcieli przenieść się na podłogę, ale coś poszło nie tak i ona uderzyła się głową w szafkę na dokumenty, z której przypadkiem straciła puchar z turnieju golfowego swojego szefa. Poleciał prosto na nią, a ona straciła przytomność, więc musieli wezwać karetkę. Najlepsze było to, że do mnie przyszli po to, bym pomogła oskarżyć firmę o spowodowanie szkody ze względu na złe warunki pracy.

Śmiejemy się z moich opowieści, a kiedy mam stuprocentową pewność, że nikt na nikogo już się nie gniewa, przepraszam mamę i Alice i idę się położyć. Długo nie mogę zasnąć. Nie wiem, czy dlatego, że poznałam okropną prawdę z przeszłości Alice, czy może z powodu historii z koszulką i malowania paznokci Hannah. Kiedy się budzę, patrzę na ekran budzika. Spałam ledwie dwie godziny. Wyciągam rękę, ale Luke'a nie ma na swoim miejscu, czyli obok mnie.

Postanawiam do niego zajrzeć. Mimo że jestem w domu pełnym ludzi, czuję się samotna. To był ciężki wieczór, smutno mi też z powodu przeszłości siostry. Choć nigdy o tym z mamą nie rozmawiałyśmy, z pewnością nie tylko ja, ale i ona miała nadzieję, że Alice szczęśliwie żyła w Ameryce, że dbano o nią i kochano.

Myślę o czasach, kiedy jedynym, co napędzało mamę, była nadzieja. Zastanawiam się, jak by sobie poradziła, gdyby wiedziała, przez co Alice musiała przechodzić. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by wtedy czuła. Alice była młoda i nie miała się do kogo zwrócić. Tylko sobie zawdzięcza, że nie zniosła tego wszystkiego gorzej. A skoro ojciec nie żyje, a macocha już się nią nie zajmuje, nie pozostaje jej nikt inny poza przyjaciółmi. Nic dziwnego, że chciała zabrać ze sobą Marthę, jednak się cieszę, że przyjechała sama. Postanawiam, że powalczę ze swoimi uprzedzeniami. Alice nas potrzebuje.

Ku mojemu zaskoczeniu kiedy idę korytarzem do pracowni, zza zamkniętych drzwi słyszę ciche odgłosy rozmów. Nie jestem w stanie wychwycić konkretnych słów, ale po chwili dobiega mnie głośny chichot. Moje serce zaczyna bić szybciej i czuję, że zaraz jęknę. Biorę głęboki wdech,

łapię za klamkę i popycham drzwi.

Na początku wydaje mi się, że widzę obcych ludzi, ale to przez te emocje. Po chwili dostrzegam Alice. Siedzi na stołku pośrodku pokoju. Wciąż ma na sobie moją koszulkę, ale upięła włosy w koński ogon, taki sam, jaki ja noszę do pracy. Taki, jaki mam nawet teraz. Luke stoi tyłem do mnie, przodem do Alice i sztalugi. Kiedy się odwraca, przynajmniej wygląda na zmieszanego. Alice odzywa się pierwsza.

- Cześć, Clare. Wszystko w porządku? Myślałam, że poszłaś się położyć.

- Poszłam, ale nie mogłam zasnąć. - Sama nie mogę uwierzyć, że prowadzę kulturalną konwersację, podczas gdy aż mnie skręca, by wrzasnąć: „Co tu się, do cholery, dzieje?”.

- Ja też nie - mówi Alice i zeskakuje ze stołka. - To pewnie ta zmiana czasu. Poszłam do kuchni nalać sobie szklankę wody i zauważyłam światło w pracowni.

- Pokazałem Alice swoje prace - włącza się Luke.

- Powiedz Clare prawdę... - Alice posyła Luke'owi wstydlivy uśmiech.

Moje serce znowu przyspiesza. Prawdę? Jaką prawdę?

- Słucham...

Patrzę pytająco na Luke'a, na co on robi krok w bok i odsłania obraz, nad którym pracował. Nie od razu rozumiem, w czym rzecz, bo za mocno jestem skupiona na rzucaniu im wrogich spojrzeń. Dopiero kiedy Alice staje obok mnie i bierze pod ramię, obie patrzymy na powstający portret.

Jej portret.

- Chciałam zrobić tobie i mamie niespodziankę. Poprosiłam Luke'a, żeby mnie namalował.

Na razie widzę na płótnie jedynie kontur twarzy Alice. Paletę kolorów, z której ostatecznie się wyłoni, tworząc idealną kompozycję. To nie jest efekt jednej czy dwóch godzin pracy. Widziałam wystarczająco dużo obrazów Luke'a, by wiedzieć, że to, na co patrzę, powstawało znacznie dłużej.

- Jak długo już pracujesz nad tą niespodzianką? - Kładę nacisk na ostatnie słowo.

- Od wczoraj. - Koniuszkiem palca nerwowo naciska pędzel.

Zapada niezręczna cisza. Patrzę na portret, ale nie jestem w stanie złapać ostrości. Próbuję odwrócić swoją uwagę od zalewającej mnie złości, tego zielonookiego potwora, który już raz mnie tak rozwścieczył.

- Jak ci się podoba? - pyta w końcu Luke.

Wolałbyś nie wiedzieć! - wrzeszczę w duchu, ale rzucam beznamiętnie:

- Ładny.

Wtedy odzywa się Alice:

- Pójdę się położyć. Poczułam się bardzo zmęczona. - Uśmiecha się do Luke'a w sposób, w jaki uśmiechają się ludzie, kiedy udają, że wszystko jest w porządku, chociaż to nieprawda. - Dobranoc, Clare. - Wygląda, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale po chwili wahania wychodzi.

- Dobranoc. - Jej imię nie przechodzi mi przez gardło. Drzwi zamykają się. Czeka, aż odgłosy na schodach ustaną i zyskam pewność, że poszła do

siebie.

- Posłuchaj, kochanie... - zaczyna Luke, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć. - Alice wpadła na ten pomysł wczoraj w nocy. Naprawdę chciała zrobić wam niespodziankę.

- Może ona chciała zrobić nam niespodziankę, za to ty pozwalasz młodej dziewczynie zawrócić sobie w głowie - rzucam wściekle. Wygląda na to, że ziarno wątpliwości, które zasiał we mnie Tom, nie tylko puściło korzenie, ale rozrosło się do rozmiarów wielkiego drzewa, a ja nawet tego nie zauważyłam.

- Mówisz serio? - ze śmiechem reaguje Luke, ale natychmiast poważnieje.
- Chryste, Clare, ty mówisz serio! Co w ciebie wstąpiło? Myślałem, że wczoraj to były żarty, ale ty naprawdę jesteś zazdrosna!

- A czego się spodziewałeś? Co miałam myśleć, kiedy trajkotaliście o tym cholernym obrazie? Nie podoba mi się to.

- Portret?

- Nie portret! Ty i ona! Nie podoba mi się, że siedzicie tu tylko we dwoje. - Mam wrażenie, że Luke się ze mnie naśmiewa. - A skoro już pytasz, portret też mi się nie podoba! - Wydymam wargę jak małe dziecko.

Luke udaje, że jest mu przykro, ale widzę, że wcale nie jest, przez co jeszcze trudniej mi się na niego złościć.

Podchodzi do mnie, przytula i całuje w szyję.

- Nie podoba ci się? - zaczyna się ze mną drażnić.

Próbuję go odepchnąć, chociaż nie idzie mi to najlepiej. Naprawdę trudno mu się oprzeć.

- Nie. Wcale.

- A to też ci się nie podoba? - Całuje mnie w szyję, po czym lekko odchyła mój szlafrok i całuje w odkryte ramię.

Wyrywam mu się i poprawiam szlafrok.

- Oszukujesz! A portret i tak mi się nie podoba.

- Clare, nie przesadzaj. Umyję się i chodźmy spać.

Wiem, że takie dąsanie jest dziecinne, ale nie potrafię przestać. Kiedy Luke przychodzi do mnie kilka minut później, udaję, że już śpię. Leżę na boku tyłem do niego.

Luke wchodzi pod kołdrę i całuje mnie w tył głowy.

- Dobranoc, kotku. Kocham cię. Nie zapominaj o tym - mówi, po czym odwraca się i przykrywa.

Po chwili jego oddech wyrównuje się i mój mąż zapada w sen. Ja zostaję sama, rozbudzona i walcząca z zielonookim potworem. Kiedy stałam się tak nedorzecznie zazdrosną kobietą?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jest sobota rano. Mimo że przez cały poranek byłam zajęta pomaganiem mamie i Alice w przygotowaniach do popołudniowego przyjęcia, nie mogę przestać myśleć o wyznaniu siostry. Nie chodzi zresztą nawet o to, co powiedziała, ale o jej mowę ciała. Nie potrafię poskładać w całość elementów tej układanki. Z drugiej strony ganię siebie za to, że jestem taka podejrzliwa. Alice tyle przeszła. Podczas gdy ona wypracowywała system radzenia sobie z przeciwnościami losu, ja stałam się zwykłym cynikiem.

Wiem, że przesadziłam w kwestii portretu. Jeszcze nie miałam okazji przeprosić, bo Luke większość wieczoru spędził w pracowni i kiedy kładłam się spać, byłam sama. Przyszedł dopiero późno w nocy. Pamiętam jak przez mgłę, że się do niego przytuliłam.

Kiedy się budzę, słyszę, że bierze prysznic. Przepraszam go, kiedy otwiera drzwi łazienki.

- Nie przejmuj się - reaguje z uśmiechem. - Miałaś ciężki tydzień, tyle emocji do przetrwania. I zapewniam cię, że chodziło tylko o portret.

- Kocham cię. - Cieszę się, że mam tak wielkodusznego męża. W progu łazienki ofiarowuję mu buziaka.

- Ja panienkę też kocham, panienko Tennison. Ale czy przypadkiem nie powinna panienka być w kuchni i pilnować swoich wypieków? - Daje mi lekkiego klapsa. - Nikt nie lubi oklapłych bułeczek!

Kiedy schodzę na dół, nie mogę powstrzymać uśmiechu. Czuję nagły przypływ miłości do świata.

Kolejne kilka godzin spędzam z mamą i Alice. Przygotowujemy jedzenie na wieczór, a Luke zabiera dziewczynki do parku, żeby nie plątały nam się pod nogami. Kiedy wraca, wszystko jest gotowe, a w domu panują radość i ekscytacja.

Mama pragnie przedstawić Alice znajomym. Poradziłam jej, żeby nie przesadzała z ilością gości, bo dla siostry może to być trudne. Rzecz jasna wszyscy chcą ją poznać, ale nie powinniśmy robić z tego cyrku. Mama na szczęście mnie zrozumiała. Zaprosiła Pippę z rodziną, Leonarda, Toma i Lottie oraz kilka przyjaciółek z Women's Institute^[3].

Nie wiem czemu, ale stresuję się na myśl o tym, że Tom pozna Alice. Czuję się, jakbym pierwszy raz zapraszała nowego chłopaka na rodzinny obiad. Mimo najszczerzych chęci, żeby wszyscy się polubili, nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

Kiedy przyjeżdża, otwieram mu drzwi.

- Cześć, Tom. Cześć Lottie. Co u was słychać? - Całuję go w policzek i kucam, żeby wyściskać jego córeczkę. - Hannah skacze na trampolinie w ogrodzie. Leć do niej.

- Jak się masz? - pyta Tom, kiedy Lottie biegnie do ogrodu. W rękach trzyma bukiet kwiatów i butelkę wina.

- Dobrze. - Wycieram spocone dłonie o spodnie.

- Czyli wcale się nie denerwujesz? - Tomowi nic nie umknie.

W odpowiedzi mogę się tylko zaśmiać, potem jednak dodaję:

- Czuję się dziwnie, przedstawiając wam Alice, a jest tu już dość długo. Kiedy poznałam ją z Lukiem, aż tak się nie denerwowałam.

- Oddychaj głęboko i zapomnij o stresie. - Demonstracyjnie bierze wdech nosem i powoli wypuszcza powietrze ustami. Powtarzam za nim tę czynność.

- Właśnie tak. Nie ma powodu do paniki.

Wchodzimy do kuchni. Tom całuje mamę na powitanie i wręcza jej wino. Z mężczyznami wita się uściskiem dłoni, a przyjaciółkom mamy posyła czarujący uśmiech. W końcu przychodzi kolej na Alice.

- Tom, oto Alice. Alice, to jest Tom - dokonuję prezentacji.

- Naprawdę tu jesteś! Niesamowite! To naprawdę niesamowite. - Tom przez chwilę bacznie się jej przygląda, co wywołuje lekki rumieniec na jej twarzy, potem wręcza bukiet kwiatów. - Witaj, Alice. Witaj w domu. - Daje jej buziaka w policzek. Wypadło to bardzo naturalnie.

- Witaj, Tom. Dziękuję za kwiaty, są piękne. Jeszcze nigdy nie dostałam kwiatów. - Alice z uśmiechem przyjmuje bukiet.

To bardzo miłe ze strony Toma. Spoglądam na Luke'a. Lekko unosi brwi, na jego twarzy maluje się kpiący uśmieszek. Znając go, pewnie myśli, że Tom zgrywa dżentelmena. Podchodzę do niego i sięgam za jego plecami po kieliszek wina.

- Miły gest.

- Znam kilka bardziej romantycznych gestów od wręczenia kwiatów. Później ci pokażę - szepcze mi na ucho.

- Nie mogę się doczekać. - Podchodzę do Alice. - Mama poszła po wazon na kwiaty. - Kiwam głową w stronę pokoju, w którym przed chwilą zniknęła.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Tom właśnie opowiadał mi o tym, że razem studiowaliście, a teraz pracujecie.

- Taki już mój los, że niemogę się go pozbyć. Wszędzie za mną łązi. - Puszczam do niego oczko.

- Nie kokietuj. Przecież to uwielbiasz - ripostuje Tom.

Mama przychodzi i bierze od Alice kwiaty. Widać, że promienieje ze szczęścia. Cieszę się, że widzę radość w jej oczach.

- Clare, możesz wyjąć z piekarnika paszteciki?

- Zostawię cię pod opieką Toma. - Idę pomóc mamie.

Popołudnie mija bez przeszkód. Wszyscy sprawiają wrażenie zrelaksowanych. Dziewczynki bawią się w ogrodzie.

Kiedy zbieram brudne talerze i szklanki, uświadamiam sobie, że od dłuższego czasu nie widziałam Alice. Zaglądam do kuchni i ogrodu, ale nigdzie jej nie ma. Tom też gdzieś zniknął.

Wychodzę na taras. Stoją za rogiem, w miejscu niewidocznym dla innych.

Na początku mnie nie widzą. Stoją blisko siebie, ale coś w mowie ich ciał sprawia, że wzbudzają we mnie czujność. Żadne z nich się nie uśmiecha. Tom wygląda dziwnie, jakby cicho i stanowczo przemawiał do Alice.

Która zauważa mnie pierwsza, a po chwili Tom też podnosi wzrok. Oboje uśmiechają się.

- Coś się stało? - podchodzę do nich.

- Ależ skąd - odpowiada Tom.

- Alice? - Intensywnie patrzę na siostrę.

Najpierw się waha, ale w końcu mówi:

- Wszystko w porządku. Potrzebowałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Czasami źle się czuję, kiedy wokół jest tyle ludzi.

- Tylko sprawdzałem, czy wszystko okej - dorzuca Tom łagodnie.

- Może chcesz chwilę posiedzieć w salonie? Zamknę drzwi, nikt nie będzie ci przeszkadzał - proponuję, szczerze martwiąc się o nią.

- Nie będę robić kłopotu. Położę się u siebie na chwilę.

- Okej, odprowadzę cię.

Biorę siostrę za rękę i przemykamy przez kuchnię do jej pokoju na piętrze. Alice siada na krańcu łóżka.

- Przepraszam - mówi.

- Nie masz za co, po prostu odpocznij. Powiem mamie. Niedługo goście rozejdą się do domów. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję, Clare.

Podchodzę do niej, żeby ją uściskać, ale zmieniam zdanie. Po chwili znowu decyduję się ją przytulić i cała ta scenka nabiera komicznego wymiaru, szczególnie że Alice siedzi.

Kiedy schodzę na dół, zastanawiam się, dlaczego okazywanie siostrze czułości przychodzi mi tak trudno. Chciałabym, żeby było inaczej. Mam nadzieję, że nie odebrała tego opacznie, biorąc pod uwagę fakt, że nie czuje się najlepiej.

Resztę popołudnia spędza w pokoju. Dopiero kiedy nie ma już gości, mama idzie do niej na górę i namawia, żeby zeszła na kolację. Chwilę z nami siedzi, a w końcu mówi:

- Jestem bardzo zmęczona. Pójdę już spać.

- Dobrze, skarbie. Przepraszam, że zgotowałam ci tyle atrakcji - odpowiada mama.

- To wszystko wina Toma. Nie można go spuszczać z oczu ani na chwilę - żartuję, żeby rozluźnić atmosferę.

Alice uśmiecha się, a potem żegna i wraca do pokoju.

- Rano będzie jak nowa, tylko dajmy jej odpocząć. Przebywanie z Tomem sam na sam każdego by wykończyło - komentuje Luke.

Ignoruję jego kąśliwą uwagę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie mogę uwierzyć, jak szybko minęły ostatnie tygodnie. Czułam nieustające zmęczenie od ciągłego zmagania się z huśtawkami nastrojów. Za to mama rozkwita, jakby z każdym dniem nabierała sił. Była wniebowzięta, że mogła wyprawić skromne powitalne przyjęcie dla Alice. Ja najbardziej cieszyłam się z faktu, że wszyscy, których zaprosiliśmy, się stawili.

Mama z dumą chwaliła się córką, mimo że Alice nie wyglądała na równie entuzjastycznie nastawioną do tego pomysłu. Trzeba jej jednak oddać, że się starała. Uśmiechała się i miło pogadywała z gośćmi. Jedyne, co mnie zdziwiło, to jej rozmowa z Tomem w ogrodzie. Próbowałam ją wczoraj wypytać, o co chodziło, ale zbyła mnie rzuconym ze śmiechem zdankiem, że Tom zanudzał ją żargonem prawnym. Nie uwierzyłam jej i zanotowałam sobie w pamięci, żeby go później o to zapytać.

Zastanawiam się, jak Alice radzi sobie z pobytem u nas. Miewa zmienne nastroje i myślę, że też nie przychodzi jej to łatwo. Może to jest właśnie to, co nas łączy? Niepewność naszych emocji?

Nie wspominałam o niczym mamie, bo nie chcę zrujnować jej ledwie co odnalezionego szczęścia. Po domu chodzi jak na skrzydłach, przygębienie ustąpiło miejsca lekkości, nawet zmarszczki wokół oczu wydają się gładziej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam ją równie radosną i zadowoloną z życia.

Dzisiaj atmosfera przy śniadaniu jest spokojniejsza niż zwykle. Hannah nie ma lekcji, więc jeszcze jej nie budziłam. Luke zrobił sobie przerwę w malowaniu, żeby się nią zająć. Zwolnił też Chloe z przedszkola i zabierze je do parku Sea Life w Brighton. Hannah szykuje do szkoły projekt ŻYCIE OCEANU. Zabierze aparat fotograficzny, który kupiliśmy jej z Lukiem na urodziny. Myślę, że zamiłowanie do fotografii odziedziczyła po tacie. Kiedy był mały, wszędzie nosił ze sobą aparat, ale gdy podrośł, przerzucił się na pędzle i farby. Może Hannah wda się w ojca i zostanie artystką? Chloe jest o wiele spokojniejsza, bardziej podobna do mnie. Byłam łagodnym, trochę wycofanym dzieckiem. Wolałam się chować, niż żeby mnie zauważono. Nigdy nie lubiłam być w centrum uwagi. Było mi łatwiej, kiedy ojciec mnie nie dostrzegał. Cieszę się, że Luke ma inną relację z córkami. Oboje ciężko nad tym pracowaliśmy. Chcę, żeby dziewczynki nie tylko były kochane, ale żeby o tym wiedziały. Chcę, by czuły, że słońce świeci dla nich nawet w pochmurne dni.

- O czym myślisz? - pyta Luke, sadzając Chloe w krzeselku. Stawia przed nią miseczkę z pokrojonym bananem, w którą córka ochoczo zanurza pulchne paluszki. Próbuje wyłowić jeden plasterek. Kiedy jej się udaje, rozgniata go w dłoniach, po czym podnosi do ust i powtarza proces od nowa.

- Myślałam o dziewczynkach i o tym, jakie to szczęście, że je mamy. - Podkładałam pod talerz Chloe okrągłą gumową matę, żeby miseczka się nie ślizgała. - I jak to dobrze, że możesz się nimi zająć w takie dni jak ten.

- Wiem. Dobrze się ułożyło, że chociaż jedno z nas może z nimi zawsze zostać. Namówię Hannah, żeby zrobiła dzisiaj dużo zdjęć. Będziesz miała wrażenie, że byłaś tam z nami - dodaje z uśmiechem, bo oboje dobrze wiemy, że naszej córce wszystko wokół wydaje się ciekawym tematem do sfotografowania i będę miała co oglądać. Doceniam też, że próbuje sprawić, żeby nie było mi przykro. Cieszę się z każdej minuty spędzonej z Hannah niezależnie od tego, co w tym czasie robimy.

Kiedy Alice wchodzi do kuchni, smutnieję. Szkoda, że nie kazaliśmy jej chodzić w tym szlafroku, który kupiła jej mama, myślę, po czym od razu ganię sama siebie za moralność rodem z epoki wiktoriańskiej. Dzisiaj przynajmniej uzupełniła swój strój o szorty, chociaż ledwie wystają spod koszulki.

- Cześć wam - wita się z nami.

Wymieniamy kilka standardowych porannych uprzejmości, takich jak „dzień dobry” i „jak się spało?”. Alice krząta się po kuchni, szykując sobie tosty i kawę. A właściwie robię to ja, bo mama jeszcze śpi i odruchowo poczułam się zobowiązana przyrzucić siostrze śniadanie.

Alice siada z nami i pyta:

- Idziesz dzisiaj do pracy, Clare?

- Ani chwili spoczynku dla pracoholiczki - żartuję, ignorując Luke'a, który kontrolnie spogląda na zegar. Wiem, że jest już późno i powinnam wychodzić, ale wmawiam sobie, że muszę pomóc Chloe zjeść banana, chociaż prawda jest taka, że nie lubię, kiedy Luke zostaje sam na sam z Alice.

- Użyłam wczoraj twojego laptopa, Clare. Mam nadzieję, że nie jesteś zła? - mówi Alice.

- Mojego laptopa? - pytam zaskoczona.

- Tak. Mama powiedziała, że mogę. - Wyraźnie się spłoszyła. - Przepraszam, jeśli jesteś zła.

- Nie, tylko nie wiedziałam, że mama potrafi go uruchomić.

- Nie była pewna, ale na szczęście trochę się znam na komputerach.

- No tak. Nie był zablokowany? - Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go używałam i czy go wyłączyłam. Na starcie trzeba podać hasło, którego mama nie zna. Przypomina mi się, że wyłączyłam go na chwilę w weekend, konkretnie podczas przyjęcia. Zgrywaliśmy zdjęcia z karty pamięci Luke'a, żeby je obejrzeć. Zrobiliśmy pokaz slajdów.

- Nie, był tylko wygaszacz ekranu. Nie musiałam podawać hasła.

- Tak, teraz pamiętam. Używaliśmy go na przyjęciu - mówię. - Znalazłaś to, czego szukałaś?

- Pewnie. Chciałam tylko sprawdzić mejle i tym podobne.

- Facebook, Twitter? - pyta głupkowato Luke. Sam nie korzysta z mediów społecznościowych, znaczy się używa ich tylko do celów zawodowych. Ja tak

samo. Nie chcę, żeby ludzie, z którymi pracuję, wiedzieli o mnie za dużo, chociaż mam konto na Facebooku. Założyłam je na wypadek, gdyby Alice próbowała mnie odnaleźć.

- Nie mam kont w mediach społecznościowych - wyjawia Alice.

- A to ciekawostka. Nawet ja i Clare mamy Facebooka - mówi Luke.

Alice markotnieje.

- Tata tego nie pochwalał. Nie chciałam się sprzeciwiać.

- Było aż tak źle? - pytam. - Kontrolował nawet takie aspekty twojego życia? Wiem, że próbował kontrolować mamę, chociaż nigdy nie powiedziała mi o tym wprost. Myślałam, że w stosunku do ciebie zachowywał się inaczej.

- Dlaczego tak myślałaś? - pyta Alice.

- Bo zostałam przez niego wybrana. To ciebie zabrał do Ameryki. Nie mnie.

- Po tych słowach na chwilę zapada niezręczna cisza.

- Może dlatego, że byłam młodsza? Czteroletnie dziecko mniej pamięta niż dziewięcioletnie, więc łatwiej mu się przystosować.

Ten argument ma sens. I chociaż sama też kiedyś brałam go pod uwagę, zawsze czułam, że chodziło o coś więcej.

Z zamyślenia wrywa mnie Luke:

- Kochanie, spóźnisz się do pracy.

Kiedy na niego spoglądam, posyła mi przyjazny uśmiech. Dobrze wie, o czym myślałam.

Niechętnie wstaję od stołu. Waga naszej rozmowy mnie przygnębia, a myśl o nadchodzącym dniu nie polepsza sprawy. Mam telekonferencję z McMillanem, podczas której będziemy omawiać prawdopodobieństwo wycofania zarzutów i ugody sądowej. Leonard naciska, żebym za wszelką cenę wynegocjowała ugody, bo dzięki temu unikniemy zamieszania z prasą, jednak podskórnie czuję, że to się nie uda. McMillan musiałby pójść na kompromis, a on ich nie uznaje. Uparty osioł. Pewnie z radością by przyjął tytuł „Don”, jak szef włoskiej mafii. Myśli, że jest nietykalny.

- O której masz telekonferencję? - Leonard zagląda do mojego biura przez uchylone drzwi. Chwilę wcześniej przyszedł też Tom, żeby zapytać, czy kupić mi kanapkę.

- Dopiero po lunchu.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył?

Mam ochotę przyjąć jego propozycję, ale nie pozwala mi na to duma.

- Nie, dziękuję. Zobaczą, jak mi pójdzie - odpowiadam.

- Spróbuj go przekonać, żeby zgodził się chociaż na część warunków. Przypomnij mu, że ani w jego, ani w naszym interesie nie leży, żeby obrzucono nas jankami z powodu durnego zwolnienia rozdmuchanego do monstrualnych rozmiarów - mówi, patrząc na mnie z powagą.

- Mam cię zacytować? - pytam, żeby nieco rozluźnić atmosferę.

- Nie wygłupiaj się i zrób, o co cię proszę - ucina Leonard, rzucając mi jedno z całego arsenału swoich „spojrzeń śmierci”.

Kątem oka widzę, że Tom stroi do mnie głupie miny, więc unikam

patrzenia mu w oczy, dopóki Leonard nie wyjdzie.

- Od kiedy jesteś jego giermkim? - pyta Tom.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Ma zły humor i swoją frustrację wyładowuje na wszystkich wokół. To nie pierwszy i nie ostatni raz. Znam go na tyle długo, żeby się tym nie przejmować.

- Od jakiegoś czasu zachowuje się jak nie on - zauważa.

- Co masz na myśli?

- Jest bardziej zestresowany. Ostatnio zjrzałem do niego, bo chciałem się poradzić, i na mój widok omal nie przyciął sobie palców laptopem. Nie wiem, co tam knuł, ale kiedy tylko mnie zobaczył, natychmiast go zamknął. Do tego zgarnął z biurka wszystkie papiery i zaczął marudzić coś o tym, że prosił, żeby mu nie przeszkadzano.

- Naprawdę? To zupełnie nie w jego stylu. Ja nie dostrzegłam w nim żadnych zmian. Jest taki sam jak zwykle. Raz słodki jak miód, raz jadowity jak wąż.

- A jak ci się układa z Alice?

- Zabawne, że pytasz. Chciałam spytać o waszą rozmowę podczas naszej imprezy. W ogródku.

- Tak? I co chciałabyś wiedzieć?

- Zastanawiałam się, o czym rozmawialiście. Z daleka wyglądało to na poważną dyskusję, a zaraz potem Alice poszła się położyć i spędziła w łóżku resztę wieczoru.

- To faktycznie wiele wyjaśnia - drażni się Tom. - Poza tym to ja zapytałem cię pierwszy. Próbujesz w ten sposób unikać odpowiedzi na moje pytanie?

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Między nami panuje nieprzyjemne napięcie. Poddaję się jako pierwsza.

- Nie ma o czym mówić - rzucam, ale Tom unosi brwi, czekając na więcej, więc dodaję: - Wciąż przyzwyczajam się do nowej sytuacji.

- A inni? Jak się z nią dogadują? - Siada na krześle.

- Dobrze. Co jeszcze mogę powiedzieć?

- Wygląda na to, że Leonard mocno się przejął jej przyjazdem.

- Tak uważasz? Dlaczego?

- Nie wiesz?! Cholera, przepraszam. Puściłem farbę.

- Nie masz już wyjścia. Mów, o co chodzi.

- Widziałem ich na kawie w knajpce po drugiej stronie ulicy.

- Kiedy to było? - pytam zdziwiona, że Leonard nic mi nie powiedział. A tym bardziej Alice.

- Hm... w zeszłym tygodniu. Może w piątek? Nie zauważyli mnie. Chciałem kupić kawę, ale wyglądali na tak pochłoniętych rozmową, że poszedłem do kawiarni, żeby im nie przeszkadzać.

- Naprawdę? Alice powiedziała mi, że nigdy wcześniej nie spotkała Leonarda. Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło? To dziwne, że się spotkali, w dodatku poza biurem.

- Może chodzi o fundusz powierniczy? Skoro już o tym mowa,

zapomniałem wspomnieć o czymś jeszcze. Kiedy poszedłem do Leonarda, a on się tak wystraszył, wśród papierów, które chował, zauważyłem wyciąg z konta bankowego twojej mamy.

- To akurat łatwo wyjaśnić. - Skąd we mnie ta potrzeba wyjaśniania zachowania Leonarda? - Zarządza finansami mamy, więc pewnie sprawdzał jakieś dane. Może nawet miało to coś wspólnego z jego spotkaniem z Alice - dodaję, chociaż sama słyszę sceptyczną nutę w swoim głosie. Chciałabym wierzyć w to, co mówię, ale coś mi podpowiada, że nie wiem wszystkiego. Na przykład tego, dlaczego spotkali się poza biurem i dlaczego Leonard, przynajmniej według Toma, zachowywał się podejrzanie.

- Dla mnie to po prostu dziwne - kwituje.

A ja zaczynam nerwowo stukać paznokciami w stół.

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego. Tom, po prostu mogli rozmawiać o funduszu powierniczym. Alice po powrocie do Anglii zyskała do niego prawo. Musi zostać jej wypłacony do marca przyszłego roku, o ile dobrze pamiętam. Leonard zna szczegóły.

- Tak, pewnie masz rację.

- Na pewno. - Zarazem jednak czuję, że żadne z nas nie jest przekonane. Tajemnicza aura związana z tym spotkaniem nie daje mi spokoju. Tom jako bystry prawnik z pewnością ma podobne obawy. - Powinnam wziąć się do pracy - oznajmiam, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Zrozumiał aluzję, ale podnosząc się z krzesła, pyta jeszcze:

- Czyli nie chcesz niczego do jedzenia?

- Nie, dziękuję - rzucam, nie podnosząc wzroku znad papierów, a po wyjściu Toma opieram się na krzesło i wzdycham głęboko.

Wiem, że nie powinnam się tym przejmować, a tym bardziej wściubiać nosa w nie swoje sprawy, ale nie mogę przestać myśleć o rozmowie Leonarda i Alice. Dlaczego nie spotkali się w biurze? Jedyne powód, który przychodzi mi do głowy, jest taki, że chcieli zachować swoje kontakty w tajemnicy. I tylko jedno wyjaśnienie przychodzi mi do głowy. Myśl o ich schadzce... no, domniemanej schadzce... jednocześnie irytuje mnie i zbija z tropu. Ostatnio coraz częściej czuję się, jakbym była jedynym dzieckiem w klasie, które nie dostało zaproszenia na urodziny koleżanki. Szczególnie przy mamie i Alice.

Rzucam okiem na zdjęcie Luke'a i dziewczynek, które stoi na parapecie. Zrobiliśmy je rok temu na pikniku. Luke siedzi na ziemi, Chloe przed nim, a Hannah z tyłu. Obejmuje go za szyję i daje mu buziaka w policzek.

Odganiam złe myśli. Muszę skupić się na pracy i przygotować do przekłetej telekonferencji z McMillanem.

Resztę dnia spędzam w biurze. Raz na jakiś czas odpływam myślami do Luke'a i dziewczynek. Telekonferencja nie idzie mi najlepiej. McMillan jest aroganckim typkiem i gdybym nie musiała go bronić, sama zgłosiłabym się do zespołu jego oskarżyciela. Dobrze by było kiedyś pogrążyć takiego kombinatora.

Spoglądam na zegarek. Ciekawe, czy Luke i dziewczynki dobrze się bawią

w parku Sea Life? Bardzo za nimi tęsknię i postanawiam, że wrócę do domu wcześniej niż zwykle. Chcę побыć z rodziną. To najlepsze lekarstwo na stres. Przytulę się do nich i wszystko będzie dobrze.

Czterdzieści pięć minut później podjeżdżam pod dom i na widok samochodu Luke'a na podjeździe czuję ulgę. Wchodzę do domu i krzyczę:

- Cześć! - ale odpowiada mi głucha cisza.

Zaglądam do salonu. Pusty. Drzwi do oranżerii są uchylone i po chwili dostrzegam Luke'a przy stole, a obok niego mamę i Alice. Czuję radość i ulgę, że jestem już w domu, i nawet Alice nie jest w stanie tego zepsuć swoją obecnością. Dziewczynki bawią się w ogródku, w małym gaju.

- Cześć wszystkim - rzucam wesoło, po czym podchodzę do męża, obejmuję go i całuję w policzek. - Cześć, Luke.

- Witamy panienkę. - Odwzajemnia pocałunek, łapie mnie za rękę i sadza sobie na kolanach. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? Panienska dzisiaj wróciła wcześniej.

- Stęskniłam się za wami. Miałam koszmarne dzień. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu.

- Cześć, skarbie - mówi mama. - W dzbanku jest herbata, Alice niedawno zaparzyła. Myślę, że filiżanka dobrze ci zrobi.

- Dziękuję. - Odwracam się do Alice i z uśmiechem mówię: - Cześć. U ciebie wszystko dobrze?

Przez chwilę wydaje mi się, że Alice nie odwzajemni mojego uśmiechu. W jej oczach dostrzegam wręcz złość. Chcę coś powiedzieć, ale siostra wyprzedza mnie:

- Cześć, Clare. - Uśmiecha się nieszczercze. - Wszystko dobrze, dziękuję. Należę ci herbaty.

- Mamusia! - Chloe przybiega z krzykiem z ogródka.

Wstaję z kolan Luke'a, żeby ją wyściskać.

- Cześć, kochanie. - Obsypuję ją pocałunkami i parskam w jej policzki, na co reaguje radosnym chichotem. Chloe potrafi poprawić mi nastrój w ciągu kilku sekund. To błogosławieństwo mieć taką córkę. Kiedy kończymy pieścizny, pytam: - Jak minął dzień z tatusiem? Dokąd poszliście?

- Do Sea Life! Widziałam ryby! Wielkie! Siuśmiornicę!

- Siuśmiornicę? Aha, masz na myśli ośmiornicę! Naprawdę ją widziałaś? Czy miała długie wijące się nóżki? - Stawiam Chloe na ziemię, po czym siadam z drugiej strony stołu obok mamy i macham do Hannah, która też przybiega do mnie. Daje mi przelotnego buziaka i przytulaska. Jeszcze niedawno witała mnie z takim samym entuzjazmem jak jej młodsza siostrzyczka. Ale cóż, zaczyna powoli dorastać.

- Chcesz obejrzeć moje zdjęcia? - Ściąga aparat ze stołu, naciska kilka przycisków i podaje mi go.

- Pozwól mamie wypić w spokoju herbatę. Dopiero co wróciła z pracy - upomina ją Luke, a Hannah smutnieje w mgnieniu oka.

Na ten widok prawie pęka mi serce.

- Może teraz pokażesz mi kilka, a wieczorem, kiedy Chloe będzie już spała, usiądziemy we dwie i obejrzymy wszystkie? Tylko ja i ty. I wszystko mi opowiesz.

Kompromisowa propozycja zostaje przyjęta. Wiem, że Hannah lubi spędzać ze mną czas tak samo jak ja z nią.

- Dobrze. Popatrz, tu jest ośmiornica. Chloe nazwała ją siuśmiornicą!

- Wiem, już mi mówiła - śmieję się razem z córką.

Klika przycisk i widzimy kolejne zdjęcie. To chyba węgorz.

- Ten mi się nie podoba. Wygląda jak wąż - mówi zde gustowana i pokazuje kolejne. Jest na nim Luke. Trzyma Chloe na rękach. Zaglądają do akwarium.

- To mi się podoba - mówię, chociaż jest nieco ciemne, a światło flesza odbiło się w szybie. Hannah przeskakuje kilka zdjęć, ale jedno z nich przykuwa moją uwagę. Jest inne niż pozostałe. - Cofnij odrobinę - proszę, a Hannah cofa o jedno zdjęcie. - Jeszcze trochę - mówię, a po chwili widzę zdjęcie, o które mi chodziło. Czuję drobne ukłucie w sercu. Spoglądam na Alice. Dostrzegam na jej twarzy cień próżności. Nikt poza mną tego nie widzi. Wszyscy inni patrzą na mnie. - Alice też z wami była - ledwie jestem w stanie z siebie wydusić. Poszła z nimi i nikt mi o tym nie powiedział!

- Wszyscy tam byliśmy. Mama też. - Luke rzuca mi wymowne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Opanuj się”.

- Mama? Przecież nie cierpisz parku Sea Life! Zawsze mówiłaś, że jest tam ciemno, akwaria są niedomyte i z tego wszystkiego dostajesz klaustrofobii.

- Nie wchodziłam do środka. Alice i Luke wzięli dziewczynki, a ja poszłam na kawę do herbaciarni po drugiej stronie ulicy. Serwują tam świetne bułeczki.

- A tutaj mam zdjęcie rekina! - przerywa nam Hannah. Musiała wyczuć zmianę nastroju, bo nerwowo spogląda to na mnie, to na Luke'a.

Zastanawiam się, czy mama też to wyczuła, ale celowo ignoruje. Pewnie tak, bo nie przestaje paplać o tym, jakie pyszne były te jej pieprzone bułeczki. Tymczasem ja gotuję się ze złości na myśl o tym, że Luke i Alice bawili się w szczęśliwą rodzinę. Alice zajęła moje miejsce, a on ewidentnie nie ma z tym żadnego problemu.

- Przepraszam, Clare. Nie chciałam cię rozzłościć. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko - włącza się Alice.

- Czy możesz wreszcie przestać pytać, czy coś mi przeszkadza po fakcie? I przestać w kółko przepraszać?

Zrywam się z miejsca i gwałtownie odsuwam krzesło. Ten wybuch złości zaskakuje zarówno mnie samą, jak i wszystkich wokół.

- Clare! Co cię ugryzło? - pyta mama tonem, jakim gani się małe dzieci, kiedy zapomną powiedzieć „proszę” albo „dziękuję”. Albo takim, jakim zbeształa Hannah, kiedy upuściła na podłogę szklanę z wodą i zaklęła „cholera!”. Tonem, który oznacza, że jest zawiedziona. Tak jak teraz.

Opieram się o stół i na chwilę przymykam oczy. Zaczynam tracić nad sobą kontrolę. Otwieram oczy i uśmiecham się do rodziny.

- Przepraszam was bardzo. Alice, nie chciałam tak wybuchnąć.

- Nic się nie stało. - Wymieniają z Lukiem pełne współczucia spojrzenia.

Biorę głęboki wdech, próbując okiełznać zazdrość, która kolejny raz wzięła nade mną górę.

- Miałam ciężki dzień - mówię na swoje usprawiedliwienie. Może nie jest to świetna wymówka, ale przynajmniej prawdziwa. - Pójdę się odświeżyć. Przebiorę się w coś wygodnego i od razu poczuję się lepiej.

Luke nic nie mówi. Kiedy na niego spoglądam, unosi brwi i lekko kiwa głową. Widzę, że jest na mnie zły. Znam swojego męża na tyle dobrze, by wiedzieć, że przeholowałam. Z Lukiem bardzo łatwo się dogadać i trudno go zirytować. Tym razem naprawdę go rozzłościłam.

Kiedy wracam na dół, okazuje się, że Luke poszedł do pracowni, co jest niezbitym dowodem na to, że się obraził. Dziewczynki siedzą z Alice na kanapie w salonie, Chloe z jednej strony, Hannah z drugiej. Podejmuję nadludzki wysiłek, żeby zdusić w sobie kolejne ukłucie zazdrości.

- Co oglądacie? - Siadam na krześle obok kanapy.

Chloe odpowiada coś niewyraźnie, nie potrafiąc oderwać wzroku od ekranu.

Spoglądam w kierunku zdjęć na kredensie. Szybka w ramce naszej fotografii ślubnej pękła!

- Ojejku! Jak to się mogło stać? - Zrywam się z krzesła, podbiegam do zdjęcia i uważnie oglądam szybkę. Na środku jest pęknięcie otoczone drobną pajęczynką.

Alice podchodzi do mnie, żeby zobaczyć, co się stało.

- O nie! Clare! To wasze zdjęcie ślubne!

- Kto to zrobił? - Patrzę oskarżycielsko na Alice i dziewczynki. - Hannah, Chloe, wiecie coś na ten temat?

- Zdjęcie popsute. Biedne zdjęcie - rzuca zmartwiona Chloe, po czym z powrotem wlepia wzrok w telewizor.

Starsza córka nawet się nie odwraca.

- Hannah, słyszałaś, co mówię? Czy wiesz, kto stłukł ramkę ze zdjęciem? - pytam, a kiedy podnosi wzrok, nie jestem pewna, co widzę w jej oczach. Strach? Poczucie winy? Hannah kiwa przecząco głową. Podchodzę do niej i próbuję jeszcze raz: - Nie jestem zła, że ktoś potłukł ramkę, ale dlaczego nikt nie chce się przyznać? Powiedz mi prawdę i o wszystkim zapomnimy.

- To nie ja - bąka córka.

- W takim razie kto? Chloe? - Gdy Hannah wydyma usta i kiwa przecząco głową, wstaję i ruszam do kuchni, rzucając tylko: - Ktoś musi wiedzieć, jak do tego doszło.

W kuchni spotykam mamę, która zmywa naczynia.

- Och, to smutne, kochanie - mówi, kiedy pokazuję, co się stało. - Ale nie przejmuj się za bardzo. Przecież możemy wstawić nową szybkę.

- Nie o to chodzi. Przykro mi, że nikt mi o tym nie powiedział.

Nagle do pomieszczenia wchodzi Alice.

- Nie chciałam o tym mówić przy dziewczynkach, ale...

- Ale co? - rzucam wściekle.

- Dziewczynki były już w salonie, kiedy weszłam. Hannah stała przy zdjęciach. Nie twierdzę, że to jej sprawka, ale wyglądała, jakby czuła się winna.

- Okej, dziękuję - mówię, chociaż myślami przebywam już zupełnie gdzie indziej. Jest mi wstyd, że moja córka okłamała mnie na oczach innych. Wyjmuję zdjęcie z ramki i kiedy je oglądam, dostrzegam też drobne wgniecenie i rysę. Jestem pewna, że to nie był wypadek.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wieczorem, kiedy kładę Hannah do łóżka, czuję, że wciąż się na mnie dąsa.

- Obejrzymy zdjęcia? - proponuję, machając aparatem, który oczywiście przyniosłam z kuchni.

- Jak chcesz - rzuca niechętnie.

Może i stanowi teraz kwintesencję rozkosznej siedmiolatki - ubrana w słodką piżamkę w kotki, uczesana, czyściutka i pachnąca - ale zachowuje się jak zbuntowana nastolatka. Nie chodzi nawet o to, że jest niemila czy źle wychowana, po prostu traktuje mnie z pewną dozą obojętności, jakby ciężko jej było ze mną wytrzymać.

Siadam na łóżku i włączam aparat. Upominam się, żeby nie reagować przesadnie na zdjęcia Luke'a i Alice. Przeglądam fotografie, zadając pytania, i z każdą kolejną minutą Hannah rozpogadza się i z coraz większym entuzjazmem opowiada o zdjęciach. Nie wiem, czemu nie trafiam na zdjęcie Luke'a i Alice w parku Sea Life. Byłam pewna, że było gdzieś na początku. Postanawiam tego jednak nie komentować. Nie chcę znów psuć jej nastroju.

Kiedy kończymy, cieszę się, że poświęciłam czas na wspólne oglądanie. Luke ostrzegął mnie, że zdjęć jest dużo, ale dla mnie najważniejszy jest nastrój córeczki.

Przykrywam ją kołdrą i całuję w czoło.

- Dobranoc, skarbie - mówię. - Kocham cię bardzo. Wiesz o tym, prawda?

Hannah uśmiecha się.

- Ja ciebie kocham jak stąd do księżycy.

- A ja jak stąd do księżycy i z powrotem - odpowiadam.

- A ja jak stąd do księżycy i z powrotem, i z powrotem.

Uśmiecham się i przytulam ją mocno.

- A teraz czas spać. Musisz rano wstać do szkoły.

Gaszę światło i już mam wychodzić, kiedy Hannah wyznaje:

- To ja popsułam ramkę. - W ciemnościach jej głos brzmi ostro, jak brzytwa.

Zapalam światło i siadam z powrotem na brzegu łóżka. Głaszcząc ją po włosach, mówię:

- Wiem, skarbie. Ale to już nieważne. Nie martw się.

- Zdjęcie już było porysowane. Alice powiedziała, żeby ci nie mówić, bo będziesz się złościć.

Mimowolnie unoszę brwi zdziwiona tym, co powiedziała, ale chociaż staram się zachować jak dobra matka i zignorować tę uwagę, nie mogę się powstrzymać, żeby nie zapytać:

- Naprawdę? A co jeszcze powiedziała?

- Nic więcej. - Wzrusza ramionami. - Żeby odstawić je na miejsce.

- Tak czy inaczej, nie masz się już o co martwić. To tylko szkielecko. Wstawimy nowe - uspokajam ją. - Prawie zapomniałam! Spytałam ciocię, czy Daisy będzie mogła u ciebie zanoć. Zgodziła się.

- Hurra! Będziemy mogły pomalować paznokcie? I obejrzeć film? - pyta rozpromieniona Hannah.

- Oczywiście. I zrobię wam popcorn!

- Dziękuję, mamo! Jesteś najlepsza! - Daje nura pod kołdrę.

Cieszę się, że pójdzie spać w dobrym nastroju. Szkoda, że mojego nie da się naprawić równie łatwo.

Kiedy Luke przychodzi wieczorem do sypialni, czytam książkę w łóżku. A przynajmniej udaję, że czytam.

- Wszystko w porządku? - rzuca i wchodzi do łazienki.

Nie zamyka drzwi. Obserwuję go, jak myje zęby i obmywa twarz wodą. Mokrymi dłońmi przeczesuje włosy, a ja czuję ogarniającą mnie falę miłości. Nie cierpię się z nim kłócić. Luke nie lubi ostrych i długich sprzeczek, woli przeczekać i porozmawiać, kiedy emocje opadną. Rozbiera się do szortów i wchodzi do mnie, pod kołdrę, po czym wyjmuję mi książkę z dłoni.

- Powiesz mi, co się dzieje? - Lekko stuka mnie palcem w czoło.

- Nie chcę się o to kłócić.

- Ja też nie, kochanie. Posłuchaj, ja nawet nie miałem prawa głosu. To był pomysł twojej mamy. Co mogłem zrobić?

Zamykam na chwilę oczy.

- Wiem. Po prostu... Alice... Chryste, wiem, że zabrzmie jak pięciolatka, ale... mam wrażenie, że ona wszystko mi odbiera. Że odbiera mi moją rodzinę.

Kiedy mówię to na głos, dociera do mnie, jakie idiotyzmy plotę. W myślach miało to więcej sensu, ale teraz sama zaczynam wątpić w swoje słowa. Nagle przypomina mi się mina Hannah i znowu czuję ducha bojowego. Sięgam po nasze zdjęcie ślubne, już bez ramki, i podaję je Luke'owi.

- To nasze zdjęcie, które stało w salonie. Zauważyłam, że szkło w ramce pękło.

- Och, szkoda. - Bierze ode mnie fotografię. - Jest pogniecione. Zrobię nową odbitkę.

- Nie o to mi chodzi. Szybka nie byłaby tak popękana, gdyby ktoś przypadkiem strącił ramkę. Ktoś to musiał zrobić specjalnie.

- Mogło spaść i o coś uderzyć.

- Nie, nie mogło. - Siadam i biorę od niego zdjęcie. - To znaczy jeśli tak było, to jakim cudem zdjęcie jest tak zniszczone? Ktoś to zrobił specjalnie. Złośliwie.

Luke wzdycha głęboko i opiera się o zagłówek.

- Pewnie uważasz, że to sprawka Alice.

- Chciała zrzucić winę na Hannah. Powiedziała, że bawiła się zdjęciami. Za to Hannah powiedziała mi, że kiedy weszła do pokoju, zdjęcie było już porysowane, a Alice kazała jej nikomu o tym nie mówić. - Patrzę triumfalnie

na Luke'a, jakbym rozwiązała kryminalną zagadkę.

- Obie mogły skłamać.

- Sugerujesz, że zamiast córce powinnam zaufać obcej osobie?

- Obcej osobie? To twoja siostra!

- Jeśli to ma być moja siostra, to wolałabym, żeby nią nie była. - Zrzucam z siebie kołdrę, wychodzę z łóżka i narzucając szlafrok, dodaję: - I wcale nie podoba mi się, że malujesz jej portret.

- Tak właśnie wygląda niekłócenie się - mamrocze pod nosem Luke, kiedy wymaszerowuję z sypialni.

Mój szlafrok trzepocze jak żagiel na wietrze. Powstrzymuję się, żeby nie trzasnąć drzwiami, bo nie chcę obudzić dzieci. Kiedy wściekła ruszam na półpiętro, natychmiast wpadam na, jakżeby inaczej, Alice. Patrzy na dół, na korytarz. Łokciem opiera się o poręcz, jedną nogę ma ugiętą. Stopę opiera o balustradę. Wygląda, jakby pozowała do zdjęcia. Rozbieranego.

- Chryste, Alice, ale mnie wystraszyłaś!

- Wszystko w porządku, Clare? Słyszałam podniesione głosy.

Zawiązuję pasek od szlafroka i zaczynam się zastanawiać, od kiedy tu stoi.

- Nic mi nie jest, tylko idę po szklankę wody. A ty dobrze się czujesz? - I dodaję ze źle skrywanym sarkazmem: - Znowu masz problemy z adaptacją do strefy czasowej?

- U mnie w porządku, siostrzyczko. Zresztą jak mogłoby być inaczej po tak wspaniałym dniu z twoim mężem i córeczkami? - mówi z uśmiechem, od którego przechodzą mnie ciarki.

- Trzymaj się z dala od mojej rodziny - mówię stanowczo, ale na tyle cicho, żeby nikt więcej nie usłyszał. A na pewno nie Luke. Już i tak ma mnie za wariatkę.

Alice nie przestaje się uśmiechać. Odpycha się od poręczy i robi krok w moją stronę, po czym szepcze:

- Pamiętaj, Clare, twoja rodzina jest również moją.

- Nie zaczynaj ze mną - cedzę, kładąc nacisk na każde słowo. - Jeszcze pożałujesz - dodaję, chociaż sama nie mam pojęcia, co to właściwie za groźba. Nie czekając na odpowiedź, wymijam ją i ruszam schodami, które skrzypią przy każdym kroku. Kiedy docieram na dół, podnoszę wzrok. Oparta o balustradę Alice obserwuje mnie z tym samym protekcyjnym uśmiechem.

Nalewam wody do szklanki i piję powoli, żeby się uspokoić. Nie mam pojęcia, co się przed chwilą stało, ale czuję, że w naszej relacji nastąpił przełom. Zarówno Alice, jak i ja pokazałyśmy, jakie jesteśmy naprawdę.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale coś ciągnie mnie do studia Luke'a. Nigdy wcześniej nie poszłam tam sama z siebie. Nigdy nie czułam takiej potrzeby. To jego pracownia. Oczywiście zdarzało mi się tam zaglądać, ale nigdy, kiedy Luke'a nie było w pracowni. Przez chwilę waham się, trzymając rękę na klamce, ale wygrywa pokusa, żeby wejść do środka. Po cichu zamykam za sobą drzwi i przechadzam się po pomieszczeniu. Oglądam obrazy, które widziałam już setki razy. Na suszarce stoi pusta puszka po

farbie. W powietrzu unosi się zapach spirytusu, obok pędzli zauważam otwartą butelkę. Czerwona przykrywka leży tuż obok. Odruchowo zakręcam butelkę i odstawiam na miejsce. W koszu na śmieci przy zlewie leżą zabrudzone farbą szmaty. Wyglądają jak kalejdoskop. Kolory mieszają się ze sobą i układają w psychodeliczny wzór.

Czuję się jak intruz.

Na środku pokoju stoi obraz, który zamówiono z Londynu. Na moje oko jest już gotowy. Z pewnością mógłby uświetnić niejedną ścianę. Ale wiem, że zdaniem Luke'a jest przy nim jeszcze wiele do zrobienia. Zwykł mawiać, że diabeł tkwi w szczegółach.

Zauważam płótno stojące w rogu pracowni. Stoi na sztaludze przykryte białą tkaniną. A ja po prostu wiem, kto jest uwieczniony na tym obrazie. Nie mogę się powstrzymać i odsłaniam go.

Oto i ona. Alice, moja siostra.

Dobrze już znane uczucie zazdrości uderza mnie mocno, jakbym dostała pięścią w brzuch. Opieram się o blat. Pod palcami wyczuwam jakiś metalowy przedmiot. Sięgam po niego i spoglądam na dłoń. Srebrny nożyk do papieru. Idealnie leży w mojej dłoni. Trójkątne ostrze lekko wystaje poza obudowę. Luke zawsze zapomina go zamknąć. Spoglądam z powrotem na portret.

- Szmata - syczę napędzana kłębiącą się we mnie zazdrością.

Wracam do łóżka i przytulam się do Luke'a, który leży zwrócony plecami do mnie. Obejmuję go ramieniem. Przez chwilę wierci się i mamrocze jakieś niezrozumiałe słowa, po czym odwraca do mnie. Wsuwa dłonie pod kołdrę i kładzie na moich piersiach.

- Kocham cię - mruczy półprzytomny. Bierze głęboki wdech, zsuwa dłonie na moje biodra i przyciąga mnie do siebie. Przez chwilę myślę, że będziemy się kochać, ale jego oddech pogłębia się i mój mąż zapada z powrotem w sen. Jestem trochę rozczarowana, ale biorąc pod uwagę godzinę i to, że jutro idę do pracy, sama powinnam już zasnąć.

Wstaję przed budzikiem i jak każdego dnia szykuję się do wyjścia. Szkoła i przedszkole znowu są czynne. Kiedy zabieram Chloe na dół, zatrzymuję się przy pokoju Hannah, żeby ją obudzić. Przypominam sobie wczorajsze tête-à-tête z Alice. Nie jestem pewna, jak sprawy potoczą się dalej, ale jest mi przykro, że nasze relacje nie ułożyły się tak, jak to sobie wyobrażałam. Myślę o wszystkim, przez co przeszła. O zmarłym ojcu, o tym, że postanowiła odszukać mnie i mamę, a potem do nas przyjechać. Na pewno nie było jej łatwo. Postanawiam, że będę dla niej miłsza i pohamuję swoje, jak by to nazwać, paranoje na temat jej zachowania i ukrytych motywów.

O wilku mowa. Kiedy wchodzę do kuchni, Alice przygotowuje śniadanie. Nuci pod nosem piosenkę *Whistle while you work* z *Królowny Śnieżki* Disneya. Odwraca się do nas i uśmiecha, kiedy sadzam Chloe przy stole.

- Dzień dobry, Clare. Dzień dobry, Chloe. Właśnie nastawiam herbatę.

Zjecie tosta?

Jestem zbита z tropu jej ciepłym powitaniem. Zachowuje się, jakby nigdy nic. Nie ukrywam, że czuję ulgę. Może tylko wyolbrzymiam?

- Alice, odnośnie wczoraj... - zacznym.

- Wczoraj? - pyta zdziwiona.

- Na schodach... - próbuję uściślić.

Alice wciąż wygląda, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

- Na schodach?

- Tak. Kiedy wyszłam z sypialni, a ty opierałaś się o poręcz.

- Ach, to! Zapomnij o tym! - Macha ręką, jakby odganiała muchę. Podchodzi do mnie i przytula. - Obie byłyśmy zmęczone. Zaparzę ci herbaty.

- Podchodzi do dzbanka i nalewa do niego wrzątku.

- Dziękuję... - Wciąż myślę o naszej wczorajszej rozmowie, która przebiegła w nieprzyjaznej i ponurej atmosferze. W każdym razie tak ją zapamiętałam.

Alice odwraca się do mnie i mówi:

- Naprawdę nie przejmuj się, Clare. Masz sporo na głowie. Moja siostra była tak bardzo zestresowana, kiedy próbowała skończyć college i jednocześnie wychowywać dziecko, że któregoś dnia, kiedy zapytała mnie, czy mogłabym pożyczyć jej trochę pieniędzy, a ja odmówiłam tylko dlatego, że sama ich nie miałam, wybuchła. Myślała, że coś przed nią ukrywam. Oskarżała mnie o wszystko, co tylko możliwe. Strasznie się pokłóciłyśmy. Dopiero kilka tygodni później, kiedy przeżyła załamanie nerwowe, uświadomiliśmy sobie, z jak dużym stresem się zmagala. Od tamtej pory jestem o wiele bardziej tolerancyjna. Tak to już jest z chorobami psychicznymi. Trudno je zauważyć i nie zawsze od razu rozpoznajemy symptomy. Teraz jestem bardziej świadoma takich rzeczy.

Przez chwilę milczę, myśląc o tym, co powiedziała. Coś mi nie pasuje w tej historii. Po chwili dociera do mnie co.

- Twoja siostra?

- Tak.

- Masz siostrę?

Alice stoi tyłem do mnie, więc nie widzę jej twarzy, ale nie umyka mi, że cała się spina. Po chwili odwraca się do mnie i z szerokim uśmiechem mówi:

- Moja przybrana siostra. No wiesz, córka Romy. Mieszkała u nas przez jakiś czas.

- Ach tak. Nigdy o niej wcześniej nie wspominałaś.

- Jak już mówiłam, mieszkała z nami tylko przez kilka miesięcy. Nigdy nie nawiązałam z nią głębszej więzi. Wychowywała się w Georgii.

- Dzień dobry, dziewczyny - przerywa nam mama. Uśmiecha się i daje Chloe całusa, po czym kładzie rękę na moim ramieniu. - Widzę, że dzisiaj będziemy rozpieszczane. Alice szykuje śniadanie!

- Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić w podzięce za opiekę nade mną. - Całuje mamę w policzek.

Spoglądam na kalendarz na ścianie i mówię:

- Jesteś w połowie pobytu w Anglii. Za kilka tygodni wracasz. - Nie umyka mi poczucie ulgi, którego doświadczam, gdy wypowiadam te słowa. Jednak dociera do mnie, że mama i Alice wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- O co chodzi? - pytam.

- Skoro już o tym mowa... Poprosiłam Alice, żeby została u nas. Żeby nie wracała do Ameryki - odpowiada mama.

- Naprawdę? Kiedy? Nie wiedziałam o tym...

Jestem skołowana. Nie spodziewałam się tego, a przecież jako prawniczka powinnam być gotowa na wszystko.

- Wczoraj ją zapytałam. A ona się zgodziła! - Mama łapie Alice za rękę i uśmiecha się od ucha do ucha, a potem składa dłonie, jakby przytulała siebie samą. Przypomina mi w tym Hannah, kiedy zabrałam ją do Disneylandu i zobaczyła „prawdziwego” Kopciuszka. Mama wygląda teraz tak samo. Nie posiada się ze szczęścia. Ma własną księżniczkę Disneya, własnego Kopciuszka.

Natomiast ja czuję się jak brzydsza siostra zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. Nie potrafię zwalczyć zżerającej mnie od środka zazdrości. A jednak, zupełnie jakbym była sterowana pilotem, podchodzę do Alice i przytulam ją.

- To świetnie!

Do kuchni wchodzi Hannah. Siada przy stole, a ja skupiam się na przygotowaniu jej śniadania.

- Tatuś już wstał? - pytam. Wiem, że Luke nie lubi rano wstawać, ale nigdy nie przegapia śniadań.

- Niedawno tędy przechodził - mówi Alice, zanim Hannah zdąży odpowiedzieć. - Pewnie poszedł do pracowni.

- Zaniosę mu kawę - podejmuję spontaniczną decyzję, żeby się z nim pogodzić. Możemy pójść wieczorem na randkę. Przeproszę go za swoje zachowanie. Może jest tak, jak mówi Alice? Stres i praca dają mi się we znaki i wszystko wyolbrzymiam. Zaczynam nawet dopowiadać sobie rzeczy, które nie miały miejsca.

Nagle w korytarzu pojawia się Luke. Jest wściekły. Mój plan, żeby się wieczorem pogodzić, upada w mgnieniu oka.

- Clare. Na słówko - mówi tak stanowczo i zajadle, że zaczynam czuć lęk. Czeka, aż wstanę, i znika w korytarzu.

Mama wygląda na przerażoną. Dziewczynki przestają jeść. Nawet Chloe wyłapuje, że Luke jest w podłym nastroju. Tylko Alice wygląda na niewzruszoną. Uśmiecha się do mnie. Nie do końca rozumiem, co oznacza jej uśmiech, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Muszę porozmawiać z Lukiem.

Atmosfera w pracowni jest napięta, jakby na każdym kroku czaiła się mina. Luke stoi z tyłu pomieszczenia, plecami do mnie. Podchodzę do niego i wtedy zauważam, co się stało...

Portret Alice został pocięty. Nie raz, nie dwa, nawet nie trzy razy, ale setki. Środek portretu, tam gdzie była namalowana twarz, jest cały

w strzępach. Nawet nie widać, co tam wcześniej było. Wygląda jak popularne w latach siedemdziesiątych drzwi ze strzępków szmat, które miały chronić przed muchami. Z prawego górnego rogu ramki wystaje srebrny nożyk do papieru.

- Jezu Chryste... - Nie jestem w stanie wydusić z siebie nic więcej.

- Ty idiotko! Po co to zrobiłaś, do cholery? - Jestem przyzwyczajona do tego, że Luke przeklina. Nie przeszkadza mi to, ale jeszcze nigdy nie słyszałam w nim tyle gniewu. Łapie mnie z ramiona, odwraca w swoją stronę. Krzyczy mi prosto w twarz: - Jesteś pieprzoną wariatką! Chyba oszalałaś! Masz nierówno pod sufitem! - Puka się w czoło i odpycha mnie, a ja tracę równowagę.

- Nie zrobiłam tego - zapewniam, ale nawet w moich uszach te słowa brzmią żałośnie i nieprzekonująco.

- Bzdura! Oczywiście, że to ty! A skoro jesteś prawniczką, to może pobawimy się w szukanie dowodów? Wczoraj wieczorem się pokłóciliśmy. Zniknęłaś na dole, a potem zobaczyłem to. A teraz powiedz mi, na co twoim zdaniem wskazują te fakty, wielka pani adwokat?

Mam ochotę powiedzieć, że to tylko poszlaki, ale powstrzymuję się. Rozumiem, dokąd zmierza, dlatego powtarzam:

- Luke, przysięgam, że tego nie zrobiłam. - Tak mi się przynajmniej wydaje, jednak nie mogę udawać przed samą sobą, że nie przeszło mi to przez myśl. Bo jednak jest to prawdopodobne. Na przykład wpadłam w szal zazdrości i doznałam zaćmienia, o jakim opowiadają moi klienci, kiedy całkowicie tracą kontrolę nad swoimi czynami. Nigdy nie byłam przekonana do tej linii obrony, ale teraz sama zaczynam się zastanawiać.

Luke podnosi butelkę spirytusu. Tę, którą zakręciłam wczoraj w nocy.

- Tylko ty mogłaś to zrobić. - Wali ręką w nakrętkę. Nie musi mówić nic więcej. Oboje wiemy, co ma na myśli. Ciska butelkę do zlewu, po czym podchodzi do mnie, łapie za ręce i podnosi, żeby je obejrzeć. Spogląda na nas plama zielonej farby. - Byłaś tu - rzuca oskarżycielsko.

Czuję, że do oczu nachodzą mi łzy. Mrugam, żeby je powstrzymać, nie chcę, żeby mnie zdradziły. Luke pomyśli, że to łzy skruchy, a nie strachu. Co, jeśli faktycznie zniszczyłam jego obraz?

Wracam myślami do wczorajszej nocy. Pamiętam, że tu byłam i patrzyłam na portret. Pamiętam uczucie zazdrości, które we mnie wywołał, a także to, jak podniosłam nożyk do papieru. Nie pamiętam jednak, żebym pocięła portret. Spoglądam na poszarpane płótno. To dzieło kogoś, kto wpadł w szal. Tak bym to opisała w sądzie. I gdybym broniła sprawcy, pewnie wnioskowałabym o uznanie, że w chwili popełnienia czynu był w stanie ograniczonej poczytalności. Czy to mogłam być ja? Ja to zrobiłam? Czy jestem zdolna do takiego aktu?

Luke musiał uznać moje milczenie i łzy za przyznanie się do winy. Popycha mnie do drzwi i na odchodne rzuca jeszcze:

- Wynoś się do swojej pracy, Clare. Nie mogę na ciebie patrzeć.

Kuśtykając, wychodzę na korytarz. Alice stoi w drzwiach do kuchni.

Widziała całe to zajście. Tym razem ja wybucham.

- Ty to zrobiłaś! - Ruszam w jej kierunku. - Zrobiłaś to, przyznaj się!

Kiedy jestem tuż przy niej, z kuchni niespodziewanie wyłania się mama i staje między nami. Alice chowa się za nią jak za tarczą i odpiera mój atak:

- Clare, przestań. Nie wiem, o czym mówisz. Proszę, przestań, boję się ciebie!

- Doskonale wiesz, o czym mówię! - znów krzyczę.

Mama próbuje mnie odepchnąć i mówi, żebym zostawiła Alice w spokoju, ale nie mogę przestać krzyczeć na siostrę.

- Przyznaj się! Przyznaj!

Ktoś kładzie mi ręce na ramionach i odciąga od Alice. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że to Luke. Zawsze rozpoznam jego dotyk. Chce mi się płakać. Mam ochotę odwrócić się i schować w jego objęciach. Tak bardzo pragnę, by mi powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ale to marzenie ściętej głowy.

Nagle uświadamiam sobie, że Chloe płacze. Zaglądam do kuchni. Hannah jest przerażona. Dom wygląda jak pub w trakcie pijackiej bójki, tyle że nikt z nas nie jest pijany.

Luke ciągnie mnie korytarzem do drzwi wejściowych. Po drodze chwyta moją kurtkę, teczkę i klucze do domu.

- Wyoś się stąd, Clare. I nie wracaj, dopóki się nie uspokoisz i nie będziesz w stanie wszystkich przeprosić.

Otwiera drzwi, po czym wypycha mnie z domu na podjazd. Na dworze panuje przejmujący chłód, który studzi mój gniew.

- To nie ja zniszczyłam portret. Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego - mówię spokojniej.

- A jednak ktoś to zrobił, a ja bardzo wątpię, żeby to była Alice. W końcu sama mnie poprosiła, żebym go namalował. - Jego głos drży ze złości.

Rozumiem jego reakcję, rozumiem, że jest wściekły. Wkłada w sztukę całą swoją duszę, więc zniszczenie portretu uznał za bezpośredni atak na swoją osobę. Obrazy są dla niego przedłużeniem samego siebie, swoistym dopełnieniem ego.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. Wiem, ile znaczą dla ciebie twoje obrazy. Proszę cię, Luke, uwierz mi.

Zdaję sobie sprawę z błagalnego tonu, on na pewno też. Zaplata palce z tyłu głowy, po czym odwraca się i rusza do środka, ale po chwili zmienia zdanie. Bierze głęboki wdech, podpira głowę na dłoni, po czym opuszcza ręce. Jest spokojniejszy, ale w powietrzu wciąż unosi się wulkaniczny pył i wystarczy iskra, żeby spowodować kolejny wybuch.

- Idź do pracy, Clare. Pozbieraj się. Porozmawiaj z Leonardem. Jeśli coś ci to da, to możesz nawet porozmawiać z Tomem, byleby znalazł się ktoś, kto potrafi spojrzeć na to wszystko z dystansu. Ja przebywam w samym centrum zdarzeń i jestem tak wściekły, że przynajmniej teraz nie mam siły o tym rozmawiać.

- Przepraszam - niemal szepczę, i brzmi to żałośnie. Przecież nawet nie

wiem, za co przepraszam.

- Porozmawiamy wieczorem, kiedy wrócisz. Wszyscy będziemy spokojniejsi.

Przez chwilę patrzy mi w oczy, po czym odwraca się i znika na schodach. Patrę, jak wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Zostawia mnie samą na podjeździe. Cała moja rodzina jest w domu. Wszyscy, tylko nie ja.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Wyglądasz jak siedem nieszczęść! - zauważa Tom, kiedy wchodzi do pracy.

- Nie jestem w nastroju na pogaduszki - rzucam oschle. Chcę iść prosto do swojego gabinetu, chociaż nogi chyba mają inne plany, bo zatrzymuję się.

Tom łapie mnie pod rękę i prowadzi do kuchni.

- Kawa. I to mocna, sądząc po twoim wyglądzie.

Opieram się o blat i patrzę. Tom zaparza kawę, jak zawsze nucąc coś pod nosem. Zupełnie jak Alice dziś rano. Biorę od niego kubek i pytam:

- Czy kiedykolwiek zdarzyło mi się o czymś zapomnieć? Nie mam na myśli tych wszystkich prozaicznych rzeczy. Wiem, że czasem zapominam, gdzie położyłam klucze albo czy zabrałam z domu telefon. Ale chodzi mi o ważniejsze sprawy. Na przykład o coś, co zrobiłam. Czy kiedykolwiek zapomniałam o czymś takim?

Tom przechyla głowę na bok i zastanawia się nad odpowiedzią.

- Kiedyś zapomniałaś kupić mi prezent urodzinowy. Na moje dwudzieste drugie urodziny, pamiętam to, jakby zdarzyło się dziś.

W każdej innej sytuacji ten żart by mnie rozbawił. Luke'owi też kiedyś nie kupiłam prezentu na urodziny i często się z tego śmiejemy. To było wtedy, kiedy poszłam na imprezę, po czym straciłam przytomność i spędziłam trzy dni w łóżku, przez co przegapiłam jego święto.

- Mówię poważnie, Tom. Czy kiedykolwiek lunatykowałam? No wiesz, w czasach, kiedy studiowaliśmy na Oksfordzie.

- Niczego takiego nie pamiętam. A co się stało?

- Jesteś pewien, że nigdy nie lunatykowałam? Pamiętasz, jak niedługo po ukończeniu studiów powiedziałam ci, że miałam bardzo dziwny sen? Ten, który często do mnie wraca...

- Ach, TEN dziwny sen! Ten, w którym... - Zaczyna gestykulować, jakby bał się powiedzieć na głos, o czym myśli. Kiedyś po przebudzeniu byłam pewna, że uprawiałam z kimś seks, ale nie pamiętałam z kim. Do tego wydawało mi się, że brałam udział w sesji zdjęciowej *Playboya*.

- Tak, ten sen - powtarzam, żeby skrócić męczarnie Toma. Czasami na samą myśl o tym śnie robi mi się tak głupio, że zaczynam się zastanawiać, czy to aby nie była jawa.

- Wszystko w porządku, Clare? Myślisz, że lunatykowałaś? Wtedy, kiedy przyśnił ci się ten sen, byłeś w kiepskiej formie. Pamiętasz?

- Tak. Bóle głowy, stres, drgawki i tak dalej. Pewnie mój organizm chciał mi powiedzieć, że za bardzo się martwię egzaminami i poszukiwaniem Alice.

- Czyżbyśmy mieli powtórkę z rozrywki? - sugeruje Tom.

Nagle do kuchni wchodzi Leonard. Zawsze potrafił zwęszyć kłopoty.

- Właśnie was szukałem! Co się dzieje? - Mierzy nas wzrokiem. Leonard ma świetne wyczucie i zawsze wie, kiedy coś jest nie tak. Czasami mam wrażenie, że potrafi czytać mi w myślach. - Problemy z rodzinką?

- Można tak powiedzieć. - Składałam im okrojoną relację z wydarzeń od wycieczki do Sea Life do zniszczeniu obrazu. - Myślę, że Luke bardziej się wścieka za to, że zniszczyłam jego dzieło, niż za to, z jakiego powodu to zrobiłam.

- Przestań! - Leonard powstrzymuje mnie nie tylko słowem, ale i gestem. - Oskarżasz się o coś, czego nie zrobiłaś. A przynajmniej nie mamy żadnego dowodu.

Koryguję więc swoje słowa i wyznaję partnerom, którzy są jednocześnie moimi najlepszymi przyjaciółmi:

- Luke jest zły, bo MOGŁAM zniszczyć jego obraz. Ale zaczynam się bać, że niedługo sama w to uwierzę.

- Na pewno nie jest to łatwe dla nikogo z was. Coś takiego zdarza się tylko w filmach, a tu... No cóż, by to naprawić, będziecie musieli nieźle się przyłożyć i wykonać mnóstwo pracy - stwierdza Leonard.

- Jakie wrażenie sprawiła na was Alice, kiedy ją poznaliście? - pytam.

- Była bardzo miła - jako pierwszy odpowiada Tom.

- Miła?! Jezu Chryste! Dlaczego wszyscy ciągle rozwodzą się nad tym, że jest taka miła?

- Może to po prostu prawda? - kontruje Tom. - Ale dobrze, postaram się o trochę mniej powierzchowny opis. Wyglądała na zestresowaną, ale też bardzo szczęśliwą. To było szczere. Kiedy z nią rozmawiałem, mówiła o tobie i mamie w samych superlatywach. O Luke'u też.

- No właśnie, o Luke'u. Przysięgam, że się w nim podkochuje.

- A czy on to odwzajemnia? - pyta Tom.

- Czy odwzajemnia?! Mam nadzieję, że nie! - rzucam zła jak diabli, że Tom w ogóle mógł tak pomyśleć. To, że ja tak uważam, wcale jeszcze nie znaczy, że chcę, by inni tak myśleli. Cała się najeżam. - Po prostu mogłaby nie być taka wylewna.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. - Tom kapitulanko unosi rękę. - Tylko głośno myślałem, jak to jest być podziwianym przez kogoś innego niż własna żona. Ale jestem pewien, że Luke'owi taka adoracja nie za bardzo odpowiada. Ma za dużo do stracenia.

Rzucam Tomowi surowe spojrzenie. Nie podoba mi się trop, którym idzie.

- Czasami lepiej przeprosić, tak dla świętego spokoju. - Leonard poklepuje Toma po plecach. - Raczej nie pomagasz, kolego.

- Przepraszam - mruczy skruszony Tom.

- Zapomnijcie o tym. - Lekceważąco macham ręką.

- Natomiast ja odniosłem wrażenie, że Alice jest sympatyczną młodą damą, która jednak za bardzo się stara, żeby ją polubiono - oznajmia Leonard.

- Czyli oboje uważacie, że ta miła dama nie mogła zniszczyć obrazu. A jeśli nie ona, to pada na mnie. No i po zabawie. Luke ma rację, to ja jestem

wariatką. – Odstawiam kubek z kawą. – Na mnie już czas. Muszę zrobić porządek w aktach i wysłać parę mejli w sprawie McMillana.

Wychodzę z kuchni. Nie jestem z siebie dumna. Poprosiłam ich o radę, a potem obraziłam się, bo nie spodobało mi się to, co powiedzieli. Czyli taka właśnie jest prawda o mnie?

Kiedy wydaje mi się, że gorzej już być nie może, okazuje się, że nie mogę znaleźć akt McMillana. Zabrałam je do domu, żeby poczytać zeznania w niedzielę po południu. Sięgam pamięcią wstecz. Pamiętam, że wyjęłam je z szafki na dokumenty i jestem pewna, że włożyłam do teczki. W niedzielę nie miałam czasu, żeby na nie rzucić okiem. Więc gdzie one są, do cholery? Powinny być w mojej teczce.

Zaglądam jeszcze raz do środka. Powoli zaczynam panikować. Ja nie gubię akt. Jestem świetnie zorganizowana. Przez całe życie ani razu nie zgubiłam żadnych dokumentów. Wyteżam umysł, próbując przypomnieć sobie, co było w aktach. Na pewno mamy kopię całej korespondencji w plikach elektronicznych. Nie jestem pewna, czy były tam też jakieś oryginały. Do jasnej cholery! Będę musiała drugi raz aplikować o dokumenty prawne, co na pewno nie podziała na moją korzyść. Do tego dojdą dodatkowe koszty, nie wspominając już o opóźnieniach.

Dzwonię do asystentki.

– Cześć, Sandy. Jaką część akt McMillana mamy na komputerze?

– Około osiemdziesięciu procent. Coś się stało?

Nie chcę przyznawać się do tego, że zgubiłam akta, więc mówię, że zostawiłam je w domu, i pytam:

– Gdzie znajdę pliki?

– Prześlę ci link.

– Dziękuję. – Nie umyka mi, że Sandy jest zaskoczona, kiedy słyszy o moim przeoczeniu.

Dostaję link w przeciągu minuty. Bez Sandy byłabym zgubiona. Niech mnie Bóg strzeże, jeśli kiedyś postanowi poszukać sobie innej pracy. Klikam w link i żółtą ikonkę folderu. Pojawia się czarny ekran i komunikat, że „folder jest pusty”. To dziwne. Wracam do mejla z linkiem i powtarzam cały proces. To samo. Dzwonię jeszcze raz do Sandy.

– Wyświetla mi się pusty folder. Czy to na pewno dobry link?

– Powinien być dobry. Poczekaj, sprawdzę. – Słyszę, jak stuka w klawiaturę. – Mam folder... otwieram... hm, to dziwne. Spróbuję jeszcze raz.

Zaczynam czuć ucisk w klatce piersiowej.

– Przykro mi, Clare, nie mam pojęcia, co się stało. Plik jest pusty, chociaż nie powinien. Zaktualizowałam go w zeszłym tygodniu.

– Może mamy backup?

– Jest robiony raz w tygodniu. Zapytam Ninę. Zazwyczaj robi go w piątki.

Czekam cierpliwie, ale kiedy mija pięć minut, a Sandy nie wraca, idę jej poszukać. Stoi przy biurku Niny. Podnoszą wzrok, kiedy wchodzę, i po ich minach od razu widzę, że nie mają dobrych wieści.

- Jaki mamy werdykt? - pytam, choć domyślam się odpowiedzi.

- Nina wyszła w piątek wcześniej - informuje mnie Sandy. - Źle się czuła.

- Przykro mi - mówi ledwie słyszalnie Nina.

- A kto robi backupy pod nieobecność Niny?

- Ja albo któraś z sekretarek. - Sandy wlepia wzrok w ziemię. - Nikt nie jest do tego na stałe wyznaczony.

- Czyli o tym, czy zrobicie backup, decyduje przypadek? - Carr, Tennison & Eggar nie działa w ten sposób. Jesteśmy dobrze zorganizowaną spółką. - A co z backupem z jeszcze poprzedniego tygodnia? Są kasowane dopiero po czterech tygodniach, prawda?

- Przepraszam, Clare, ale w minionym tygodniu nie wgrałam pliku - mówi Sandy.

- A kiedy ostatnio to zrobiłaś? Który backup będzie zawierał najbardziej aktualne dane? - pytam spokojnie, chociaż jestem przerażona i gotuję się ze złości. Jednak po chwili ostatecznie tracę cierpliwość: - Sandy, o jakim przedziale czasowym mówimy?

- Trzy tygodnie. Robię to zawsze na początku miesiąca.

- Kur... - Urywam przekleństwo. A może tylko mi się tak wydaje? - Kurwa mać! - tracę wszelkie hamulce. - Kto wymyślił taki system?! - Nie czekając na odpowiedź, idę do swojego biura, krzycząc przez ramię: - On jest do dupy! Trzeba go natychmiast zmienić! Zostajemy dziś po godzinach, żeby się tym zająć!

Trzaskam drzwiami i padam na krzesło. Zachowałam się jak skończona hipokrytka i prymityw. Ochrzaniłam dziewczyny, a przecież wszystko zaczęło się od tego, że sama zgubiłam te cholerne akta.

- Jasna cholera! - Ze złości kopię kosz na śmieci.

Nagle drzwi do mojego biura otwierają się z takim impetem, że odbijają się od gumowego stopera. Przebiegają mnie ciarki i aż podskakuję na wspomnienie ojca, który też tak trzaskał drzwiami. Przez chwilę jestem pewna, że do pomieszczenia wejdzie Patrick Kennedy, ale zamiast niego wchodzi Leonard. Ciska drzwiami o framugę, a one zatrząskują się z hukiem.

- Do diabła, co się dzieje, Clare? - mówi cicho, ale gniew w jego głosie jest wyraźny. - Z mojego gabinetu słyszałem, jak darłaś się na asystryntki. Dobrze, że akurat nie miałem żadnego klienta, chociaż nie jestem pewien, czy Tom mógłby powiedzieć to samo.

- Nie mamy backupu! Nasz system jest do bani! To, czy mamy backup, zależy tylko i wyłącznie od tego, czy komuś akurat chciało się go zrobić - wygłaszam swoją obronę.

- Ale to nie jest powód, żeby krzyczeć na wszystkich wokół i kłąć jak szewc na personel. To nieprofesjonalne i nieuprzejme.

- Przepraszę Sandy i Ninę. - Podnoszę ręce jak poddający się przestępca, a Leonard przygląda mi się bez słowa. - No przestań już. Nie musisz mnie tak świdrować wzrokiem. Zaraz je przeproszę.

Wstaję, żeby to zrobić, ale mnie zatrzymuje:

- Zanim pójdziesz, czy mogłabyś mi wytłumaczyć, co się właściwie dzieje?
- Nie wzięłam ze sobą akt. Zostawiłam je w domu. Poprosiłam o cyfrową kopię, ale jest nieaktualna. W piątek Nina zwolniła się wcześniej i nikt tego za nią nie zrobił. Sandy nie zaktualizowała pliku przez ostatnie trzy tygodnie. Nikt nie ma aktualnych danych. Mam dzisiaj spotkanie i potrzebuję tych danych.

- O których aktach mówisz?

Liczyłam na to, że nie zapyta...

- McMillana.

- A kiedy mówisz, że nie masz ich przy sobie, co dokładnie masz na myśli?

Czuję się jak niegrzeczne dziecko przyłapano na tym, że nie odrobiło pracy domowej. Przez chwilę rozważam użycie wymówki pod tytułem: „Pies zjadł mi zeszyt”, ale przecież nie mam psa.

- Zostawiłam w domu.

- Nie możesz po prostu skoczyć po nie, skoro to takie pilne? - pyta Leonard, a ja rozważam kupno psa, wystawienie rachunku z datą wsteczną i podłożenie fałszywego dowodu na miejsce domniemanej zbrodni. - Zgubiłaś je, prawda?

- Myślałam, że są w mojej aktówce. Przynajmniej były tam jeszcze w piątek.

- Zabrałaś je do domu? Gdzie je czytałaś?

- Tu leży pies pogrzebany. Nie miałam czasu ich przejrzeć.

- Chcesz mi powiedzieć, że zgubiłaś akta?

- Na to wygląda. Muszę jeszcze poszukać w domu, być może wyjęłam je z teczki i zapomniałam schować. Albo po prostu tego nie pamiętam. Równie dobrze mogłam je włożyć do plecaka Hannah.

- Co?! - wścieka się Leonard.

- Przepraszam, żartowałam. - Jednak dociera do mnie, że nie uda mi się rozładować napięcia. - Przełożę spotkanie i po prostu znajdę te cholery... akta.

- Nie mogłaś zgubić akt jakiejś durnej sprawy rozwodowej? Musiałaś zgubić akurat TE? - Znowu serwuje mi karcące spojrzenie. Ze wstydu mogę tylko wlepić wzrok w biurko. - Przeprós Sandy i Ninę.

Wychodząc, znów trzaska drzwiami.

Zastanawiam się, czy zadzwonić do domu i poprosić mamę albo Luke'a, żeby poszukali akt, ale nie robię tego. Przecież nie jestem tam dzisiaj mile widziana. Tutaj zresztą też nie. Biorę torebkę i ruszam do knajpki po drugiej stronie ulicy. Kupuję kilka porcji tortu z kremem i gorącej czekolady ze wszystkimi możliwymi dodatkami: bitą śmietaną, czekoladową posypką i piankami. Wracam do Sandy i Niny przeprosić za to, że zachowałam się jak głupia krowa, i złożyć na ich ręce dar pojednania.

To dobre ćwiczenie przed wieczorem, kiedy będę musiała płaszczyć się przed domownikami. Nagle słyszę wibrowanie telefonu. To SMS od Pippy:

Masz ochotę na szybką kawę aka kieliszek wina? Jestem w mieście. Xx

Od razu poprawia mi się humor. Dobrze będzie spotkać jakąś przyjazną

duszą. Proponuję spotkanie za godzinę.

McMillan nie był zachwycony, ale na szczęście udało mi się przełożyć spotkanie i sześćdziesiąt pięć minut później siadam w knajpce przy oknie. Po raz pierwszy od wielu godzin mogę się zrelaksować.

- Tak się cieszę, że napisałaś. Mój dzień zaczął się koszmarne - mówię, rysując kciukiem wzorek na parze, która skropliła się na kieliszku. Opowiadam Pippie o tym, co się wydarzyło. Nie tylko o zgubionych aktach, ale też o porannym rozcieraniu.

Na co Pippa zadaje bardzo konkretne pytanie:

- Czym bardziej się martwisz? Zgubionymi aktami czy problemami z Alice?

- Sama nie wiem. Z aktami jakoś sobie poradzę, chociaż nie będzie to przyjemne. Nie mówiąc już o tym, że będę musiała przyznać się do tego, że zgubiłam tyle ważnych informacji - odpowiadam szczerze.

- A Alice? Z nią też sobie poradzisz?

Popijam wino, żeby zyskać trochę czasu na odpowiedź.

- Chciałabym, żeby to wszystko było łatwiejsze. Mam wrażenie, że całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Jeszcze nie jestem pewna co, ale coś mi tutaj po prostu nie gra. Być może zbyt wiele oczekuję? Nie jestem przecież naiwna i wiem, że takie sprawy wymagają czasu, ale zamiast być coraz lepiej, jest coraz gorzej. Czuję się, jakby Alice weszła w nasze życie w blasku chwały i wszyscy natychmiast się w niej zakochali. Poza mną oczywiście.

- Czyżbym wyczuwała nutkę zazdrości?

- To takie oczywiste? Chryste, nagle odkryłam, że jestem zazdrośnicą, chociaż nigdy siebie o to nie posądzałam. Ale czuję się, jakby Alice... - Milknę na chwilę, bo nie wiem, jak ująć to, o co mi chodzi, w taki sposób, by nie zabrzmiało dziecinnie.

- Zajmowała twoje miejsce? - podpowiada Pippa.

- No właśnie. Jestem żałosna, prawda? - bardziej oświadczam, niż pytam.

Kończymy wino i Pippa zamawia dwie kawy. Wolałabym jeszcze jeden kieliszek, ale biorąc pod uwagę fakt, że obie będziemy musiały wrócić do domów samochodami, kawa to lepszy wybór. Przez chwilę siedzimy w ciszy, ale czuję, że Pippa chce coś powiedzieć. Kiedy dostajemy kawę i kelner odchodzi, zaczyna mówić:

- Widziałam Alice u nas w miasteczku. Mówiła ci?

- Nie wspominała. Jestem zdziwiona, że ją rozpoznałaś. W końcu widziałas ją tylko raz, na przyjęciu.

- Właśnie o to chodzi. - Pippa odstawia filiżankę, opiera dłonie o stolik i pochyła się do przodu: - Na początku myślałam, że to ty.

- Ja?

- No właśnie, ty. Zdziwiłam się, że tu jesteś, ale potem pomyślałam, że pewnie wzięłaś sobie wolne. Alice była po drugiej stronie ulicy, przed chwilą wyszła ze sklepu. Ja byłam na dole wzgórza. Zawołałam do niej, ale nie usłyszała mnie, więc użyłam swojego talentu do imitacji przekupki z bazaru, który pomaga mi zawsze, kiedy Baz zamyka się w szopie w rogu ogródka,

skąd nic nie słyszy.

- Dlaczego myślałaś, że to ja?

- Właśnie do tego zmierzam. Miała włosy związane w koński ogon, zupełnie jak ty, nawet teraz. Była ubrana w ciemnoniebieskie dzinsy i trampki Converse'a, a do tego niebieski top w biało-zielone rybki.

- Taki sam, jak mój... Kupowałyśmy go razem w małym butik w dzielnicy handlowej The Lanes. Miałam go na sobie w sobotę... - Odstawiam kawę i pytam Pippy: - Ubrała się tak samo jak ja?

- Na tyle, że wzięłam ją za ciebie.

- Rozmawiałaś z nią?

- Tak, powiedziałam, że wyglądzie podobnie, a ona zaśmiała się i stwierdziła, że nie ma w tym nic dziwnego, skoro jesteście siostrami.

- Czemu to zrobiła? Czemu ubrała się jak ja?

- Nie chciałam ci o tym mówić, Clare, chociaż jako twoja przyjaciółka czułam, że powinnam. Ale zapomnij o tym. Przecież ja jej zupełnie nie znam.

- Możesz sobie darować te uprzejmości.

- No dobrze. Jest coś, co mi się w niej nie podoba. To tylko przeczucie, kobieca intuicja czy jak tam to nazwać, ale mam wrażenie, że coś jest z nią nie w porządku. Kiedy u was byliśmy, parę razy patrzyła na ciebie tak, jakby snuła plan zemsty. Za którymś razem zorientowała się, że na nią patrzę, i tak szybko zmieniła wyraz twarzy, że przez chwilę myślałam, że sobie to wszystko ubzdurałam. Uśmiechnęła się tak słodko, że aż zrobiło mi się niedobrze, a przecież wiesz, że uwielbiam słodczyce.

- Czyli wierzysz mi, że nie zmyślam?

- Wierzę. Kilka razy wtuliła się w Luke'a, a ja pomyślałam, że nieźła z niej aktorka, skoro tego nie zauważyłaś. Gdyby to był mój Baz, ruszyłabym prosto na nią i dała jej krztyczka w nos.

- Krztyczka? - powtarzam rozbawiona.

- Kiedy Daisy miała trzy latka, mówiła tak do Baza, kiedy bawili się w walkę. Tatusiu, dam ci zaraz krztyczka w nos!

Śmieję się z tego przejęzyczenia. Na chwilę zapominam o swoich problemach, ale kiedy spoglądam na zegarek, uświadamiam sobie, że muszę wracać.

- Dziękuję ci za rozmowę. Bardzo to doceniam. - Przytulam przyjaciółkę, kiedy stoimy już na zewnątrz. Zanim się rozstaniemy, pytam ją jeszcze: - Czy myślisz, że powinnam się jej obawiać?

- Chyba znasz już moją odpowiedź. Jest w niej coś podejrzanego. Być może macie to samo DNA, ale na mojego nosa to jedyne, co was łączy. Chociaż, podejrzewam, że Alice myśli zupełnie inaczej. Ani się obejrzysz, a zacnie zamiast ciebie przychodzić do biura. - Demonstracyjnie puka się w czoło, po czym rusza do samochodu, machając do mnie, zanim zniknie za rogiem.

Wracam do biura, rozmyślając o naszej rozmowie. Kiedy siadam przy biurku, podejmuję decyzję, co zrobić, i z powrotem wstaję.

- Sandy, wcześniej wracam do domu. Boli mnie głowa, no i muszę poszukać tych akt. Nie mam na dzisiaj już żadnych spotkań. Jeśli ktoś będzie

dzwonił, niech zostawi wiadomość. Zajmę się tym z samego rana.

- Dobrze, nie ma problemu. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

- Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam za mój wybuch.

Nie mówię Leonardowi i Tomowi, że wychodzę. Wstyd mi nawet spojrzeć im w oczy. Wiem, że Tom będzie chciał porozmawiać o moim dzisiejszym dramacie, ale brak mi na to siły. Mam na głowie ważniejsze sprawy.

Drogę do domu pokonuję w czterdzieści minut z małym hakiem. Na szosie do Little Dray jest spory ruch, ale na ostatniej prostej jest już pusto. Pod wiatą nie stoi żaden samochód. To dobrze, mama i Alice pewnie gdzieś wyszły. Przypomina mi się, że mama wspominała wczoraj, że chce jej pokazać klif Beachy Head. Snuję marzenia o tym, co najchętniej zrobiłabym z Alice, gdybym znalazła się z nią na urwisku, ale szybko odpycham tę wizję. Luke musiał pojechać po Chloe do przedszkola przy podstawówce w Budlington. Mam góra pół godziny, zanim wróci.

Jestem przekonana, że nikogo nie ma, ale na wszelki wypadek wołam:

- Cześć - i szybko sprawdzam parter.

Pusto. Wchodzę na górę i jeszcze raz wołam, chociaż jestem już pewna, że poza mną nikogo tu nie ma. Po chwili orientuję się, że stoję pod pokojem Alice. Możliwe, że jest w środku, ogląda telewizję, odpoczywa czy cokolwiek innego. Pukam.

- Alice? To ja, Clare. Jesteś tam?

Odpowiada mi cisza. Kładę rękę na okrągłej klamce i powoli przekręcam ją w prawo. Sprężyna mechanizmu skrzypi w akcie protestu. Zawsze tak było. Alice nigdy nie mogła w nocy wyjść bezgłośnie po szklanek wody, bo zdradzał ją ten dźwięk.

Dębowe drzwi lekko suną po dywanie, kiedy je otwieram. Zaglądam do środka. Łóżko jest pościelone. Puchowa kołdra starannie ułożona. Zasłony są odsłonięte, okno uchylone. Firanka lekko powiewa na wietrze.

Patrzę na kolejne drzwi. Kiedyś była tu garderoba, ale ojciec ją przerobił podczas remontu. Dokonał w domu wielu renowacji, począwszy od tego, że w każdym pokoju wybudował łazienkę. Mglisto pamiętam, jak kiedyś kłócili się z mamą w kuchni. Mówili coś o bed and breakfast. Wtedy nie rozumiałam, o co im chodziło, ale kiedy dorosłam, domyśliłam się, że tata chciał w taki sposób przerobić dom, by wynajmować pokoje. Mama nie chciała. A cała ich dyskusja i tak okazała się jałowa, bo kilka miesięcy później ojciec zniknął.

Ostatni raz wołam Alice, żeby upewnić się, że nie ma jej w łazience, po czym wchodzę do środka przez uchylone drzwi. Otwieram szafę. W środku wisi sporo ubrań. Jestem zaskoczona, że Alice utrzymuje taki sam porządek jak ja. Koszulki w jednym miejscu, potem spódnice i żakiety. Ma dużo mniej ubrań niż ja. Zaczynam przeglądać koszulki, wieszak po wieszaku. Znajduję swój niebieski top w zielone i białe rybki. Wisi na środku szafy. Pippa miała rację! Nie to, że nie ufałam swojej najlepszej przyjaciółce, ale jednak wołam zobaczyć to na własne oczy. Tuż obok kolejne zaskoczenie. Biało-niebieska koszulka w paski z czerwonymi lamówkami. Mam dokładnie taką

samą. Zaczynam przeglądać resztę ubrań. Szybko znajduję też niebieską dzinsową spódnicę, którą włożyłam do topu w rybki.

Złęknioma robię krok w tył, jakbym odsuwała się od krawędzi przepaści. Zaczyna kręcić mi się w głowie i potrzebuję chwili, żeby się uspokoić. Zamykam na chwilę oczy. Kiedy je otwieram, jeszcze raz spoglądam na ubrania. Są takie same jak moje. A może po prostu są moje?

Idę do swojej sypialni, otwieram szafę i wyjmuję ubrania, przesuwam wieszak po wieszaku w poszukiwaniu tych, które przed chwilą widziałam w garderobie Alice. Nie znajduję ich.

- To moje ubrania! - wściekam się, ale słysząc własny krzyk, trochę przytomnieję. Puls mi szaleje, mam przyspieszony oddech. Muszę się uspokoić. Co z tego, że moje ubrania są w pokoju Alice? Pewnie je pożyczyła. Już wcześniej jej się to zdarzyło.

Wracam do jej pokoju, żeby je zabrać, ale po chwili zmieniam zdanie. Ten fakt może zadziałać na moją korzyść. Robię porządek w szafie, odwieszam ubrania w tej samej kolejności, w jakiej je znalazłam.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Moją uwagę przyciąga toaletka, a konkretniej stojąca na niej buteleczka perfum. Ma srebrną nakrętkę i kształt klepsydry. Nie muszę nawet wachać, by wiedzieć, że to takie same perfumy, jakie mam u siebie. Z Avonu. Gdzie ona je dostała? To już istny relikw! Kupiłam je na wyprzedaży kilka lat temu. Posłużą mi za kolejny dowód.

Siadam na krześle przy toalecie i chociaż wiem, że nie powinnam, bez skrupułów zaczynam przeglądać zawartość szuflad. Alice układa bieliznę dokładnie tak samo jak ja, co już mnie nie dziwi. Zamykam szuflady i spoglądam w lustro. Myślę o zdjęciu z przyjaciółką, które nam wysłała. Byłyśmy z mamą takie szczęśliwe, że się do nas odezwała.

W lustrze dostrzegam szafkę nocną. Korci mnie, żeby i ją przeszukać. Skoro przejrzałam już zawartość szuflad, równie dobrze mogę iść na całość. Po co się powstrzymywać?

Wysuwam szufladę i zamieram ze zdziwienia. Srebrna ramka, taka sama jak ta, w którą oprawiłam zdjęcie ślubne. Ale nie chodzi tylko o ramkę. W środku jest zdjęcie. Alice na bulwarze w Brighton. Nie jest sama. Obok niej ramię w ramię stoi Luke. Obejmują się i uśmiechają do zdjęcia. Zasycha mi w gardle, tracę grunt pod nogami i siadam na brzegu łóżka. Czuję, że serce wyskoczy mi z piersi. Mrugam powoli i jeszcze raz spoglądam na zdjęcie, żeby upewnić się, że niczego sobie nie wyobrażam.

Wciąż tam są. Uśmiechają się do mnie. Mój mąż i moja siostra. Drwią ze mnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie mogę się doczekać, aż wrócą. Wreszcie pokażę Luke'owi i mamie, jaka naprawdę jest Alice. Wiem, że mama będzie zawiedziona, i trochę mi z tego powodu smutno, ale myślę, że na dłuższą metę lepiej będzie, jeśli pozna prawdę. Powinna wiedzieć o tym, że Alice jest zwodniczą manipulatką, która żyje fałszywymi przekonaniem, co wnioskuje z jej zdjęcia z Lukiem. Umieram z ciekawości, jak się z tego wytłumaczy.

Wracają do domu i oczywiście są zaskoczone tym, że mnie widzą. Mama pierwsza wchodzi do kuchni.

- Gdzie Alice? - pytam bez ogródek. Nie ma czasu na uprzejmości.

Mama przez chwilę mi się przygląda. Czuje, że coś się święci.

- Wcześniej wróciłaś. Mam nadzieję, że już się uspokoiłaś. - Stawia siatki z zakupami na blacie kuchennym i podchodzi do stołu, żeby przejrzeć listy.

- Źle się czułam. - Wyglądam na korytarz. - Alice wróciła z tobą?

- Poszła do łazienki. Clare, wyglądasz na zdenerwowaną, a ja nie chcę więcej problemów.

Drzwi do toalety na parterze są uchylone, więc pytam:

- Dlaczego poszła do łazienki na górę?

- Nie mam pojęcia. A co za różnica? - odpowiada mama, ale ignoruję ją, bo słyszę już kroki. Alice schodzi po schodach. Opiera dłoń na barierce i odwraca się w naszą stronę z gracją baletnicy. Na mój widok uśmiecha się szeroko.

- Cześć, Clare. - Wchodzi do kuchni. - Źle się czujesz? Wróciłaś wcześniej.

- Na to wygląda. Zapodziałam gdzieś ważne akta. Musiałam wrócić do domu, żeby ich poszukać. Zakładam, że żadna z was się na nie nie natknęła?

- Przykro mi, kochanie, ale nie - mówi mama łagodniejszym tonem. - Sprawdzałaś w swoim gabinecie?

- Tak, choć w ogóle tam nie wchodziłam w weekend. Prawdę mówiąc, nie zdążyłam nawet wyjąć ich z teczki.

- W takim razie musiałaś zostawić je gdzieś indziej - rzuca Alice beztrąsko, wypakowując zakupy. Wstawia do szafki puszkę fasolki, jakby robiła to już setki razy. Jakby była u siebie.

- Nie ma ich w pracy, więc muszą być tutaj - oznajmiam szorstko. Wydaje mi się, że Alice uśmiecha się kącikiem ust. - Jesteś pewna, że nigdzie ich nie widziałaś?

Alice wybucha śmiechem, jakbym urwała się z księżycy, po czym mówi:

- Przysięgam, Clare, że ich nie widziałam. Przecież nawet nie wiem, jak wyglądają. Na pewno szukałaś wszędzie?

- A jak myślisz?! - fukam.

- Clare! Alice próbuje ci pomóc. Lepiej przydad się na coś i zagotuj wodę. -

Mama ukradkiem rzuca mi krzywe spojrzenie. Robię to, o co mnie prosi. Kiedy kończę zaparzać herbatę, wraca Luke.

- Mamusia! - biegnie do mnie Chloe, a ja biorę ją na rękę.

- Cześć, skarbie. Jak było w przedszkolu? Chcesz coś do picia? - Obsypuję ją buziaczkami i tulę mocno, po czym odstawiam na ziemię.

- Poproszę socek - odpowiada Chloe, nie do końca radząc sobie z wymową. Uśmiecham się do Luke'a, próbując go jakoś udobruchać.

- Wszystko w porządku? - pyta chłodno.

Robi mi się przykro, kiedy przechodząc obok mnie, nie daje mi buziaka.

- Jak ci minął dzień? - nie odpuszczam.

- To chyba jasne. A tobie? - odpowiada beznamiętnie.

- Niezbyt dobrze. Zgubiłam akta. Wróciłam wcześniej do domu, żeby ich poszukać. - Naprawdę staram się zachować spokój.

- Zastanawiałem się, co tu robisz.

- Odbiorę dzisiaj Hannah i Daisy z klubu skautów. Pippa mnie poprosiła. - Kątem oka widzę, że Alice nam się przygląda. Podaję Luke'owi kubek kawy. Biorąc go, ledwie jest w stanie wybąkać „dzięki”.

- Właśnie, Alice! Pippa mówiła, że widziała cię niedawno w miasteczku. - Opieram się o blat. Staram się mówić i wyglądać naturalnie.

- Pippa? Ach tak, twoja przyjaciółka. Faktycznie na nią wpadłam - potwierdza Alice.

- To zabawne, bo Pippa na początku myślała, że to ja. - Próbuję się zaśmiać. - Mówiła, że miałaś na sobie niebieską koszulkę w rybki, taką samą jak moja.

Alice marszczy czoło. Luke i mama zaczynają nam się przysłuchiwać.

- Niemożliwe... Na pewno nie była taka sama - odpowiada w końcu.

- Pippa ma oko do takich rzeczy. Nie sądzę, żeby się pomyliła. Poza tym, kiedy się nad tym zastanowić, nie widziałam tego topu już od kilku dni. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pożyczyć ci coś do ubrania, ale wołałabym, żebyś najpierw spytała. Nie mogłam też znaleźć mojej biało-niebieskiej koszulki i dżinsowej spódnicy. Następnym razem, zanim coś sobie weźmiesz, po prostu poproś. Ale chyba nie myszkowałeś w moim pokoju, kiedy mnie nie było, prawda? Pewnie mama dała ci tę bluzkę. Tak czy inaczej, następnym razem spytaj. Będę wdzięczna.

- Clare, nie mam pojęcia, o czym mówisz - zarzeka się Alice i patrzy pytająco na mamę.

- Ja też nie - solidaryzuje się z nią mama.

- Nie pożyczałam twoich ubrań - ciągnie siostra.

- Naprawdę? Sugerujesz, że Pippa kłamie? - Patrzę Alice prosto w oczy. Mama chce zaprotestować, ale podnoszę rękę, żeby ją uciszyć, i pytam ponownie: - Czy twoim zdaniem Pippa kłamie?

- Może niekoniecznie kłamie, tylko się pomyliła?

- Czyli jeśli zajrzemy do twojej szafy, nie będzie tam żadnych moich ubrań?

- Clare, opanuj się. Nie sądzę, żeby to było konieczne - ostrzega mnie

Luke, patrząc przeprasząco na Alice. To najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział pod moim adresem od rana.

- A moim zdaniem jest - mówię.

- Proszę cię bardzo. Chodźmy na górę i same się przekonamy. No chodź. - Alice ostawia kubek na blat i rusza na górę, a ja za nią.

Luke bierze Chloe na rękę. Chyba czują się z mamą zobowiązani, żeby iść z nami.

Stoimy przed szafą, jakbyśmy czekali na przedstawienie. Alice powolnym, teatralnym gestem otwiera drzwi, po czym odsuwa się na bok, niczym asystentka magika.

Przeglądam ubrania na wieszakach. Nie mogę znaleźć swojej bluzki. Ani spódnicy i drugiego topu. Na dolnych półkach leżą tylko buty. Jeszcze raz przeglądam ubrania, ale nie ma wśród nich nic mojego. Odwracam się do Alice.

- Były tu wcześniej!

- Grzebałaś mi w szafie?! - ostentacyjnie dziwi się Alice.

- Co z nimi zrobiłaś? - pytam, patrząc jej w oczy.

- Clare! - To Luke, próbuje mnie uspokoić. Dobrze wie, że zaraz wybuchnę.

Ignoruję go. Przepycham się między nim, mamą i siostrą, i podchodzę do stolika nocnego.

- A jak w takim razie wytłumaczysz to? - pytam, otwierając szufladę. W środku jest paczka chusteczek higienicznych, telefon i ładowarka. Zdjęcia nie ma. Może źle je odłożyłam? Zaglądam do niższej szuflady. Też nic. Odwracam się do swoich sędziów i mówię: - Było tu zdjęcie! Alice i Luke'a! Widziałam je!

- Clare, muszę cię poprosić, żebyś wyszła z mojego pokoju.

- Schowałaś je! Schowałaś to wszystko! Przed chwilą, jak tylko wróciłaś do domu. Powiedziałaś, że idziesz do łazienki, ale poszłaś na górę!

- Nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło, Clare. - Mama patrzy na Alice i obejmuje ją ramieniem. - Przykro mi, kochanie. Clare jest przepracowana i widocznie odbija się to na jej psychice. Proszę, nie płacz, kochanie. No chodź, Alice, usiądź spokojnie. - Pomaga jej usiąść na brzegu łóżka.

- Mamo! Przysięgam ci, że one tu były. A w szufladzie było zdjęcie. Widziałam je na własne oczy!

- Luke, wyprowadź Clare. Przez nią jej siostra płacze.

Luke bierze Chloe na rękę i patrząc na mnie, rzuca chłodno:

- Tylko nie rób scen.

Mam ochotę zaprotestować, ale zmieniam zdanie. Chloe wczepia się w Luke'a i patrzy na mnie nieufnie.

- Nie zmyślam - powtarzam stanowczo, kiedy opuszczamy pokój. Ruszam prosto do naszej sypialni i otwieram swoją szafę. Widok ubrań, które wcześniej były w szafie Alice, wcale mnie nie dziwi. Luke wchodzi do pokoju, sadza Chloe na łóżku, podchodzi do szafy i wyjmuję z niej dwa topy oraz spódnice.

- To są te ubrania? - Wciska mi je w dłoń.

- Luke, one naprawdę wcześniej były w jej szafie. Nie kłamię. Po co miałabym kłamać?

Luke staje twarzą w twarz ze mną.

- Weź się w garść! - nakazuje ostro, ale na tyle cicho, że Chloe go nie słyszy. Jest zbyt zajęta misiem, którego rano zostawiła w naszym łóżku.

- Twierdzisz, że kłamię? Dlaczego mi nie wierzysz? - Ze złości ciskam w niego ubraniami.

- To ty jesteś prawniczką, więc sama się domyśl. Ale jeśli potrzebujesz podpowiedzi, to mogę ci pomóc. Masz problem z tak zwanymi dowodami. - Upuszcza ubrania na ziemię, bierze córkę na rękę i na odchodnym dodaje: - Idę zrobić Chloe herbatę. Dobrze ci radzę, żebyś w tym czasie zrobiła porządek w swojej głowie. A potem przeprosisz mamę i siostrę.

- Ona nie jest moją siostrą - rzucam ze złością.

Luke popatruje na mnie wymownie i rusza do wyjścia, ale zatrzymuje się w drzwiach. Przez chwilę wydaje mi się, że zmienił zdanie na mój temat, ale nie. Błądzi wzrokiem po półce z książkami. Przekłada Chloe na prawą rękę, a lewą zdejmuje coś z najwyższej półki. Odwraca się do mnie i mówi:

- To chyba twoje.

Ledwie przełykam ślinę. Zielona teczka na dokumenty. Nie muszę czytać napisu na wierzchu, żeby wiedzieć, co jest w środku. Akta McMillana. Biorę je od Luke'a i stwierdzam krótko:

- Nie było ich tu wcześniej.

- Kolejny powód do przeprosin. Clare, nie wiem, co się z tobą dzieje, ale bardzo mi się to nie podoba. Przestaję cię lubić.

- Ale to nie ja! To ona! Nie widzisz, co ona robi? Próbuje nas skłócić! - Przestaję się pilnować, nie obchodzi mnie już, że mówię podniesionym głosem. Że Alice wszystko słyszy.

Nagle do pokoju wparowuje mama. Mija Luke'a i idzie prosto na mnie.

- Posłuchaj mnie, młoda damo... - zaczyna i gdyby nie to, że jest wściekła, nazwanie mnie „młodą damą” uznałabym za zabawne. Mówiła tak do mnie, kiedy miałam dziesięć lat. - Twoja siostra przez ciebie płacze. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek będę zmuszona to powiedzieć, ale wstydź się, Clare. Jestem rozczarowana twoim zachowaniem. Jak śmiesz traktować w ten sposób swoją siostrę? Przez ciebie Alice zaczęła zastanawiać się, czy nie wrócić do Ameryki. Na zawsze. - Głos staje mamie w gardle. Próbuje okiełznać emocje. - A jeśli to zrobi, nigdy ci nie wybaczę. Słyszysz mnie? Nigdy!

Mama wychodzi z pokoju, nie dając mi czasu na odpowiedź. Jej słowa trafiły mnie prosto w serce. Osłupiała spoglądałam na Luke'a. Jeszcze nie tak dawno w podobnej sytuacji wziąłby mnie w ramiona i magicznym sposobem ukoił ból. Dziś stoi przede mną beznamiętny jak posąg. Kiedy stał się taki oschły? I kiedy ja stałam się czarną owcą w tej rodzinie?

- Clare, co się z tobą dzieje? - Pyta spokojniejszym tonem, podchodząc bliżej. - Martwię się o ciebie. Na moich oczach tracisz nad sobą kontrolę.

I nie pozwalasz sobie pomóc.

- Naprawdę nie widzisz, co się dzieje? Nie widzisz, co ona robi?

- Alice próbuje nawiązać więź z rodziną. Myślałem, że tego chciałaś. Rozumiem, że nie jest ci łatwo włączyć ją do swojej codzienności, skoro do tej pory miałaś nas wszystkich na wyłączność, ale musisz nauczyć się radzić sobie ze swoją zazdrością. Mam wrażenie, że obserwujesz każdy jej ruch, analizujesz każdą jej czynność i doszukujesz się w nich nie wiadomo jakich pobudek. Kochanie, musisz wziąć się w garść i przestać. Przez ciebie ciężko tu wytrzymać.

- Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Nikt mnie nie słucha! Wszyscy daliście się jej nabrać.

Wymijam go i ruszam schodami na dół. Po drodze zgarniam torebkę i klucze, akta McMillana wciąż trzymam w ręku. Wchodzę do samochodu, rzucam torebkę i akta na fotel pasażera i odjeżdżam z buksującymi kołami na wysypanym żwirkiem podjeździe.

Ruszam przed siebie bez określonego celu. Wiem tylko, że muszę uciec jak najdalej od domu i ludzi, których kocham, a którzy mnie ranią. Myślę o reakcji Luke'a. Nawet nie próbował stanąć po mojej stronie, nie zastanowił się choćby przez chwilę, jak to wygląda z mojej perspektywy. Natomiast reakcję mamy w pewnym stopniu mogę nawet zrozumieć. Nie chce źle myśleć o córce. Przez większość życia musiała walczyć z wyrzutami sumienia w związku z Alice, więc teraz stara się jej to wynagrodzić. Miłość, którą dusiła w sobie przez te wszystkie lata, musi znaleźć jakieś ujście. Rozumiem to. Mama ją kocha. Ale Luke? Dlaczego tak się zachowuje? Mam wrażenie, że sytuuje ją na pierwszym miejscu!

Przed oczami staję mi zrobione nad morzem zdjęcie Alice i Luke'a, a zaraz potem to, jak roześmiani wyszli z wieży obserwacyjnej, portret i to, jak się zachowywali, kiedy byli we dwójkę w pracowni, Alice w samej koszulce i Luke podziwiający jej nogi. Wymiana spojrzeń, na której ich przyłapałam. Wszystkie te zdarzenia uderzają we mnie w jednej chwili. Drań! Zakochał się w niej!

Powinam płakać, powinam czuć, że pęka mi serce, ale nie pozwala mi na to gniew. Jestem więcej niż zła, jestem wściekła. Gotuję się z narastającą furii. Rzucam pod adresem Luke'a wszystkie znane mi przekleństwa. Przez tyle lat wspierałam każdy jego ruch i jego pieprzoną sztukę, a on jak mi się odwdzięcza? Uwodzi moją siostrę! Ze złości walę pięścią w kierownicę.

Ku swojemu zaskoczeniu dojechałam do Brighton, jestem parę metrów od mieszkania Toma. Nie planowałam tu przyjeżdżać. Prawdę mówiąc, nie wiem w ogóle, jak tu trafiłam. Nie pamiętam, żebym specjalnie obrała ten kierunek.

Co ja, do cholery, wyprawiam?

Skrywam twarz w dłoniach i przejeżdżam palcami po włosach, które, o dziwo, wciąż mam związane w koński ogon. Nie powinam była tu przyjeżdżać, ale dokąd właściwie miałam jechać? Pójdę na plażę uspokoić myśli. Włączam silnik i wrzucam jedynkę. Już mam odjechać, kiedy znajome

bmw blokuje mi drogę.

Podnoszę wzrok.

Tom wysiada z samochodu, podchodzi do mnie i otwiera drzwi od strony kierowcy. Przez chwilę mi się przygląda, po czym bez słowa nachyla się, wyłącza silnik i wyjmuję kluczyk ze stacyjki. Odpina mi pas, bierze moją torebkę i akta, popatrując na mnie bez słowa. W końcu bierze za rękę i pomaga mi wysiąść. Zamyka mój samochód i prowadzi do swojego. Wsiadamy i wjeżdżamy na podziemny parking.

W milczeniu idziemy do mieszkania Toma, który nalewa po szklaneczce brandy. Popijamy w ciszy. Kiedy moja szklanka jest pusta, odstawiam ją na stolik. Tom obejmuje mnie. Nie opieram się. Potrzebuję wsparcia. Potrzebuję ciepła i miłości.

Przez kolejną godzinę we wszystkim polegamy na nim. Wypijamy jeszcze po dwie brandy.

- Nie miałem pojęcia, że sprawy przybrały taki obrót - mówi Tom. - Alice wydawała się taka... hm...

- Miła - kończę za niego. - Tak, wiem. Wszyscy to mówią.

- Nawet Luke. Jestem zaskoczony jego zachowaniem. Powinien być przy tobie, wspierać cię, a on sprawia, że czujesz się, jakbyś zrobiła coś złego. - Milknie na chwilę. - Chyba że... A zresztą, to nic takiego. Nieważne.

- Co chciałeś powiedzieć?

- Nic takiego. Nie chcę się wtrącać.

- Tom, przyjaźnimy się od lat. Oczywiście, że możesz się wtrącać.

- Zostawmy to, Clare. Nie chcę pogarszać sprawy, nie chcę zaostrzać problemów w cudzych małżeństwach. Bóg jeden wie, że małżeństwa i kłopoty to moja specjalność.

Mówi o swojej byłej żonie, Isabelli, i o romansie, który zakończył ich związek.

- Możesz powiedzieć, Tom. Myślisz, że Luke ma romans z Alice.

- Tego nie twierdzę.

- Nie, ale wiem, że tak myślisz. Nie szkodzi, też przeszło mi to przez myśl. Drań! - Czuję gotujący się we mnie od nowa gniew.

- Przykro mi, Clare. Myślisz, że jest aż tak źle?

Czuję łzę w kącie oka, która powoli spływa mi po policzku. Potem druga, a za chwilę cały strumień. Tom przytula mnie, głaszcze po włosach i plecach. Powtarza, że wszystko w porządku i że powinnam się wypłakać. Płacę przez dobre dziesięć minut. W końcu Tom wyjmuję z kieszeni chusteczkę i wyciera mi oczy i twarz.

- Przepraszam. Nie chciałam się rozklejać.

- Nie przepraszaj - odpowiada cicho i delikatnie.

Nagle uświadamiam sobie, jak jest blisko. Nasze twarze prawie się stykają. Nie wiem, z czyjej inicjatywy nasze usta spotykają się i dzieje się coś, czego na pewno nie można nazwać przyjacielskim buziakiem na dzień dobry.

W ułamku sekundy jestem znowu w Oksfordzie, mamy po dwadzieścia

jeden lat, a Tom pociesza mnie, kiedy rozpaczam nad nieudanymi poszukiwaniami Alice. Czy to nie ironiczne, że znajdujemy się ponownie w takiej sytuacji, kiedy Alice się znalazła? A raczej kiedy odnalazła nas?

Jestem zmęczona myśleniem. To zbyt bolesne. W objęciach Toma czuję się znajomo i dobrze. Przypominają mi się czasy studenckie, kiedy świat był piękny, a przyszłość ekscytująca i pełna obietnic. Nie było odpowiedzialności, zgubionych akt, spraw sądowych w toku. Ani zdradzającego męża.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po krótkiej chwili zapomnienia wracam na ziemię. Co ja, do cholery, wyprawiam? Wyrywam się z objęć Toma. Dzięki Bogu, że nie poszliśmy dalej. Oczywiście nie mówię, że sam pocałunek to nic złego, ale Chryste, co by się stało, gdybyśmy poszli ze sobą do łóżka?

- Przepraszam, Tom - mówię, nerwowo związując włosy, które musiałam w pewnym momencie rozpuścić. - Nie mogę tak dalej. Nie powinnam. - A gdy nachyla się i znów próbuje mnie pocałować, dodaje: - Poważnie, Tom, zastopujmy. - Odsuwam się jeszcze dalej. Kręci mi się w głowie, czuję się rozbita, zmęczona i ospała.

- Jesteś pewna?

Gdy przytakuję, przez moment wydaje mi się, że jest na mnie zły, ale po kilku sekundach uśmiecha się smutno.

- Szkoda - niemal szepcze.

Czuję się zakłopotana tą bliskością. Siedzę już prawie na oparciu kanapy, a ciągle mam wrażenie, że Tom zaraz wejdzie mi na kolana.

- Luke to prawdziwy szczęściarz. Może mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko.

Trudno mi się myśli. Masuję palcami skronie, żeby oczyścić umysł.

- W ten sposób nie naprawimy jego błędów. - Kiedy złość na Alice i emocje związane z Tomem opadły, zaczynam myśleć logicznie, jak nakazuje mi mój zawód. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe, kiedy się jest dzieckiem we mgle. Nie mam żadnych dowodów na to, że Luke zdradził mnie z Alice. Działałam pod wpływem złości, poczucia zranienia, zazdrości. To niesamowite, jak silne mogą być te emocje, kiedy poczujemy je wszystkie na raz. Są jak nitki gotowanego spaghetti: płaczą się ze sobą, kręcą i prześlizgują przez siebie nawzajem. Zdecydowanie wolę, kiedy myśli są proste, zorganizowane i łatwo za nimi nadążyć.

- Przecież nie każę ci spakować walizek, zostawić Luke'a i się do mnie wprowadzać. Oferuję ci tylko bezpieczną przystań, gdy będziesz jej potrzebować. - Podaje mi szklaneczkę brandy. - Dokończ drinka i zobaczymy, jak się poczujesz.

- Już mi wystarczy. Przepraszam, nie powinnam więcej pić. Nie wiem, co to za trunek, ale jest strasznie mocny. Czuję się bardzo zmęczona.

Moje powieki stają się ciężkie. Mogłabym zasnąć tu i teraz.

- Posiedź sobie przez chwilę. Zaparzę ci kawy.

- Dobry pomysł. Dziękuję.

Bierze poduszkę, a kiedy opieram się o wezgi kanapy, podkłada mi ją pod głowę. Zamykam oczy. Czuję, jak głaszcze mnie po czole.

- Nie jesteś na mnie zła? - pyta.

- Nie jestem. - Słyszę zmęczenie w swoim głosie.

Pamiętam miękki koc, którym zostałam okryta pod samą szyję, a potem już nic. Kiedy otwieram zaspane oczy, nie mam pojęcia, gdzie jestem. Panuje półmrok, ale jeszcze nie jest całkiem ciemno. Rozglądam się po pokoju i nagle dociera do mnie, gdzie się znajduję. W mieszkaniu Toma.

Czuję czyjś oddech z prawej strony. Próbuję się odwrócić, ale głowa mi pęka, więc spoglądam w prawo kątem oka. Tom śpi na kanapie obok mnie, ma na sobie koszulkę i krótkie spodenki. Zaczynam przypominać sobie, co się wczoraj działo. Krok po kroku, jak w zabawie matrioszkami. Otwierasz jedną, a w środku kryje się kolejna.

Zrzucam z siebie koc. Na szczęście jestem ubrana. Tylko mój żakiet wisi na oparciu kanapy, a buty leżą ciśnięte niedbale na podłogę. Raczej je z siebie zrzuciłam, niż zdjęłam. Na stoliku stoją dwie szklanki po brandy. Jedna w połowie pełna, druga pusta. Tuż obok filiżanka zimnej kawy, aparat fotograficzny, telefon komórkowy, zużyta chusteczka higieniczna i akta McMillana.

Wtedy przypomina mi się, że całowałam się z Tomem.

Ogarnia mnie panika! Całowałam się z Tomem! I to nie był tylko przelotny pocałunek w policzek, ale o wiele więcej.

Kurwa mać!

Otwieram kolejną matrioszkę: mówię „Nie” Tomowi. Dobrze, że nie posunęliśmy się dalej. Dzięki Bogu. Chociaż nie powiem, żebym nie czuła się winna.

Muszę wrócić do domu i zrobić porządek ze swoim życiem.

Wkładam buty i wstaję. Kręci mi się w głowie, muszę podeprzeć się o kanapę. Zbieram swoje rzeczy i po cichu wymykam się z mieszkania. Kiedy jestem w samochodzie, sięgam do torebki po telefon.

Kiedy go znajduję, serce mi zamiera. Trzy nieodebrane połączenia i SMS od Pippy. Pięć nieodebranych połączeń, trzy SMS-y i trzy wiadomości na skrzynce pocztowej od Luke'a. Jak mogłam ich nie słyszeć? Aha, wyłączyłam dźwięk w telefonie. Nie pamiętam, żebym to robiła. Przez chwilę użeram się z telefonem. W końcu udaje mi się odblokować ekran i przeczytać wiadomości.

- Kurwa, kurwa, kurwa! - Chce mi się płakać. Jak mogłam zapomnieć? Zbieram w sobie resztki odwagi, żeby odsłuchać wiadomości. Jedną od Luke'a, drugą od Pippy. O mój Boże! Zapomniałam odebrać dziewczynki od skautów! Jak mogłam? Co się ze mną dzieje? Ja sobie folgowałam, a dziewczynki czekały. Byłam tak skupiona na sobie i Alice, że zapomniałam o własnym dziecku i dziecku przyjaciółki. A teraz słucham wiadomości od Pippy, która surowym, nieprzyjaznym tonem informuje, że jest z Daisy w szpitalu. Pippa jest na mnie wściekła, uważa, że to wszystko moja wina.

Wkładam telefon w uchwyt samochodowy i wybieram numer Luke'a. Kiedy przekręcam kluczyk, trzęsą mi się ręce, ale ruszam z parkingu. Jadę prosto do szpitala w Brighton. Przez myśl przechodzi mi, że wypiałam wcześniej dwie brandy i cały dzień nic nie jadłam, ale czuję się dobrze, tylko boli mnie głowa. Szkoda, że nie wypiałam kawy. Ale mam w torebce butelkę wody!

Wylawiam ją jedną ręką, otwieram korek niekapek i piję. Woda jest ciepła, ale nie przeszkadza mi to.

Luke odbiera telefon i wrzeszczy:

- Clare! Gdzieś ty się, do cholery, podziewała? Cały czas próbuję się do ciebie dodzwonić! Pippa tak samo. Miałaś odebrać dziewczynki! Dostałaś moje wiadomości?

Jest wściekły, co mnie specjalnie nie dziwi. Ostatnio ciągle jest na mnie wściekły.

- Tak. Przepraszam. Miałam wyłączony dzwonek. Co się stało?

- Nie odebrałaś dziewczynek z zajęć, więc Brązowa Sowa, czy jak jej tam, zadzwoniła do domu. Alice musiała po nie pójść. Zabrała je do parku i Daisy miała wypadek. Spadła z drabinki czy czegoś takiego. Ma złamaną rękę, Pippa jest z nią w szpitalu.

- O mój Boże! Tak mi przykro! A co z Hannah?

- Wszystko w porządku.

- Dlaczego Alice po nie poszła?

- Tylko ona mogła - odpowiada nieco płochliwie.

- Dlaczego? Gdzie była mama? Gdzie ty byłeś?

- Twoja mama poszła na spotkanie Women's Institute, a ja... zasnęłam. Alice nie chciała mnie budzić, więc ruszyła do Budlington.

- Poszła piechotą?

- Nie, wzięła mój samochód.

- Jak to? Nie powinna. Czy jest ubezpieczona? A jeśli miałyby wypadek?

- Do cholery, Clare! Nie masz prawa jej oskarżać! Sama przepadłaś jak kamień w wodę.

- Potrzebowałam chwili dla siebie. Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem już pod szpitalem. Zadzwonię później. - Rozłączam się, zanim Luke zada kolejne pytanie. Wolę nie mówić mu, że spędziłam popołudnie z Tomem. Powiem mu o tym, jak się spotkamy. Na spokojnie opowiem mu, co się stało. Nie chcę się tłumaczyć przez telefon, kiedy prowadzę i jednocześnie zamartwiam się o Pippę i Daisy.

Powiedzieć, że jestem niemile widziana, to za mało. Wchodzę na SOR i dowiaduję się, gdzie znajdę Daisy Stent, ale nie jestem nawet w połowie drogi do jej pokoju, kiedy natykam się na Pippę.

- No to trochę się spóźniłaś! - Przyjaciółka nawet nie stara się mówić ściszym głosem.

Spoglądam przepaszająco na pielęgniarkę, która karci nas wzrokiem. Pippa nigdy nie przebiera w słowach, bez ogródek mówi to, co myśli. Zawsze ją za to lubiłam i niejednym razem miałyśmy z tego powodu dobry ubaw. Często śmiałyśmy się, że wali prosto z mostu, jednak tym razem zdecydowanie bym wolała, żeby jej słowa nie do mnie były adresowane.

- Pippa, przepraszam cię. Jest mi cholernie przykro. Coś mnie zatrzymało. Miałam wyłączony dzwonek. Przepraszam - mówię, zdając sobie sprawę, jak żałośnie to brzmi.

- Co się stało? Gdzie byłaś? - Jej oczy są przekrwione ze złości i od łez.

- W domu wybuchła piekielna awantura. Musiałam na chwilę stamtąd uciec. Tak mi przykro, Pip, naprawdę. Jak się czuje Daisy?

- Ma złamaną rękę. Teraz jest z nią Baz. Za chwilę założą jej gips.

- Czy mogę coś dla was zrobić?

- A co chciałabyś zrobić? Nic nie możesz zrobić, Clare. Miałaś już swoją szansę, kiedy trzeba było odebrać dziewczynki, ale jak widać, zawiodłaś. Dlaczego w ogóle posłaliście po nią Alice?

- Tylko ona mogła. - Nie chcę mówić Pippie, że Luke spał. Wystarczy, że jedno z nas zawiodło w roli opiekuna.

Chcę jeszcze raz przeprosić, ale przyjaciółka mnie wyprzedza:

- Wiadomo, że wszyscy popełniamy błędy, ale kiedy bierzesz odpowiedzialność za cudze dziecko, nie ma miejsca na wpadki. Nie mówiłam o niczym Bazowi, ale zanim tu przyjechał, Daisy powiedziała, że Alice specjalnie zepchnęła ją z drabinki.

- Co takiego?! Nie bądź śmieszna. Alice na pewno by tego nie zrobiła.

- Możesz myśleć, jak chcesz, ale Daisy nie kłamie. A już na pewno nie w takich sytuacjach. Wiem, że wielu rodziców uważa swoje dzieci za aniołki, ale Daisy nie jest aniołkiem, a mimo to jestem pewna, że nie okłamałaby mnie w takiej sprawie.

- Może jej się wydawało? - sugeruję, szykując się na kolejny atak wściekłości Pippy. Czy Alice mogłaby świadomie skrzywdzić dziecko? Wydaje mi się to przesadą. Po co miałyby to robić? To nie ma sensu. A jednak ziarno wątpliwości zostało zasiane. Moja siostra nie pierwszy raz złamała elementarne normy.

Z zamyślenia wyrывa mnie Pippa:

- Nie wydawało jej się. Za to Hannah mówi, że nie wie, co się stało.

- Widocznie nie wie. - Czuję, jak budzi się we mnie lwica, gotowa wbrew wszelkiej logice walczyć o swoje dziecko. - Hannah na pewno nie kłamie.

- Tak samo jak Daisy. Może najpierw zapytaj swoją córkę i sama oceń, co się stało.

- Pippa, to nie ma sensu. Hannah nigdy nie kłamie. - Jednak w myślach krzyżuję palce. Wszystkie dzieci czasem kłamią. - Na pewno nie w tak ważnej sprawie.

- Może to zależy od tego, kto ją pyta? - sugeruje Pippa.

- A gdzie w ogóle są Alice i Hannah?

- Poszły już. Nie chciałam, żeby Alice się tu kręciła, a Hannah była zmęczona.

- Mogę zobaczyć Daisy?

- Po co? Będziesz przeprowadzać własne śledztwo? Zamierzasz ją najpierw zaprzysiąc, żeby mówiła tylko prawdę?

- Pippa, proszę...

- Clare, to nie jest dobry moment. Muszę wracać do Daisy, a ty powinnaś wrócić do swojej rodziny i zająć się waszymi problemami.

- Dobrze, masz rację. Jest mi potwornie przykro, Pippa. Wiesz o tym, prawda?

- Muszę już iść - odpowiada chłodno.
- Tak, oczywiście. Wynagrodzę to dziewczynkom w weekend, kiedy Daisy przyjdzie na nocowanki. Oczywiście jeśli lekarz jej pozwoli. A jak nie, na pewno będzie mogła przyjść chociaż na herbatę, prawda?
- Pippa patrzy na mnie jeszcze chłodniej, po czym odpowiada:
 - To nie jest dobry pomysł.
 - Hannah będzie załamana. - Wiem, od jak dawna moja córka czeka na ten dzień. Zaplanowała wszystko: malowanie paznokci, mrożoną herbatę, film, popcorn i nocowanie. Od tygodni nie myśli o niczym innym.
 - Nie chcę, żeby Daisy przebywała w pobliżu Alice. Zresztą nie sądzę, żeby po tym, co się stało, Daisy chciała do was iść. Nie bierz tego do siebie, Clare, bo nie o ciebie chodzi, tylko o twoją siostrę.
 - Karzesz Hannah za mój błąd.
 - A nie uważasz, że Daisy dostała gorszą karę? Ma złamaną rękę! Na Boga, Clare! Przestań ciągle myśleć o sobie. Daisy nie przyjdzie na nocowanki. Zamierzam trzymać ją jak najdalej tej wariatki Alice. Koniec tematu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy przyjeżdżam pod dom, zostaję przyjęta równie chłodno, jak w szpitalu. Jediną osobą, która cieszy się na mój widok, jest Hannah. Podbiega do mnie i się przytula. Czuję się okropnie przez to, że zapomniałam odebrać córkę od skautów. Zawiodłam ją, zawiodłam też Daisy. Gdybym nie pojechała do Toma i nie wypła dwóch brandy, na pewno nie zasnęłabym jak kamień. Nie pamiętam też, żebym wyłączyła dźwięk w telefonie.

Przytulałam córkę mocno i chłonę jej miłość. To jedyne pocieszenie, jakiego mogę się dzisiaj spodziewać. Chloe już śpi, przynajmniej tak twierdzi Luke.

Kolejną godzinę spędzam z Hannah. Kąpię ją, myję jej włosy i szykuję do snu. Nie pytałam jeszcze o incydent na placu zabaw, ale kiedy siadamy we dwie na kanapie i daję jej ciasteczko i szklankę mleka, sama porusza ten temat.

- Czy Daisy wyzdrowieje? - pyta.

Na widok jej zmartwionej buźki mam ochotę się rozplakać.

- Tak, wyzdrowieje. Złamała rękę, ale pan doktor założył jej gips. Taki sam, jaki w zeszłym roku miała babcia po tym, jak upadła.

- Jakiego koloru?

- Nie wiem, nie widziałam, rozmawiałam tylko z mamusią Daisy. Ale nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Nie chcę jeszcze bardziej jej martwić i mówić jej o tym, że Pippa nie zgodziła się na nocowanie. Może do końca tygodnia przejdzie jej złość i pozwoli Daisy przyjść. Postanowiłam dać jej trochę czasu, zanim spróbuję załagodzić sprawę. Nie mam wielu znajomych i chociaż nigdy wcześniej się tym nie przejmowałam, teraz czuję, że przydałby mi się sojusznik, szczególnie od kiedy Luke zdezerterował.

- Widziałaś, co się stało w parku? - Staram się, by mój głos brzmiał jak najspokojniej.

- Nie - mówi Hannah, wodząc palcem po krawędzi szklanki.

- Jak to? Zupełnie nic nie widziałaś?

- Nie. Daisy spadła z drabinki. Nie wiem, jak to się stało.

- Przecież wiesz, że mi zawsze możesz powiedzieć prawdę. Pamiętasz, kiedy powiedziałaś mi o ramce na zdjęcie? Po tym, jak Alice ci zabroniła. Teraz jest tak samo. Nawet jeśli ci zabroniła, możesz mi powiedzieć.

- Dlaczego wszyscy ciągle pytają mnie o to, co się stało? Ja nic nie wiem! - Hannah wykrzywia wargi w podkówkę.

Nie chcę jej jeszcze bardziej stresować. Może spróbuję jutro.

- Już dobrze, kochanie. - Uśmiecham się do córki. - Chodźmy na górę. Położę cię do łóżka. Będiesz mogła jeszcze poczytać książeczkę.

Przez cały wieczór Alice schodzi mi z drogi. Schowała się w salonie mamy. Wiem, że powinnam przeprosić ją za mój wybuch, ale nie przychodzi mi to łatwo. Owszem, jest mi przykro za sposób, w jaki zareagowałam, ale wcale nie żałuję tego, co się wydarzyło. Pippa ma rację, Alice jest dziwna. Mam wrażenie, że ze mną pogrywa, nie wiem tylko, w jaką grę.

Wchodzę do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty. Luke już na mnie czeka. Z założonymi rękoma opiera się o blat. Jest taki przystojny, nawet kiedy się gniewa. Z włosami opadającymi na twarz, w czarnej koszulce i dżinsach wygląda zwyczajnie, a jednak bardzo seksownie. Rozumiem, czemu spodobał się Alice. Zaczynam się zastanawiać, czy on myśli tak samo o mnie? A może coś się zmieniło? Przegapiłam coś? Znudził się mną? Stałam się drętwa? Codziennie po pracy przebieram się w dres. Może stałam się zbyt mamuszkowata? Choć to boli, i to bardzo, wcale się nie dziwię, że Alice go pociąga.

Kiedy wyjmuję mleko z lodówki, zauważam, że ktoś przyczepił na drzwiczkach zdjęcie Alice i jej przyjaciółki Marthy za pomocą zawieszki magnetycznej z sentymentalnym wierszykiem o matkach i córkach. Nie ja ją kupiłam, musiała to zrobić Alice. Spoglądam na fotografię. Mama była taka szczęśliwa, kiedy ją dostała. Wyjmuję zdjęcie spod magnesu, bo coś mi tu nie pasuje. Zastanawiam się, ale nie mogę zrozumieć, w czym rzecz. Przyglądam się dalej...

- Nie zamierzasz wytłumaczyć mi, co się dzisiaj stało? - pyta Luke, a ja podskakuję z zaskoczenia. Przez to zdjęcie zupełnie zapomniałam o mężu.

- Musiałam stąd wyjść. Pojechałam przed siebie bez celu, ale skończyłam u Toma.

- Toma? Masz na myśli Toma Eggara? - pyta Luke.

Widzę, że cały się napina, ale wyraz jego twarzy pozostaje niewzruszony.

- Tak, tego Toma. Nie znam żadnego innego - mówię poirytowanym tonem, za co od razu mam ochotę sama siebie kopnąć w kostkę.

- Dlaczego?

- Dlaczego tam pojechałam? Nie mam pojęcia. Byłam zła i jak już mówiłam, trafiłam tam niechcący.

- Pojechałaś do byłego chłopaka po kłótni ze swoim mężem. Co ja mam o tym myśleć? To jakaś zemsta?

- Zemsta? Żeby tak było, musiałabym mieć jakiś powód do zemsty. Czy mam stąd wnioskować, że między tobą i Alice do czegoś doszło?

- Tak się po prostu mówi. Próbuję zrozumieć twój tok myślenia. To, co się dzieje w twojej szalonej głowie. - Puka się w czoło.

- Sam jesteś szalony - odcinam się. - Tom jest moim przyjacielem i kolegą z pracy. To wszystko. - Oczywiście przynajmniej teraz nie mogę mu wyznać, że całowałam się z Tomem.

Spoglądam jeszcze raz na zdjęcie Alice i Marthy, żeby przez chwilę nie myśleć o naszej kłótni, i wtedy dostrzegam, co wcześniej zbiło mnie z tropu. Patrę na ich twarze. Są za małe, żeby przyjrzeć im się dokładniej, za to wiszący za nimi zegar ścienny widzę idealnie. Liczby na cyferblacie są

odwrócone.

Chwytam zdjęcie i wymaszerowuję z kuchni. Luke woła za mną. Słyszę tupot bosych stóp o posadzkę, ale idę prosto do salonu mamy.

- Clare! Nie wiem, co zamierzasz, ale dobrze ci radzę, zatrzymaj się na chwilę i pomyśl spokojnie. - Luke jest tuż obok, ale ja stoję już przy mamie i Alice.

Obie zdziwione podnoszą wzrok. Mama marszczy czoło, a Alice opiera się o fotel i krzyżuje ręce. Kiedy zauważa zdjęcie, robi się nerwowa. Nie wiem, co to oznacza, ale chcę sprawdzić, co Alice będzie miała na ten temat do powiedzenia.

- Co się stało, Clare? Mam nadzieję, że przyszłaś przeprosić - mówi mama.

- Nie, chciałam zapytać o coś Alice. Kiedy przysłałaś nam zdjęcie, mówiłaś, że stoisz z lewej strony.

- No i? - pyta Alice, patrząc to na mnie, to na mamę.

Podnoszę rękę ze zdjęciem, żeby mogły mu się przyjrzeć.

- Jesteś z lewej strony. Lewej.

- Dokładnie.

- I to na pewno ty? - wskazuję na osobę z lewej strony zdjęcia.

- O co tu chodzi? - pyta mama.

- Clare, może sobie odpuścisz? - rzuca Luke niskim, zdecydowanym tonem, ale ignoruję go.

- W porządku, wszyscy ustaliliśmy zgodnie, że Alice jest tutaj - mówię z udawaną radością. - W takim razie dlaczego widzimy zegar w lustrzanym odbiciu? - pytam, nie spuszcżając Alice z oczu.

Dostrzegam rumieniec zlewający jej szyję. Widzę, jak nerwowo przełyka ślinę, ale po chwili szczerzy zęby w uśmiechu i rzuca radośnie:

- Zabawna jesteś, Clare. Przecież wiesz, jak to się stało. Odwróciłam zdjęcie podczas skanowania. Gapa ze mnie.

- Ale w mejlu, który nam wysłałaś, napisałaś, że jesteś z lewej strony, kiedy tak naprawdę stałaś z prawej.

- Nie rozumiem, dokąd zmierzasz - mówi mama. - Co za różnica, po której stronie zdjęcia stoi Alice?

Alice na chwilę spuszcza wzrok. Potem łapie mamę za rękę i mówi cicho:

- Trochę się tego wstydzę i nie chciałam wam o tym wcześniej mówić. Mało kto o tym wie.

- O co chodzi, kochanie? - pyta mama, ściskając Alice za rękę.

- Jestem dyslektyczką. To wszystko mi się miesza. Głównie litery, ale mam też problemy z kolejnością, na przykład dni tygodnia czy miesiący. Często myślę też lewą stroną z prawą.

- Nie miałam pojęcia. Nie masz się czego wstydzić.

Czuję się, jakby ktoś wyssał mi powietrze z płuc jak z balona. Za moimi plecami Luke komentuje cicho:

- Brawo, Clare.

- Nie chciałam wam o tym mówić - ciągnie Alice - szczególnie biorąc pod

uwagę to, że Clare jest kobietą sukcesu. Czułam się przez to... no... gorsza. Nie chciałam, żebyście pomyśleli, że jestem głupia. Tata zawsze powtarzał, że z moimi ocenami nadaję się tylko na kelnerkę. - Alice patrzy na mamę wielkimi i smutnymi oczami.

- Myślałam, że jesteś nauczycielką. - Jestem pewna, że pisała o tym w jednym z mejli.

- Tak, to prawda, jestem. Udowodniłam swoją wartość. To, że jestem dyslektyczką i nie czytam książek, nie oznacza, że jestem głupia. - Tym razem patrzy na mnie.

- Chociaż mylisz lewą stronę z prawą - rzucam ironicznie. Nie kupuję jej płaczu. Dla mnie to krokodyle łzy. Wiem, że nie myli się w sprawie dysleksji i inteligencji i w żadnym innym przypadku nie pozwoliłabym sobie na równie obraźliwą uwagę, ale Alice wyzwała we mnie to co najgorsze.

- Jak już mówiłam, chciałam udowodnić im wszystkim, że się mylą. Szczególnie tacie. - Chowa twarz w dłoniach i pochlipuje.

- Moje biedne dziecko. - Mama przytula ją, po czym spogląda na mnie i rzuca oschle: - Dość już dzisiaj narozrabiałaś.

To, co widzę na jej twarzy, można nazwać jedynie bólem. Zraniłam Alice, a więc zraniłam ją. Czuję się z tym okropnie, więc wybąkuję przeprosiny:

- Mamo... przepraszam. Alice... -Tylko tyle udaje mi się z siebie wydusić. Czuję się jak Zła Czarownica z Zachodu, ale coś sprawia, że nie potrafię przestać. Czy to upór, zatwardziałość czy zboczenie zawodowe, tak czy inaczej drążę dalej. Nie wiem czemu, po prostu nie potrafię się powstrzymać. Napędza mnie żądza poznania prawdy. Jestem w transie. - Pippa przestała się do mnie odzywać - oznajmiam, ignorując coraz bardziej zboląłą minę mamy. Próbuję odciąć się od uczucia bólu, który powoduje jej odrzucenie, tak samo jak udało mi się to zrobić, kiedy odrzucił mnie ojciec. - Nie chce, żeby Daisy tu przychodziła. Mówi, że nie jest tutaj bezpieczna. Co się dzisiaj stało, Alice?

- Chryste, Clare. Mogłabyś sobie darować? - wtrąca się Luke. - Przepraszam, Marion. Przepraszam, Alice. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

- Przestań za mnie w kółko przepraszać. Przecież nikogo nie oskarżam. Ja tylko pytam.

- Bzdura. - Luke kiwa przecząco głową, po czym łapie mnie za rękę i nakazuje: - Chodźmy stąd.

Wyrywam mu się.

- Clare, chciałabym, żebyś stąd wyszła - mówi mama. - Gdybyś była dzieckiem, kazałabym ci iść do swojego pokoju. Jesteś dorosłą kobietą, więc zacznij się tak zachowywać. Zostaw nas same.

Wściekła i upokorzona robię to, o co prosi. Idziemy do kuchni. Luke podchodzi do stołu, odsuwa krzesło i siada na nim, drugie stawia tak, żeby były naprzeciwko siebie, po czym kiwa na mnie głową. Też siadam.

Wygląda na zdenerwowanego. Opiera łokcie na kolanach i składa ręce, jakby się modlił. Przez chwilę siedzi z opuszczoną głową, a ja myślę, że buduje w sobie siłę na rozmowę ze mną. Potem bierze mnie za rękę.

Kontakt fizyczny z Lukiem jest jak kopnięcie prądem. Tęskniłam za nim. Tęskniłam za jego dotykiem i uczuciem, że jestem kochana.

- Martwię się o ciebie, Clare. Ostatnio nie jesteś sobą. Jesteś bardzo... to znaczy wydajesz się bardzo przewrażliwiona... wręcz paranoiczna.

- Paranoiczna?! - Z wielkiej irytacji chcę zabrać ręce, ale Luke przytrzymuje mnie mocno.

- Mam wrażenie, że tworzysz teorie spiskowe o Alice.

- Nie wierzę w to, co mówisz. - Tym razem udaje mi się mu wyrwać.

- Mówię tak tylko dlatego, że zależy mi na tobie. Wydaje mi się, że masz za dużo na głowie. Może powinnaś wziąć wolne w pracy? Myślałaś o tym, żeby z kimś porozmawiać? Mam na myśli specjalistę, nie przyjaciela.

- Psychiatrę?! - oburzam się.

- Wydaje mi się, że nie potrafisz sama poradzić sobie ze zmianami.

Wstaję i odsuwam krzesło, które szura o posadzkę z kafelków.

- Nie potrzebuję lekarza. Nic mi nie jest. - Zdecydowanym krokiem wymaszerowuję z kuchni.

Głowa mi pęka, czuję się też ociężała i słaba. Zastanawiam się, czy nie bierze mnie choroba. Jestem wyczerpana. Może wystarczy, jeśli dobrze się wyspię? Wchodzę pod kołdrę i wyjmuję z szuflady stolika nocnego pudełko paracetamolu. Połykam dwie tabletki, licząc na to, że rano obudzę się rześka i będę jasno myśleć.

Ze snu, który w moim odczuciu mógł trwać godzinę czy dwie, wrywa mnie dźwięk budzika tak głośny i hałaśliwy jak rój pszczoł nadający alfabetem Morse'a. Zazwyczaj budzę się na długo przed nim, więc zdążyłam już zapomnieć, jak brzmi. Sięgam ręką, żeby wyłączyć alarm. Wygląda na to, że Luke nie spał dzisiaj w łóżku. Wzdycham na myśl o wczorajszych wydarzeniach i kolejny raz zastanawiam się, jak do tego doszło. Jak to się stało, że moje życie zaczęło się rozpadać, a ja nie mogę nic z tym zrobić?

Biorę prysznic, ubieram się i schodzę na dół. Mama, Alice, Luke i dziewczynki już są w kuchni. Mamroczę pod nosem:

- Dzień dobry - i siadam przy stole, po czym z uśmiechem mówię do Hannah: - Dzisiaj masz basen. - Staram się, by moje słowa zabrzmiały pogodnie i wesoło, ale tylko ze względu na córkę.

- Już przygotowałem jej rzeczy - mówi Luke takim tonem, z którego jasno wynika, że nie zamierza wdawać się w dalsze dyskusje.

Niezręczną ciszę przerywa dzwonek i walenie w drzwi.

- Kto to może być? O tej porze?! - Pytanie mamy skierowane jest do nikogo w szczególności i do wszystkich w ogólności.

- Otworzę. - Luke rusza do wyjścia.

Po chwili słyszymy jakichś ludzi, ale nie mamy pojęcia, kim są, a po następnej chwili Luke pojawia się w kuchni z policjantką i policjantem.

- Pani Tennison? Clare Tennison? - pyta policjantka.

- Tak. - Tysiące myśli przebiegają mi przez głowę. Policja w domu, a już szczególnie o tak wczesnej porze, najpewniej oznacza tylko jedno: stało się coś złego. Spoglądam na Luke'a.

Jeszcze nigdy nie widziałam w jego oczach tak silnego rozczarowania.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wizyta policji wprawia mnie w zakłopotanie. Wystarczająco dużo razy miałam z nią do czynienia, by łudzić się, że przyszli w błahej sprawie. Spoglądam na dzieci.

- Dzień dobry, panie policjancie. Dzień dobry, pani policjantko. La, la, la, la! - Chloe radośnie szczyrzy zęby, a funkcjonariuszka odpowiada jej uśmiechem.

Hannah jest przerażona, cała kuli się na krześle. Biedulka musi myśleć, że coś nabroiła. Pewnie boi się, że ma to jakiś związek z tym, co przytrafiło się Daisy. Od razu budzi się we mnie matka lwica gotowa bronić córeczkę.

- Czy możemy przejść do salonu? - Znacząco kiwam głową w jej stronę. Na szczęście policjanci wyłapują tę subtelność. Głaszczę Hannah po włosach, daję buziaka w czoło i mówię: - Nie martw się, kochanie. Mamusia musi porozmawiać z policjantami o pracy.

Moja córka nie wygląda na przekonaną.

Idziemy do salonu, Luke z nami. Mam nadzieję, że po to, by mnie wesprzeć, a nie po to, żeby napawać się moim upadkiem. Staje przy oknie i przygląda nam się z ponurą miną. Nikt z nas nie siada.

- W czym mogę pomóc? I czy moglibyście się państwo przedstawić? - pytam rzeczowo. Cóż, lata praktyki.

- Funkcjonariusz Evans, a to funkcjonariusz Doyle - dokonuje oficjalnej prezentacji policjantka, po czym pyta Luke'a: - A pan? Kim pan jest?

- Luke Tennison, mąż Clare.

Evans przytakuje, po czym zwraca się do mnie:

- Czy mogłaby pani powiedzieć, gdzie była pani wczoraj między jedenastą trzydzieści w nocy a szóstą czterdzieści pięć rano?

- Po co państwu ta informacja? - Punkt dla mnie, chociaż wiem, że akurat takiego pytania by nie zadali, gdybym w ich oczach była niewinnym świadkiem. W ich oczach jestem podejrzaną.

- Dostaliśmy zgłoszenie. Zdemolowano samochód - mówi Evans.

- Jaki to ma związek ze mną?

- Clare jest adwokatką - tłumaczy Luke.

Funkcjonariusze wymieniają spojrzenia. Evans przestępuje z nogi na nogę i kontynuuje:

- O ile nam wiadomo, zna pani niejaką Pippę Stent. Mieszka w Mulberry House, na Church Lane w Little Dray.

- Tak, znam ją. - Zapala mi się czerwona lampka. Czyżby Pippa złożyła skargę za wczorajszy incydent w parku? Szybko odrzucam tę myśl. Nie sądzę, żeby policjanci przyszli tak wcześnie rano z tego powodu. Poza tym nie mają prawa aresztować mnie za to, że nie odebrałam dzieci z zajęć.

- Samochód pani Stent został zdemolowany wczoraj w nocy. Celowo.
- I myślą państwo, że to moja wina? Po co miałabym zrobić coś takiego?
- Zostaliśmy poinformowani, że pani i pani Stent pokłóciłyście się wczoraj.
- I złożyła na mnie skargę? Myśli, że jestem odpowiedzialna za to, co się stało?
- Na razie sprawdzamy różne możliwości.
- Co się dokładnie stało? - pyta Luke.
- Wgniecenie z tyłu karoserii. Inny samochód musiał uderzyć w niego hakiem. Jest na nim także graffiti. - Evans patrzy na mnie wzrokiem rodzica, który chce, żeby jego dziecko przyznało się do winy.
- Jakie graffiti? - pyta Luke.
- Evans wyjmuje z kieszeni notatnik, co na pewno nie jest konieczne, ale rozumiem, że odgrywa swoją rolę.
- Graffiti o treści: „Zdrajczyni. Konfidentka. Hipokrytka”.
- Znów włączam się do rozmowy:
- Dziękuję za drobiazgowy opis, ale nie mam z tym nic wspólnego.
- Przednia szyba i klamki zostały pomalowane psimi odchodami. Czy ma pani psa, pani Tennison?
- Nie.
- A jednak zauważyliśmy w przedpokoju pani buty ze śladami psich odchodów.
- Nie mam pojęcia, o czym państwo mówią. - Patrzę na Luke'a, który jest równie zdezorientowany jak ja.
- A wracając do wcześniejszego pytania... Gdzie była pani wczoraj w nocy?
- Byłam w domu. Położyłam się po dziesiątej i wstałam o szóstej rano, kiedy zadzwonił budzik.
- Nie wychodziła pani przez całą noc? Czy ktoś może to potwierdzić?
- Luke waha się o kilka sekund za długo, ale w końcu mówi:
- Tak. Clare była wczoraj w domu.
- Całą noc? Jest pan pewien? O której poszedł pan spać, panie Tennison?
- Koło jedenastej.
- A pani Tennison była wtedy w łóżku? - drąży Evans.
- Już wiem, że interesują ją najdrobniejsze szczegóły, co bardzo mnie niepokoi.
- Wczoraj w nocy akurat spałem na dole - przyznaje Luke, a Evans unosi brwi. - Miałem dużo pracy, nie chciałem budzić żony. Często sypiam na dole, to dla nas nic nadzwyczajnego.
- W myślach dziękuję Luke'owi za to, że nie wspomniał o naszej kłótni. Nie chcę, by pomyśleli, że nieustannie kłócę się ze wszystkimi wokół, chociaż tak wygląda ostatnio moje życie.
- Czy możemy rzucić okiem na pani samochód? - po raz pierwszy odzywa się funkcjonariusz Doyle.
- Wiem, że nie mogę im odmówić.
- Dobrze, pójdę tylko po kluczyki. - Wychodzimy na korytarz. Trzymam je w szafce na klucze, ale haczyk, na który zawsze je zawieszam, jest pusty. -

Nie ma ich. To dziwne - mruczę pod nosem i przeglądam pozostałe klucze w poszukiwaniu małego plastikowego breloczka ze zdjęciem. Jesteśmy na nim z Lukiem i dziewczynkami. Zrobiliśmy je rok temu podczas przejażdżki w parku rozrywki. Kluczyków ani śladu.

- Może w torebce? - sugeruje Luke.
- Przecież wiesz, że nigdy nie trzymam ich w torebce.
- Tylko próbuję pomóc.

Przeszukuję torebkę i ku memu zdumieniu znajduję je w jednej z kieszonek.

- Nie rozumiem... - niemal szepczę, przypominając sobie, co działo się wczoraj. Naprawdę schowałam je do torebki? Czy mogłam być na tyle rozkojarzona, że zapomniałam je odwieść? Zawsze byłam opanowana i wiedziałam, co robię, ale ostatnio mam z tym coraz większe problemy. Nie pamiętam, jak było tym razem.

Evans patrzy na mnie sceptycznie i pyta tonem zmęczonej całym tygodniem pracy nauczycielki:

- Czy możemy już przejść do samochodu?

Kiedy ruszamy do drzwi wyjściowych, patrzę na wspomnianą parę butów. Czarne z niskim obcasem i zgodnie z tym, co mówiła Evans, umazane psią kupą na podeszwach. Reaguję natychmiast:

- Nawet nie wiem, co one tu robią. Przecież wiedziałabym, gdybym w coś wdepnęła.

Evans nie wygląda na przekonaną, ale nie dziwię jej się. To zabrzmiało niezbyt wiarygodnie, sama sobie nie ufam.

Idziemy pod wiatę. Samochód stoi zaparkowany tyłem, tak jak zawsze. Evans bierze ode mnie kluczyki i funkcjonariusze oglądają samochód. Kiedy stają z tyłu, wymieniają kilka zdań, a potem mnie wołają.

Hak mojego samochodu ma ślady czerwonej farby, a na zderzaku jest drobne wgniecenie. Samochód Pippy jest czerwony.

- Może nam pani powiedzieć, co się stało? - pyta Evans.
- Nie mam zielonego pojęcia! - Z nerwów ściska mnie w żołądku.
- Czy możemy zajrzeć do środka? - Evans naciska przycisk w pilocie,

podnosi klapę bagażnika i świeci latarką do środka. Jest pusto. Nie jestem z tych, którzy wożą w samochodzie nie wiadomo co. W pewnym momencie światło latarki odbija się od srebrnego opakowania spreju. Evans wyjmuję z kieszeni gumową rękawiczkę i delikatnie wyjmuję puszkę. To nie jest farba dedykowana do karoserii. Taką farbę można kupić na pierwszej lepszej stacji benzynowej.

- Nigdy wcześniej tego nie widziałam. - Wciąż jednak wiem, jak mało jestem wiarygodna.

- Jest coś jeszcze - zauważa Doyle.

Evans wyjmuję rachunek.

- Taka sama farba w spreju. Kupiona wczoraj w sklepie w Brighton, przy głównej drodze. Opłacona gotówką. O siódmej wieczorem. Gdzie była pani o tamtej porze? - pyta, spoglądając na mnie.

Zasycha mi w gardle. To nie przedstawia mnie w dobrym świetle.

- Wracalam do domu ze szpitala. Odwiedzalam Pippe.

- Panią Stent? Czy to było tuż po tym, jak się pokłóciłyście z powodu wypadku jej córki?

Przytakuję. Na tym etapie mogę już tylko szukać prawnika. Te dowody są jeszcze niewystarczające, żeby mnie oskarżyć, ale weszliśmy na grząski grunt. Owszem, to, że byłam na scenie przestępstwa, ciągle jest tylko teorią, a oni nie mają jak mi udowodnić, że kupiłam sprej i pojechałam do Pippy. Jednak ślady czerwonej farby na haku mojego samochodu działają na moją niekorzyść. Z drugiej strony wcale jeszcze nie oznaczają, że ja to zrobiłam.

- Nalegamy, żeby pojechała pani z nami na komisariat i złożyła zeznanie - mówi Evans.

- Chcecie mnie aresztować?

- Na tym etapie zbieramy tylko dowody. Oczywiście ma pani prawo odmówić złożenia zeznań, ale wtedy możemy aresztować panią jako podejrzaną w sprawie o uszkodzenie mienia. Ale pani nie trzeba tego tłumaczyć, prawda? - stwierdza Evans.

- Ale ja muszę jechać do pracy! - Leonard się wścieknie, jeśli nie przyjdę punktualnie, szczególnie po wczorajszych wydarzeniach. - Może przyjadę w porze lunchu?

- Nie, pani Tennison. Nalegamy, żeby pojechała pani z nami teraz. Dobrowolnie.

Nie ma sensu się sprzeciwiać. Im szybciej to załatwię, tym szybciej wrócę do pracy.

- Zadzwońię do Leonarda - proponuje Luke.

- I proszę nie dotykać samochodu. Wyślemy laborantów, żeby zrobili zdjęcia i zdjęli próbki farby do zbadania - dodaje Evans.

Naprawdę chodzi jej o to, żeby nie zyskała na czasie w celu wymyślenia historyjki o tym, skąd wziął się czerwony lakier na moim haku i puszka farby w bagażniku.

Idę z Evans i Doyle'em do radiowozu. Luke kręci z niezadowoleniem głową, po czym znika w domu. Kiedy odjeżdżamy, widzę Alice, która obserwuje nas z okna w salonie. Zupełnie jak w dniu, w którym zabrał ją ojciec, tylko teraz to ja jestem w samochodzie. Opieram się o zagłówek, próbując się nie rozplakać.

Na komendzie spędzam trzy godziny. Składałam zeznania. Przesłuchiwali mnie Evans i Doyle, których przez cały czas zapewniałam o swojej niewinności w sprawie samochodu Pippy. Zwracam im uwagę na to, że opierają się tylko na domniemaniach. Evans powiedziała, że czekają na nagrania z kamer z garażu, zanim wniosą oskarżenie.

Luke odbiera mnie z komendy. Streszczam mu wydarzenia z ostatnich trzech godzin.

- Sprawdzą nagrania z kamer, puszkę farby, odciski palców i porównają farbę z haka z tą z samochodu Pippy. Wyobraź sobie, że zamierzają też porównać DNA z odchodów psa z mojego buta z DNA znalezionym na

samochodzie.

- Chyba żartujesz.

- Mówię serio, choć pomijając historię z DNA. Ale znając Evans, nie zdziwiłoby mnie to. Traktują tę sprawę poważnie, jak morderstwo.

Luke nie okazuje żadnej empatii i nie reaguje na moje żarty, pyta tylko:

- Oskarżyli cię?

- Jeszcze nie.

Przez chwilę jedziemy w ciszy. Nie wiemy, co powiedzieć. Nie potrafimy już ze sobą rozmawiać.

Dzwonię do Leonarda, który jak zwykle nie owija w bawełnę, tylko przechodzi prosto do sedna:

- Clare, co się z tobą dzieje, do cholery? Miałaś się dzisiaj spotkać z McMillanem. Musiałem iść za ciebie. Długo go przekonywałem, że nie ma do czynienia z jakimś partaczem.

- McMillan? Przecież byliśmy umówieni na jutro.

- Wygląda na to, że przełożyłaś spotkanie.

- Owszem, przełożyłam, ale na jutro. Jestem tego pewna. - Opieram czoło na dłoni. Czuję się, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością. Cały czas zastanawiam się nad tym, co zrobiłam źle albo czy w ogóle to zrobiłam. To wszystko nie ma sensu.

- Moim zdaniem w tej chwili nie nadajesz się do tego zadania. Przejmuję tę sprawę. Weź wolne i rozwiąż swoją sytuację rodzinną - oznajmia Leonard.

- Wysyłasz mnie na urlop? Jesteśmy partnerami, a ty traktujesz mnie jak pracownika. Nie tylko ty o tym decydujesz - reaguję oburzona.

- Będę o tym decydował w sytuacjach, w których nie jesteś w stanie podejmować racjonalnych decyzji. Zbyt wiele zależy od tej sprawy. Dając ci ją, chciałem wyświadczyć ci przysługę, ale jak widać, źle postąpiłem.

- Nie mam żadnych problemów z podejmowaniem decyzji - rzucam uparcie, urażona jego słowami.

- Clare, wiem, że ci na tym zależy, ale robię to dla twojego dobra. To nie jest łatwa decyzja, ale muszę robić to, co najlepsze dla mnie i naszej firmy.

- Leonard, proszę cię - błagam jak dziecko, które chce wyjść z domu, chociaż dostało szlaban.

- Zaufaj mi, Clare. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Tak będzie dla ciebie lepiej. - Po tych słowach rozłącza się.

Nie mogę w to uwierzyć. Kolejny aspekt mojego życia legł w gruzach.

- Powinnaś posłuchać rad tych, którzy cię kochają - mówi Luke, kiedy podjeżdżamy pod dom. Wyłącza silnik i odwraca się przodem do mnie. - Posłuchaj, wiem, że trudno ci zaakceptować Alice. Clare, nie odchodź. Wysłuchaj mnie. Wspomnienia o Alice i to, że zostałyście z nimi same, wryły ogromne blizny na sercu twoim i twojej mamy. Wiem o tym. Wiem, jak bardzo chciałaś ją odszukać, i nie dziwię się, że jej przyjazd czy to, że okazała się inna, niż myślałaś, jest... wyzwaniem. - Odgarnia kosmyk włosów, który opada mi na twarz.

Boże, mam ochotę schować się w jego ramionach. Ten drobny czuły gest

sprawia, że chcę błagać o więcej, staram się jednak odłożyć na bok emocje. Kiedy przełykam ściekające z oczu łzy, moje gardło jest tak ściśnięte, że aż boli. Patrzę przed siebie. Boję się spojrzeć Luke'owi w oczy. Nie chcę się rozkleić.

- To nie takie proste. Mam wrażenie, że znam ją bardzo powierzchownie, właściwie w ogóle. Nie mogę się do niej przekonać - przyznaję.

Luke wzdycha ciężko i zabiera rękę.

- To, że jest twoją siostrą, nie znaczy jeszcze, że musisz ją kochać. Daj sobie trochę czasu.

Patrzę na budynek, który przez wiele lat nazywałam domem. Myślę o miłości i cierpieniach, które tu przeżyłam. Kiedyś myślałam, że ja i mama zawsze będziemy tu bezpieczne. Że zawsze już będzie naszą samotnią, azylem od zewnętrznego świata. Teraz wiem, że to nieprawda. Nie czuję się tu już kochana. Nie czuję miłości. W środku panują chłód i ciemność. Ten dom stał się dla mnie niebezpieczny.

Nagle doznaję olśnienia. Już wiem, co muszę zrobić.

Mama i Alice jedzą lunch, kiedy wchodzę do kuchni. Na mój widok mama powoli odkłada kanapkę na talerz. Kawałek ogórka konserwowego wypada pomiędzy dwóch kromek chleba. Alice popija kawę oparta o krzesło.

- Przepraszam, mam. Chciałam z całego serca przeprosić za swoje zachowanie. I ciebie, i Alice. Byłam okropna. Nie wiem, co we mnie ostatnio wstąpiło. - Opuszczam wzrok i milczę przez chwilę, po czym pytam: - Wybaczycie mi? Obie?

- Clare, kochanie, oczywiście, że ci wybaczymy. - Mama podchodzi do mnie i przytula, po czym bierze mnie za rękę i prowadzi do stołu.

- Alice?

- Co ja? No tak, oczywiście, że ci wybaczymy. - Też do mnie podchodzi i przytula.

Przytakuję i uśmiecham się nieśmiało.

- Myślę, że masz rację, Alice. W tym, że praca mnie wykańcza. Nie radziłam sobie z nią ostatnio dobrze.

- Luke, zrób Clare herbaty. - Mama podsuwa mi krzesło.

Siadam, nie zwracając uwagi na Luke'a, chociaż dobrze wiem, jak na mnie patrzy. Mimo wszystko robi to, o co został poproszony.

Mama mówi, że muszę być wyczerpana, że wyglądam na zmęczoną i powinnam o siebie zadbać. Że ona i Alice bardzo się o mnie martwią. A nawet rozmawiały o tym, że jestem bardzo spięta i powinnam poszukać pomocy specjalisty.

Nie przychodzi mi łatwo przemilczenie tej uwagi. Naprawdę wszyscy myślą, że oszalałam? Wiem, że tak nie jest, ale nie powinnam stawać okoniem i się kłócić. Przyszłam ugasić pożar, a nie go rozniecać.

- Też o tym myślałam. Ostatnio było mi bardzo ciężko. Rozmawiałam nawet z Leonardem i wzięłam wolne. - Spoglądam na Luke'a, by upewnić się, że nie zaprzeczy mojej wersji wydarzeń, po czym kontynuuję: - Potrzebuję czasu. Pomyślałam, że mogłabym odwiedzić Nadine. Pamiętasz

Nadine Horricks? Chodziłam z nią do szkoły. Teraz mieszka w Cambridgeshire. Tyle razy już mnie zapraszała.

- Nadine Horricks? Przecież to zamierzchła przeszłość. Nie wiedziałem, że jeszcze się przyjaźnicie - dziwi się Luke.

- Utrzymujemy ze sobą kontakt, przecież wiesz.

Mamrocze pod nosem coś, co odbieram jako przyznanie mi racji, ale nie mówi nic więcej, po czym dodaje:

- Pamiętam Nadine. Miła dziewczyna. Chciała zostać pielęgniarką.

- To prawda. Od dawna pragnę ją odwiedzić, tylko wciąż to odkładam.

- To świetny pomysł, kochanie. - Mama klepie mnie po ręku. - A kiedy wrócisz, wszystko będzie dobrze.

- Zaraz do niej napiszę.

Dopijam herbatę, idę do salonu i włączam laptopa. Luke staje w drzwiach i opiera się o framugę.

- Co robisz? - pyta.

- Ja? Nic takiego. Piszę do Nadine, jak już mówiłam.

- Masz na myśli Nadine, do której od dawna nawet nie wysyłasz kartek świątecznych?

- I co z tego? Dalej się bardzo lubimy.

- Tylko nie rób głupot - ostrzega Luke.

- Oczywiście, że nie zrobię. Potrzebuję tylko kilku dni przerwy, to wszystko. Przecież sami tego chcecie. Myślałam, że będziecie zadowoleni - ucinam dalszą dyskusję, po czym loguję się do poczty. Spoglądam na Luke'a, który wciąż stoi w drzwiach. - Nie martw się, wszystko w porządku.

- Mhm - pomrukuje, po czym odpycha się od framugi i znika.

A ja otwieram nowe okno i wpisuję w przeglądarkę hasło „British Airways”.

Kiedy w drzwiach domu stanęła policja, pomysł, który narodził się w mojej głowie kilka dni temu, przerodził się w plan. Muszę dowiedzieć się paru rzeczy o Alice.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wysiadam z samolotu w Jacksonville, uderza mnie niespodziewana fala ciepła. Może i jest początek listopada, ale słońce na Florydzie wciąż grzeje, a temperatury w ciągu dnia przekraczają dwadzieścia stopni.

Zarezerwowałam pokój w motelu niedaleko lotniska. Patrząc na zegarek i obliczam różnicę czasu. W domu musi być koło piątej po południu. Pojadę się zameldować, a później zadzwonię do domu, żeby porozmawiać z dziewczynkami, zanim zasną. Nie cierpię się z nimi rozstawać, ale tym razem nie mam wyjścia. Nie mogę beczynnie siedzieć w domu. Nikomu nie mogę zaufać. Wszyscy myślą, że z wielkiego napięcia i złych emocji tracę rozum i nie potrafię przeżywać szczęścia wraz z Alice. Ale to nie tak. Niepokojące fakty i podejrzenia nie dają mi spokoju.

Podczas lotu zrobiłam listę wszystkich trudnych do wyjaśnienia zdarzeń związanych z przyjazdem Alice, które sprawiły, że stałam się podejrzliwa, zaczęłam kwestionować jej motywacje albo własne zdrowie psychiczne.

1. *Odwrócone na lewą stronę zdjęcie.*
2. *Flirtowanie z Lukiem.*
3. *Stłuczone szkieleto w naszej fotografii ślubnej.*
4. *To, że Alice zrzuciła stłuczenie zdjęcia na Hannah.*
5. *Zniszczenie obrazu Luke'a.*
6. *Alice nosząca moje ubrania.*
7. *Zdjęcie Alice i Luke'a.*
8. *Wypadek Daisy.*
9. *Historia o Romie i Nathanielu.*
10. *Spotkanie Alice i Leonarda w kawiarni???*
11. *Zagubione akta McMillana i przełożone spotkanie. Czyżby włamała się na moją skrzynkę pocztową???*

Pod listą wielkimi literami napisałam:

DLACZEGO????????

Pieniądze - Spadek? Fundusz powierniczy?

Miłość - Mama? Rodzina?

Zemsta - Za to, że wywieziono ją do Ameryki? Za to, że mama pozwoliła jej odejść???

Chęć przejęcia mojego życia???!!!

Tak, jestem w pełni świadoma, ile znaków zapytania znalazło się w tych notatkach.

Mój pokój w motelu jest bardzo skromny. Płacę za niego kartą Visa. Rzucam plecak na łóżko i dzwonię do domu.

Odbiera mama.

- Cześć, mammo. To ja.

- Cześć, Clare. - I po krótkiej pauzie dodaje zmartwionym tonem: - Wszystko w porządku, kochanie?

- Wszystko dobrze, mamó. Nie martw się o mnie, proszę - uspokajam ją. - Jest Hannah? I Chloe? Chciałam życzyć im słodkich snów.

- Ale dopiero piąta - mówi mama.

Muszę się poprawić. Mama nie ma pojęcia, że jestem po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego w innej strefie czasowej.

- Specjalnie zadzwoniłam wcześniej, żeby złapać Chloe, zanim pójdzie spać.

Mama wydaje się zadowolona z mojej odpowiedzi. Woła Hannah.

- Cześć, kochanie! - mówię.

- Mamusia!

Dźwięk jej głosu wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Opowiada, jak minął jej dzień. Mówi, że ona i Chloe malowały z tatusiem obrazki w kuchni i robi mi się ciepło na sercu. Później mówi, że Alice upiekła ciasteczka, które bardzo smakowały tatusiowi, co wywołuje skrajnie przeciwny efekt.

Na myśl o tym, że Alice i Luke żyją sobie razem w błogiej harmonii, robi mi się niedobrze.

- To miłe z jej strony - udaje mi się z siebie wydusić. - Mogłabym porozmawiać z Chloe?

Słyszę rechot córeczki w tle, który pozwala mi szybko zapomnieć o słowach Hannah. Po chwili słyszę Alice:

- Chloe, przywitasz się z mamusią?

Mam ochotę krzyczeć z rozpaczy. Dlaczego Alice zajmuje się moimi dziećmi? Gdzie, do cholery, jest ich ojciec?

- Cześć, Chloe. Tu mamusia.

- Mamusia! Mamusia! Alice łaskocze! Jedliśmy muffinki. Z bitą śmietaną!

- To wspaniale! Były pyszne? Zostawicie jedną dla mnie? - zmuszam się, żeby zabrzmiało to radośnie. Z daleka dobiega mnie głos mamy, która mówi Chloe, żeby się pożegnała i powiedziała „kocham cię”. Jestem jej wdzięczna za taką odpowiedź. Hannah prosi o to samo.

- Kocham cię, mamusiu - mówi córeczka.

- Też bardzo cię kocham. Najbardziej na świecie - odpowiadam.

Do telefonu podchodzi mama.

- Jest Luke? - pytam, chociaż odczucia mam sprzeczne. Owszem, bardzo chciałabym z nim porozmawiać, boję się jednak, że zacznie mnie wypytywać o Nadine, a wtedy znowu musiałabym go okłamać.

- Jest w pracowni. Cały dzień smutny krzątał się po domu, więc powiedziałam mu, żeby zajął się czymś kreatywnym, co poprawi mu nastrój. Zła atmosfera w domu nie wpływa dobrze na dziewczynki.

- Wiem, mamó. Wrócę w przyszłym tygodniu i wszystko naprawimy. Obiecuję.

Coś musi się zmienić. Albo zaakceptuję Alice, albo nie. Nie jestem jeszcze pewna, co ta druga opcja może oznaczać dla mnie, mojego małżeństwa i rodziny, ale w końcu będę musiała coś postanowić. Bo już dłużej nie

wytrzymam.

Budzę się wcześnie rano i chociaż byłam zmęczona podróżą, z powodu zmiany strefy czasowej nie udaje mi się porządnie wyspać. Jednym ciągiem spałam najwyżej pięć godzin.

Idę do knajpki po drugiej stronie ulicy i proszę kelnerkę o naleśniki z syropem klonowym oraz kawę. Kiedyś, w niedzielne popołudnie niedługo po naszym ślubie, rozmawialiśmy z Lukiem o wyjeździe do Stanów. Hannah była jeszcze niemowlakiem, a my planowaliśmy nasze pierwsze rodzinne wakacje. Ameryka wydawała się zbyt ambitnym planem, ale siedzieliśmy wtuleni w siebie i popijając wino, robiliśmy listę rzeczy, które byśmy zrobili, gdyby udało nam się tu kiedyś przyjechać. Potem obiecaliśmy sobie, że w odpowiednim czasie naprawdę to zrobimy. Pierwsze na mojej liście były naleśniki z syropem klonowym, co bardzo rozśmieszyło Luke'a, i długo jeszcze z tego żartował.

Uśmiecham się na to wspomnienie, ale szybko zalewa mnie fala smutku. Tracę ochotę na naleśniki. Nie wydają się tak apetyczne, kiedy jestem tu sama, bez Luke'a i dziewczynek. Odsuwam talerz, płacę i wychodzę.

Wsiadam do wynajętego samochodu, wyjmuję z torebki telefon i sprawdzam adres Alice Kendrick, po czym wpisuję go w nawigację. Za czterdzieści pięć minut powinnam być na miejscu. Powoli wjeżdżam na autostradę (to mój pierwszy raz w Stanach!) i uważnie śledzę wskazówki oraz znaki, pamiętając o tym, że mogę skrócić w prawo na czerwonym świetle, jeśli nic nie jedzie. Trochę się tym stresuję, ale w sumie dobrze mi idzie przywykanie do prawostronnego ruchu. Niedługo przejadę przez most, który łączy Amelia Island z Florydą. To mała wysepka, ma trochę ponad dwadzieścia kilometrów długości, a zamieszkuje ją niecałe dwanaście tysięcy osób. Na stronie biura podróży przeczytałam, że jest popularna wśród turystów, chociaż zdołała zachować atmosferę małego i przyjaznego miasteczka.

Po jakimś czasie wjeżdżam na Jasmine Street, a potem w małą jednokierunkową uliczkę. Nawigacja informuje mnie, że dotarłam do celu. Zatrzymuję się przed niskim domkiem jednorodzinny. Budynki wokół wyglądają podobnie, jest też kilka bliźniaków. Wszystkie domy są skromne, ale dobrze utrzymane. Nie są ostentacyjne ani krzykliwe. Wysokie drzewa ocieniają ulicę, na którą słońce tu i tam rzuca jaskrawe plamy światła. Z drzew zwisają długie kurtyny z oplątwy brodaczkowej. Przypominają mi anielskie włosie na choinkach.

Patrząc z zewnątrz, nie mogę stwierdzić, czy ktoś jest w domu. To spokojna ulica i trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystkie domy stoją puste.

Wchodzę na werandę i pukam do drzwi. Nasłuchuję jakichś oznak życia, jednak bez skutku. Ale nie przyjechałam tu, żeby pocałować klamkę. Rzucam okiem na ulicę, ale nikt nie nadjeżdża, więc przechodzę do furtki, która prowadzi do ogrodu za domem. Okazuje się, że jest otwarta i mogę wejść. Ogród jest ładny i zadbany. Czyżby Patrick Kennedy interesował się

ogrodnictwem?

Zaglądam do kuchni. Wszystko jest na swoim miejscu. Nie ma kubków przy zlewie czekających na kogoś, kto je pozmywa. Żadnych porozrzucanych na blacie ścierek, owoców w misce wypatrujących amatora, który je zje. Istny dom na pokaz. Naciskam klamkę tylnych drzwi, ale oczywiście są zamknięte. Chwilę się z nią siłuję, żeby mieć stuprocentową pewność. W pozostałych pokojach zasłonięto firanki, więc nie da się do nich zajrzeć.

Przy furtce stoją dwa kubły na śmieci. Czuję się jak detektyw amator i rzucam na nie okiem. Może znajdę wskazówkę, kiedy ostatnio ktoś był w domu. Pierwszy kubeł jest na segregowane odpady. W środku widzę głównie kartonowe pudełka. Kiedy otwieram drugi, uderza mnie odór, od którego robi mi się niedobrze. Ze środka wylatuje stado much. Szybko zamykam klapę i odskakuję na bok.

Oparty o ogrodzenie stoi kijek bambusowy. Biorę go i z odległości znowu podnoszę pokrywę. Bzyczenie much i unoszący się w powietrzu smród są potworne, ale tym razem jestem lepiej przygotowana. Z zatkanym nosem podchodzę bliżej, zaglądam do środka i widzę kilka worków na śmieci ułożonych jeden na drugim. Na czarnym plastiku wiją się kontrastujące barwą białe robaki. Dźgam kijkiem pierwszy worek od góry. Nie został porządnie zawiązany i udaje mi się go otworzyć.

Nie jestem pewna, czego mam się spodziewać. Chyba za bardzo daję się ponieść wyobraźni, bo czuję wyraźną ulgę, kiedy znajduję tylko puszki i kartony po jedzeniu. Na samej górze leży coś, co wygląda na kawałek mięsa, co tłumaczyłoby obecność much. Zamykam pokrywę z ulgą, że nie znalazłam w środku czegoś o wiele gorszego, po czym sama besztam się za wybujalą wyobraźnię. Co ja sobie myślałam? Że znajdę w środku trupa?

Nagle za płotem kogoś dostrzegam. To mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta. Ma ładnie ułożone włosy, a usta lekko muśnięte czerwoną szminką. Patrzy prosto na mnie.

- Pani z inspekcji sanitarnej? Najwyższy czas. Już tyle razy dzwoniłam! Te kubły nie były opróżniane od tygodni. Co za wstyd! Gdyby pan Kendrick żył, na pewno nic takiego by się nie stało. Przecież to istna broń biologiczna! - Wyjmuje z kieszonki okulary, wkłada je na zadarty nosek i przygląda mi się uważnie. - Ale pani nie wygląda mi na kogoś z inspekcji sanitarnej...

- Niestety, przykro mi. - Przeciwiczyłam swoją historyjkę na wypadek, gdybym spotkała sąsiadów. - Jestem krewną Alice Kendrick. Przyjechałam z Anglii. Nie widziałyśmy się od kilku lat. Chciałam zrobić jej niespodziankę - mówię z szerokim uśmiechem, myśląc przy tym, że w sumie jestem bliska prawdy.

- Krewną? Ali Kendrick? Nie pamiętam, żeby jej ojciec kiedykolwiek wspominał o krewnych w Anglii.

- Nasze rodziny straciły kontakt wiele lat temu. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że mam kuzynkę.

- Chyba szukasz wiatru w polu. Nie chcę cię rozczarować, ale Ali Kendrick wyjechała. Nie widziałam jej już od kilku tygodni. To wszystko musiało dać

się jej mocno we znaki. Pewnie chciała się na chwilę wyrwać.

- Jaka szkoda. Może wie pani, dokąd pojechała? - Rozczarowanie i nadzieja w moim głosie są autentyczne. Mówiąc „to wszystko”, sąsiadka musiała mieć na myśli śmierć Patricka.

- Zostawiła mi liścik z informacją, że pojechała do Europy. Dziwi mnie, że nie wybrała się do Anglii, skoro ma tam dawno niewidzianych krewnych.

Wyczuwam w jej głosie podejrzliwość.

- Jak już mówiłam, nasze rodziny straciły kontakt dawno temu. Nie wie pani, gdzie mogę znaleźć jej macochę?

- Tak dawno się nie widziałyście, a jednak wiesz, że ma macochę. To ciekawe.

Sąsiadka może i jest staruszką, ale jej umysł jest młody i sprawny.

- Słyszeliśmy, że Patrick zmarł, od rodziny jego żony. - Dobrze, że mój umysł działa równie sprawnie jak podejrzliwej sąsiadki. - Jej córka wysłała mi wiadomość na Facebooku. Wie pani, przez internet.

- Wiem, co to jest. Nie jestem głupia - ukróca mnie.

- Tak, tak, oczywiście.

- Ale córka? Przecież Roma nie ma córki. Ma tylko syna.

Cholera jasna. Jestem pewna, że Alice wspominała coś o przyrodniej siostrze. Próbuję sobie przypomnieć, jak się nazywał jej brat.

- Nathaniel. Nathaniel do mnie napisał. Przepraszam. Miałam ciężki dzień, spędziłam kilkanaście godzin w podróży, trudno mi się skupić.

- Tak, dzieciak nazywa się Nathaniel. Jeśli chcesz się z nim skontaktować, może po prostu odpiszesz mu na Facebooku? - Znowu daję się zawstydzić staruszce.

Niech to szlag! Trafiła mi się konkurentka. To rzeczywiście logiczne. Wymyślam na szybko odpowiedź:

- Nie dodaliśmy się do znajomych, a teraz nie mogę go znaleźć, pewnie przez ustawienia prywatności. Nie zna pani przypadkiem ich adresu albo numeru telefonu?

Sąsiadka przygląda mi się uważnie, ale w końcu podejmuje decyzję:

- Poczekaj tutaj.

Znika w domu, po kilku minutach wraca, machając zza płotu karteczką.

- Adres i numer telefonu. Lepiej zadzwoń, zanim tam pojedziesz. Mieszkają w Jacksonville.

- Dziękuję. - Sięgam po kartkę, jednak sąsiadka cofa rękę.

- Ale najpierw wyświadczysz mi przysługę i opróżnisz te kosze.

Nie ma sensu się spierać. Coś za coś to sprawiedliwy układ. Bez adresu i telefonu nic już nie wskóram.

Sąsiadka obserwuje, jak opróżniam kubły na śmieci, a później, zadowolona, że dotrzymałam swojej części umowy, podaje mi świstek papieru.

Wsiadam do samochodu i wyjeżdżam ze ślepej uliczki. Wracam na Jasmine Street. Pewnie nie powinnam parkować na poboczu, ale raz się żyje. Jeśli zatrzyma mnie policja, zrobię z siebie głupią turystkę. Potrzepoczę rzęsami

i przeproszę z brytyjskim akcentem.

Dzwonię pod numer z kartki. Po czwartym sygnale ktoś odbiera.

- Słucham - mówi kobieta, ale to jedyne, co tak na początek jestem w stanie wywnioskować.

- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Romą Kendrick?

- Przy telefonie.

- Nie chcę pani zawracać głowy, ale próbuję się skontaktować z Alice Kendrick. Dostałam ten numer telefonu. Nie wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

- Hm... a kto mówi?

- Clare Tennison. - Czekałam, aż mnie rozpozna.

Przez chwilę milczy, a ja zaczynam żałować, że nie rozmawiamy twarzą w twarz. Przynajmniej nie mogłaby się rozłączyć, co, jak sądzę, zamierza zrobić.

- Przepraszam, ale czy my się znamy? I czemu próbuje pani znaleźć Alice?

- Nie, nigdy się nie poznałyśmy. Zanim zostałam Clare Tennison, nazywałam się Kennedy. Moim ojcem był Patrick Kennedy, chociaż pani zna go pewnie pod nazwiskiem Kendrick. Próbuję się skontaktować z Alice, bo... to moja siostra.

Roma bierze głęboki wdech i pyta:

- Siostra?

- Tak. Dorastałam z matką w Anglii. Przez wiele lat nie miałyśmy żadnego kontaktu z Alice.

- Tak, wiem. To znaczy faktycznie Patrick przeprowadził się tutaj z córką, ale nie wiem nic na temat zmiany nazwiska. Jest pani tego pewna?

- W stu procentach.

- Przepraszam, trochę mnie pani zaskoczyła - wyznaje Roma.

- No tak, rozumiem. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Skąd pani ma ten numer?

- Dostałam go od sąsiadki Alice, starszej pani spod dwudziestki piątki.

- Pani Karwowski - mówi Roma. - Niezły z niej charakterek. Co mówiła o Ali?

Zaskakuje mnie tym pytaniem, ale decyduję się w to nie brnąć.

- Nic specjalnego, tylko tyle, że nie widziała jej od kilku tygodni. - Zastanawiam się, czy tłumaczyć dalej, ale uznaję, że nie ma sensu ukrywać tego przed Romą. - Pani Karwowski powiedziała, że Alice wyjechała w podróż po Europie.

- Naprawdę? Tak po prostu?

- Z jej słów wywnioskowałam, że Alice miała ostatnio ciężki okres. Nic pani o tym nie mówiła?

- Nie.

- Widziała się z nią pani niedawno? Albo rozmawiała? - naciskam.

Nie wiem, czy waha się, czy tylko jest zamyślona, ale coś takiego wychwyciłam w tonie jej głosu, gdy odpowiada:

- Nie, nie rozmawiałam z nią już od dawna.

- Pani Kendrick, czy mogłybyśmy się spotkać i porozmawiać osobiście? Możemy umówić się na kawę? Chciałabym poznać lepiej macochę Alice.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Proszę, byłabym bardzo wdzięczna. Nie zajmę pani dużo czasu. Mogę do pani przyjechać. - Spoglądam na zegarek. - Dojadę do pani w ciągu godziny. Proszę... - Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się nachalnie, ale jestem bardzo zdesperowana. Wiem, że wyciągnę od Romy więcej informacji podczas rozmowy twarzą w twarz.

- No dobrze... Mogę się z panią spotkać. Ale nie dzisiaj. Może jutro?

- Oczywiście, będę bardzo wdzięczna.

- Spotkajmy się w Jacksonville o wpół do drugiej w kawiarni przy osiedlu Village Walk.

Rozłączam się, wracam do samochodu i myślę o naszej rozmowie. Wyjmuję zdjęcie Alice i Marthy. Pewnie zostało zrobione w tym domu.

Gdybym tylko mogła wejść do środka, na pewno dowiedziałabym się więcej na jej temat. Mam nadzieję, że Roma opowie mi jutro coś ciekawego. Myślę o Marcie, przyjaciółce Alice. Ona na pewno mogłaby wiele mi opowiedzieć. Łączyły ją zupełnie inne relacje z Alice niż z Romą i gdybym mogła z nią porozmawiać, stworzyłabym dokładniejszy obraz siostry. Prawdziwej Alice Kennedy, która kryje się pod fasadą słodkiej i miłej dziewczyny z mojego domu. Kiedy o tym myślę, odczuwam emocje, które szybko identyfikuję jako zazdrość. Uczucie, któremu ostatnio ulegam coraz częściej, z czego wcale nie jestem dumna.

Alice opowiedziała mi kiedyś, że Martha pracowała jako kelnerka. Jestem pewna, że podała mi nazwę knajpki: Beach House Diner. Utkwiło mi to w pamięci, bo kiedy postanowiłam sobie dorobić, pracowałam w miejscu o prawie identycznej nazwie: Beach House Café w Brighton. Dzięki Bogu mam dobrą pamięć do szczegółów, to taki zawodowy nawyk. Dziękuję też Bogu za smartfona. Wpisuję w wyszukiwarkę hasło „Beach House Diner, Amelia Island”, w ciągu kilkunastu sekund znajduję knajpę i wpisuję adres w nawigacji.

Amelia Island jest małą wyspą, więc dojeżdżam do celu w kilka minut. Knajpka jest niebiesko-zielona, ma duże otwarte okna i mieści się przy drodze, która wygląda na wyjazdową. Ciężarówki załadowane dwudziestometrowymi kłodami przejeżdżają obok w odstępach dwóch, trzech minut. Pewnie jadą do tartaku, o którym czytałam w samolocie, kiedy próbowałam dowiedzieć się więcej na temat tego regionu.

Kiedy wchodzę do knajpki, szukam wzrokiem Marthy. Rozglądam się za dziewczyną podobną do Alice, z długimi, brązowymi włosami, mojego wzrostu i postury. Właściwie, równie dobrze mogę szukać wzrokiem którejkolwiek z nas: mnie samej, Alice lub Marthy. Po chwili podchodzi do mnie młoda niewysoka brunetka o ciemnej karnacji.

- Witamy w Beach House Diner. Stolik dla jednej osoby?

- Tak, poproszę - odpowiadam ciepło.

- Nazywam się Angelina i będę panią obsługiwać. Może chce pani usiąść

przy oknie?

- Chętnie. - Ruszam za Angeliną, rozglądając się po drodze. Knajpa jest spora, na oko doszłam do wniosku, że może jednorazowo gościć około siedemdziesięciu osób. Ściany są pomalowane na biało i w połączeniu z dużymi oknami miejsce wygląda przestronnie.

Siadam przy stoliku, a Angelina wręcza mi menu i opowiada o daniach dnia. Proszę o sok i mam chwilę czasu, by się zastanowić nad daniem głównym. Po kilku minutach Angelina wraca z okrągłą tacą, na której niesie szklankę i butelkę wody.

- Jest pani na wakacjach? - pyta, otwierając butelkę.

- Tak jakby - mówię zadowolona, że nie muszę sama trudzić się otwieraniem butelki. - Próbuję znaleźć koleżankę przyjaciółki. Wiem, że kiedyś tu pracowała. - Uśmiecham się, a kiedy Angelina spogląda na mnie pytająco, dodaję: - Martha Munroe. Jeszcze tu pracuje?

- Niestety już nie. Marthy nie ma z nami od jakiegoś miesiąca.

- Och, jaka szkoda - mówię, udając rozczarowanie. - Nie wie pani, gdzie mogłabym ją znaleźć?

- Tego nie wie nikt. Wyjechała z przyjaciółką w podróż.

- Naprawdę? Z jaką przyjaciółką? - pytam, a kiedy Angelina spogląda na mnie podejrzliwie, dodaję: - Może ją kiedyś poznałam.

- Alice Kendrick. Znacie się?

- Mieszkały razem, prawda?

- Tak, zgadza się. - Czuję, że Angelina znów opuszcza gardę. - Chociaż nie wiem, czemu po tym, co się między nimi stało, Martha zdecydowała się na wspólną podróż z Alice.

- A co się stało? - drążę, gdy zamilkła, jakby kończąc temat.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić. Nieładnie jest obgadywać ludzi za plecami - odpowiada niepewnie.

- Jestem koleżanką Marthy, możesz mi co nieco zdradzić. Pokłóciły się? Tylko strzelam, ale może mam rację?

- W sumie tak, chodzi o kłótnię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Patrzę na Angelinę i czekam, aż powie coś więcej. Siada na krześle naprzeciwko mnie. Pochyliła się do przodu, splata dłonie i zaczyna opowiadać:

- Martha była najlepszą przyjaciółką Alice. Polubiły się od pierwszego dnia pracy. Alice miała w sobie coś. Była smutna i wydawała się samotna. Martha od razu to zauważyła. Wiesz czemu?

- Nie, mów dalej.

- Martha kiedyś była tak samo smutna i samotna. Nie wszystkim się zwierzała, ale kiedyś mi wyjawiała, co działo się w jej domu. Matka była wobec niej okropna, a ojca nie miała w ogóle. Brakowało jej miłości, stała się ciężarem dla swojej rodziny.

- I to samo dostrzegła w Alice?

- Tak, od razu to zrozumiała i zrobiło się jej żal biednej Kendrick. Podeszła do niej i zagaiła rozmowę. Za każdym razem, kiedy Alice tu przychodziła, Martha znajdowała dla niej czas. Szybko się zaprzyjaźniły.

- A o co się pokłóciły?

- Chodziło o macochę, która od samego początku nie lubiła Marthy. Uważała, że ma zły wpływ na Alice. Nie podobało się jej, że Alice zaczęła nowe życie i zdobyła przyjaciół w swoim wieku. - Angelina rozgląda się ukradkiem po knajpce i dodaje: - Nie mogę tu długo siedzieć, bo dostanie mi się od szefa.

- Powiedz mi jeszcze tylko, jak to się stało, że one się pokłóciły, a mimo to pojechały razem do Europy?

- Alice była spokojną dziewczyną, posłuszną ojcu i macosze, a Martha wciąż namawiała ją, żeby się postawiła. Kiedy pan Kendrick zmarł, osierocona Alice poprosiła przyjaciółkę, żeby się do niej wprowadziła, a ponieważ rodzina wyrzuciła Marthę z domu, nie miała dokąd pójść. Alice była samotna i bardzo na niej polegała, więc wydawało się, że to idealne rozwiązanie. Oczywiście Roma nie była z tego powodu zadowolona. Zmierzając do końca: Martha i Roma pokłóciły się o Alice, co odcisnęło się na przyjaźni dziewczyn.

- Nie wytrzymały napięcia? Też zaczęły się kłócić?

- Tak. Martha powiedziała, że nie zamieszka w tym samym domu co Roma.

Widzę, że Angelina, mimo wcześniejszych zastrzeżeń, uwielbia plotkować. Przy tym wcale się nie śpieszy, choć niby obawia się reprimendy szefa.

- Co się stało później?

- Pokłóciły się. Alice błagała Marthę, żeby została, i pożarła się z macochą. Ponieważ dom należał do Alice, Roma musiała przeprowadzić się do Jacksonville. I tak nie kochała Alice.

- Jak to się stało, że dziewczyny razem wyjechały?
- Ot tak, po prostu. Martha zostawiła menedżerowi liścik, że odchodzi, a mnie wysłała wiadomość, że jadą z Alice do Europy, i tyle ją widzieliśmy. W ogóle przestała się odzywać, nie odpisuje nawet na SMS-y.
- To trochę dziwne, nie sądzisz?
- Trochę tak, ale to cała Martha. Potrafiła z dnia na dzień zmienić plan na życie, nigdy nie zapuściła tu korzeni. - Angelina wzrusza ramionami i wstaje z krzesła. - Muszę już iść. Jeśli spotkasz Marthę, powiedz jej, że jej szukałam.
- Pewnie. Dziękuję, że poświęciłaś mi czas.

Dopijam sok i wychodzę. Wracam pod posesję Kendricków. Parkuję kawałek dalej, by nie wpaść ponownie na sąsiadkę. Zamykam samochód i wchodzę na działkę. Nie wiem czemu, ale ciągnie mnie do tego domu. Jestem pewna, że znajdę tam odpowiedzi. Muszę się dostać do środka.

Kubły na śmieci wciąż stoją na końcu podjazdu, przechodzę obok nich, idąc w stronę bramy. Jeszcze raz zaglądam przez okna, spacerując po ogrodzie. Wszystkie okna są pozamykane. Gdyby to był mój dom i ktoś inny by tu mieszkał wraz ze mną, na wszelki wypadek najpewniej trzymałabym gdzieś kluczyk. Czy Alice postąpiła tak samo? Warto sprawdzić.

Ruszam do tylnych drzwi i sprawdzam framugę. Nic. Ale to raczej zbyt oczywiste. Podnoszę wycieraczkę i donicę z rośliną obok drzwi. Nie wiem, co to za kwiat. Ma zwędłe liście i opadające łodygi. Wygląda na to, że dawno nikt go nie podlewał. Rozglądam się po werandzie, szukając innych potencjalnych kryjówek.

Ta część wyspy jest bardzo spokojna. Czasami słyszę samochody przejeżdżające drogą od frontu posesji, ale poza tym niewiele się dzieje. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To przemykająca po deskach niewielka zielona jaszczurka, na oko może mieć trochę ponad dziesięć centymetrów długości. Zatrzymuje się przy doniczce i puszcza pyszczkiem różowawą bańkę. Przypomina mi się, jak mama kupiła Hannah opakowanie gum do żucia, z których można było puszczać wielkie balony, które wreszcie jednak pękały i kleiły się do włosów. Jaszczurka ma o wiele więcej doświadczenia. Robi to kilka razy, obserwując mnie wielkimi, okrągłymi oczami. Pewnie się zastanawia, co tu robię. Muszę przyznać, że sama też zadaję sobie to pytanie. Czego spodziewam się po tej eskapadzie? Chciałam dowiedzieć się więcej o Alice i jej życiu, ale być może zamiast bawić się w detektywa amatora, powinnam poświęcić mojej siostrze więcej czasu i serdecznej uwagi? Ale kiedy tylko o tym myślę, od razu uświadamiam sobie, że to nie ma sensu. Między mną a Alice istnieje trudna do zdefiniowania, ale bardzo realna bariera, która nie pozwala zbliżyć nam się do siebie. A ja po prostu czuję, że odpowiedzi znajdę w Ameryce, a konkretniej w tym domu.

Rozglądam się uważniej. Na końcu werandy stoi huśtawka ogrodowa, a przy niej doniczka z terakoty przykryta małym spodeczkiem. Została pomalowana i udekorowana muszelkami. Kiedy ją podnoszę, dostrzegam

tylko kupkę popiołu i kilka niedopałków papierosów. Ostry zapach nikotyny unosi się w powietrzu. Lekko potrząsam naczynkiem i spod popiołu wyłania się srebrny metalowy klucz.

- Ohyda - mruczę pod nosem i wysypuję popiół do doniczki z kwiatami, po czym wyjmuję klucz. Okazuje się, że pasuje do drzwi z tyłu domu. Przekręcam go i słyszę kliknięcie, po którym ustępuje opór mechanizmu. Kółka zębate przekręcają się i drzwi są otwarte. Bez wahania wchodzę do środka, chociaż nie wiem, czego się spodziewać. Wiem tylko, że muszę się rozejrzeć. Powoli zamykam za sobą drzwi i chowam klucz w kieszeni spodni.

Salon i kuchnia są przedzielone aneksem. Jestem zaskoczona rozmiarem tego domu. Wysoki sufit i brak ścianek działowych nadaje mu bardzo przestronny charakter. Kiedy wchodzę głębiej, wzdrygam się. Otwieram lodówkę i uderza mnie odór spleśniałego jedzenia. Zatykam nos, zaglądam do środka i widzę dwa kawałki zieleniejącego kurczaka. Potrząsam kartonem mleka na drzwiach i wyczuwam pływające w środku grudki. Nie muszę go nawet wachać, żeby wiedzieć, że jest zepsute. Wysuwam szufladę z warzywami i widzę sałatę powoli zamieniającą się w papkę. Na spodzie pływa sok, który puściła. Wszystko to jest obrzydliwe i niewątpliwie oznacza, że już dawno nikt tu nie zaglądał. Ktoś albo wyjechał w pośpiechu, albo liczył na to, że wróci, ale coś poszło nie tak.

Nagłe skrzypnięcie sprawia, że podskakuję ze strachu. Przez chwilę stoję nieruchomo, by upewnić się, że wciąż jestem tu sama. Kiedy moje serce uspokaja się, wzdycham cicho. Cóż, nie jestem stworzona do tego, żeby myszkować po cudzych domach. Zamykam drzwi lodówki.

Bardzo chciałabym stąd wyjść i nigdy nie wrócić, ale nie pozwala mi upór. Muszę znaleźć to, czego szukam.

Wchodzę do salonu i od razu zauważam zegar ścienny. Ten ze zdjęcia, które Alice wysłała mamie. Jej i Marthy. Musiały siedzieć na tej kanapie.

Alice z lewej, a Martha z prawej strony. Albo na odwrót? Czy zdjęcie faktycznie zostało odwrócone przez przypadek? Czy Alice naprawdę była dyslektyczką?

Rozglądam się po salonie. Na ścianach wisi kilka obrazów. Na jednym z nich jest plaża, pewnie tutejsza, na innym zaś słoneczniki, trochę ładniejsza wersja Van Gogha. Spoglądam na podpis w prawym dolnym rogu:

Alice Kendrick

Alice Kendrick namalowała ten obraz! Moja siostra! Dotykam płótna w miejscu podpisu. Po raz pierwszy czuję, że mam prawdziwy kontakt z jej pismem, że łączy nas jakaś więź. Tak, to moja siostra namalowała ten obraz! Moja malutka siostrzyczka dotykała go, nakładała farbę, podpisała się w rogu.

Robi mi się ciepło na sercu i jednocześnie mam ochotę się rozpłakać. Mrugam kilka razy, żeby powstrzymać łzy. I wiem, że już nie mogę się poddać. Nie po tym wszystkim.

Moją uwagę przykuwa fotografia, która stoi na kominku. Kiedy lepiej się

jej przyglądam, uderza mnie fala równie silnych emocji, ale tym raz nie jest to miłość, lecz strach.

Z ramki spogląda na mnie mężczyzna około pięćdziesiątki. Ma jasne włosy zaczesane do tyłu, koszulkę w białe i jasnoniebieskie paski oraz krótkie beżowe spodenki z bawełny. Stoi na pokładzie żaglówki. Wygląda na zadowolonego i zrelaksowanego, jakby był w trakcie opowiadania dowcipu osobie stojącej po drugiej stronie obiektywu.

Podchodzę bliżej i biorę ramkę do rąk. Pamiętam go jak dziś. Wspomnienie o nim nigdy nie zgasło. To Patrick Kennedy, mój ojciec. Nie widziałam go od dwudziestu lat i nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę. A teraz uśmiecha się do mnie ze zdjęcia. Robi mi się słabo. Muszę wziąć głęboki oddech i na chwilę odwrócić wzrok. Kiedy uczucie dyskomfortu mija, jeszcze raz spoglądam na fotografię, świadomie badając swoją reakcję. Szukam choćby cienia miłości czy niewidocznej więzi między ojcem a córką, której nic nie jest w stanie zniweczyć. Ale kiedy początkowy strach mija, odkrywam, że nie czuję do tego człowieka zupełnie nic. Tam, gdzie powinna być miłość, jest tylko pustka.

Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu innych zdjęć, ale nie widzę ani jednego. Tak samo w korytarzu. W domu są cztery pokoje. Zakładam, że to sypialnie i łazienka. Otwieram pierwsze drzwi z lewej. W pomieszczeniu stoi łóżko dla dwóch osób, ale nie ma na nim kołder ani poduszek. Nie ma też żadnych przedmiotów, które wskazywałyby na to, że ktoś tam mieszka. Wygląda jak pusty pokój po turystach w ośrodku wczasowym. Teraz tylko czeka na sprzątaczkę, które położą na łóżku świeżą pościel.

Zamykam drzwi i wchodzę do kolejnego pomieszczenia. Tutaj jednoosobowe łóżko jest niepościelone, a kołdra niechlujnie odrzucona na bok. Drzwi do garderoby są uchylone i widzę przez nie kilka ubrań, czyli niebieską koszulkę, sweter i białą bluzę. Na półce leży kilka swetrów. Rękaw jednego z nich zwisa luźno. Wygląda to tak, jakby ktoś zwinął go w kłębek i upchnął w pośpiechu. Kilka pustych wieszaków, kilka par adidasów. Na chwilę siadam na brzegu łóżka. Czuję dziwne *déjà vu*. Jeszcze niedawno siedziałam na łóżku Alice w naszym domu w Anglii. Wtedy znalazłam jej zdjęcie z Lukiem. Ciekawe, co znajdę tym razem.

Otwieram szufladę, ale nic istotnego tam nie ma: pół paczki chusteczek higienicznych, spinka do włosów, czerwony lakier do paznokci i długopis. Otwieram kolejną i znajduję nieduży kołnotatnik. Zaglądam do środka. Na górze pierwszej strony widnieje napis wykonany drukowanymi literami i podkreślony dwa razy:

PRACA

Niżej lista dat i godzin. To pewnie zmiany w knajpce. Przerzucam kartki, na wszystkich jest mniej więcej to samo. Lista rzeczy do zrobienia, imiona i nazwiska osób. Większość kartek jest czysta. Nie znajduję tam nic interesującego, nic, co mogłoby mi się przydać. Już mam odłożyć notatnik, kiedy natykam się na kopertę. Wygląda na coś ważnego. Już ktoś ją otworzył, więc zaglądam do środka. To odcinek wypłaty z Beach House

Diner dla Marthy Munroe datowany na kilka miesięcy wstecz. Odkładam go i dostrzegam kartkę grubego i ładnego papieru. Wygląda w tym pokoju jakoś nie na miejscu. To kartka formatu A5 z papeterii używanej do pisania tradycyjnych listów. Przez małą szczelinę w roletach do pokoju wpada strumień światła. Oglądam kartkę pod światło. Dostrzegam tylko leciutko nadrukowane logo firmy produkującej papier. Rozpoznaję ją, pamiętam, że jest droga. W górnym rogu ktoś zapisał piórem numer telefonu zaczynający się od 07.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to numer brytyjskiego telefonu komórkowego, ale nie znam go.

Wysuwam szafkę i znajduję kolejną karteczkę. Tym razem papier jest cienki, w linię, wygląda na wyrwany z kołnotatnika, który wcześniej przeglądałam. Znajduję też czarne kartonowe pudełko wielkości opakowania od pasty do zębów z narysowanym okiem. Jednodniowe soczewki kontaktowe. Potrząsam pudełkiem, ale jest puste. Wyjmuję z szuflady karteczkę i odwracam ją. Lista. Przeglądam, co zawiera. Paszport. Bilety lotnicze. Soczewki. Telefon. Adapter podróżny.

Lista rzeczy na wyjazd. Dochodzę do wniosku, że jeśli to pokój Marthy, to musiała planować zagraniczny wyjazd. Czy chodziło o jej wycieczkę z Alice?

Zastanawiam się, gdzie są pozostałe rzeczy Marthy. Pooddawała wszystko, czego już nie chciała? Nie potrzebowała?

Pokój przypomina mi moje studenckie czasy. Niby w nim mieszkamy, mamy trochę swoich rzeczy, ale nie wszystkie. Taki pokój, w którym mieszkamy i śpimy, ale nigdy nie nazwalibyśmy go domem.

Nie wiem z jakiego powodu, ale zamiast odłożyć wszystko na miejsce, zgarniam rzeczy do torebki, po czym wychodzę.

Biorę głęboki wdech i wchodzę do ostatniego pokoju. Pokoju Alice. Mimo że jest pusty, panuje w nim przyjazna atmosfera. Ściany są pomalowane na biało, z wyjątkiem jednej, jasnoróżowej. Białe rolety zasłaniające okno są zamknięte. Na karniszu jest upięty kawałek różowej tkaniny ozdobnej. Łóżko ma białą ramę i zostało przykryte różowo-białą narzutą. W pokoju jest czysto i schludnie.

Nagle rozlega się dźwięk dzwonka i aż podskakuję ze strachu. Telefon. Wyjmuję go z kieszeni i patrzę na ekran. Luke. Spoglądam na zegarek i obliczam, która jest godzina w Wielkiej Brytanii. Musi być koło szóstej rano. Luke nigdy nie wstaje tak wcześnie. Coś musiało się stać mamie albo dziewczynkom. Przesuwam palcem po ekranie, żeby odebrać.

- Luke?

- Cześć.

- Wszystko w porządku?

- Tak, Clare. Spokojnie, nic się nie stało.

Oddycham z ulgą.

- Dlaczego nie śpisz?

- Nie mogłem zasnąć. Nawet się nie położyłem - mówi cicho. Słyszę, że jest wyczerpany.

- Pracowałeś?

- Próbowałem, ale nie szło mi najlepiej.

To do niego niepodobne. Kiedy Luke nie śpi w nocy, to znaczy, że pracuje.

- Wszystko w porządku? - pytam łagodnie.

- Chryste, czasami zadajesz najgłupsze pytania świata. - Wzdycha głęboko. - Oczywiście, że nie jest w porządku. Między nami jest nie w porządku. Jak to się stało, że wszystko popsuło się w tak krótkim czasie? Co się z nami dzieje, do cholery?

- Nie wiem... - I szybko się poprawiam: - Nie, to nieprawda. Doskonale wiem, co się stało. Alice.

- Mylisz się, co do Alice - oponuje z miejsca.

Mogłam się tego spodziewać.

- Nie myślę. Zaufaj mi.

- Zaufać ci? A może tym razem to ty mi zaufasz? - rzuca gwałtownie, a ja od razu wyobrażam sobie jego oburzoną minę. - Nigdy nie dałem ci ani jednego powodu do zazdrości. Myślałem, że nie mamy się czego bać. Naprawdę tak myślałem. Wiem, co do ciebie czuję i jestem tego pewien. Problem polega na tym, że nie wiem już, co ty czujesz do mnie.

- Luke, przysięgam ci, to nie tak...

- Oczywiście, że nie. Cały czas oskarżasz mnie o to, że obściskuję się z twoją siostrą. Rozpętałaś w domu pieprzoną burzę. Zostałaś nawet aresztowana za zdemolowanie samochodu swojej najlepszej przyjaciółki!

- Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało z samochodem Pippy. Poza tym nie zostałam aresztowana. Pomagałam tylko w śledztwie. - Od razu mam ochotę ugryźć się w język za tak drobiazgową analizę czynności prawno-dochodzeniowych.

- Przestań dzielić włos na czworo. Chryste, co się z tobą dzieje?

- Przyznaję, że sugerowałam, że jest coś między tobą i Alice, a teraz przepraszam cię za to. Ale chodzi o coś innego. Po prostu jej nie ufam.

- A czy jest ktoś, komu ufasz?

- Możemy porozmawiać o tym, jak wrócę? - próbuję zażegnać kolejny kryzys. Mieliliśmy okazję, żeby miło porozmawiać, a znów skończyliśmy na sprzeczce. - Nie chcę się z tobą kłócić przez telefon. Wyjechałam, żeby się wyciszyć, a nie buzować na nowo. To niczego nie rozwiąże.

Odpowiada po chwili milczenia:

- Też nie chcę się kłócić, naprawdę. Przepraszam, nie powinienem był dzwonić.

- Nie, cieszę się, że to zrobiłeś - mówię szczerze. Rozmawiając z nim, czuję, że jestem bliżej.

- Tęsknię za tobą, Clare. Tęsknię za tobą już od wielu dni, tęskniłem nawet wtedy, kiedy tu byłaś. Brakuje mi naszej bliskości. Nie chcę tak dalej żyć. To udręka.

- Wiem. Daj mi jeszcze kilka dni.

- Dobrze. - Wzdycha lekko. - A co u Nadine? Pewnie przegadałyście z pół nocy, żeby opowiedzieć sobie ostatnie dwadzieścia lat życia. - Słyszę, że

stara się mówić trochę radośniej.

- W porządku - rzucam zwięźle, dając do zrozumienia, że nie będę ciągnąć tego tematu. Zamykam oczy i modlę się, żeby wybaczył mi moje kłamstwa.

- Opowiesz mi, kiedy wrócisz. - Luke znowu smutnieje.

- Zobaczmy się niedługo. - Chciałabym porozmawiać dłużej, ale nie potrafię. Z każdym jego pytaniem o Nadine będę musiała plątać się w kolejne kłamstwo.

- Pozdrów ją ode mnie. Do zobaczenia.

- Oczywiście. Pa! - I po krótkiej pauzie dodaję szybko, prawie szeptem: - Kocham cię.

Luke rozłącza się. Nie wiem, czy to usłyszał. Przykładam do czoła dłoń, w której trzymam telefon, zamykam oczy i zadaję sobie to samo pytanie, które postawił Luke: Co się z nami dzieje?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kontynuuję moje małe śledztwo. Przechadzam się po domu od salonu po sypialnię, próbując zrozumieć Alice i jej życie. Postanawiam wrócić do pokoju siostry. Z prawej strony stoi regał z książkami, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi. Jest wypełniony po brzegi. Przesuwam palcem po grzbietach, żeby zobaczyć, co lubiła czytać. Interesuje mnie wszystko, co może mnie do niej przybliżyć. Na jednej z półek są podręczniki o wychowywaniu dzieci i edukacji. Pewnie potrzebowała ich, kiedy szkoliła się do zawodu. Jest też sporo książek w miękkiej oprawie. Wyjmuję jedną z nich. Kryminał. Odkrywam, że cała półka jest nimi wypełniona. Na regale są też inne gatunki, głównie współczesna literatura dla kobiet i romanse. Alice jest moim księżkowym. Przypomina mi się nasza rozmowa w salonie mamy, jak mówiła, że chcąc zrobić innym na złość, zwalczyła dysleksję. Jestem pewna, że mówiła wtedy, że bardzo mało czyta.

Coś nie daje mi spokoju. Szczególnie ten regał z książkami. Stukam w jedną z nich, próbując się odprężyć i uspokoić kłębiące się w mojej głowie myśli. Rozglądam się po pokoju. Wiem! Nie ma tu żadnych zdjęć. Przeszukuję regał w poszukiwaniu albumu, ale nic nie znajduję. To dziwne, że w całym domu nie ma żadnych fotografii z wyjątkiem zdjęcia Patricka Kennedy'ego umieszczonego na kominku.

Nagle słyszę za plecami jakiś hałas i podskakuję ze strachu. Odwracam się i piszczę z zaskoczenia. W drzwiach stoi sąsiadka, którą poznałam wcześniej. Pani Karwowski.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - pyta.

- Ja tylko... - zaczynam, ale nie wiem, co właściwie powiedzieć.

- Mogę zadzwonić na policję - grozi.

Przytakuję, ale intuicja podpowiada mi, że i tak tego nie zrobi. Decyduję się na szczerść.

- Tylko chciałam być bliżej Alice. Nie byłam szczerą, kiedy powiedziałam pani, że jestem jej kuzynką.

- Tak mi się właśnie zdawało.

- Prawda jest taka, że jestem jej siostrą. Rozdzielono nas, kiedy Alice miała cztery lata, i od tamtej pory jej nie widziałam.

- Podejrzewałam, że nie jesteście jakimiś tam kuzynkami. - Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się uważnie.

- Rozmawiałam z Romą Kendrick - wyjawiam. - Umówiliśmy się na jutro.

- To dobra kobieta - mówi pani Karwowski. - Traktowała Alice jak własną córkę. W życiu bym nie powiedziała, że jest jej macochą. Była miła nawet dla jej przyjaciółki, chociaż wcale na to nie zasługiwała.

- Marthy? - pytam.

Jednak pani Karvowski odwraca się i wychodzi, mówiąc przy tym:

- Jak już tu skończysz, zamknij drzwi i zostaw klucz tam, gdzie go znalazłaś.

Po wyjściu z domu wsiałam do samochodu i jadę nad ocean. Zatrzymuję się na małym parkingu, a potem, jakby ktoś prowadził mnie za rękę, wchodzę na drewniane schodki, które prowadzą na plażę.

Bryza morska rozwiewa mi włosy. Zanurzam dłoń w torebce w poszukiwaniu jednej z gumek do włosów Hannah, które zawsze mam ze sobą i czasem sama z nich korzystam. Zdejmuję buty. Kiedy idę nad wodę, czuję między palcami stóp małe ziarenka piasku. Zatrzymuję się na brzegu i przez chwilę oglądam fale przykrywające moje stopy i odpływające z powrotem w dal.

Próbuję się wyciszyć. Muszę przestać myśleć chociaż na chwilę. Oddycham głęboko, rozkoszując się świeżym powietrzem wypełniającym płuca. Wokół jest pięknie, a rytmiczne uderzenia fal działają uspokajająco.

Z zamyślenia wyrывa mnie śmiech małej dziewczynki. Odwracam się i obserwuję, jak gania po plaży psa. Jej rodzicie idą tuż za nią, trzymając się za ręce. Myślę o swoich córeczkach i dopada mnie tęsknota za domem. I nie mówię tylko o powrocie do Wielkiej Brytanii, ale też do stanu błogości, w którym żyliśmy przed przyjazdem Alice. Boję się, że niezależnie od tego, co tutaj odkryję, nic już nie będzie takie samo.

Robię się zmęczona i odczuwam niepoahamowane pragnienie, żeby wrócić do motelu i się zdrzemnąć. Ruszam do samochodu, niechętnie zostawiając za plecami tę oazę spokoju.

Pomimo zmęczenia mój umysł znów nie chce współpracować i zamiast wypoczywać, odstawia swoją galopadę. Śpię tylko kilka godzin, a kiedy się budzę, spekulacje o czekającym mnie spotkaniu z Romą już nie pozwalają zasnąć.

Kiedy wreszcie robi się widno, cieszę się, że noc już się skończyła.

Po przybyciu do Jacksonville znajduję kawiarnię przy centrum handlowym i parkuję auto w cieniu drzew.

Nagle uświadamiam sobie, że nie wiem, jak wygląda Roma. Staję w wejściu i rozglądam się, szukając wzrokiem stolika, przy którym siedzi samotna kobieta. Wysoka, dobrze ubrana pani w niebieskiej bluzce i białych spodniach wstaje, nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy i macha do mnie. Ruszam między stolikami w jej kierunku.

- Roma Kendrick? - pytam, kiedy jestem już wystarczająco blisko.

- A ty musisz być Clare. - Podajemy sobie ręce. - Usiądź, proszę. Herbata czy kawa?

- Poproszę kawę.

Roma macha do kelnerki, która błyskawicznie podchodzi z dzbankiem kawy. Dodaję sobie mleka, piję, po czym rozsiadam się wygodnie i spoglądam na Romę ze słowami:

- Dziękuję, że się ze mną spotkałaś.

- Muszę przyznać, że nie jest mi łatwo. Odnoszę wrażenie, że robię coś za plecami Alice. Wolałabym, żeby była tu z nami.

- Oczywiście, też tak bym chciała. Kiedy ją ostatnio widziałaś?

- Kilka miesięcy temu, nawet w tym miejscu. Umówiliśmy się na kawę i dałam jej adres matki, która mieszka w Anglii.

- Ucieszyła się?

- Tak, bardzo. Nie mogłam dać jej go wcześniej, dopóki żył jej ojciec. Bardzo by mu się to nie spodobało. Nie zrozum mnie źle, Patrick był dobrym człowiekiem i bardzo kochał córkę, ale nie chciał rozmawiać o Anglii i matce Alice, która, jak rozumiem, jest też twoją matką.

- Tak. Nazywa się Marion.

Roma miesza kawę małą srebrną łyżeczką. Wygląda na zatroskaną.

- Powiedz mi, dlaczego wasza mama nigdy nie skontaktowała się z Alice? Zawsze mnie to nurtowało. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można się odciąć od własnego dziecka.

- Próbowала, ale nie znała adresu ojca. Nigdy jej go nie podał. Na początku czasami dzwonił, aż wreszcie przestał. Przez długi czas mama myślała, że to naprawdę wakacje i że w końcu wróci.

- Więc jak mogę ci pomóc? Już wiesz, że od dawna nie widziałam Alice.

- Dlaczego? - Zdaję sobie sprawę, że naciskam na Romę. W innych okolicznościach potraktowałabym ją łagodniej, ale staram się rozpracować ją, jakbym to robiła w sądzie. Czasami wymaga to gwałtownego skrócenia dystansu, tworzenia bezpośrednich relacji.

- Po śmierci Patricka moja mama rozchorowała się. Musiałam wrócić do Jacksonville, żeby się nią zająć.

- Alice nie miała nic przeciwko temu, że zostanie sama?

- Nie, w końcu to jej dom i chciała w nim zostać. Muszę przyznać, że niechętnie ją opuszczałam. Czułam, że nie powinnam. Zawsze byliśmy blisko. - Duma o czymś przez moment, bawiąc się serwetką. - Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Alice. Była malutka, nieśmiała i cicha jak myszka. Patrzyła na mnie wielkimi niebieskimi oczami. Wyglądała na smutną i zagubioną. Pękło mi serce. Wiedziałam, że bardzo potrzebuje opieki, że trzeba jakoś posklejać to złamane serduszko. W jakimś stopniu udało mi się, ale Alice zawsze była cicha i nigdy nie było wiadomo, o czym naprawdę myśli. Roztaczała wokół siebie aurę głębokiego smutku. Nigdy nie miała wielu przyjaciół. Dopiero kiedy była już starsza, zaprzyjaźniła się z Martha. - Roma z niesmakiem wypowiada jej imię.

- Nie zabrzmiało to tak, jakbyś ją lubiła. - Chcę, żeby mówiła dalej. Muszę dowiedzieć się więcej.

- Na Marcie ciążył bagaż doświadczeń. I nie był to bagaż od Gucciego - komentuje smutno.

- Co masz na myśli?

- Miała trudne dzieciństwo. Wiem, że to nic nadzwyczajnego, wiele dzieciaków ma ciężko w życiu. Jedne radzą sobie z tym lepiej, inne gorzej, a Martha należała do tej drugiej grupy. Od razu to zauważyłam. Próbowалам

nawet ostrzec Patricka - opowiada Roma. - Nie podobało mi się to, że Martha z taką łatwością zaadaptowała się w naszej rodzinie. Mówiłam o tym Alice, ale ani ona, ani jej ojciec nie chcieli mnie słuchać. Szybko wyczułam, że Martha świetnie manipuluje ludźmi, wydawała mi się wręcz niebezpieczna. Zaczęła się zachowywać tak samo jak Alice. Jakby postanowiła zostać jej sobowtórem. Czasami przyprawiało mnie to o dreszcze. - Potrząsa głową, próbując odgonić tę myśl, i milknie.

- Masz syna, Nathaniela, prawda? - pytam.

- Skąd o tym wiesz?

- Z listu, który Alice napisała do mamy. Do niego też się nie odzywała? - Być może wkraczam na grząski grunt, ale muszę o to zapytać.

- Nie. Próbowałam się z nią skontaktować przez media społecznościowe, ale pokasowała wszystkie konta.

- Miała konta na mediach społecznościowych? Facebook? Twitter?

- Tak mi się wydaje. Na pewno miała Facebooka. Pamiętam, że Nathaniel pokazywał mi kiedyś jej zdjęcia.

- Od jak dawna miała Facebooka?

- Nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Pewnie od kilku lat, od kiedy poszła do college'u. Nie sądzę, żeby miała konto wcześniej. Jak już mówiłam, zawsze była cicha i nie miała wielu znajomych, szczególnie jako dziecko.

- Nie dostała zakazu używania Facebooka? Patrick jej nie zabronił? - pytam. - Wiem, że niektórzy rodzice są przeciwko temu - dodaje, żeby nie wzbudzić podejrzeń Romy.

- Nie, nic z tych rzeczy. Jak już mówiłam, Nathaniel miał konto, a Patrick traktował swoje dzieci na równi. Byliśmy, przynajmniej w naszym mniemaniu, jedną rodziną, nie zlepkiem dwóch. - Roma chwyta mnie za rękę i dodaje: - Mówiąc to, nie chciałam cię urazić. Wiem, że Alice jest też członkiem twojej rodziny.

- Nic się nie stało. - Uśmiecham się, ale w głębi serca czuję drobne ukłucie. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ojciec postanowił nas rozdzielić. - Czy Patrick kiedykolwiek o mnie mówił? - To pytanie z trudem przechodzi mi przez gardło, ale czuję, że muszę je zadać. Muszę wiedzieć, czy moje uczucia w stosunku do niego, a raczej ich brak, są uzasadnione.

Wystarczy jedno spojrzenie na Romę, żeby poznać odpowiedź. Na jej twarzy malują się współczucie i zażenowanie. Wciąż trzymając mnie za rękę, wyjaśnia:

- Prawie nigdy nie opowiadał o Anglii. Kiedy go poznałam, powiedział tylko, że rozstał się z żoną.

- Nie wspominał o tym, że zostawił drugie dziecko?

Roma wygląda na zakłopotaną. Odwraca wzrok, popatruje na okno, zaciska usta. Po chwili wzdycha ciężko, spogląda na mnie i kładzie drugą dłoń na mojej.

- Powiedz mi, proszę - nalegam. - Muszę wiedzieć.

- Nie chcę cię martwić, Clare. Wyglądasz na bardzo miłą młodą kobietę.

- W porządku, jestem twarda. Cokolwiek powiesz, poradzę sobie z tym.

Boże. Mam nadzieję, że sobie poradzę.

Roma waha się przez chwilę, ale w końcu kiwa głową na znak, że podjęła decyzję, i wyjawia:

- Patrick powiedział, że zostawił żonę i jej dziecko.

Wyłapuję tę subtelność.

- Jej dziecko? - jednak pytam dla pewności, a Roma przytakuje. - Nie powiedział ci, że byłam też jego córką?

- Jesteś jego córką? - Patrzy na mnie zdziwiona.

- Tak. Patrick Kendrick był moim biologicznym ojcem.

- Och, kochanie, nie miałam pojęcia! Byłam pewna, że byłaś jego pasierbicą. - Roma opiera się o krzesło, wygląda na zszokowaną. - Myślałam, że dlatego zabrał ze sobą tylko Alice. Bo przecież jaki mógł być inny powód, żeby wziąć jedno dziecko, a drugie zostawić?

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Jestem pewna, że myślimy o tym samym. Dopiero po jakimś czasie udaje mi się wydusić:

- Może wcale nie jestem jego córką? - Tym razem to ja muszę się oprzeć o krzesło. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. - Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mnie nie akceptował. Dlaczego uznał, że musi wybierać między swoimi córkami. Ale teraz wszystko wydaje się oczywiste. Nie jestem jego dzieckiem.

Przesuwam dłońmi po twarzy, zostawiając palce na ustach, i próbuję oswoić się z tym faktem. To oznacza, że Alice nie jest moją rodzoną siostrą, jesteśmy tylko przyrodnim rodzeństwem. Wciąż jednak łatwiej mi o tym myśleć niż o Patricku. Do Alice czuję to samo co wcześniej, wciąż jest moją siostrą, nieważne że przyrodnią. Zawsze była i będzie moją malutką siostrzyczką.

- Wszystko w porządku? Może chcesz się napić czegoś mocniejszego? - proponuje Roma.

- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest. To, że Patrick nie jest moim prawdziwym ojcem, wiele wyjaśnia, odpowiada na wiele moich pytań. I naprawdę nie czuję się z tego powodu źle. Chociaż to oznacza, że nie wiem, kim jest mój prawdziwy ojciec. I nie rozumiem, dlaczego mama mi o tym nie powiedziała. A może wolałabym nie wiedzieć, kim on jest? Jedna odpowiedź, a tyle kolejnych pytań...

- Rozumiem, że to dla ciebie szok. - Roma patrzy na mnie ciepło. - Powinnaś dać sobie czas na przemyślenia i spokojnie oswoić się z tym faktem. Przepraszam, że cię zestresowałam. Nie powinnam zaczynać tego tematu... Chyba już pójdę. Ja zapłacę. - Kładzie na stole kilka banknotów.

- Dziękuję, że się ze mną spotkałaś - mówię, a kiedy rusza, przychodzi mi do głowy ostatnie pytanie: - Poczekaj! Skąd miałaś adres mojej matki? Ten, który dałaś Alice po śmierci ojca?

- To był przypadek. Któregoś razu, kiedy Patrick był na wyjeździe służbowym, przyszedł do niego list ze znaczkiem z Londynu. Przez trzy dni go nie ruszałam, ale w końcu wygrała ciekawość. Otworzyłam go nad parą wodną. Przeszedł z biura detektywistycznego. Pytali, czy pod tym adresem

mieszka niejaki Patrick Kennedy. Pamiętam, że pomyślałam, że być może to literówka, bo przecież nazywał się Patrick Kendrick. Ale z jakiegoś powodu zanotowałam adres z listu. Nie pytaj mnie dlaczego, sama nie mam pojęcia. W każdym razie kiedy Patrick wrócił, powiedział mi, że to pomyłka i że się tym zajmie.

- Mimo to zachowałam adres.

- Pewnie dlatego, że życie Patricka w Wielkiej Brytanii było dla mnie jedną wielką tajemnicą. Nie wiem czemu, ale z jakiegoś powodu czułam, że powinnam zanotować ten adres, ale potem po prostu o tym zapomniałam. Znalazłam tę notatkę dopiero po śmierci Patricka, kiedy robiłam porządki, i od razu dałam ją Alice. Powiedziałam jej, że nie jestem pewna, czy to właściwy adres, ale chciałam być fair w stosunku do niej. - Przerzywa na moment. - Naprawdę muszę już iść. Dbaj o siebie. A kiedy uda ci się skontaktować z Alice, proszę, przekaż jej, że o nią pytałam i chciałabym wiedzieć, co u niej.

Jej uśmiech przepełniony jest nieudawanym smutkiem. W trakcie pracy poznałam wiele osób, które kłamią, i może to tylko intuicja, ale czuję, że naprawdę zależy jej na Alice. Robi krok, ale po chwili zatrzymuje się i wyjmuje z torebki brązową kopertę.

- Jeszcze jedno. Przyniosłam ci kilka zdjęć Alice. Pomyślałam, że się ucieszysz. - Kładzie kopertę na stole. - Do widzenia, Clare.

- Zanim pójdziesz, czy mogę jeszcze o coś zapytać?

- Tak, oczywiście.

- Czy masz więcej dzieci? Na przykład jeszcze jedną córkę?

- Nie, jeśli nie liczyć Alice. Mam tylko syna, Nathaniela. A czemu pytasz?

- Tylko się zastanawiałam...

- Ach tak, rozumiem. Żegnaj.

Obserwuję, jak z gracją opuszcza kawiarnię. Po wyjściu zatrzymuje się przy oknie, patrzy na mnie przez chwilę, po czym wkłada okulary przeciwsłoneczne i odchodzi.

Biorę ze stołu kopertę i zbieram w sobie siły, żeby ją otworzyć, kiedy dzwoni telefon. Wyłączam dźwięk i obserwuję ekran. To Luke. Dzwoni już drugi raz w ciągu jednego poranka. To do niego niepodobne. Nie mogę nie odebrać. Boję się, że coś mogło się stać mamie albo dziewczynkom.

- Cześć - mówię tylko.

- Clare, gdzie ty, do cholery, jesteś?

- Ee... w kawiarni. A co się stało?

- W jakiej kawiarni? Gdzie ty naprawdę jesteś? Tylko mi nie mów, że u Nadine - ze złości cedzi słowa.

- Co takiego?

Jasna cholera! Domyślił się!

- Dobrze wiem, że nie jesteś u Nadine. Mam na głowie policję, żądają, żebyś przyszła na kolejne przesłuchanie. Znalazłem adres Nadine, bo powiedziałaś, że jedziesz do niej. I zgadnij co? Wcale cię tam nie ma! Nadine była jeszcze bardziej zdziwiona ode mnie. Powiedziała, że od dawna nie

odzywałaś się do niej! – Kipi ze złości. To mu się nie zdarza. Ostatni raz się tak wściekł, kiedy... no tak... kiedy ktoś zniszczył portret Alice. – Clare, jesteś tam?

– Jestem.

– A zechcesz mi łaskawie powiedzieć, gdzie to jest?

Ignoruję jego pytanie. Nie zamierzam mu się tłumaczyć, nie teraz. Nie, dopóki nie dowiem się, co się tu wydarzyło.

– W jakiej sprawie policja chce mnie przesłuchać?

– W sprawie zdemolowania auta Pippy.

– Przecież już złożyłam zeznanie.

– Przejrzeli nagrania z kamer. Na jednym z nich widać cię, kiedy wchodzisz do garażu, a po chwili wychodzisz z niego z puszką farby.

– To niemożliwe. Już ci mówiłam, że tego nie zrobiłam.

– Słyszysz, co do ciebie mówię, Clare? Mają dowody, nagranie z kamer. – W jego głosie słyhać gniew i irytację. – Wracaj tu natychmiast! – W tle słyszę cichą rozmowę. Po chwili Luke pyta: – Policja chce wiedzieć, gdzie jesteś i kiedy wrócisz.

Nerwowo stukam palcami w stolik.

– Wracam w środę.

– Nie sądzę, żeby zamierzali tyle czekać. Proponuję, żebyś wróciła dziś po południu.

– Nie mogę.

Luke przekazuje komuś telefon.

– Pani Tennison? – Po głosie rozpoznaję policjantkę, którą niedawno poznałam. – Z tej strony posterunkowa Evans. Rozmawialiśmy o zdemolowaniu samochodu Pippy Stent.

– Tak, dzień dobry.

– Jak wspomniał już pani mąż, zebraliśmy więcej dowodów na to, że dokonała pani zniszczenia mienia pani Stent, i chcemy, żeby przyszła pani złożyć kolejne zeznanie. Jak pani zapewne pamięta, zaznaczyliśmy, że być może wezwiemy panią na kolejne przesłuchania. Z uwagi na pani zawód raczej nie muszę tego przeliterować, prawda?

– Och, rozumiem, ale najwcześniej dam radę przyjść w środę. – Nie mogę dłużej tego odkładać, muszę się przyznać, gdzie jestem. – Wyjechałam z kraju, mam bilet powrotny na wtorek wieczór. Mogę stawić się na przesłuchanie w środę przed południem.

– Pani Tennison, wyjazd z kraju w takiej sytuacji nie jest najlepszym pomysłem...

– A niby czemu? – wpadam jej w słowo. – Nie zostałam aresztowana. Nie postawiono mi zarzutów. Nikt nie zabronił mi opuszczania Anglii. Nie zrobiłam niczego, czego mi nie wolno.

– Mimo to nie jestem zachwycona.

– Rozumiem i obiecuję, że jak tylko wrócę, natychmiast o tym panią poinformuję. A teraz chciałabym jeszcze porozmawiać z mężem.

Po chwili odzywa się Luke.

- Co się dzieje, Clare? Gdzie ty jesteś?

- Jestem w Ameryce. - Słyszę, jak wzdycha z rezygnacją, ale nie przestaje mówić: - Wrócę w środę. Wtedy porozmawiamy. - Przerywam połączenie.

Co za koszmar! Myślę o nowych dowodach i zastanawiam się, jak to się stało, że jestem na nagraniach z kamer.

Przypominam sobie o kopercie, którą Roma zostawiła na stoliku. Nagraniami będę się martwić później, teraz nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć zdjęcia. Otwieram kopertę, z której wysypuje się około sześć fotografii. Rozkładam je na stoliku.

Na początku nie dociera do mnie, na co patrzę. Potrzebuję chwili, żeby przetrawić informacje.

Na zdjęciach jest Martha Munroe, przyjaciółka Alice. Dziewczyna, z którą Alice pozowała do zdjęcia.

To wszystko wydaje się tak trudne, że mam wrażenie, że mój umysł pracuje na najwyższych obrotach przez całą wieczność. W praktyce trwa to pewnie tylko sekundę.

Prawda spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Coś, co w głębi duszy od dawna podejrzewałam, przestaje być tylko uciążliwą niepewnością, a staje się realnym zagrożeniem. Robi mi się niedobrze. Na chwilę wyciszam w sobie racjonalną prawniczkę i pozwalam sobie popaść w stan lęku i paniki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nie pamiętam, jak wróciłam do motelu. I nadal działam jakby na autopilocie. Ciężko mi pozbierać myśli, pogrążam się w chaosie. Tak trudno jest pogodzić się z tym, co odkryłam.

Rzucam torebkę na łóżko i siadam na miękkim materacu. Wyjmuję zebrane dowody i jeszcze raz je analizuję.

Zdjęcia od Romy.

Kopia zdjęcia Alice i Marthy.

Lista spraw do załatwienia przed podróżą.

Odcinek wypłaty.

Wizytówka.

Opakowanie szkieł kontaktowych.

Rozkładałam przed sobą zdjęcia.

Oglądam jeden z portretów. Uśmiechnięta Alice patrzy w obiektyw.

Biorę do ręki zdjęcie z Martha. Są do siebie bardzo podobne. Jeśli się ich nie zna, z łatwością można je pomylić. Mają podobne włosy, wystarczy opakowanie farby albo wycieczka do fryzjera, żeby wyglądały identycznie. Obie mają wydatne kości policzkowe, a wnioskując ze zdjęć, które dostałam od Romy, podobny wzrost i budowę ciała. Jedyne, co je różni, to oczy.

Alice Kennedy ma pełne głębi wielkie, niebieskie oczy. Pamiętam je jak dziś. Wiele osób zwracało na nie uwagę. Zarówno w rodzinie mojej mamy, jak i rodzinie Patricka Kennedy'ego wszyscy mieli niebieskie oczy. Teraz te oczy spoglądają na mnie ze zdjęcia.

Patrząc na opakowanie szkieł kontaktowych leżące na łóżku i uświadamiam sobie, że grafika, którą widziałam wcześniej, nie jest zwykłą grafiką. To również specyfikacja produktu. Przyglądam się bliżej i z tyłu opakowania dostrzegam trzy małe kwadraty. Przy każdym z nich jest wymieniony kolor: niebieski, brązowy, zielony. Kwadrat przy słowie „niebieski” jest zakreślony. To nie są zwykłe szkła kontaktowe. One zmieniają kolor oczu.

Czuję nagły ścisk w żołądku i przez chwilę zastanawiam się, czy nie będę musiała pobiec do łazienki. Łapię się ręką za brzuch, siadam prosto i biorę głębokie wdechy przez nos. Powietrze wypuszczam powoli przez usta. Nudności mijają, ale poczucie chaosu zostaje.

Przeczesałam palcami włosy. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Wstaję, ciągnę się za włosy, chodzę w kółko po pokoju od łóżka do okna, pokonuję tę trasę w trzech krokach. Raz chcę usiąść, zaraz potem wstać. Ponownie oglądam zdjęcia i powoli, systematycznie odtwarzam w myślach wszystko, co wiem, żeby mieć pewność, że nie popełniłam żadnego błędu. Zawsze jestem bardzo skrupulatna i prawie nigdy nie popełniam błędów. Chciałabym, żeby tym razem było inaczej. Chciałabym być w błędzie.

Nie jestem.

Wzdrygam się i dostaję gęsiej skórki. Ze strachu trzęsą mi się ręce i zalewa mnie fala zimna. Obejmuję się drżącymi ramionami. Mój umysł oswaja się z zatrważającą myślą. Młoda kobieta, która mieszka u nas w domu, która dni i noce przebywa z moją rodziną, nie jest tym, za kogo się podaje. To nie Alice. Martha Munroe podaje się za moją siostrę.

Kładę się na łóżku, tuląc do siebie fotografie. Tracę poczucie czasu i przestrzeni. Wszystkie myśli skupiam na siostrze i na tym, co się z nią stało.

Nie wiem, ile czasu tak leżę, ale w pewnym momencie ból ustępuje miejsca złości. Muszę poznać prawdę o tym, co się stało Alice. A jedyną osobą, która może odpowiedzieć na to pytanie, jest oszustka, która mieszka w moim domu.

Biorę telefon i dzwonię do Luke'a. Z trudem wybieram numer, ręce mi się trzęsą od nadmiaru adrenaliny. Jeśli Martha jest zdolna do tego, żeby przyjąć tożsamość Alice i być na tyle nieczułą, żeby oszukać nie tylko mnie i Luke'a, ale również moją mamę, może być zdolna do wszystkiego. A teraz przebywa w moim domu. Nie chcę myśleć, co się stanie z mamą, kiedy się dowie.

Czekając, aż Luke odbierze cholerny telefon, próbuję przestać snuć najczarniejsze scenariusze. Muszę zachować zimną krew i odkryć prawdę.

U Luke'a odzywa się automatyczna sekretarka. Rozłączam się, nie zostawiam wiadomości.

Na Florydzie jest już wieczór. Odliczam pięć godzin wstecz. W Anglii jest późne popołudnie. Luke pewnie odbiera Hannah ze szkoły. Odczekuję godzinę i próbuję jeszcze raz, ale wciąż nie odbiera. W akcie desperacji wybieram domowy numer. Odbiera mama.

- Cześć, mammo. To ja, Clare.

- Cześć. - Z tonu jej głosu wnioskuję, że nie jest zadowolona z mojej podróży za ocean. - Mam nadzieję, że dzwonicz, by powiedzieć, że wracasz do domu.

- Mammo, proszę cię... - Po raz kolejny czuję się przy niej jak niegrzeczna nastolatka, która za późno wraca z imprezy. - Będę w domu w środę z samego rana.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby jechać do Ameryki?

- Musiałam. Zbyt wiele rzeczy nie dawało mi spokoju.

- Jedyne, co tam robisz, to pakujesz się w kłopoty. Nawet nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłam. Jak twoja siostra się martwiła. W Ameryce nie masz czego szukać.

- Spotkałam się z Romą Kendrick - zaczynam powoli.

- Po co?!

- Chciałam z nią porozmawiać. O ojcu.

- Clare, naprawdę nie wiem, po co ci cała ta szopka. Co chciałaś sobie tym udowodnić? To jakiś absurd!

- Nie chcesz wiedzieć, co mi powiedziała? - Jestem już zmęczona i akurat

teraz nie powinnam rozmawiać z mamą, ale nie mogę się powstrzymać. Mam już dosyć unikania pytań o przeszłość.

- Nie. Szczerze mówiąc, nie chcę.

- Patrick powiedział jej, że nie jestem jego córką! - wrywa mi się. Nie cofnę już tych słów.

Mama wzdycha smutno.

- Naprawdę tak powiedziała? A co ona może o tym wiedzieć? - Mama wyraźnie się rozkręca. - Zresztą nawet gdyby tak powiedział, zrobiłby to tylko po to, żeby się wybielić.

- W takim razie dlaczego nie zabrał również mnie? Dlaczego zabrał tylko Alice?

- Dość tego! Nie będę z tobą o tym dłużej dyskutować. Dzwoniłaś z czymś konkretnym czy chciałaś się tylko pokłócić?

- Chciałam porozmawiać z Lukiem - mówię, bo czuję, że nie ma sensu dalej drażnić tematu Patricka.

- Luke zabrał dziewczynki na lekcje pływania. Oczywiście gdybyś była w domu, dobrze byś o tym wiedziała - odpowiada chłodno. - Poczekaj chwilę, Alice coś mówi. - Słyszę stłumione głosy, skąd wnioskuję, że mama zakryła ręką telefon. Po chwili znów się odzywa: - Alice chce z tobą rozmawiać. Daję ci ją.

Zaczynam protestować, bo Alice, a dokładniej Martha, jest ostatnią osobą, z którą chcę rozmawiać, ale jest już za późno.

- Cześć, Clare. Jak się masz?

- Wszystko w porządku - odpowiadam. - Przepraszam cię, ale jestem bardzo zajęta. Masz coś ważnego?

Przechodzą mnie ciarki. Czuję się, jakby po ciele przebiegło mi stado mrówek. Zamykam oczy i próbuję się skupić, odpychając od siebie myśli o siostrze, które mogłyby mnie zdradzić.

- Mama mówi, że jesteś w Ameryce.

W telefonie zmienia się akustyka, co pewnie oznacza, że Martha wychodzi z kuchni czy z pomieszczenia, w którym odebrała. Pewnie nie chce, żeby mama ją usłyszała. Moje przypuszczenia potwierdza dźwięk zamykanych drzwi.

- To prawda, jestem w Ameryce. - Mam dwa wyjścia z tej sytuacji i wybieram grę pozorów. Nie chcę, żeby w Anglii wydarzyło się coś złego, kiedy jestem tutaj. Ograniczam fakty do minimum. - Chciałam zatrzymać się u koleżanki w Cambridgeshire, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

- Fajnie. Gdzie dokładnie jesteś? W moich stronach? - pyta beztrzesko, ale wiem, że udaje. Jest czujna.

- Nie, nie. Jestem w Nowym Jorku. - Zamykam oczy, modląc się w duchu, żeby Martha nie zwróciła uwagi na to, jak wokół mnie jest cicho. - W tej chwili jestem w pokoju hotelowym - dodaję, żeby usprawiedliwić brak hałasu.

- Naprawdę? Gdybyś była na Florydzie, pewnie zastanawiałabym się, z kim rozmawiałaś. Czy poszłaś odwiedzić miejsca, w których bywałam,

spotkałaś moich dawnych znajomych i tak dalej – mówi, śmiejąc się cicho. Bardzo cicho.

Też zacznę się śmiać.

– Faktycznie, przecież mogłam to zrobić. I w sumie nie byłoby w tym nic dziwnego.

– Nie, nie byłoby. Co prawda musiałabym cię ostrzec, żebyś nie wierzyła we wszystko, co usłyszysz, ale chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. – Przez chwilę milczymy, czuję narastające między nami napięcie, wreszcie Martha podsumowuje: – Wiedza to niebezpieczna rzecz.

– Wiedza to potęga.

– A niewiedza jest błogosławieństwem. – I niskim głosem dodaje powoli: – Dzięki niewiedzy można uniknąć cudzej krzywdy.

– To prawda. Słuchaj, muszę już kończyć. Mam do przejrzenia dokumenty do pracy.

– Pewnie, nie będę ci zawracać głowy.

– Do zobaczenia w środę.

– Już się nie mogę doczekać. Opowiesz mi o swojej wycieczce.

– Jasne. – Rozłączam się i zamykam na chwilę oczy.

Dokładnie analizuję naszą rozmowę ze wszystkimi podtekstami. Nie pomaga mi to uspokoić i tak już skołatanych nerwów. Muszę wrócić do domu. Muszę chronić rodzinę, chociaż tak do końca nie wiem przed czym. Nie jestem w stanie opisać tego jednym słowem, wiem tylko, że żyjemy w świecie kłamstw.

Godzinę później dzwoni telefon. Jestem pewna, że to Luke, ale kiedy spoglądam na ekran, okazuje się, że to ktoś inny.

– Cześć, Leonard. Wszystko w porządku? – Zauważam, że coraz częściej zadaję to pytanie. Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, zacznę się bać, że coś się stało. Jestem coraz bardziej znerwicowana.

– Nie, wręcz przeciwnie. Kiedy mówiłem, żebyś wzięła sobie wolne, chodziło mi o to, żebyś spędziła trochę czasu z rodziną, poznała lepiej swoją siostrę i rozwiązała problemy małżeńskie. A ty poleciałaś do Ameryki!

– Też miło mi cię słyszeć! U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Ale chyba chciałeś o czymś porozmawiać, tak? – Nie mogę się powstrzymać. Leonard jest subtelny jak czołg i wydaje mu się, że może sobie ze mną na wszystko pozwolić. Zapomina, że jestem dojrzałą kobietą. Dorosłą osobą. Jego partnerką.

– Nie sądziłem, że muszę wymieniać z tobą uprzejmości, Clare – ripostuje, wbijając mi małą szpilę.

– Skoro już jesteśmy przy takich sprawach, to naprawdę nie wiedziałam, że muszę ustalać z tobą, jak mogę spędzać swój wolny czas. A mówiąc ściślej, urlop, o który się nie prosiłam. Kiedy pracuję, możesz mnie rozliczać z tego, co robię, ale kiedy jestem na urlopie, mogę robić, co mi się żywnie podoba. – Jestem z siebie dumna, że udało mi się sprzeciwić Leonardowi.

– Punkt dla ciebie – mówi, a ja wyobrażam sobie jego zdziwioną minę. – To jak, wszystko w porządku?

- Tak, w porządku, dziękuję. - Wychwytyję, jak w jego głosie oburzenie ustępuje miejsca uznaniu i szczeremu zmartwieniu.

- Co robisz w Ameryce?

- Muszę wyjaśnić parę spraw. Nie martw się, wylatuję jutro wieczorem. A skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Twoja mama mi powiedziała. Powiedziała też o nowych dowodach. Nagraniach z kamer.

- To nie byłam ja.

- Potrzebujesz pomocy prawnej albo jakiegokolwiek innej?

- Nie, w porządku. Poradzę sobie sama, ale dziękuję za troskę.

- Jeśli wyjdzie z tego jakieś bagno, nie postawi to naszej firmy w dobrym świetle - oznajmia oficjalnym tonem.

- Nie wyjdzie z tego żadne bagno. Ja tego nie zrobiłam. Nie martw się, nie zrujną twojej reputacji - rzucam złośliwie, ale zaraz się wycofuję. - Przepraszam, jestem zmęczona i na skraju rozsypki, jeśli mam być szczerą.

- To do ciebie niepodobne. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego dzwonię. Twoja mama mnie poprosiła. Bardzo chce, żebyście pogodziły się z Alice - dodaje delikatnie.

- Wiem. Przez te wszystkie lata szła przez życie, odliczając dni i godziny w oczekiwaniu na powrót córki. Chodzi tylko o to, że... - Urywam gwałtownie. Nie chcę mówić tego na głos. Jeszcze nie teraz.

- Nie oceniaj jej zbyt pochopnie. Alice też jest ciężko. A to, czego szukasz w Ameryce, może spowodować tylko więcej bólu.

- Czy mama zmieniała swój testament albo ustalenia dotyczące funduszu powierniczego? - zmieniam temat.

- Wiesz, że nie mogę ujawniać tajnych informacji o finansach twojej matki. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Ale możesz mi powiedzieć jako swojej partnerce. W końcu jeszcze nią jestem, prawda?

- Tak, oczywiście, ale występuje tu konflikt interesów. Wszystkie rozmowy, które prowadzę z twoją matką, niezależnie od tego, czy dotyczą ciebie czy nie, są poufne. Nie mogę cię w nie wtajemniczać.

- A co z Alice? Rozmawiałeś z nią?

- Z Alice? Nie, a czemu?

- Nie mam na myśli rozmów służbowych, ale osobiste. Nie prosiła cię o radę? - Zamykam oczy, wspominając opowieść Toma, że widział Marthę i Leonarda w kawiarni. Nie mogę znieść tego, że Leonard kłamie. - Nie widzieliście się ani razu?

- O co ci chodzi?

- Tylko pytam.

- Clare, martwisz mnie. Przestań być taka podejrzliwa w stosunku do innych. Rozłączę się, bo nie chcę, żeby nasza rozmowa zeszała na złe tory. Wyśpij się porządnie, a jutro wsiadaj w samolot i naprostuj swoje życie. - Kończy połączenie.

Przez kilka kolejnych minut gapię się w telefon, zastanawiając się, czy

spróbować jeszcze raz dodzwonić się do Luke'a. W końcu postanawiam, że nie.

Wychodzę do knajpki naprzeciwko motelu. Noc jest spokojna. Jem burgera z frytkami, na które wcale nie mam ochoty, i piję piwo, na które mam bardzo dużą.

Kiedy dwa dni temu przyjechałam na Amelia Island, nie byłam pewna, czego się spodziewać. Wiedziałam, że dowiem się na temat Alice czegoś nowego, ale prawda mnie przerosła. Próbuję nie myśleć o tym, co mogło się stać z Alice Kennedy, moją prawdziwą siostrą. Nie mogę sobie na to pozwolić, jeszcze nie teraz.

Kiedy wracam do pokoju, pakuję plecak przed jutrzejszą podróżą i upewniam się, że mam paszport, bilety i kartę kredytową. Zastanawiam się, czy Luke oddzwoni. Pewnie nawet nie spojrzął na telefon. Mój mąż nie należy do tych, którzy notorycznie sprawdzają konta na mediach społecznościowych czy wrzucają zdjęcia z obiadów z dziećmi. Dla Luke'a telefony są po to, żeby dzwonić, ewentualnie wysyłać SMS-y. Mimo wszystko smutno mi, że nie dzwoni. Tłumaczę sobie, że pewnie nie ma na to czasu, bo szykuje dziewczynki do snu. Ciężko mi przyznać, że pewnie mnie unika.

Kiedy parę minut po północy dzwoni telefon, jestem pewna, że to Luke, i oddycham z ulgą. W końcu porozmawiam z kimś, komu mogę zaufać. Ale zaraz... Czy na pewno mu ufam? Tłumię w sobie wątpliwości. Oczywiście, że tak. W kwestii Alice czy Marthy albo jak jej naprawdę na imię, po prostu przesadzałam.

Zapalam lampkę nocną i sięgam po telefon.

Domowy numer. To dziwne. Czemu Luke dzwoni z domowego? Odbieram.

- Halo, Luke?

- To ja.

Przez chwilę zastanawiam się, z kim rozmawiam. Głos jest ściszony, wpadający w szept. To na pewno nie Luke.

- Mama? - próbuję z kolejną osobą, która przychodzi mi na myśl, chociaż coś mi podpowiada, że tym razem też nie trafię.

- Nie, to nie mama.

- Alice?

- A niby kto?

- Czemu dzwonisz?

- Posłuchaj mnie uważnie, Clare - mówi ostro. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby tak mówiła. Skupiam się uważnie i czekam, co powie dalej. - Nie wiem, co robisz w Ameryce, i nie wiem, czego się dowiedziałas, ale ostrzegam cię: cokolwiek wiesz, lepiej zachowaj to dla siebie.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

- A po co miałabym zachowywać dla siebie coś, czego nie wiem?

- Nie wtrącaj się, Clare, bo pożałujesz.

- Grozisz mi?

- To wszystko zaszło za daleko. Nic już na to nie poradzę, więc lepiej sobie

odpuść.

- Naprawdę myślisz, że się ciebie boję? - W pośpiechu szukam w telefonie aplikacji nagrywającej rozmowy. Często nagrywam służbowe rozmowy, żeby później móc je odsłuchać i przeanalizować każdy najdrobniejszy szczegół. Czuję, że tym razem też może mi się przydać.

- Nie ja jestem twoim największym zagrożeniem.

- Co?! - Wciskam przycisk nagrywania, ale jest już za późno. Rozłączyła się. - A niech to szlag!

Oddzwaniam, ale nie mogę się połączyć. Musiała odłączyć telefon. Otwieram aplikację, ale jedyne, co udało mi się nagrać, to moje:

- Co?!

Opieram skronie na dłoniach. Próbuję jasno myśleć. Nie ma sensu kontaktować się z Lukiem czy mamą. Co miałabym im powiedzieć? I tak mi nie uwierzą, a pewnie wszystko wygadają Marcie, która oczywiście zaprzeczy, powie, że jestem zazdrosna i popadam w paranoję. A oni przyznają jej rację.

Odtwarzam w myślach naszą rozmowę, po czym sięgam po notatnik i długopis i spisuję każde słowo, które udało mi się zapamiętać. Ostatnie zdanie przeraża mnie najbardziej. Podkreślam je trzy razy i tak mocno, że aż przerywam papier:

NIE JA JESTEM TWOIM NAJWIĘKSZYM ZAGROŻENIEM.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W pewnym momencie musiałam zasnąć, bo nie pamiętam, kiedy się kładłam, ale mimo to nie spałam dobrze. Kilka razy się budziłam i sprawdzałam, czy nie dzwonił Luke. Nie dzwonił. O szóstej rano jestem już ubrana. Muszę być na lotnisku o jedenastej, a po drodze jeszcze oddać samochód do wypożyczalni. Przede mną długi dzień z przesiadką w Atlancie i trzygodzinną przerwą przed międzykontynentalnym lotem do Anglii.

Nie przestaję sprawdzać telefonu, ale kiedy wylatuję ze Stanów, porzucam nadzieję, że Luke oddzwoni. Nie mogę zasnąć nawet podczas ośmiogodzinnego, nocnego lotu.

Wyjmuję długopis i kartkę i próbuję rozwikłać tę zagadkę.

** Martha udaje Alice.*

** Jakie są motywy Marthy? Pieniądze? Zaburzenia osobowości? Chce być kimś innym. Ciągle jej mało. Chce mieć to wszystko, co ja mam: mamę, Luke'a, dziewczynki. Robi wszystko, żeby odciąć mnie od mojego życia. To samo zrobiła Alice.*

** Nie działa pochopnie, wszystko planuje.*

** Współpracuje z kimś? Dlatego mi grozi.*

** Co się stało prawdziwej Alice? Czy Martha miała z tym coś wspólnego?*

Kiedy piszę ostatnie zdanie, muszę powstrzymać się, żeby nie dać się ponieść emocjom. Później o tym pomyślę. Na razie muszę zrobić wszystko, żeby ochronić moją rodzinę.

Zaczynam się zastanawiać, z kim Martha może współpracować. Jeśli nie jej powinnam się bać, to kogo? Przecież nie może to być ktoś, kogo znam. Po co ktoś chciałby mnie skrzywdzić? Kto aż tak bardzo może nienawidzić mnie i mamę?

Kręcę się w kółko, wciąż od nowa zadaję sobie te same pytania, ale nadal nie dostaję odpowiedzi. Muszę zmusić Marthę do wyznania prawdy. Sprawić, żeby zaczęła mówić. Sama tego nie rozpracuję.

Kiedy samolot ląduje na Heathrow, czuję ulgę, że lot dobiegł końca. Po odprawie ruszam do głównego wyjścia, siadam na kamiennej ławce i jeszcze raz wykręcam numer do domu.

Jest siódma rano, więc wszyscy powinni szykować się do wyjścia, ale kiedy dzwonię, nikt nie odbiera. Nawet nie włącza się automatyczna sekretarka.

Wybieram numer Luke'a. Ktoś odbiera i przez chwilę słyszę jakieś odgłosy w tle, a potem tylko stłumione trzaski.

- Luke? Luke! Jesteś tam? Słyszysz mnie? - Mam ochotę się rozplakać. Telefon się rozłącza i ze złości ciskam nim o ławkę. Staje się to, co w takiej sytuacji jest nieuniknione, czyli pęka szybka wyświetlacza. - Kurwa mać! - klnę i oglądam zniszczenia. Pęknięcie w rogu rozciąga się prawie na cały

ekran, obudowa też jest uszkodzona. Na szczęście telefon nadal działa.

Człowiek, który siedzi naprzeciwko mierzy mnie wzrokiem, jakby chciał powiedzieć „Brawo!”. Biorę plecak i ruszam na parking, gdzie kilka dni temu zostawiłam swoje bmw.

Wsiadam do samochodu i rzucając bagaż na fotel pasażera. Słyszę znajome piknięcie. To dźwięk przychodzącego SMS-a. Dobrze, że nie zniszczyłam telefonu doszczętnie. Pewna, że napisał Luke, dziwię się, kiedy widzę na ekranie nieznaną numer. To na pewno nikt, kogo znam. Otwieram wiadomość i widzę zdjęcie Hannah zrobione z dużej odległości przy bramie naszego domu. Wychodzi przednimi drzwiami ubrana w szkolny mundur. Trzyma Luke'a za rękę. Idą do samochodu.

Po chwili z tego samego numeru dostaję kolejną wiadomość:

Tylko nie rób nic głupiego. Chyba nie chcesz, żeby komuś stała się krzywda?

Zalewa mnie fala zimna. Trzęsą mi się ręce. Cudem udaje mi się wybrać numer, z którego przyszły SMS-y. Po jednym sygnale ktoś odbiera, ale milczy.

- Kto to? Kim jesteś? - pytam drżącym głosem.

Słyszę jedynie śmiech, i to na tyle niewyraźny, że nie potrafię ocenić, czy śmieje się kobieta, czy mężczyzna.

- Zostaw mnie w spokoju! Ani się waż ich tknąć! Słyszysz mnie? Zostaw ich w spokoju! - Zdaję sobie sprawę, że z każdym słowem w moim głosie narasta histeria, ale wiem, że i tak nic na to nie poradzę. Dopiero po chwili orientuję się, że rozmówca już dawno się rozłączył, a po następnej chwili dostaję kolejnego SMS-a:

Mówię poważnie. Nie waż się też z tym iść na policję. Pożalujesz tego.

Naciskam klamkę i wychylam głowę na zewnątrz. Robi mi się niedobrze i wymiotuję na asfalt. Przez chwilę się nie ruszam, czekam, aż mój mózg się dotleni, a fala nudności przeminie. Potem znowu spoglądam na telefon.

Drżącymi dłońmi jeszcze raz przeglądam wiadomości. Skrycie liczę na to, że były tylko wytworem mojej wyobraźni, ale niestety są tam, czarno na białym. Oglądam zdjęcie Hannah i Luke'a, przybliżam je, badam każdy szczegół. Nie jestem w stanie określić, kiedy zostało zrobione. Możliwe, że dzisiaj rano, ale nie mam na to żadnego dowodu. Równie dobrze mogło to być wczoraj czy w zeszłym tygodniu.

Ciskam telefon na siedzenie i przekręcam kluczyki w stacyjce. Silnik warczy ciężko, kiedy wyjeżdżam z parkingu i ruszam w stronę Little Dray. Dojazd zajmie mi godzinę, ale jeśli dam gaz do dechy, powinnam zdążyć, zanim wszyscy wyjdą do szkoły.

Na szczęście jadę w kierunku przeciwnym do korka. Pędzę w kierunku domu. Po jakimś czasie otacza mnie krajobraz typowy dla hrabstwa Sussex, widzę znajome pola i faliste wzgórza. Kiedy dostrzegam tablicę powitalną „Witamy w Little Dray”, spoglądam na zegarek. Ignoruję ostrzeżenie „Prosimy o spokojną jazdę”. Skręcam w lewo, w uliczkę, która prowadzi do mojego domu. Wciskam pedał gazu, a żywopłoty na poboczu stapiają się

w jedną zieloną smugę. Spoglądam na deskę rozdzielczą, zegar wskazuje ósmą dwadzieścia trzy. Luke i Hannah będą wychodzić za dwie minuty. Przyspieszam jeszcze mocniej, silnik już ledwie zipie, a samochód zaczyna tracić przyczepność. Muszę manewrować, żeby nie wpaść do rowu. Samochód gaśnie.

- No dawaj - błagam, przekręcając kluczyk. Samochód odpala od razu, a ja, widząc, że nic nie nadjeżdża, ruszam z piskiem opon, wzniecając kurz na drodze.

Już prawie jestem. Na horyzoncie widzę kamienny mur otaczający nasz dom. Kątem oka zauważam na poboczu ciemnego sedana zaparkowanego na poboczu. Cudem udaje mi się w niego nie wjechać. Nagle słyszę trzask. Spoglądam za siebie. Urwałam mu lusterko. Nieważne.

Brama zaczyna się otwierać i manewrując niczym kierowca samochodów wyścigowych, przemykam przez nią, cudem nie zahaczając o kamienne słupki.

Nie zauważam jej.

W jednej chwili podjazd jest pusty, a w kolejnej wyrasta przede mną nie wiedzieć skąd. Wciskam hamulce tak mocno, że prawie wstaję z fotela. Patrę jej prosto w oczy. Stoi bez ruchu, jakby czekała, aż w nią wjadę, ale po chwili zaczyna się ruszać, wyciąga ręce, jakby po coś sięgała. Patrzy na mnie i widzę w jej oczach odbicie mojego własnego strachu. Czas zatrzymuje się, a ja uświadamiam sobie co, a raczej kogo próbuje ochronić przed pędzącą na nią toną metalu.

Skręcam kierownicę mocno w lewo, żeby je wyminąć.

Słyszę jakiś krzyk. Nie wiem, skąd dobiega, nie wiem, kto krzyczy. A może krzyczymy wszyscy naraz, ale zagłusza nas bezlitosny, tępy huk, który tłumi inne dźwięki. Jej ciało uderza o przednią szybę, która ugina się pod jej ciężarem i pokrywa pajęczyną pęknięć. Drugie uderzenie, tym razem o dach.

Samochód wpada w poślizg, ale prędkości, z którą jadę, nie da się zredukować hamulcem. Auto uderza w jeden z kamieni otaczających wysepkę zieleni. Kierownica wyslizguje mi się z rąk. Nagle ogarnia mnie dziwna lekkość - samochód unosi się w powietrze. Zaraz potem przekręca się na bok, uderza w drzewo, odbija od niego jak piłka i spada z powrotem na cztery koła. Otwiera się poduszka powietrzna, a ja uderzam głową w boczną szybę.

Jak przez mgłę słyszę krzyki i piski. Rozpoznaję głosy, ale brzmią jakby z oddali. Widzę biegnące ku mnie postaci. Próbuje się ruszyć, ale mam wrażenie, jakbym była w pułapce. Coś trzyma mnie mocno, nie wiem co. Zaczyna robić mi się ciemno przed oczami.

- Clare! Clare!

Kiedy słyszę swoje imię, widoczność powraca. Spoglądam na bok. To Luke. Stoi po drugiej stronie drzwi.

- Już dobrze, kochanie. Zabierzemy cię stąd.

Zamierza otworzyć drzwi, ale coś odwraca jego uwagę. Patrzy w stronę podjazdu i wydaje z siebie bolesny okrzyk, po czym znika z mojego pola

widzenia. Słyszę, że krzyczy, ale nie rozumiem słów. Krzyki wszystkich wokół pulsują mi w uszach.

Po jakimś czasie do samochodu zagląda Leonard. Surowym tonem wydaje rozkazy i poklepuje mnie po twarzy. Brzmi, jakby był pijany, jego słowa rozmywają się. Nie jestem w stanie zrozumieć, co mówi. Nie widzę ostro, mrużę oczy. Próbuję skupić się na jego słowach.

- Clare, rozepnij pas. Pas, Clare. Rozepnij go.

Zanurza się do środka, a ja sięgam na bok. Udaje mi się znaleźć pas i za drugim podejściem słyszę kliknięcie. Ucisk, który czułam na ramieniu i w żołądku, wreszcie puszcza, a ja osuwam się na bok. Ogarnia mnie ciemność. Głos Leonarda dochodzi do mnie jak z oddali, wydaje mi się, że słyszę też Luke'a.

Czuję ogarniającą mnie falę zmęczenia, ale udaje mi się jeszcze otworzyć oczy. Mocno poruszony Leonard patrzy na mnie i mówi coś tak cicho, że ledwie go słyszę. Trudno mi zrozumieć, o co mu chodzi. Mówi chyba:

- Coś ty zrobiła?

- Idiotka.

- A nie mówiłem?

Nic z tego nie rozumiem.

Moja głowa opada na bok i przez na wpół zamknięte oczy widzę dym unoszący się spod maski mojego samochodu.

Patrzę na Leonarda i chcę się odezwać, ale nie potrafię wydusić z siebie choćby jednego słowa.

- Mar... - zaczynam i biorę oddech, ale przeszywa mnie ból. Próbuję jeszcze raz: - Marth...

- Cicho sza. Nic nie mów. Nic nie mów.

Tym razem słyszę go wyraźnie. Zalewa mnie kolejna fala lęku.

Nagle rozlega się płacz dziecka. Od razu budzi się we mnie instynkt macierzyński, jedyna wewnętrzna siła, która jest w stanie przytłumić wszystkie myśli i odczucia, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. W mgnieniu oka skupiam się na płaczu. Słyszę go bardzo wyraźnie i już wiem, że to Chloe. Nie widzę jej, ale wiem, że to ona.

- Kurwa mać! - Leonard zrywa się z miejsca i odbiega w stronę płaczu. Uderzając o drzewo, samochód odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni w stronę podjazdu, a nikt nie zasłania mi już widoku i wreszcie widzę na własne oczy scenę, która mrozi mi krew w żyłach.

Na ziemi, bez ruchu, z plamą krwi na czole leży Hannah. Luke klęczy nad nią. Zdejmuje granatowy sweter od Marksa i Spencera z dekoltem w serek, który dostał od mamy na urodziny, i okrywa ją. Cały czas coś do niej mówi. Wnioskuje to z ruchu jego ust. Nachyla się nad naszą córeczką. Nie słyszę jego słów. Słyszę jedynie własny krzyk:

- Nie! Boże, proszę, nie!

Nie jestem w stanie zliczyć karetek i radiowozów, które podjeżdżają pod nasz dom. Słyszę tylko wycie syren, chrzęst opon o żwir, brzęczenie

krótkofalówek i pojedyncze słowa ludzi, którzy rozmawiają cicho, rzeczowo i profesjonalnie. Nie przestaję pytać o Hannah, ale dowiaduję się tylko, że jest pod opieką specjalistów i nie mam się czym martwić. Najważniejsze jest to, żeby przewieźć mnie do szpitala. Potem słyszę dźwięk śmigieł. Przy bramie zbiera się mnóstwo ludzi. Ktoś jest transportowany helikopterem, ale nie wiem kto. Na pewno nie ja.

Ratownicy kładą poduszki wokół mojej głowy i mocują ją paskiem. Kilka osób przenosi mnie na pomarańczowe nosze i zapina paskami tak mocno, że nie jestem w stanie się ruszyć. Ktoś już musiał podłączyć mi kroplówkę, bo chociaż jej nie czuję, widzę torebkę z płynem zawieszoną na stojaku przy moich noszach. Cały czas zadają mi pytania, na które nie znam odpowiedzi.

W pewnym momencie staje przy mnie Leonard.

- Chloe? - pytam, kiedy ratownicy podnoszą nosze.

- Wszystko w porządku. Mama zabiera ją do Pippy. - Nachyla się i dodaje tak cicho, żebym tylko ja usłyszała: - Nie rozmawiaj z nikim. Nie odpowiadaj na żadne pytania, dopóki nie porozmawiasz ze mną.

Nie mam czasu zapytać czemu, bo ratownicy podnoszą mnie i przenoszą do karetki. Zamykam oczy. Słyszę trzaśnięcie drzwiami. Ruszamy do szpitala w Brighton. Myśl, że Pippa zaopiekuje się Chloe, trochę mnie pociesza. Nie wiem, jak to wpłynie na naszą relację, ale przynajmniej wiem, że Chloe jest w dobrych rękach. Myślę o wypadku Daisy. Pippa też była pewna, że jej córka jest w dobrych rękach. Myślała, że się nią zaopiekuje. Jak mogłam być tak głupia i nie odebrać dziewczynek? Miała rację, to ja jestem odpowiedzialna za to, co się wtedy wydarzyło. Tak samo jak za to, co się wydarzyło dzisiaj.

Czuję pulsowanie w skroniach, zaczyna ogarniać mnie zmęczenie. Myślę o Hannah. Kolejny raz próbuję dowiedzieć się, co się jej stało, ale odpowiedzi znów są wymijające.

Wpadamy na dziurę w drodze i nagły podskok sprawia, że mam ochotę zawyć z bólu. Czuję potworne rwanie w lewym ramieniu. Słyszę swoje jęki.

- Gdzie cię boli, Clare? - pyta ratowniczką, która siedzi przy mnie w karetce. - Ręka?

Jestem w stanie jedynie stęknąć.

- Dobrze, Clare, dostaniesz więcej leków przeciwbólowych. Podam ci morfinę. Czy wyrażasz na to zgodę?

Stękam drugi raz. Głos ratowniczką staje się coraz mniej wyraźny, a ja nie daję rady dłużej walczyć z sennością. Powoli zapadam w sen. Potem nagle myślę o Hannah i znów popadam w panikę.

- Hannah? Gdzie ona jest? Gdzie moja córka? - wykrzykuję. Z każdą chwilą jestem coraz bardziej nabuzowana. Próbuję się ruszyć, ale nie mogę. Ratowniczką mówi, żebym zachowała spokój. Spokój! Do cholery, jak mam zachować spokój, kiedy nie wiem, co się stało mojemu dziecku? Myślę tylko o córce leżącej nieprzytomnie na podjeździe. Nie mogę przestać wykrzykiwać jej imienia. W końcu odpływam w mrok.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Lek, który mi podano, musiał być środkiem nasennym, bo kiedy się budzę, na zewnątrz jest już ciemno. Pokój oświetla jedynie bursztynowe światło małej lampki nocnej. Powietrze stoi w miejscu, taka atmosfera panuje tylko w nocy, kiedy wszyscy wokół śpią. Nie słyszę kroków na korytarzu, świstu otwierających się drzwi ani cichego, tępego huku, kiedy się zamykają. Nie słyszę żadnych rozmów.

Czuję, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Odwracam wzrok i widzę Luke'a. Śpi oparty o szpitalne krzesło i opatulony kocem po samą szyję. Głowa opadła mu na klatkę piersiową.

Na jego widok buzują we mnie emocje. Z jednej strony chcę go obudzić, poprosić, żeby mnie przytulił, a z drugiej spoliczkować i krzyknąć:

- Dlaczego mi nie wierzysz?!

Ale milczę.

Luke porusza się, otwiera oczy i siada prosto. Nasze spojrzenia spotykają się.

- Hej, Clare, kochanie. - Wyjmuje dłoń spod koca i łapie mnie mocno za rękę. - Jest środek nocy. Spróbuj zasnąć. Powinnaś odpoczywać.

- Hannah. Co z Hannah? - dopytuję gorączkowo. Nie obchodzi mnie ani mój stan, ani to, co powinnam. Muszę wiedzieć, co się stało z moją córką.

- Nic jej nie jest. Leży na oddziale dziecięcym.

- Dziecięcym...? - upewniam się, że nie powiedział OIOM.

- Ma kilka ran i siniaków. Uderzyła się w głowę. Zatrzymali ją na noc na obserwację. Poza tym nic jej nie jest.

- Żadnych złamań? Obrażeń zagrażających życiu?

- Nie, nic z tych rzeczy. Tylko kilka siniaków i stłuczeń.

- Dzięki Bogu. - Wzdycham z ulgą. Próbuję przełknąć łyżę, ale nie potrafię ich powstrzymać. Pozwalam sobie się rozkleić i zalewam się łzami. - Myślałam, że ją zabiłam. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć. A potem policja chciała ze mną rozmawiać... - Kapie mi z nosa, łyżę ciekną po twarzy.

Luke wyjmuje pudełko chusteczek z szafeczki przy łóżku. Podaje mi kilka i zaczyna wycierać moją twarz, mówiąc przy tym:

- Rutynowe pytania. - Przez chwilę patrzy na mnie, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć mi o czymś jeszcze.

Dobrze znam to spojrzenie.

- Co takiego? - pytam.

- Alice jest w kiepskim stanie. - Przez chwilę milczy z opuszczonym wzrokiem, po czym dodaje: - Jest na intensywnej terapii. Ma przebite płuco, kilka złamań i poważnie uszkodzoną głowę.

- Jasna cholera! - Wściekam się, że nie będę mogła z nią porozmawiać

o tym, co się wydarzyło w Ameryce, ale zaraz robi mi się głupio. Potem przypomina mi się, co odkryłam, i poczucie winy maleje.

- To nie jest Alice - oznajmiam, na co mocno skonfundowany Luke marszczy czoło. - To nie moja siostra leży na OIOM-ie.

- O czym ty mówisz?

- Ta kobieta tylko udaje, że jest Alice. Tak naprawdę to jej przyjaciółka, Martha Munroe.

- Wygląda na to, że uderzyłaś się w głowę mocniej, niż myślałem, Clare.

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale jestem tego pewna - oznajmiam stanowczo, ale Luke wciąż patrzy na mnie z powątpiewaniem. - Gdzie moja torebka?

- Nie wiem. Pewnie została w samochodzie. - Wzrusza ramionami.

- Przynies mi ją. Muszę ją mieć. Jak będziesz jechał do domu, przywieź mi ją, proszę. To ważne, naprawdę ważne. Pokażę ci, czego się dowiedziałam. Wtedy na pewno mi uwierzysz.

- Leonard powiedział, żebyś nie odpowiadała na żadne pytania policji - zmienia temat. - Chce najpierw z tobą porozmawiać. Co się stało? Dlaczego prowadziłaś jak wariatka? Nie widziałaś ich?

- Oczywiście, że ich nie widziałam. Przynajmniej na początku. Głupie pytanie - oburzam się.

- Dlaczego tak pędziłaś?

- Bałam się.

- Czego?

- Marthy czy też, jak wolisz, Alice. Bałam się, co zrobi.

Naszą rozmowę przerywa pielęgniarka, która wchodzi do środka.

- Wydawało mi się, że słyszę głosy. Jak się pani czuje? - Podchodzi do mnie i zza mojej głowy zdejmuje rękaw do mierzenia ciśnienia. - Sprawdźmy parę rzeczy, skoro już tu jestem.

- Pójdę do Hannah. - Luke wstaje. - Nie chcę, żeby była sama, kiedy się obudzi. Wczoraj czekałem przy niej, aż zaśnie.

- Dobrze - zgadzam się. Nie mogę go za to obwiniać. Hannah wymaga więcej opieki ode mnie. - Powiedz jej, że ją kocham. Może pozwoli mi ją odwiedzić.

- Na pewno nie w tym stanie - rzuca oschle, ale po chwili łagodnieje: - Zobaczymy, co powiedzą lekarze po porannym obchodzie. Mówią, że jeśli wszystko będzie dobrze, pozwolą jej wrócić do domu. Ale w twoim przypadku raczej nie będzie tak łatwo.

Pytającym wzrokiem patrzy na pielęgniarkę, która odpowiada:

- Nie ja decyduję. Wszystko zależy od lekarza prowadzącego. Przykro mi.

- Wrócę do ciebie, jak tylko będę wiedział, co z Hannah. - Luke na chwilę milknie. Wydaje mi się, że chce mnie pocałować, ale zmienia zdanie. Ścisną moją rękę i rzuca: - Do zobaczenia później.

- Nie zapomnij mojej torebki! - krzyczę za nim.

Wychodząc, podnosi rękę na znak, że usłyszał. Ciekawe, czy po drodze zajrzy też do Marthy? Czy ona dla niego coś znaczy? Czy ja znacę mniej?

Nie wiem, o co chodzi, ale czuję, że jest między nami przepaść, której żadne z nas nie potrafi zasypać. Nie wiem co, ale coś się między nami skończyło.

Przez większość nocy wiercę się w łóżku, to zasypiając, to budząc się. W końcu przynoszą mi śniadanie, ale nie jestem głodna. Przez chwilę bawię się płatkami z mlekiem, ale nie jestem w stanie ich ruszyć. Zmuszam się do zjedzenia połówki banana. Za to jestem wdzięczna za kubek herbaty, który dostaję chwilę później. Włączam telewizor i zastanawiam się, kiedy Luke przyjdzie mnie odwiedzić. Martwię się o Hannah. Bardzo chciałabym ją zobaczyć, chociaż zdaję sobie sprawę, że widok mamy owiniętej bandażami jak mumia byłby dla niej przerażający. Gdybym tylko miała telefon, mogłabym przynajmniej zadzwonić. Zaczęłabym od Pippy, żeby dowiedzieć się, jak z Chloe, a także wypytać, czy wierzy mi, że to nie ja zdemolowałam jej samochód.

Niedługo na pewno zajrzy do mnie policja. Zaczną się pytania o samochód Pippy i mój wypadek. Nie wiem, jak wytłumaczę się z prędkości, którą wjechałam prosto w bramę własnego domu. Gdybym tylko zwolniła, nic złego by się nie stało.

Wracam myślami do wczorajszych wydarzeń. Zastanawiam się, co Leonard robił u nas tak wcześnie rano. I dlaczego Martha i Hannah stały same przy bramie? Przypominają mi się SMS-y, które dostałam. Chryste, czyżby Martha zabrała tam Hannah specjalnie? Żeby pokazać, że nie rzuca słów na wiatr? Z tego, co pamiętam, rzuciła się pod samochód, próbując odepchnąć Hannah. Po co miałyby to robić, gdyby chodziło o groźby? Przypomina mi się nasza rozmowa telefoniczna: „To nie mnie powinnaś się bać”.

Przechodzi mi przez myśl następujący scenariusz: Martha i Hannah zostały wepchnięte pod samochód. Ale kto mógłby to zrobić? Kto mógłby celowo zagrozić życiu dziecka? Przecież to by była próba morderstwa.

Muszę porozmawiać z Martha.

- Clare, kochanie, nie śpisz. - Do pokoju wchodzi mama i zamyka za sobą drzwi. Przytula mnie, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć. - Jak się czujesz? Kiedy byłam tu w nocy, spałaś. Pielęgniarka powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

- Tak, wszystko w porządku. Poza tym. - Kiwam głową w stronę gipsu na rękę. Potem znów patrzę na nią. - Mamo, nie zrobiłam tego specjalnie. To był wypadek. Wierzysz mi, prawda?

- Oczywiście, że tak. - Widzę w jej oczach szczerą troskę. - Nie rozumiem tylko, dlaczego tak szybko jechałaś.

Chcę jej wytłumaczyć, że bałam się o bezpieczeństwo bliskich, ale przeraża mnie myśl o tym, do czego Martha jest zdolna, więc nic nie mówię. Jeśli Luke mi nie wierzy, mama na pewno zachowa się tak samo.

- Nie wiem - rzucam tylko. - Co z Alice?

Mama siada na brzegu łóżka i łapie mnie za rękę.

- Niedobrze - mówi. - Podają jej morfinę.

- Jest nieprzytomna?
- Doktor mówi, że wpada w głęboki sen. Potem na chwilę się wybudza i znów zasypia. Ale nawet kiedy nie spała, nic nie mówiła i miałam wrażenie, że dalej tkwi w półśnie. Sama już nie wiem... - Łamie się jej głos. - Nie wiem, czy w ogóle rozumie, co do niej mówimy. Patrzy na nas, a po chwili odwraca wzrok.
- To pewnie przez morfinę - próbuję ją pocieszyć. - Jakie są prognozy?
- Lekarz powiedział, że umysł ludzki potrafi cuda, ale czasami potrzebuje czasu na regenerację. Jest pod stałym nadzorem.
- Oczy mamy zachodzą łzami. Ociera je rękawem koszuli.
- Co Alice i Hannah robiły przy bramie? - niby ot tak, zmieniam temat.
- Nie wiem. Myślałam, że są w salonie z Leonardem.
- A co Leonard robił u nas tak wcześniej?
- Zajrzał z jakimiś formularzami do podpisania - odpowiada niepewnie. - Chyba chciał cię złapać przed pracą.
- Nie mógł po prostu zadzwonić? I dlaczego nie przyniósł ich do pracy? To dziwne, nie sądzisz?
- Prawdę mówiąc, nie. To się zdarza. Leonard może do nas wpadać, kiedy ma na to ochotę, nie potrzebuje twojej zgody. A może sama się go o to zapytasz? Zaczynam się już martwić o twoją psychikę.
- Wstaje i podchodzi do okna. Próbuje pohamować złość, widzę, jak jej ramiona unoszą się i opadają.
- Mamo, muszę cię o coś zapytać.
- Odwraca się i patrząc mi w oczy, mówi:
- Nie. Nie musisz mnie o nic pytać. Nie jestem teraz w nastroju.
- Mamo, proszę...
- To nie jest dobry moment. - Spogląda w stronę drzwi. - O, przyszedł Leonard. Chce z tobą porozmawiać. - Rusza przed siebie, otwiera drzwi i woła go do środka.
- Cześć, Clare. Cieszę się, że już nie śpisz. Widzę, że nawet udało ci się usiąść. - Całuje mnie w policzek, a ja próbuję się nie wzdrygnąć. Nie potrafię przestać myśleć o tym, że to Leonard był z Marthą i Hannah, kiedy przyjechałam. Nie wiem, co to oznacza, ale zaczynam się denerwować. - Tom przesyła uściski. Niedługo przyjdzie cię odwiedzić.
- Dziękuję - mamrocze pod nosem.
- Rozmawiałem z twoim lekarzem i policjantem, który badał miejsce wypadku. Udało mi się załatwić z policją, żeby nie przesłuchiwali cię przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. Jeśli z jakiegoś powodu jednak się tu pojawią, to znasz swoje prawa. Nie musisz z nimi rozmawiać bez obecności prawnika.
- Wiem - rzucam niecierpliwie. - Ale to ja jestem swoim prawnikiem.
- Nie. Ja nim będę. - Macha ręką, próbując stłumić moje protesty. - Doznałaś urazu głowy, nie możesz reprezentować siebie w takim stanie.
- Słuchaj się Leonarda, on wie, o czym mówi - wtrąca mama. - Muszę wrócić do Alice. - Wymieniają się spojrzeniami, których nie potrafię

rozszyfrować. Kiedy mama wstaje, Leonard muska ręką jej ramię, a ja doznaję olśnienia. Nie wiem, po prostu nie wiem, jakim cudem wcześniej o tym nie pomyślałam. Mamę i Leonarda łączy coś więcej niż przyjaźń.

Kolejna myśl jest jak cios między oczy.

Leonard patrzy za mamą, kiedy wychodzi. Drzwi zamykają się, a on przenosi wzrok na mnie.

- Jak długo to trwa? - pytam.

Trzeba mu oddać, że nie próbuje zaprzeczyć ani udawać, że nie wie, o czym mówię. Siada na krześle i odpowiada:

- Długo.

- I nigdy nie pomyślałeś, żeby mi o tym powiedzieć?

- Twoja matka nie chciała.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego. - Rzuca mi surowe spojrzenie.

Kiwam przecząco głową i czuję ból. Na moment zamykam oczy, by uporządkować myśli.

- Nie wziął mnie ze sobą, bo nie byłam jego córką. - Patrzę na Leonarda, który potakuje niemal niezauważalnym gestem. - Myślał, że jestem jego, i tak było przez lata. Został z mamą, a potem urodziła się Alice. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jaka jest prawda.

- Nie ze mną powinnaś o tym rozmawiać.

- Mama nie chce. Wygląda na to, że muszę rozmawiać z tobą. Moim... ojcem. - Stało się, powiedziałaś to na głos.

Czuję się, jakby moja dusza opuszczała ciało. To najdziwniejsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić, chociaż wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, było bardzo dziwne. Leonard wlepia wzrok w dłonie, a ja po raz pierwszy dostrzegam w nim niepewność. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- Nie chciałeś mnie? I dlaczego mama została z Patrickiem?

- To nie tak. Nigdy nie myśl, że ciebie nie chciałem, Clare - oznajmia tak bardzo zdecydowanym tonem, że aż podskakuję na łóżku. - Twoja mama nie chciała mu wyjawiać prawdy. To było bardzo skomplikowane... - Przeczesuje włosy dłonią, po czym dodaje: - To ona powinna ci o tym opowiedzieć, nie ja.

- Leonard... - dokonuję w myślach szybkiego rachunku - byłeś wtedy żonaty, prawda?

- Tak, z pierwszą żoną, ale tylko formalnie. Byliśmy w trakcie rozwodu.

- To wszystko trochę mnie przeraża.

- Rozumiem.

- Nie, nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, jak się czuję! - Sama jestem zaskoczona, że tak na niego naskakuję, ale czuję narastającą złość. - Wiedziałeś od zawsze, dla ciebie to żadne zaskoczenie. A ja...

- Przepraszam, Clare. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym w taki sposób.

- Nie chciałeś, żebym w ogóle się o tym dowiedziała, tak samo mama. Chcę, żebyś już poszedł. - Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy, w ogóle

patrzeć na niego.

Leonard nie protestuje, ale kiedy staje w drzwiach, oznajmia:

- Zawsze się o ciebie troszczyłem. Cokolwiek robiłem, to zawsze z myślą o twoim dobru.

Kiedy wypowiada te słowa, patrzę na szare chmury za oknem. Dopiero gdy wychodzi, pozwalam sobie na łzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Do kolejnej wizyty Luke'a mijają wieki, a ja w tym czasie próbuję oswoić się z nowymi faktami. W ciągu kilku tygodni mój świat wywrócił się do góry nogami. Wszystko, czego byłam dotychczas pewna, okazuje się kłamstwem.

Kiedy Luke wreszcie się zjawia, kładzie torebkę na moim łóżku i oznajmia:

- Przyniosłem ci też ładowarkę.

- Dziękuję - doceniam jego troskę. - Jak się czuje Hannah?

- Dobrze. Niedługo wróci do domu. Lekarz zrobił obchód i powiedział, że można ją wypisać.

- Dzięki Bogu.

- A jak ty się czujesz?

- Chcę, żebym została jeszcze jedną noc, ale prawdę mówiąc, wydaje mi się, że to niepotrzebne. Nie wiem, co takiego może mi dać kolejna noc w szpitalu.

- Jak zawsze stawiasz na swoim - komentuje Luke.

Nie zgadzam się z nim, ale puszczam tę uwagę mimo uszu.

- Zadzwoń później do Hannah. Nie chcę, żeby oglądała mnie okutaną w bandaż. Pielęgniarka powiedziała, że zmienią mi opatrunek na głowie na mniejszy, zanim mnie wypuszczą. Wyglądam w tym jak kura domowa z lat czterdziestych. - Dotykam bandaża.

- Nie ma nic złego w kurach domowych z lat czterdziestych. Ja tam lubię te wszystkie pończoszki i takie tam - rzuca z uśmiechem, a ja przez ułamek sekundy dostrzegam w nim człowieka, którego kochałam... zanim pojawiła się Alice.

- Luke... - zaczynam, ale głos mi wysiada. Chciałam, żeby powiedział mi, że nasz kryzys jest tylko chwilowy, ale zamiast tego zmieniam temat: - Co powiedziałeś Hannah o wypadku? Wie, że nie zrobiłam tego specjalnie, prawda?

- Oczywiście, że tak - rzuca niecierpliwie, jak zawsze ostatnio.

Magiczna chwila minęła bezpowrotnie.

- Mówiła ci, co się stało? Co ona i Ma... to znaczy Alice, robiły przy bramie?

- Powiedziała mi, że szukała Alice. Chciała jej pokazać swój rysunek czy coś takiego. Zobaczyła ją z okna na górze na podjeździe i pobiegła za nią.

- I co wtedy?

- Prawdę mówiąc, sama nie jest pewna. Kiedy zacząłem ją wypytywać o szczegóły, zdenerwowała się. Wydaje mi się, że dobiegła do Alice akurat w chwili, kiedy wjechałaś przez bramę.

- Myślisz, że mówi prawdę? Czy myślisz, że może bać się powiedzieć, co się naprawdę zdarzyło?

- Clare, kochanie, znowu zaczynasz. Cały czas szukasz dziury w całym. Nie myślę, żeby Hannah się bała, tylko teraz jest w szoku. To, co widziała, na pewno było dla niej traumatycznym przeżyciem.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. Cały czas widzę twarz Alice, słyszę, jak uderza o samochód. A to, że Hannah była obok... Kiedy pomyślę o tym, co mogło jej się stać... Boże, zaraz zwariuję.

- Wiem, jak się czujesz, ale nic jej nie będzie. - Łapie mnie za rękę. - Nie zdręczaj się tym. - A po chwili dodaje: - Policja chce z nią porozmawiać.

- Nie ma mowy! Nie zgadzam się! - Wyrywam mu dłoń i kolejny już raz czułość między nami pryska niczym bańka mydlana. - Nie chcę, żeby ją wystraszyli.

- Daj spokój, Clare, przecież znasz procedury. Nie wystraszą jej, poza tym i tak już wyraziłem na to zgodę. Wiedz też, że Leonard będzie z nią przez cały czas trwania rozmowy.

Na dźwięk tych słów cała się spinam. Mam mętlik w głowie, sama już nie wiem, jak powinnam się czuć z tym wszystkim, kiedy status Leonarda w stosunku do moich córek uległ radykalnej zmianie. Otworzyłam puszkę Pandory i powinnam jakoś się z tym uporać, ale teraz nawet nie mogę spokojnie myśleć o tym, że Leonard jest moim ojcem. Dla moich dzieci konsekwencje tego faktu będą olbrzymie, a ja w tej chwili nie czuję się wystarczająco silna, żeby porozmawiać o tym z Lukiem. Muszę najpierw sama to przetrwać.

- Policja z pewnością będzie chciała porozmawiać również z tobą - przerywa milczenie Luke.

- Na razie nie, bo Leonardowi udało się wynegocjować odroczenie na dwadzieścia cztery godziny.

- Stary, dobry Leonard. - Wyczuwam nutę sarkazmu w jego głosie, ale ignoruję ją. - Czemu nie chcesz rozmawiać z policją? Czego się boisz?

Spoglądam na torebkę, którą Luke położył w nogach łóżka, zastanawiając się, ile mu powiedzieć.

- Nie chodzi o mnie. - Próbuję dosięgnąć jej paska, a Luke zauważa to i podaje mi torebkę. - Chodzi o Hannah. Nie chcę jej w nic mieszać, nie chcę pakować w żadne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? O czym ty mówisz?

- Dzieje się coś złego. - Wyjmuję z torebki telefon. - Wciąż powtarzasz, że myślę się co do Alice, ale mam kilka obciążających ją SMS-ów. Pokażę ci. - Ignoruję jego rozdrażnione spojrzenie i wchodzę w wiadomości. - To dziwne... Nie mogę ich znaleźć. - Przeglądam jeszcze raz wszystkie SMS-y, szukając zdjęcia Luke'a i Hannah przed domem, a także gróźb, które dostałam później. Zniknęły.

- Czego szukasz? - pyta Luke.

- Używałeś mojego telefonu? Kasowałeś coś? Jakies wiadomości? Zdjęcia?

- Mówisz poważnie?

Wchodzę w listę połączeń i szukam swojej rozmowy z Marthą z telefonu domowego. Znowu nic. Żadnych połączeń przychodzących i wychodzących.

- Nic nie rozumiem. Otrzymałam wiadomości i telefony z groźbami, ale zniknęły. Czy od czasu, gdy znalazłam się w szpitalu, ktoś miał dostęp do mojego telefonu?

- Najpierw twierdzisz, że Alice nie jest twoją siostrą, potem że z nią flirtuję. Jeszcze później ktoś wysłał ci wiadomości i zdjęcia, ale nie możesz ich znaleźć, więc uznajesz, że ktoś grzebał w twoim telefonie. Oczywiście nie masz żadnych dowodów, że cokolwiek z tego jest prawdą. - Luke krąży po pokoju, trzymając się za głowę. - Ty chyba tracisz zmysły!

- To kłamstwo! Nie zwariowałam!

Luke odwraca się na pięcie i podchodzi do łóżka. Ma zaciśniętą szczękę, żyły na czole mu pulsują, co dzieje się zawsze, gdy jest wściekły. Zaciska pięści i opiera się o łóżko. Jest zaledwie kilka centymetrów ode mnie, a ja kulę się ze strachu. Ma zmrużone oczy, ciężko oddycha przez nos. Wiem, że robi wszystko, by nie stracić panowania nad sobą.

- Clare, musisz wziąć się w garść - mówi chłodno. - Nie chcę, żebyś teraz była z dziećmi. To nie będzie dla nich dobre.

- Co przez to rozumiesz?!

Zrywam się z poduszki i prawie zderzamy się czołami, ale Luke ani drgnie, tylko oznajmia stanowczym tonem:

- Zabieram dziewczynki na kilka dni jak najdalej od tego całego napięcia i twoich głupich pomysłów.

- Nie możesz tego zrobić!

- Mogę. Jestem ich ojcem, a twój stan psychiczny jest fatalny. Wolałbym tego uniknąć, ale nie pozostawiasz mi wyboru. - Wstaje z łóżka i patrząc na mnie, dodaje: - To tylko kilka dni.

- Nie! Nie pozwolę ci! - Ogarniają mnie panika i desperacja. Czuję się bezradna. - Dokąd pojedziesz? Już dawno to zaplanowałeś, prawda? Planowaliście to razem z Alice? Zawsze chcieliście się mnie pozbyć! Ale pokrzyżowałam wam plany, kiedy trafiła przeze mnie do szpitala! - wylewa się ze mnie, ale wyraz jego twarzy natychmiast sprowadza mnie na ziemię. Zasycha mi w gardle i milknę.

Luke przez chwilę mi się przygląda. W jego oczach widzę całą paletę emocji: od złości i smutku po zmęczenie i pogardę. Nienawidzi mnie, jestem tego pewna.

- Powiem ci, co się teraz stanie - rzuca w końcu ze smutkiem. - Zabiorę dziewczynki na kilka dni do rodziców, a ty w tym czasie rozwiążesz swoje problemy z mamą i siostrą. Tą, która leży na intensywnej terapii.

- Nie zostawiaj mnie, proszę... - błagam żałośnie. Nienawidzę siebie za to, ale nie mogę znieść myśli, że Luke i córeczki po prostu znikną. Przypomina mi się dzień, w którym odebrano mi Alice. - Proszę, nie zabieraj mi dziewczynek.

Luke łagodnieje. Patrzy na mnie ze współczuciem.

- Nie zostawiam cię i nie zabieram ci dziewczynek. Nie jest tak, jak myślisz, Clare. Nie jestem twoim ojcem. Za kilka dni wrócę i obiecuję, że usiądziemy razem i spróbujemy uratować to, co zostało jeszcze z naszego

małżeństwa.

Patrzę, jak wychodzi. Kolejny raz jestem na skraju płaczu.

Moje życie rozpada się na moich oczach, i tylko ja mogę coś z tym zrobić. Spoglądam na telefon. Wiem, że nie wyobraziłam sobie tych wiadomości nawet w stresie i zmęczeniu związanym ze zmianą czasu. Ktoś spiskuje przeciwko mnie. Ktoś grzebał w moim telefonie, a tym razem nie mogę za to obwiniać Marthy.

Wysypuję całą zawartość torebki na łóżko, żeby sprawdzić, czy jeszcze czegoś brakuje. Jeśli ktoś pofatygował się, żeby wykasować wiadomości z mojego telefonu, na pewno pozbył się też innych dowodów.

Moje łóżko zaczyna wyglądać jak pobojowisko po festiwalu w parku. Rachunki sklepowe, które miałam upchnięte w portfelu, głównie za jedzenie i picie kupione w Ameryce. Kwit za oddanie wypożyczonego samochodu, portmonetka, moja najlepsza szminka (różowa, w ulubionym kolorze mamy), paszport, paczka chusteczek higienicznych, przezroczysta kosmetyczka, którą zabrałam w bagażu podręcznym do samolotu, kilka długopisów, mapa Amelia Island, notatnik. Wszystkie kartki z moimi zapiskami na temat Alice zostały wyrwane. Pudełko po szklach kontaktowych zniknęło. Wcześniej starannie złożone wydrukowane zdjęcie Alice i Marthy teraz wygląda jak psu z gardła wyjęte. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Najgorsze jest to, że zdjęcia, które dostałam od Romy – zdjęcia mojej siostry – też zniknęły.

Oczywiście mogę poprosić Romę, żeby przesłała mi nowe, ale to były oryginalne odbitki, a nie jakieś wydruki z internetu. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Muszę wziąć się w garść i postanowić, co dalej. Chowam do torebki wszystkie przedmioty. Zbieram rachunki i z powrotem wkładam je do portfela. Wszystkie karty kredytowe są na swoim miejscu. Dopiero wtedy zauważam skrawek papieru, na którym zanotowano brytyjski numer telefonu. Znalazłam go w domu Alice. Był schowany między prawem jazdy a kartą biblioteczną Hannah.

Zupełnie o nim zapomniałam. Chwytam za telefon i wykręcam numer.

Ktoś odbiera, ale się nie odzywa.

- Halo, z kim rozmawiam? - pytam, ale słyszę tylko czyjś oddech i dostaję gęsiej skórki. W koniuszkach palców czuję zastrzyk adrenaliny. - To ty, prawda? - mówię z odwagą, o którą bym sobie nie podejrzewała. - Odezwij się, tchórz!

Słyszę kilkukrotne piknięcie, a po nim pogardliwe prychnięcie. Rozmówca rozłącza się.

- Drań! - Ciskam telefon na łóżko.

Jestem pewna, że osoba, która wysłała SMS-y z pogrózkami, to ta sama, z którą właśnie rozmawiałam. Mam jej numer telefonu. Przez krótką chwilę czuję przypływ szczęścia, bo jeśli uda mi się namierzyć ten numer, to doprowadzi mnie do osoby, która za tym wszystkim stoi. A Martha powie mi, kto to jest.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ruszam korytarzem w czystych ubraniach, które Luke przyniósł mi do szpitala razem z torebką. Na szczęście wpadł też na pomysł, żeby przynieść mi luźny top, w który bez problemu wcisnęłam rękę w gipsie. Spodnie dresowe i wsuwane kapcie też włożyłam bez problemów. Nawet kiedy jest na mnie zły i rozczarowany moim zachowaniem, myśli o mnie. To miłe.

Pielęgniarka na OIOM-ie nie wygląda na zaskoczoną, kiedy mnie widzi.

- Przyszłam zobaczyć się z siostrą - mówię, chociaż słowa utykają mi w gardle. - Z Alice Kennedy.

- Tak, dzwonili z pani oddziału, że pani wpadnie - odpowiada z uśmiechem.

- Jak ona się czuje?

- Coraz lepiej. Dość długo to traciła, to odzyskiwała przytomność, ale jest już znacząca poprawa. Niedługo będziemy mogli ją przenieść.

- To dobrze - mówię szczerze. Kiedy się obudzi, będę mogła z nią porozmawiać.

- Proszę jednak nie siedzieć u niej zbyt długo. Zazwyczaj nie zgadzamy się na odwiedziny pacjentów na OIOM-ie, ale zrobimy wyjątek dla pani siostry...

Idę za pielęgniarką głównym korytarzem, aż dochodzimy do prywatnego pokoju. Jestem pewna, że mama to załatwiła. Pokój wygląda bardzo podobnie do mojego, tylko stoi w nim o wiele więcej aparatów i urządzeń medycznych. Martha jest podłączona do pulsometru, który pika cicho i miarowo. Na wierzchu dłoni dostrzegam wenflon prowadzący cienką rurką do woreczka z płynem.

- Kroplówka jest tylko po to, żeby się nie odwodniła - wyjaśnia pielęgniarka. - I żebyśmy mogli szybko i bezboleśnie podać jej środki przeciwbólowe. Nie ma się czego obawiać. Założyli jej specjalny plaster w miejscu, w którym płuco zostało przebite przez żebra. Ma jedno złamane i jedno pęknięte żebro. Będzie bolało, ale zagrożenie życia już minęło.

- Dziękuję. Dobrze wiedzieć.

- Zostawię was same na kilka minut.

- Zanim pani pójdzie, chciałam jeszcze o coś zapytać... Nie wie pani, czy zdjęto jej soczewki kontaktowe?

- Och, nie wiedziałam, że Alice nosi soczewki. Proszę poczekać, sprawdzę.

- Podnosi podkładkę na notatki lekarza zawieszoną na łóżku. - Nie widzę tu nic na ten temat. Nie zauważyłam też ich podczas obchodu, a sprawdzałam jej źrenice.

- Sprawdzała pani? Jaki kolor miały jej oczy? - Gdy pielęgniarka waha się, szybko dodaje: - Nosi kolorowe soczewki.

- Zielone. Jestem prawie pewna, że zielone.

- A nie niebieskie?

- Nie, nie sędzę.

- Nie niebieskie. Pewnie pamiętałyby pani, gdyby były niebieskie. Mogłaby pani sprawdzić, zamiast pytać kolegów.

- To wbrew procedurom, ale chyba mogę to zrobić. Nie będzie jej bolało. - Wyjmuje z kieszeni małą latareczkę. - Jest pani pewna, że nosi szkła kontaktowe?

- Na sto procent.

Pielęgniarka unosi najpierw prawą, a potem lewą powiekę Marthy. Próbuje zajrzeć jej przez ramię, ale nic nie widzę.

- Tak jak myślałam. Zielone. Na pewno nie ma teraz soczewek. Zresztą jestem pewna, że gdyby je miała, od razu bym to zauważyła.

- Dziękuję. Chciałam się tylko upewnić, tak dla świętego spokoju.

- Rozumiem. Zostawię was same, ale tylko na kilka minut.

Przysuwam krzesło i siadam przy niej. Czekam, aż pielęgniarka zamknie za sobą drzwi, a potem opieram się prawą ręką o jej łóżko i nachylam nad Marthą.

- Wiem, że nie jesteś Alice - szepczę. - Musisz mi powiedzieć, o co tu chodzi. Z kim jesteś w zмовie? Kto mi grozi?

Jej powieki zaczynają delikatnie drgać. Słyszała mnie? Próbuje jeszcze raz:

- Martha, proszę, musisz mi powiedzieć.

Lekko szarpie ręką. Przechyla głowę na bok. Jeszcze raz wymawiam jej imię, tym razem szepczę jej prosto do ucha:

- Martha, obudź się.

Otwiera oczy. Dostrzegam w nich zdziwienie i lęk. Odsuwa się ode mnie i pojękuje z bólu.

- Wyjdź stąd... - nakazuje, dysząc ciężko. Strużka śliny spływa z kącików ust. - Idź sobie!

Odwraca głowę i przymyka powieki.

- Nie. Potrzebuję odpowiedzi. - Łapię ją mocno za rękę, a ona otwiera oczy. Próbuje mi się wyrwać, ale jest za słaba. - Kto zabił Alice? - żądam ponagląjącym tonem. Nie wiem, ile mam czasu, zanim ktoś wejdzie.

- Zostaw mnie w spokoju - mówi Martha całkiem już wyraźnie.

- Jeśli mi nie powiesz, zadzwonię na policję i powiem, kim naprawdę jesteś. - Mam ochotę wskoczyć na łóżko i zacząć trząść nią tak długo, aż wreszcie wyzna prawdę. Powstrzymują mnie tylko zdrowy rozsądek i złamana ręka. Z rozpaczy uderzam ręką w ramę łóżka: - Na Boga, Martha!

- Jesteś taka sama jak ona. - Rzuca mi pogardliwe spojrzenie. - Wszystko musi być takie, jak sobie wymyśliłaś. Jesteś żałosna i smutna - rzuca tonem, który idealnie uzupełnia wyraz jej twarzy.

- O czym ty mówisz?

- Zawsze miałaś wszystko, czego chciałaś, prawda? - Jej oddech przyśpiesza, jak i dźwięki dochodzące z pulsometru.

- Chodzi ci o pieniądze?

Martha przez moment leży bez ruchu, ale w końcu bierze głęboki oddech

i znów otwiera oczy.

- Nie dość, że miałaś wszystko, czego zapragnęłaś, to jeszcze zawsze byłaś kochana. Nawet nie masz pojęcia, jak to jest być odrzuconym. Nie zaznać miłości. Nie mieć zupełnie nic.

- Nie masz pojęcia, co czuję, a czego nie. Poza tym nie chodzi tu o mnie. Chodzi o Alice. - Wstaję z krzesła i nachylam się kilka centymetrów nad nią. Zdrową ręką wciskam ją w materac. - Co jej zrobiłaś? Gdzie ona jest?

Kątem oka widzę, że drzwi do pokoju otwierają się i ktoś wchodzi do środka, ale nie mogę przestać. Milimetr od jej twarzy wciskam ją w łóżko.

- Co tu się dzieje? - krzyczy ktoś za moimi plecami i siłą ściąga mnie z łóżka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Clare! Clare! Uspokój się! - Tom odciąga mnie na drugi koniec pokoju. Patrzy przez ramię na Marthę, której ani na moment nie spuściłam z oczu.

Zaczyna swój teatrzyk, przybiera zalęknioną minę i krzyczy rozpaczliwie:

- Zabierz ją ode mnie!

Tom wciska przycisk do przywoływania pielęgniarki. Igła pulsometru zaczyna szaleć. Włącza się alarm.

Tom puszcza mnie, ale nadal mocno trzyma za rękę, żebym nie uciekła.

- Co tu się stało? - pyta pielęgniarka, wbiegając do pokoju. Próbuje uspokoić Marthę, która oddycha bardzo szybko i płytko. Oczy prawie wychodzą jej na wierzch. Desperacko łapie pielęgniarkę za kitel.

Po chwili znów wbiega ktoś z personelu. Rozgląda się po pokoju, oceniając sytuację.

- Tlen - rzuca pierwsza z pielęgniarek i pochyła się nad Marthą, nakazując, żeby nie panikowała.

Personel uwija się wokół niej, a my z Tomem bezradnie obserwujemy ten chaos z drugiego końca pokoju. Tom rzuca mi pytające spojrzenie, ale ignoruję je.

Nachodzą mnie mściwe myśli. Jeśli Martha teraz umrze, będzie to swojego rodzaju zadośćuczynienie za to, co przydarzyło się Alice, a jestem pewna, że nie było to nic dobrego. Karma. Sprawiedliwość losu. Oko za oko. Przez chwilę pozwalam sobie rozkoszować się tą perspektywą.

- Wszystko w porządku, Clare? - wyrывa mnie z zamyślenia Tom.

Spoglądam na niego i na Marthę.

- Tak, nic mi nie jest.

Pielęgniarki założyły Marcie maseczkę tlenową. Jej oddech się uspokaja. Nie wiem, co jeszcze zrobiły. Może zaaplikowały coś na wyrównanie pracy serca? Chyba tak, bo wydaje się, że zaczyna zapadać w sen.

- Czy coś się stało? - pyta jeszcze raz Tom.

- Nie wiem. - Kiwam przecząco głową. - Pewnie się zdenerwowała, gdy opowiadała mi o wypadku.

Nie jestem pewna, czy pielęgniarki łykają moją wersję zdarzeń.

- Powinniśmy wyjść. - Tom bierze mnie pod rękę.

- Dobry pomysł - kwituje pielęgniarka, rzucając mi karcące spojrzenie.

- Przez chwilę bałam się, że ją stracimy - mówi Tom, wyprowadzając mnie z pokoju. Ruszamy korytarzem. - Chodź, kupię ci kawę.

Idziemy do kawiarni na ostatnim piętrze. Jest wietrzny dzień, na niebie kłębią się złowieszcze chmury. Siadamy przy oknie. Mam już szczerze dosyć szpitala, czuję się tu jak więzień. Brakuje mi naturalnego światła, nawet jeśli jest burzowo.

- Pogoda dzisiaj nie dopisuje. - Tom stawia przede mną cappuccino. Sobie kupił americano. - Zapowiadają burzę.

Przez chwilę w milczeniu obserwujemy aurę za oknem, popijając kawę.

- Tom... - odzywam się pierwsza.

- Hm? - Spogląda na mnie.

- Ufasz mi?

- Czy ci ufam? Tak, oczywiście.

- Zawsze uważałeś mnie za głos rozsądku. Za osobę, która nie podejmuje pochopnych decyzji, nie wyciąga pochopnych wniosków, prawda?

- Tak, zawsze miałem cię za osobę wiarygodną i godną zaufania.

- Dziękuję, że nie powiedziałeś: nudną.

- O to nie musisz się martwić. - Rzuca mi krzywy uśmiezek. - A teraz powiesz wreszcie, co się dzieje?

Muszę się zastanowić nad doborem odpowiednich słów.

- Znasz przypadki, kiedy ktoś popełnia kradzież tożsamości, wykrada dane bankowe, adres zamieszkania i tak dalej?

- I do ofiarę ze wszystkich pieniędzy?

- Coś w tym guście, ale mi chodzi o przypadki, kiedy kradzież tożsamości przybiera ekstremalne formy. Na przykład kiedy złodziej zaczyna zachowywać się jak ofiara, przejmuje jej imię i nazwisko, historię życia... Posuwa się tak daleko, że po jakimś czasie zaczyna oszukiwać sam siebie, po części staje się tą drugą osobą.

- To faktycznie ekstremalna forma.

- Ale możliwa?

- Tak, pewnie tak, ale tylko wtedy, gdy złodziej wcześniej nie miał kontaktów z nikim, kto znał ofiarę. Inaczej mógłby zostać zdemaskowany po różnych detalach.

- To prawda, musiałby spotkać ich po raz pierwszy. Tych ludzi, którzy znali ofiarę. Wtedy ta mistyfikacja, to skuteczne upodobnienie wydaje się możliwe.

Tom stuka palcami w stół i wydyma usta.

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- To nie jest Alice. To jej przyjaciółka, Martha Munroe.

Tom poprawia się na krześle i zaczyna nerwowo rozglądać się po kawiarni. Robi wszystko, żeby nie spojrzeć mi w oczy. Nie wierzy mi. Po raz kolejny czuję, że wyszłam na głupka.

- Przepraszam, nie powinnam tak mówić. Zapomnij.

- Nie, poczekaj. - Wreszcie patrzy mi w oczy. I odnoszę wrażenie, że mówi z absolutną powagą: - Cieszę się, że to zrobiłaś. Widzisz... Alice coś mi wyznała, a ja od tamtej pory nie mogę przestać o tym myśleć.

- Co ci powiedziała? Kiedy, Tom? Też wiesz, że to nie ona, prawda?

- Któregoś dnia przyszła do mnie, do domu. Wiem, że to nie ona.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - Nie mogę uwierzyć, że to przede mną ukrywał.

- Wymogła na mnie dyskrecję, kazała mi przysiąc. - Przerzywa na moment.

- Była przerażona, nie wiedziała, co robić. Wyznała, że wplątała się w coś, co wymknęło się jej spod kontroli.

- W co?

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

- Po prostu powiedz, cokolwiek to jest. - Szykuję się na nadchodzącą rewelację. A głównie na to, że dowiem się, że to sprawka Luke'a, który od początku o wszystkim wiedział, bo ma z nią romans i wcale nie zamierza oddać mi dziewczynkę. - Mówże wreszcie!

- Jakiś czas temu, kiedy byłem w pracy, robiłem audyt różnych kont. Rutynowe działanie, robię to raz na jakiś czas. Nawet mogę ci dokładnie powiedzieć, kiedy to było. Pamiętam, że Leonard szykował się wtedy do wyjazdu na spotkanie w Stanach.

- Spotkanie, które nigdy się nie odbyło. - Przypominam sobie całą otoczkę tamtej sprawy.

- Tak. Nie wiem, co on tam robił, ale jestem pewien, że nie chodziło o spotkanie biznesowe. Myślę, że pojechał w innym celu.

- Żeby spotkać się z Martha?

- To możliwe. I ma sens.

- Nie nadążam.

- Okej, po prostu mnie wysłuchaj. Robiłem wtedy mały audyt na naszych kontaktach wewnętrznych. Na jednym z nich jest twój fundusz powierniczy. Wybrałem go losowo, ale kiedy zacząłem się przyglądać, dostrzegłem pewne nieprawidłowości. Coś mi się nie zgadzało nawet z aktami sporządzonymi przez Leonarda.

- Co to były za nieprawidłowości?

- Brakujące pieniądze.

- Ale przecież Leonard nadzorował to specjalnie dla mamy. - Gdyby Tom powiedział mi o tym wczoraj, wyśmiałabym go. Ale mając świadomość, że Leonard przez tyle lat ukrywał przede mną prawdę o Patricku Kennedym i swoim ojcostwie, nietrudno mi uwierzyć, że robił przekręty finansowe.

- Jego spółka miała kłopoty. Pamiętasz, kiedy zostaliśmy partnerami? Ty i ja musieliśmy dołożyć do interesu pokaźne kwoty.

- Pamiętam, ale to chyba normalne, prawda?

- Leonard ukrywał przed nami prawdziwe dane. Clare, mówiąc szczerze, właściwie nic nie wiedzieliśmy. Mam w domu wszystkie szczegóły.

- Leonard podbierał pieniądze z mojego funduszu. Ale co to ma wspólnego z tym, że ta kobieta udaje moją siostrę? Mówiłaś, że kiedy się do ciebie zwróciła, była przerażona.

- To prawda. Ale mówiąc o niej, używajmy jej imienia. Martha wyjawiała mi, że Leonard wmieszał ją w oszustwo finansowe związane z twoim funduszem i majątkiem twojej mamy. Nie potrafiła wyjaśnić szczegółów i nie wiem, jak to wszystko jest ze sobą powiązane. Próbowałem to jakoś wyjaśnić, ale Leonard jest sprytny i piekielnie inteligentny, więc musiałem uważać.

Chowam twarz w dłoniach. To jakiś koszmar. Próbuję zrozumieć, dlaczego

Leonard namówił Marthę, żeby udawała Alice. Może dzięki temu chciał dobrać się do mojego funduszu? To miałyby sens, jeśli jego firma ma kłopoty finansowe albo Leonard ma długi, a przecież może je mieć, bo trzy razy się rozwodził i kto wie, komu jest winny pieniądze. Może chodzi tylko o to. Przejęcie mojego funduszu byłoby dla niego dobrym zabezpieczeniem. Kto wie?

- Nie jesteśmy tutaj bezpieczni. - Tom dyskretnie wskazuje sąsiedni stół.
-Ktoś nas obserwuje.

Nachylałam się i mówię szeptem:

- Musisz z tym iść na policję.

- Nie, jeszcze nie teraz. Nie mamy żadnych dowodów. Muszę poznać szczegóły i poskładać elementy tej układanki, zanim wykonamy ten ruch.

- Ale mówiłeś, że masz dowody w domu?

- Tak, mam wszystko na pendrivie.

- W porządku, poczekaj tutaj. Wrócę za dziesięć minut.

- Dokąd idziesz?

- Po torebkę, jest w moim pokoju. Rozpracujemy to. Martha i tak nigdzie się nie wybiera, więc mamy czas.

- Pójdę z tobą. Będzie szybciej. Poza tym nie chcę, żebyś sama błąkała się po szpitalu z urazem głowy.

Wracamy na mój oddział. Kiedy jesteśmy blisko pokoju, zwalniamy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pielęgniarka rzuca na nas okiem i wraca do papierkowej roboty. Biorę torebkę i wychodzimy. Na szczęście tym razem w dyżurce nikogo nie ma, więc wymykamy się niezauważeni.

Kiedy jesteśmy na korytarzu, Tom sprowadza windę. Wyglądam przez okno i zupełnie przypadkiem zauważam znajome twarze. Leonard i mama idą w stronę wejścia do szpitala.

- Cholera. Mama i Leonard tu idą.

- Pójdziemy schodami. - Tom bierze mnie za rękę. Szukamy wyjścia ewakuacyjnego i otwieramy drzwi prowadzące na klatkę schodową.

- Nie mogę iść szybko. Przy każdym kroku łupie mnie w ramieniu - mówię, schodząc po schodach.

- W porządku. Nie śpiesz się. - Mimo tych słów, wyczuwam w jego głosie zniecierpliwienie.

Mamy do pokonania tylko jedno piętro. Kiedy dotrzemy na parter, będę mogła przyśpieszyć. Tom idzie do parkomatu, wsuwa bilet i wnosi opłatę. Potem prowadzi mnie do samochodu.

- Co się stało z twoim lusterkiem? - Siadam na fotelu pasażera. W lusterku brakuje szybki, jest mocno poharatane.

- Zahaczyłem o barierkę, kiedy tu jechałem - wyjaśnia, wsiadając. - Śpieszyłem się. Bałem się o ciebie.

Wyjeżdżamy z parkingu. Wyglądam przez okno. W moim pokoju stoi Leonard i obserwuje nas. Tom wciska pedał gazu i odjeżdżamy błyskawicznie, ale ciężar spojrzenia Leonarda napawa mnie lękiem.

- Co się stanie, kiedy Luke dowie się, że uciekłaś ze szpitala?

- Pojechał do rodziców, zabrał ze sobą dziewczynki. - Zastanawiam się, co powiedział Hannah. Muszę do nich później zadzwonić. Ciemne chmury powoli przesłaniają niebo, drzewa kołyszą się na silnym wietrze. Kiedy zbliżamy się do morza, wiatr się nasila, ostrymi podmuchami raz po raz uderza w bok samochodu.

Opuszczam daszek przeciwsłoneczny i patrzę w lusterko.

- Możemy zatrzymać się w jakimś sklepie?

- Pewnie. Czego potrzebujesz?

- Muszę zmienić opatrunek.

Łapię za plaster, którym przymocowano mi turban. Udaje mi się chwycić go między palec wskazujący a kciuk i odkleić. Bez zbędnych ceregieli rozwijam bandaż, a on swobodnie opada na moje kolana niczym nitki spaghetti. Pod spodem jest prostokątny opatrunek z plastra wielkości jakieś pięć na siedem centymetrów. Na środku ma ciemnoczerwoną plamę zaschniętej krwi.

- Jesteś pewna, że powinnaś go zdejmować?

- Nic mi nie będzie.

Tom zatrzymuje się przy małym sklepiku i wchodzi do środka po opatrunek, a wraca z apteczką do udzielania pierwszej pomocy ze słowami:

- Lepiej dmuchać na zimne. Zresztą nie byłem pewien, czego tak naprawdę potrzebujesz.

- Dziękuję. - Uśmiecham się. - Na pewno znajdę coś dla siebie.

Kiedy zbliżamy się do mieszkania Toma, dzwoni mój telefon.

- To Leonard.

Już mam odebrać, ale Tom mnie powstrzymuje:

- Nie daj po sobie poznać, że coś wiesz. I nie mów, gdzie jesteśmy. Musimy to sami rozpracować, zanim z nim porozmawiamy. Wiesz, jaki on jest. Zanim zdążylibyśmy coś powiedzieć, zrobiłby z nas idiotów.

- Masz rację. - Wyłączam dźwięk w telefonie. - Ale może powinnam wysłać mu SMS-a, że wszystko w porządku? Nie chcę, żeby wezwał policję.

- Jak uważasz.

Piszę wiadomość do Leonarda:

Pojechałam z Tomem zaczerpnąć świeżego powietrza.

I dodaję, że porozmawiamy później.

- Miał być obecny podczas przesłuchania Hannah dotyczącego wypadku. Może jednak powinnam z nim porozmawiać. Tak na wszelki wypadek.

- Nie! - Gwałtowna reakcja Toma wzbudza we mnie lęk. - Później. Zrobisz to później.

Wlepiam wzrok w drogę, a ja milknę, myśląc o tym, że bardziej stresuje się tą sytuacją, niż chciałby pokazać. Nad górną wargą dostrzegam kropelkę potu. Wjeżdża do garażu podziemnego i wyłącza silnik. W bladym żółtawym świetle ledwie dostrzegam jego twarz. Spogląda na mnie i przeprasza:

- Nie chciałem wybuchnąć, ale ta sytuacja doprowadza mnie do szału. Chodźmy do środka. Porozmawiamy w spokoju.

Wychodzę z samochodu i ruszam za nim do windy. Znam Toma od dawna

i wiem, że ma nerwy ze stali. To, że teraz jest taki skołowany, wzbudza we mnie coraz więcej podejrzeń.

W windzie opieram dłoń na torebce i w pewnym momencie czuję wibracje przychodzącego SMS-a. Nie wiem czemu, ale wolę, żeby Tom o tym nie wiedział.

Kiedy jesteśmy na górze, mówię, że muszę skorzystać z toalety. Zabieram torebkę i apteczkę.

- Założę nowy opatrunek - rzucam przez ramię.

Zamykam za sobą drzwi i odkręcam wodę w kranie. Wyjmuję z torebki telefon i odczytuję wiadomość. Nie jestem zaskoczona, że to Leonard:

Nie ufaj mu. Zadzwoń. Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Wszystko w porządku? - woła Tom, a ja w panice niemal upuszczam telefon.

- Tak! Już wychodzę!

Kasuję wiadomość i wrzucam telefon do torebki.

Po chwili siedzimy w salonie, gdzie Tom podaje mi lampkę wina.

- Pomyślałem, że dobrze ci zrobi coś mocniejszego od herbaty.

- Dziękuję. - Biorę od niego kieliszek, choć wcale nie mam ochoty na wino. Jednak nie chcę być nieuprzejma, więc wypijam trochę i odstawiam kieliszek. Rozglądam się po pokoju i pytam: - Gdzie twój komputer?

- W pokoju. Za chwilę go uruchomię. - Tom siada przy mnie. - Wszystko w porządku? Na pewno dobrze się czujesz?

- Nie do końca. To wszystko wydaje się takie nierzeczywiste. Nawet teraz nie mam pewności, gdzie jestem, takie pijane dziecko we mgle - mówię na wpół kpiącym tonem, choć wcale nie jest mi do śmiechu. - Nie mogę przestać myśleć o wypadku, cały czas to we mnie siedzi. Zastanawiam się, czy mogłam zrobić coś, żeby go uniknąć.

- Nie powinnaś się o to obwiniać. Nie zrobiłaś nic złego.

- Wszystko działa się tak szybko.

- Też dużo myślałem o tym, co się stało. Wolałbym nie być tym pierwszym, który to sugeruje, ale jednak muszę. Clare, nie sądzisz, że Leonard mógł mieć coś wspólnego z wypadkiem?

- Leonard nigdy nie skrzywdziłby Hannah. To moja wina. Za szybko jechałam.

- Spójrzmy na to z innej perspektywy. - Patrzy na mnie, jakby to, co mówił, było najważniejsze na świecie, a gdy tylko wzruszam ramionami, kontynuuje: - Co Leonard tam robił? Rzadko wpada do was w porze śniadaniowej, prawda?

- Zgadza się. Mama mówiła, że przywiózł jej jakieś papiery do podpisania, ale teraz myślę, że w pierwszym rzędzie chciał porozmawiać ze mną, zanim pojedę na policję.

- A co, jeśli dowiedział się, że odkryłaś prawdę o Marcie i Alice? Co, jeśli nie chciał, żeby ta informacja wyszła na jaw? Może przyjechał ostrzec Marthę. Możliwe, że chciał porozmawiać z nią na osobności i zarządził spotkanie przy bramie, bo...

- Bo wiedzieli, że nadjeżdżam - kończę za niego. To, że Leonard mógł mieć coś wspólnego z wypadkiem, przyprawia mnie o mdłości. - Ale jak im się udało tak idealnie zgrać to w czasie?

- Może mieli szczęście. Przecież powiadomiłaś ich, którym samolotem wracasz. Nie trzeba być geniuszem, żeby obliczyć w czasie całą sekwencję

zdarzeń.

- To tylko przypuszczenia, Tom, a dowodów nie mamy. I ciągle trudno mi uwierzyć, że za tym wszystkim może stać Leonard. - Zastanawiam się, czy myślę tak tylko dlatego, że chcę tak myśleć. - Przecież nie skrzywdziłby Hannah. Nie ma mowy.

- Też tak uważam. To, że była tam Hannah, to czysty zbieg okoliczności.

Myślę o wypadku, chociaż to słowo coraz mniej pasuje mi do sytuacji.

- Jestem pewna, że Martha próbowała zepchnąć moją córkę z drogi. Gdyby nie ona... Nie chcę nawet myśleć o tym, co mogło się stać. - Na samą myśl o tym zadrżałam.

Tom kładzie rękę na moim udzie, żeby mnie uspokoić.

- Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować, próbuję tylko połączyć fakty. Przecież Martha mogła pozbyć się Alice, gdyby ją o to poprosił.

- Nie mów o niej jak o worku ziemniaków! - Wyraźnie puszczają mi nerwy. Tom mówi o niej, jakby jej los już dawno był przesądzony. Nie jestem jeszcze gotowa na taką możliwość.

- Przepraszam, nie chciałem.

- Nieważne, zapomnij o tym - siłę się na uprzejmość. - Musimy porozmawiać z Martha. To ona ma klucz do tej zagadki i tylko ona będzie w stanie nam wszystko wyjaśnić.

- Raczej nie przyjmie twojej wizyty z radością. Ja z nią rozmawiam.

- Dobrze, dziękuję.

Popijam wino, które rozgrzewa mnie od środka i lekko piecze w pusty żołądek. Myślę o teorii Toma. O tym, że za wszystkim stoi Leonard. Trudno mi w to uwierzyć, ale staram się niczego nie wykluczać. Muszę kierować się głosem rozsądku, a nie emocjami. Okej, to dobra rada, nic jednak na to nie poradzę, że coś mi tu nie pasuje. Nie wiem jeszcze co, ale nie pasuje.

- Uwierz mi, Leonard potrafi zachować się okrutnie. W przeszłości zdarzało mu się mi grozić. Co cię tak dziwi?

- Mam wrażenie, że rozmawiamy o dwóch różnych osobach. Wiem, że bywa surowy, ale na pewno nie nazwałabym go okrutnym.

- Ty to co innego. Jest przyjacielem twojej rodziny i tak dalej, ale ma też drugą stronę, której nie znasz. Jak myślisz, dlaczego rozwodził się trzy razy?

- Opiera łokcie na kolanach i mówi dalej: - Widziałem go kiedyś w akcji, kiedy wyszliśmy razem do miasta. Był świeżo po rozstaniu z Isabellą. Poszliśmy do klubu dla VIP-ów...

- Vanilla Paradise?

- Tak, byłaś tam?

- Nie, ale wiem, że należy do McMillana. To stamtąd wyrzucił swojego pracownika, który go oskarżył o bezpodstawne zwolnienie.

- No właśnie, zobacz, jak to się składa. Leonard zachowywał się jak kompletny dupek w stosunku do personelu. Delikatnie mówiąc, naprzykrzał się tancerce, której zapłacił za taniec. Musieliśmy ją przekupić, żeby nie wezwała policji. Oszczędzę ci szczegółów, ale Leonard zachował się jak świnia.

Powinno mnie to zaskoczyć albo wręcz zszokować, ale biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich tygodni, nic już mnie nie rusza. Nastął czas działania:

- Jeśli Leonard ma coś wspólnego ze śmiercią Alice, musimy go powstrzymać. Nie ujdzie mu to na sucho. Pokaż mi te pliki, zanim wypiję za dużo wina.

Idziemy do drugiego pokoju. Jest tak mały, że nie pomieściłby nawet łóżka. Miejsca wystarcza na biurko i szafkę na dokumenty. Tom włącza laptopa i wyjmuję pudełko z szafki. W środku jest kilka pendrive'ów.

- Niczego ważnego nie trzymam na dysku. Zbyt łatwo to stracić - tłumaczy, po czym loguje się i zaczyna wycieczkę po dysku.

Otwiera folder, który zawiera wiele podfolderów, aż w końcu udaje mu się znaleźć to, czego szukał:

- Tutaj jest lista transakcji z datami, opisami i sumami. Obok tych, które udało mi się namierzyć. Wędrują z konta na konto, ale zrobiłem diagram, na którym widać, że ostatecznie wszystkie trafiają na konto zagraniczne, które można powiązać z Leonardem. Sama zobacz.

Przeglądam diagram i dokumenty, które skopiował Tom, zbierając dowody. To jedna wielka pajęczyna transakcji. Prawdę mówiąc, prawo spółek nie jest moją mocną stroną i szybko się gubię. Muszę uwierzyć w to, co przedstawia diagram.

- Nie jestem ekspertką w tej dziedzinie, ale jeśli mamy dowody, to na co czekamy?

- Dopiero złożyłem elementy tej układanki. Muszę jeszcze powiązać Leonarda z tym kontem. Myślę, że kiedy porozmawiam z Martha, nic już nie będzie stało nam na przeszkodzie.

- Myślisz, że Martha zgodzi się oskarżyć Leonarda? Przypomniałam sobie, że ostrzegła mnie przed kimś. Dzwoniła do mnie, kiedy wróciłam do Anglii. Dostałam też kilka SMS-ów z pogrózkami. Pewnie wysłał je Leonard. Myślisz, że uda ci się ją przekonać, żeby zeznawać?

- Nie wiem. Pewnie zależy od tego, na jak mocno jest w to zamieszana.

- Martha jest naszym najsłabszym ogniwem. Jeśli zdołamy ją namówić do współpracy, będziemy mogli wytoczyć proces. - Wzdycham ciężko i siadam na krześle. - Wreszcie mama i Luke zobaczą, że nie zmyślam. - Spoglądam na Toma. Nie uśmiecha się, wręcz przeciwnie, posmutniał.

- O co chodzi?

- Nie, o nic.

- O czymś mi nie mówisz. Dobrze znam to spojrzenie. Co przede mną ukrywasz?

Potrząsa głową i na chwilę spuszcza wzrok. Potem prostuje się i klika w jeden z folderów. W środku jest kolejny, nazwany „Zdjęcia”.

- Nie chciałem ci tego pokazywać, ale przyjaźnimy się od wieków i chcę, żebyś wiedziała, że bardzo mi na tobie zależy. - Klika w podfolder.

- Co to jest? - Ogarnia mnie panika. Tom chce mi coś pokazać. Coś, co na pewno mi się nie spodoba. Próbuję się na to przygotować. To może być tylko jedno.

Tom klika w ikonkę zdjęcia. Przez chwilę ekran mruga, po czym pojawia się na nim zdjęcie Luke'a i Marthy. Obejmują się, a nawet całują. Zdjęcie jest zrobione z daleka, ale nie mam wątpliwości. Martha ma włosy związane w koński ogon, różową koszulkę, która zapewne jest moja, i džinsy. Luke też ma džinsy i surferski T-shirt. Stoją na plaży w Brighton. W tle widać moło i plażę pokrytą drobnymi kamykami.

- Skąd to masz? - Ogarnia mnie złość. Napięcie jest coraz większe, czuję, że zaraz wybuchnę.

- Sam je zrobiłem. Śledziłem ich przez kilka dni. Zacząłem, kiedy powiedziałaś mi, że ją o coś podejrzewasz. Chciałem upewnić się, że nie masz racji, ale... - Kiwa głową na ekran.

- Nie mogę w to uwierzyć! Po tym wszystkim, co się stało... Luke cały czas wmawiał mi, że jestem zazdrośnicą. Że to ja mam problem, że się wściekam o byle co... - Jeszcze raz patrzę na zdjęcie. Mam ochotę walnąć w ekran pięścią. Zrywam się z krzesła i biegnę do salonu. Szukam telefonu w torebce.

Tom rusza za mną i wyrywa mi komórkę, zanim zdążę wybrać numer Luke'a.

- Nie teraz. Poczekaj chwilę. Jesteś wściekła.

- Oczywiście, że jestem, do cholery!

- I właśnie dlatego nie powinnaś z nim teraz rozmawiać. Chodź, usiądź. Doleję ci wina. - Prowadzi mnie z powrotem na kanapę i podaje mi kieliszek.
- Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym w ten sposób, ale pomyślałem, że może lepiej będzie, jeśli dowiesz się ode mnie.

Przytakuję i potrząsam głową, licząc na to, że pomoże mi to wyrzucić z pamięci pocałunek Luke'a i Marthy. Jak on mógł mi to zrobić?

- Boże, Tom, moje życie to jakiś bajzel - mówię w końcu. Uchodzi ze mnie cała energia. - Jestem zmęczona. Nie wiem, ile jeszcze zniosę.

Obejmuje mnie, uważając na gips.

- Będzie dobrze. Jestem przy tobie. Zawsze byłem i zawsze będę. - Jego słowa są ciche, kojące. Opieram się o jego ramię. Nawet nie mam już siły trzymać głowy prosto. - Właśnie tak. Odpocznij sobie.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu. Chłonę jego ciepło.

- Jesteś dobrym przyjacielem - szepczę, wtulona w jego sweter.

- Nie zastanawiałaś się kiedyś, co by się stało, gdybyśmy ze sobą nie zerwali?

- Tom, nie idźmy w tę stronę - oponuję. - Minęło już tyle czasu.

- Ale nigdy się nie zastanawiałaś?

Siadam prosto i mówię:

- Przez wiele lat w ogóle o tym nie myślałam.

Tom przytakuje, a po chwili podnosi butelkę wina.

- Pusta! - Wstaje. - Wskocz do sklepu nocnego po drugą. Zaraz wrócę.

- Nie musisz. Nie powinnam więcej pić. Muszę wracać. Nie powinnam tak uciekać. Muszę wreszcie stawić temu czoło. Jutro będzie mnie przesłuchiwać policja... - Drzwi za Tomem zamykają się, zanim kończę.

Unoszę kieliszek i opieram się o wezłowie fotela, ale zapominam o złamanym ręku i z błogostanu natychmiast wrywa mnie silne rwanie. Z bólu potrząsam kieliszkiem i rozlewam wino na bluzkę.

- A niech to szlag!

Idę do kuchni i wycieram ją gąbką, chociaż i tak wiem, że mogę spisać bluzkę na straty. Kiedy wychodzę, kątem oka dostrzegam wygaszacz ekranu na laptopie Toma. James Bond maszeruje w tę i z powrotem. Czasami odwraca się i wyciąga pistolet. Uśmiecham się pod nosem. Typowy Tom. Jest klasycznym przypadkiem komputerowego geeka. Byłby idealnym szpiegiem.

Wchodzę do gabinetu. Chcę jeszcze raz rzucić okiem na dane, które mi pokazał, chociaż wiem, że nie ma to większego sensu. I tak nic nie zrozumieję. Mam lekkie zawroty głowy i niechcący wpadam na krzesło, którym potrącam pudełko z pendrive'ami. Wysypują się na dywan.

- Jasna cholera! - knę i kucam, żeby je pozbiierać. Kiedy podnoszę ostatni, moją uwagę przykuwa naklejka z boku:

Martha Telefon 0.2

Przeoglądam pozostałe pendrive'y. Wszystkie są opisane. Zdjęcia 0.1, 0.2 i 0.3. Akta A-L, Akta M-Z, Prywatne 0.1., 0.2.

Wrzucam je z powrotem do pudełka. Zostawiam tylko ten z imieniem Marthy.

Drżącą dłonią wsuwam pendrive'a w wolne wejście USB.

Jest mi niedobrze. Nerwy czy wino?

Laptop szumi i po chwili wyskakuje ikonka dysku F. Klikam w nią.

Na dysku jest tylko jeden plik audio. Wygląda jak moje pliki z nagranyimi rozmowami telefonicznymi, których używam w pracy. Wciskam „Play”. Znów kręci mi się w głowie. Muszę usiąść.

Pierwszy odzywa się Tom:

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Od razu rozpoznaję, z kim rozmawia. To Martha.

- Liczyłam chociaż na „dzień dobry”.

- Daruj sobie uprzejmości, Martha. Kiedy prosiłem, żebyś zajęła się Clare, nie miałem na myśli zepchnięcia córki Pippy z drabinki. Ma przez ciebie złamaną rękę.

- Nie miałam tego w planach. Poza tym mógłbyś okazać trochę wdzięczności, Tom. Dzięki mnie ta suka Pippa jest tak wściekła na Clare, że nawet nie chce z nią rozmawiać.

- I niech tak zostanie. Ale nie mieszaj w to dzieci.

- Dobrze. To wszystko?

- Nie. Możesz jeszcze rozmawiać?

- Chwilę. Marion pojechała do kawiarni, ale niedługo wróci. Udało mi się wymigać, powiedziałam, że mam migrenę.

- A Luke?

- Jest w pracowni. Ja wyszłam do ogrodu.

- Jak się z nim dogadujesz?

- Z Lukiem? To miły chłopak.

- Musisz wyświadczyć mi przysługę.

Martha waha się przez chwilę, w końcu pyta:

- Jaką?

- Musisz się do niego zbliżyć. Sprawić, żeby się pokłócił z Clare.

- Przecież właśnie to robię.

- Postaraj się bardziej. Clare zrobiła się podejrzliwa i ostatecznie, czego mi trzeba, to żeby ktoś jej uwierzył - Tom mówi zniecierpliwionym tonem, który zazwyczaj rezerwuje dla byłej żony.

- Gdybym się do niej zbliżyła, stanęłaby po mojej stronie.

- Clare zostaw mnie.

Marta śmieje się gorzko.

- Ach tak! Rozumiem. Chcesz, żeby Clare zwróciła się do ciebie o pomoc. Wiedziałam, że kiedyś coś was łączyło, ale myślałam, że to tylko szczeniackie wygłupy.

- To niedokończona sprawa. A przede wszystkim nie twoja sprawa.

- Jeśli mam robić to wszystko, co sobie wykombinujesz, może najpierw zapłacisz mi obiecane pieniądze? - Tym razem Martha zabrzmiała chłodno jak brzytwa.

- Nie pogrywaj sobie ze mną. Pamiętaj, że wiem, co zrobiłaś. Jeden telefon na policję w Stanach i gra dla ciebie się skończy.

- Tu się mylisz - odpowiada Martha. - Jestem pewna, że władze chętnie posłuchają o tym, jak przelewasz na swoje konto pieniądze z funduszu powierniczego. O ile wiem, to się nazywa defraudacja.

- To i tak lepsze niż morderstwo.

Sztywnieję. Morderstwo? Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Próbuje przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszałam, i kilka kolejnych zdań mi umyka. Tom może wrócić w każdej chwili, więc próbuję się opanować i wracam do nagrania. Przesuwam kursor myszki kilka sekund wstecz i słucham tego, co mi umknęło.

- To i tak lepsze niż morderstwo.

- To był wypadek! - Martha jest oburzona i wściekła.

Za to ja cała drętwieję. Próbuje oswoić się z tym, co zostało powiedziane. Pulsują mi skronie, jest mi niedobrze. Tom się odzywa, więc staram się skupić na nagraniu.

- Popchnęłaś ją. Uderzyła się w głowę. Cios był śmiertelny, a ty nie wezwiałaś pogotowia. - Kładzie nacisk na każde słowo. Tyle razy widziałam to w sądzie. Wyobrażam sobie, jak spaceruje przed miejscem dla świadka, podkreślając każde słowo ruchem dłoni. - Ukryłaś ciało. Wróciłaś do domu i położyłaś się do łóżka. Nawet po przebudzeniu nic z tym nie zrobiłaś.

- Zamknij się! Po prostu się zamknij! - syczy Martha.

- W najgorszym wypadku oskarżą cię o morderstwo z premedytacją, w najlepszym o nieumyślne spowodowanie śmierci - kontynuuje Tom, ignorując jej słowa. - Do tego dojdzie zatajenie informacji o zbrodni, zniszczenie dowodów, zatajenie dowodów, utrudnianie śledztwa... Mam

wyliczać dalej?

- Jeśli pójde na dno, pójdziesz razem ze mną.

- Dostaniesz dożywocie, a ja wyjdę po kilku latach. Może nawet dostanę wyrok w zawieszeniu. Będę mógł dalej wieść spokojne życie. Twoje perspektywy nie są tak różowe.

- Kłamiesz.

- Zapewniam cię, że nie, nie kłamię. Wiem nawet, gdzie policja powinna szukać ciała. Lasy przy moście na Talbot Island. Długo nie będą jej szukać. - Jest bardzo pewny siebie. - Słyszałaś kiedyś takie przysłowie: „Długi język, krótkie życie?”. Nagrałem naszą rozmowę. Poprzednią też.

- Drań.

- Słyszałem już gorsze obelgi.

Na chwilę zapada cisza. Słyszę głęboki oddech Marthy, która próbuje się uspokoić. Nie można powiedzieć tego samego o mnie. Mija kilka sekund i znów się odzywa:

- Chcesz, żeby Luke i Clare się kłócili, tak?

- Dokładnie.

- A co, jeśli Luke nie jest zainteresowany?

- Taką ładną dziewczyną jak ty? Jestem pewien, że potrafisz zawrócić mu w głowie.

- Czemu odnoszę wrażenie, że nie przepadasz za Clare?

- Gratuluję spostrzegawczości - mówi Tom. - Ujmę to tak: miłość i nienawiść mają ze sobą wiele wspólnego. A jeśli ci się nie uda, nie martw się. Mam plan B.

- Jesteś chory.

- Po prostu lubię wygrywać.

- Muszę kończyć. Marion właśnie wróciła.

- Nie zawieź mnie. A jeśli dobrze się spiszesz, może pomyślę o podwyżce.

Słyszę, że Martha rozłącza się, ale nagranie jeszcze się nie skończyło. Tom rzuca pod nosem:

- Głupia dziwka.

I to już koniec.

Chowam twarz w dłoniach. Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam. Gdyby ktoś przekazał mi te informacje w jednym zdaniu, powiedziałabym, że zwariował. Tom jest moim przyjacielem od lat. Nigdy by mnie nie zdradził.

Dźwięk klaksonu wrywa mnie z zamyślenia. Tom będzie tu za chwilę.

Moje serce wali jak szalone. Wyjmuję pendrive'a z wejścia USB i odkładam go do pudełka. Po chwili zmieniam zdanie. Przecież to dowód! Chowam go do kieszeni spodni. Tom wspominał, że nagrał jeszcze jedną rozmowę z Marthą. Na tym pendrivie była tylko jedna, więc gdzieś tutaj musi być drugi. Przeszukuję pudełko, ale nie znajduję innego, który byłby podobnie opisany.

Nagle drzwi frontowe otwierają się. Tom wchodzi, pogwizdując, a ja znowu prawie strącam to cholerne pudełko na ziemię. Poprawiam je

i szybko wstaję.

- Clare! Wszystko w porządku? Przyniosłem wino!

Przemykam z pokoju do łazienki. Drżącymi dłońmi cudem udaje mi się cichutko przekroczyć zamek od środka.

Po głosie słyszę, że Tom się zbliża. Przeszedł przez salon. Jest w korytarzu.

- Chwileczkę - mówię i spuszczam wodę dla wzmocnienia efektu. Sprawdzam w lustrze, czy nie wyglądam na skołowaną. Biorę głęboki wdech, żeby się uspokoić. Naciskam na klamkę i otwieram drzwi. - Musiałam skorzystać - mówię lekko drżącym głosem.

- Przyznaj się, chciałaś zwać bez płacenia. - Mruga porozumiewawczo i unosi dwie butelki czerwonego wina. - Dwie w cenie jednej. Byłoby zbrodnią ich nie wziąć.

- Oczywiście. - Ruszam za nim do pokoju.

- Gdzie twój kieliszek? - pyta Tom, otwierając pierwszą butelkę.

Zostawiłam go w gabinecie, kiedy słuchałam nagrania.

- Hm... ja... zostawiłam w gabinecie - dukam. - Zabrałam go, kiedy szłam do toalety i zostawiłam po drodze na biurku. Zaraz przyniosę.

- Nie, daj spokój. Usiądź sobie. Dam ci nowy.

Wychodzi do kuchni i po chwili wraca z dwoma czystymi kieliszkami.

- Nowa butelka, nowe kieliszki, jak zwykłem mawiać.

Nie pamiętam, żeby Tom faktycznie kiedykolwiek tak mówił, ale nie zamierzam się o to kłócić. Patrząc, jak odstawia kieliszki i otwiera wino.

- Dla mnie tylko odrobinę. Nie powinnam pić. - Mimo to nalewa mi pełny kieliszek.

- Patrzyłaś jeszcze na pliki?

To pytanie zbija mnie z tropu. Tom nie patrzy na mnie, tylko napełnia swój kieliszek.

- Myślałam o tym, ale stwierdziłam, że i tak nic nie zrozumie. Ty jesteś specem od liczb w naszej drużynie. - Wyczuwam między nami dziwne napięcie, którego nie było wcześniej. Popijam wino. Udajemy, że wszystko jest w porządku. Chcę stąd uciec.

- Na zdrowie! - wznosi toast.

- Na zdrowie - odpowiadam z fałszywym uśmiechem.

Tom rozwiązuje krawat i luzuje kołnierzyk.

- No, czas się przebrać. - Znika na kilka minut, a kiedy wraca, ma na sobie szarą koszulkę. Czuję zapach wody kolońskiej, chyba się wyperfumował. - Od razu lepiej. - I dodaje: - Nie pijesz wina?

- Nie, rozboleła mnie głowa.

- Pij, wino uśmierzy ból. - Podsuwa mi kieliszek, który zostawiłam na stole.

- Nie, naprawdę dziękuję.

Nagle przypomina mi się to, co nie dawało mi spokoju, kiedy Tom mówił o wypadku. Wtedy wydawało mi się to na tyle błahe, że po prostu o tym zapomniałam. Ale teraz wróciło do mnie i uderzyło z siłą boksera wagi

ciężkiej. Dosłownie tracę równowagę. Zamykam na chwilę oczy i przez kilka sekund czuję, jak moje ciało odchyła się w lewo i wraca do centrum.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Byłeś u nas podczas wypadku, prawda?

Tom odstawia kieliszek i odpowiada niskim głosem, a mnie przechodzą ciarki.

- Czemu tak sądzisz?

- Widziałam twój samochód zaparkowany na poboczu. W natłoku zdarzeń zupełnie o tym zapomniałam. Ale coś cały czas nie dawało mi spokoju. Wiedziałam, że zapomniałam o czymś ważnym. Teraz mi się przypomniało. To tak, jak próbujesz sobie przypomnieć czyjeś imię. Masz je na końcu języka, ale coś stoi na przeszkodzie i nie wiesz. A kilka dni później leżysz sobie w łóżku albo błąkasz się po supermarkecie i nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, jest! - Milknę na chwilę, patrząc na Toma. - Teraz jest właśnie taki moment. To ja zerwałam ci lusterko. To był twój samochód. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego to przede mną ukrywałeś? Dlaczego? - Mój głos jest podszyty sarkazmem i złością.

- Clare, uspokój się. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Jego słowa brzmią jak przestroga. Wiem, że nie wynikają z troski o mnie. Boi się o samego siebie. Ignoruję go i ciągnę dalej:

- Jedyne powód, dla którego to zataiłeś, jest taki, że masz coś do ukrycia. - Wstaję z miejsca, ale dostaję zawrotów głowy i tracę równowagę. - Pamiętasz przyjęcie, które zorganizowaliśmy w domu? Imprezę powitalną dla Alice? Spotkałam was w ogrodzie. Wiedziałeś już wtedy, prawda? Wiedziałeś, że to Martha. O czym rozmawialiście?

- Usiądź Clare, za dużo wypijaś.

Znowu próbuję wstać, ale dalej kręci mi się w głowie.

- Dosypałeś coś do mojego drinka.

- Niby po co miałbym to zrobić?

Nogi odmawiają mi współpracy, ale jakoś udaje mi się dojść do kuchni. Zdejmuję kubek ze stojaka i odkręcam zimną wodę tak mocno, że aż pryska i wylewa się na blat. Z trudem napełniam kubek. Otwieram po kolei szafki, szukam tej z jedzeniem. Zdrową ręką grzebię wśród puszek i pudełek, większość z nich przewracając. Puszka fasoli spada z hukiem na blat. W końcu znajduję to, czego szukałam. Solniczka. Zdejmuję wieczko i sypię sól prosto do kubka z wodą. Muszę zwymiotować. Nie wiem, co Tom dosypał do wina, ale muszę jak najszybciej pozbyć się tego z organizmu.

Podnoszę kubek, ale nie zdążam się napić.

- Nie rób tego. - Zabiera mi wodę i wylewa ją do zlewu. - Nie musi tak być, wiesz?

- O czym ty mówisz?! - Łapię się blatu, żeby nie stracić równowagi.

- Możemy stworzyć naprawdę zgrany zespół. Przecież wiesz, co do ciebie

czuję.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Tom. Starymi, dobrymi przyjaciółmi. Przyjaźnimy się od czasów Oksfordu.

- Kiedyś łączyło nas coś więcej niż tylko przyjaźń. I możemy do tego wrócić.

- To były studenckie czasy i oboje wiemy, że nie łączyło nas nic poważnego. Zawsze to wiedzieliśmy.

Odstawia kubek na blat tak mocno, że rączka zostaje mu w dłoni. Ciska ją do zlewu.

- Ty to wiedziałaś. Ja nie.

- Ależ Tom... Przecież potem każde z nas zakochało się w kimś innym. Ty ożeniłeś się z Isabellą, ja wyszłam za Luke'a. To był tylko szczeniacki romans. - Zaczynam masować skronie dłonią. Moje życie jest kompletnie popieprzone.

- Za każdym razem, kiedy na was patrzyłem, miałem wrażenie, że kochacie się coraz mocniej. A to mi tylko przypominało, jak bardzo sam nie kochałem Isabelli.

- Do czego zmierzasz, Tom?

- Nawet nie masz pojęcia, ile kosztuje mnie utrzymanie Isabelli. Muszę płacić za olbrzymi dom, w którym mieszka. Nie mogła sobie kupić czegoś skromniejszego? Nie, musi mieszkać w pieprzonej willi w najdroższej dzielnicy Brighton! Do tego dochodzi cała lista rzeczy, których potrzebuje Lottie: lekcje jazdy konnej, trener pływania, kółko teatralne, korepetycje z francuskiego. Mógłbym tak wyliczać w nieskończoność. A przecież muszę utrzymywać też siebie, płacić czynsz, utrzymać samochód, wieść swoje życie.

- Nie rozumiem. Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

- Luke zdradził cię z Marthą. Widziałaś dowód. Odejdź od niego. Przecież możemy być razem.

- To nie takie proste. - Uśmiecham się gorzko. - To tak nie działa. I co z Marthą? I Alice?

- Co z nimi?

W oczach Toma widzę pustkę. Jest zupełnie odklejony od rzeczywistości. Nie ma w nim śladu empatii, w ogóle mi nie współczuje, choć tak wiele złego mnie spotkało.

To wzbudza we mnie największy lęk. Muszę stąd wyjść. Nie ufam Tomowi. Nie wiem, do czego jest zdolny. Mój wzrok wędruje w stronę drzwi, i to mnie zdradza. Tom blokuje wyjście. Nie zamierzam czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Chwytam puszkę fasoli, która wcześniej spadła na blat, i z całej siły uderzam go w głowę.

Tom patrzy mi w oczy. Nie rusza się. Z jego nosa płynie strużka śliny. Podnosi palce do ust, macza je we krwi, po czym ogląda. Wciąż zagradza mi drogę. Nie wiem, kto jest panem tej sytuacji. Wtedy nagle Tom pada na ziemię, a ja krzyczę z przerażenia. Potem zapada cisza.

Dobry Boże, chyba go zabiłam!

Chcę jak najszybciej stąd uciec, ale moje ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Nie wiem, co dosypał mi do wina, ale czuję, że zaczyna działać. Podnoszę kubek bez uszka i jeszcze raz napełniam go wodą z solą. Zmuszam się do wypicia, chociaż nie jest łatwo. Woda jest ohydna w smaku i mam ochotę ją wypluć, całe moje ciało się buntuje, ale udaje mi się. Skręca mnie w żołądku i wymiotuję. Zlew wypełnia czerwona ciecz, która wygląda jak krew, chociaż to tylko wino. Powtarzam proces. Żołądek piecze mnie od wody z solą. Wymiotuję drugi raz.

Kiedy dziewczynki były małe, ktoś mi powiedział, że jeśli przypadkiem napiją się wybielacza albo innych chemikaliów, trzeba im podać mleko, które powstrzyma proces przedostawania się trucizny do krwioobiegu. Nie wiem, czy to podobna sytuacja, ale otwieram lodówkę i wydaję plastikową butelkę z mlekiem, która stoi na drzwiczkach. Wmuszam w siebie mleko, uważając, żeby znowu nie wymiotować.

Ruszam do wyjścia. Kiedy jestem nad Tomem, słyszę jego pojękiwania. Wyciąga rękę. Krzyczę ze strachu, kiedy koniuszkami palców muska moją kostkę. Wybiegam na korytarz. Spoglądam w głąb mieszkania. Tom już klęczy. Podnosi wzrok i nasze spojrzenia spotykają się. Zastygam. Nie mogę myśleć. Nie mogę się ruszyć.

Tom potrząsa głową jak piesek, który w zębach trzyma zabawkę. Podpiera się o stołek barowy i wstaje. Pociera dłonią obolałą głowę.

- To nie było miłe - mówi.

Dźwięk jego głosu wyrywa mnie z transu. Odzywa się instynkt samozachowawczy. W mgnieniu oka ruszam korytarzem przez salon i wybiegam z mieszkania. Wciskam przycisk przywołujący windę. Jest dopiero na parterze.

- Clare! Poczekaj! - krzyczy Tom. Jest już na korytarzu. Trzyma się za głowę, stoi w drzwiach mieszkania. - Nie uciekaj. Musimy porozmawiać. Możemy się jakoś dogadać.

- Nie, Tom. Już za późno. - Jestem zbyt przerażona, żeby się rozpląkać, chociaż pęka mi serce. Odwracam się i z całej siły popycham drzwi prowadzące na klatkę schodową. Siłą rozpędu wypadam na wąskie metalowe schody przeciwpożarowe na zewnątrz budynku. Wpadam prosto na barierkę, zarzuca mną do przodu. Krzyczę. Przez chwilę myślę, że wypadnę na dół, ale łapię barierkę zdrową ręką i udaje mi się odzyskać równowagę.

Wije silny wiatr, deszcz zacina mi prosto w twarz. Moja dłoń ślizga się na mokrej poręczy, ale kiedy zbiegam ze schodów, świeże powietrze mnie ocuca. Czuję pracę mięśni nóg, kiedy próbuję zyskać przewagę nad Tomem. Jestem na wysokości drugiego piętra, kiedy na górze otwierają się drzwi. Słyszę, że woła moje imię, ale słowa giną na wietrze. Cała konstrukcja zaczyna wibrować, kiedy wbiega za mną na schodki. Słyszę dudnienie jego ciężkich kroków.

Dobiegam do ścieżki i przez chwilę zastanawiam się, co dalej. Jestem w alejce na tyłach posesji. Straciłam orientację w terenie. Z lewej strony

widzę jedynie ciemność, z prawej wołają mnie światła ulicy. Biegnę tam, trzymając złamaną rękę przy ciele, żeby nią za bardzo nie trząść. Ból rozchodzi się na całą rękę, ale staram się go ignorować. Teraz liczy się tylko ucieczka.

Kiedy wybiegam na ulicę, nie tracę czasu na oglądanie się za siebie. Na drodze nie ma samochodów, wszyscy siedzą w domach, gdzie jest ciepło i bezpiecznie. Wiem, że nie uda mi się uciec przed Tomem, który regularnie chodzi na fitness. Bieganie to jego specjalność. Muszę się przed nim schować. Biegnę dalej, zatrzymuję się tylko na chwilę, żeby spojrzeć wstecz, i dostrzegam zarys jego postaci. Goni mnie.

W oddali widzę plażę. Ruszam w jej stronę. Włosy opadają mi na twarz, dawno zgubiłam już gumkę do włosów. Siła wiatru prawie zwała mnie z nóg. Biegnę po mokrej nawierzchni. Tracę równowagę i prawie wpadam do rowu, kiedy słyszę klakson przejeżdżającego samochodu.

- Stój! Stój! - Desperacko macham ręką, ale samochód jedzie dalej. Czerwone światła szybko znikają z mojego pola widzenia.

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Wyrrywam się. Czuję tak silny ból, że zaczynam krzyczeć. Rzucam się pędem przed siebie, nie patrząc, czy ktoś nadjeżdża. Słyszę kolejny klakson i pisk opon, ale udaje mi się przebiec przez ulicę. Biegnę w stronę deptaku.

W oddali widzę oświetlone moło. Jeśli uda mi się do niego dobiec, na pewno ktoś mi pomoże. Nie przestaję biec, podtrzymując złamaną rękę, ale czuję, że stopniowo zwalniam. Jestem coraz bardziej zmęczona. Moło staje się coraz większe i jaśniejsze. To mój ostatni bastion nadziei. Udaje mi się. Wbiegam przez bramę na drewniany podest.

Moło świeci pustkami. Nie wiem, która jest godzina, ale jest ciemno i większość atrakcji już zamknięto. Wesole miasteczko na końcu musi być jednak otwarte, bo widzę światła i słyszę muzykę.

Jestem w połowie drogi, kiedy słyszę zbliżający się tupot. Odwracam się. Tom jest już kilka metrów za mną, na jego twarzy maluje się determinacja. Rozglądam się wokół, ale nikogo tu nie ma. Wołam o pomoc, chociaż wiem już, że nie uda mi się uciec. Wtedy Tom łapie mnie za ramię. Krzyczę z bólu, a on popycha mnie w stronę malowanej na biało balustrady.

- Puść mnie! - Próbuję mu się wyrwać, ale jest silniejszy. - Boże, Tom, przestań! Proszę... - zaczynam błagać. Chcę tylko, żeby ten koszmar się skończył. Powoli tracę siły.

Tom mnie puszcza.

- Po co zaczęłaś węszyć? Nie chcę cię krzywdzić, Clare. Jeszcze możemy się dogadać.

- Skoro chodziło ci tylko o pieniądze, dlaczego mnie nie poprosiłeś? Mogłabym ci pomóc.

- I byłby to naprawdę uroczy gest! Nie dość, że hojna pani Tennison daje mężowi tygodniówkę, to jeszcze utrzymuje byłego chłopaka - odburkuje. - A jednak mam jakieś resztki godności.

Jego wahania nastroju są przerażające.

- I dlatego uknułiście z Martha plan, żeby ogołocić mnie z funduszu?
- Brawo, świetnie ci idzie. Pewnie dlatego jesteś taką dobrą prawniczką. - Podchodzi bliżej.
- Skąd wiedziałeś, że Martha podszywa się pod Alice?
- Dowiedziałem się na przyjęciu. Łazienka na dole była zajęta, więc poszedłem na górę. Drzwi do jej sypialni były otwarte. Klęczała, szukając czegoś na podłodze. Myślałem, że zgubiła kolczyk. Chciałem jej pomóc, ale warknęła na mnie, żebym wyszedł. Nie patrzyła na mnie, co wzbudziło moje podejrzenia. Rozejrzałem się po pokoju i wtedy zobaczyłem opakowanie szkieł kontaktowych. Popełniła błąd. Podniosła wzrok i spojrzała na pudełko, a potem na mnie, i od razu wiedziałem, co jest grane.
- Oczywiście...
- Tak, a konkretnie jedno z nich. Zgubiła soczewkę i próbowała ją znaleźć. Kiedy na mnie spojrzała, jedno oko było niebieskie, a drugie zielone. Przegrała.
- O tym rozmawialiście później w ogrodzie?
- Tak. Musiałem nad nią trochę popracować, ale tak naprawdę nie miała wyboru. Jak myślisz - dodaje z krzywym uśmiechem - co wydarzyło się później?
- Mówi z takim wyrazem twarzy, jaki ma zawsze, kiedy wydaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy. Chryste, on się świetnie bawi!
- Nie wiem. Nie jestem tak mądra jak ty - mówię, dając mu do zrozumienia, że ma wymarzoną przewagę.
- Tom wzdycha i patrzy na ciemne niebo z wymalowaną na twarzy udawaną rozpaczą.
- Były sprawy, za które musiałem się odpłacić. Nie chodziło tylko o pieniądze. Musiałem ci się odwdzińczyć. Pięknym za nadobne.
- Mnie?
- Za nasze lata na Oksfordzie. Za to, że wybrałaś Luke'a. Że wolałaś z nim wieść takie życie, jakiego ja chciałem dla nas.
- Nie miałam pojęcia, że tak się czułeś. - Naprawdę zdumiewają mnie jego słowa i to, co przeżywał.
- Oczywiście, że nie miałaś, i nawet nigdy mnie o to nie spytałaś, do cholery! Próbowałem ci o tym powiedzieć, ale zawsze mnie odrzucałaś, sprawiałaś, że czułem się tyle wart. - Demonstracyjnie podnosi dłoń, trzymając kciuk i palec wskazujący kilka milimetrów od siebie. - I nawet dziś, kiedy nie masz się do kogo zwrócić, odwracasz się do mnie plecami. - Kładzie rękę na balustradzie i spogląda na wodę, po czym dodaje: - Przecież to mógł być Leonard. Mógł fałszować księgi i sprzeniewierzać twój fundusz na własne potrzeby.
- Ale to nie był on, prawda? - Czuję się jak idiotka. Jak mogłam uwierzyć w bajki, których naopowiadał mi Tom?! - Te dokumenty to jedna wielka bujda. Sfabrykowałeś je. Wiedziałaś, że na pierwszy rzut oka i tak nic z nich nie zrozumieć. Wiedziałaś, że będę musiała ci zaufać.
- Będę z tobą szczery, Clare. Ty i pieniądze to były dwie zupełnie

niepowiązane ze sobą sprawy. Jakoś tak wyszło, że ostatecznie wszystko się ze sobą splotło.

- I naprawdę myślisz, że po tym wszystkim chcę mieć z tobą cokolwiek wspólnego? Poza tym nie ujdzie ci to na sucho.

- Postaram się. Jak już mówiłem, wszystkim się zająłem. - Odpycha się od barierki i podchodzi bliżej.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Przecież możemy być razem. Wiesz o tym, prawda?

- Po moim trupie.

- Oj, nie powinnaś wypowiadać takich słów.

Odsuwam się, żeby pokazać, że się go nie boję, ale łapie mnie za złamaną rękę i piszczę z bólu.

- Krzywdzisz mnie!

- Ty mnie o wiele bardziej. - Puszczą moją rękę. - Po co w ogóle jesteś z tym Lukiem? To zwykły darmozjad. Wyciąga od ciebie pieniądze, żeby malować te swoje pieprzone obrazy. Co to ma niby być za praca? Zaslugujesz na kogoś lepszego. Poza tym nie jest godny zaufania. Pokazałem ci przecież jego zdjęcie z Marthą. Co jeszcze powinienem zrobić?

- Nie wiem. Kocham go. A ciebie nie kocham. - Taka jest prawda. Wszystko, co wydarzyło się między Lukiem i Marthą, jest niczym w porównaniu z oszustwami Toma. Kocham męża i wierzę, że uda nam się uratować nasz związek. Nie zostawię mojej rodziny, nie poddam się bez walki.

- Jak możesz tak mówić? W ciągu kilku ostatnich tygodni traktował cię jak śmiecia.

- Jest moim mężem i ojcem moich dzieci. Kocham go.

Odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem, który odbija się echem na wietrze. Kiedy przestaje się śmiać, spogląda na mnie i mówi z uśmiechem, który nie ma w sobie ani odrobiny ciepła:

- Jest ojcem twoich dzieci. I to wszystko załatwia, tak?

- Tak, prawdę mówiąc, tak.

- Droga Clare, wygląda na to, że będę musiał w takim razie przejść do planu B. - Odchyła głowę w bok i patrzy na mnie z litością. - Pamiętasz ten dzień, niedługo po tym, jak skończyliśmy studia? Przyszedłem cię odwiedzić. Twoja mama powiedziała mi, że jesteś smutna, bo znów nie udało ci się odszukać Alice.

Sięgam pamięcią wstecz, ale niewiele sobie przypominam.

- Jak przez mgłę.

- Poszliśmy na drinka do Crow's Nest.

Teraz pamiętam. Wypiłam wtedy za dużo i odchorowywałam to przez kilka dni. Musiałam zatruć się alkoholem. Mama była wściekła, że doprowadziłam się do takiego stanu. W tym samym tygodniu były urodziny Nadine. Poszliśmy z przyjaciółmi do pubu, a ja wciąż miałam kaca. Tamtej nocy wpadłam na Luke'a. Nie widzieliśmy się kilka lat. Nie piłam tego wieczoru, a Luke przyjechał samochodem. Miał wszystkich rozwozić. Przegadaliśmy ze

sobą cały wieczór, narzekając na to, że jako jedyni jesteście trzeźwi.

- Tak, pamiętam - mówię do Toma.

- A pamiętasz ten sen, z którego się razem śmialiśmy? Przyśniło ci się, że wzięłaś udział w rozbieranej sesji dla *Playboya*.

Świat wokół mnie staje w miejscu. Światła gasną, muzyka z wesołego miasteczka cichnie.

- Pamiętam.

Tom wyjmuję z kieszeni telefon i klika w ekran. Pojawia się zdjęcie. Podaje mi aparat, żebym mogła je obejrzeć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przerażona tym, co widzę na ekranie, próbuję wyrwać Tomowi telefon, ale błyskawicznie cofa rękę. W oddali dostrzegam biegnącą ku nam postać. Nie widzę wyraźnie kto to, ale wygląda znajomo. To chyba Leonard. Nie może zobaczyć tego zdjęcia.

Tom widzi, że na coś patrzę, i odwraca wzrok. Korzystam z chwili jego nieuwagi, w ułamku sekundy podchodzę bliżej i kopię go w krocze. Krzyczy z bólu i zwija się w pół, łapiąc za obolałe miejsce. Wyrrywam mu telefon, po czym odchodzę na bok i chowam go do kieszeni spodni.

Wiedząc, ile ma do stracenia, Tom nie poddaje się. Rzuca się na mnie i przyszpila mnie do metalowej barierki. Opiera się o mnie całym ciężarem, a ja nie mogę złapać tchu. Próbuję podnieść kolano i jeszcze raz go kopnąć, ale napiera coraz mocniej, a ja tracę grunt pod nogami.

Tom krzyczy, żebym oddała mu telefon. Jedną ręką trzyma mnie za ramię, a drugą próbuje wygrzebać aparat z mojej kieszeni. Kiedy przechyla się lekko w prawo, próbuję wymknąć się z lewej strony, ale natychmiast przyszpila mnie z powrotem do barierki. Odchylam się jeszcze bardziej do tyłu. Słyszę tupot kroków Leonarda i jego krzyki. Deszcz zacina mi prosto w twarz. Tracę równowagę. Przez chwilę widzę nad sobą tylko czarne niebo.

Tom wciąż próbuje wyrwać mi telefon, kiedy wypadamy przez balustradę. Widzę pod sobą czarną jak otchłań wodę i rozbijające się na niej białe wstążki fal. Mam wrażenie, że lecę w dół całą wieczność. W pewnym momencie tracę kontakt z Tomem, mój nadgarstek musiał wyślizgnąć mu się z dłoni.

Na początku wydaje mi się, że spadam na brzeg, bo siła uderzenia jest tak mocna. Ale po chwili czuję, że lecę dalej, tym razem o wiele wolniej, a do nosa i ust wlewa się woda. Zamykam usta. Nie dochodzą do mnie żadne dźwięki z zewnętrznego świata. Jest przypyływ, woda jest o wiele głębsza niż zwykle. Panują tu cisza i spokój, przez chwilę myślę, że mogłabym zostać tu na zawsze z dala od tego szaleństwa na górze. Tutaj, na dole, nikt nie zrobi mi krzywdy.

Nagle myślę o Luke'u i dziewczynkach. Muszę przetrwać. Nie mogę poddać się prądowi kanału La Manche. Zaczynam desperacko wymachiwać nogami i zdrową ręką, ale gips wszystko utrudnia. Gdzie jest góra? Otwieram oczy i jestem zaskoczona tym, jak wiele widzę. Pod wodą jest o wiele jaśniej, niż myślałam. Instynkt podpowiada mi, żeby spojrzeć w górę. Widzę tam jasne światła wesołego miasteczka na molo. Wyglądają jak lampki na choince.

Prę do góry. Pieką mnie płuca i chcę wziąć oddech, ale wiem, że nie mogę. Nie tutaj, nie w wodzie. Jeszcze tylko kilka metrów. Chęć zaczerpnięcia

powietrza jest coraz silniejsza. Moje płuca płoną. Już prawie jestem.

Udaje mi się wydobyć na powierzchnię. Biorę desperacki, głęboki oddech, ale nadchodzi fala i znów jestem pod wodą. Kolejny raz próbuję się wydostać. Tym razem jestem mądrzejsza i po zaczerpnięciu powietrza wstrzymuję oddech. Słyszę krzyki i plusk. Patrzę na grzbiet nadchodzącej fali. Coś unosi się na powierzchni. To koło ratunkowe. Niezdarnie płynę w jego stronę, pracując prawą ręką. Lewą obciąża nasiąknięty wodą gips. Porywa mnie kolejna fala, ale na szczęście popycha w stronę koła. Udaje mi się złapać linę. Przyciągam je do siebie, ale powoli tracę oddech. Ciężko dysząc, próbuję się uspokoić, dotlenić płuca. Nie jestem w stanie przełożyć koła przez głowę, przeszkadza mi coraz cięższy gips. Kurczowo chwytam się koła. Czuję, że prąd popycha mnie w kierunku brzegu. Jeśli nie puszcze koła, ktoś mnie uratuje, muszę się tylko mocno trzymać. To jeszcze tylko chwila.

Moje powieki stają się coraz cięższe. Jestem coraz bardziej zmęczona i czuję, że rozluźniam uścisk. Nie mam już siły. Robi mi się zimno. Otchłań wody wydaje się coraz bardziej kusząca. Mogłabym się jej poddać, w dole jest tak cicho i spokojnie...

Przypominam sobie o wszystkich powodach, dla których nie powinnam umierać, i zaczynam walkę od nowa.

Z każdą kolejną falą jestem coraz bliżej brzegu. Widzę postaci wbiegające do wody. Słyszę pluski, kiedy biegną, by mnie uratować. Próbuję dosięgnąć stopą dna. Udaje mi się. Jestem bezpieczna. Nie umrę.

Ktoś chwytą mnie i ciągnie w stronę plaży. Na bulwarze widzę pulsujące niebieskie światła. Dwóch policjantów wyciąga mnie na brzeg. Jeden mówi coś przez radio, wzywa posiłki i karetkę. Drugi sadza mnie na piasku, podnosi kurtkę, którą musiał z siebie zrzucić, zanim wszedł do wody, i okrywa mnie.

- Wszystko w porządku, dziecino? Co się stało? - pyta, a ja spoglądam na molo. Moje ciało drży przeraźliwie z zimna i szoku. - Przyszłaś na plażę? Czy był ktoś z tobą?

Czy był ktoś ze mną?! Nerwowo patrzę na morze i rozbijające się o brzeg fale. Kiedy odwracam wzrok, dostrzegam biegnącego po plaży Leonarda.

- Clare! Jezu Chryste! Nic ci nie jest?

- Zna pan tę kobietę?

- Tak. - Leonard klęka przy mnie i mnie przytula. - To moja córka.

Patrzę na niego, ale nic nie mówię. Dlaczego nazwał mnie swoją córką? Później o tym pomyślę...

- Czy był pan z nią, kiedy wpadła do wody? Czy ktoś jeszcze wpadł? - pyta policjant.

- Byłem na molo, ale stałem daleko. Nie widziałem, co się stało. W jednej minucie stała na deptaku, a po chwili jej nie było. To ja rzuciłem koło ratunkowe.

- Jak się pani nazywa? - pyta policjant.

- Posłuchaj mnie, Clare. To bardzo ważne. Czy ktoś jeszcze był tam z tobą? Czy ktoś inny wpadł do wody?

Patrę to na policjanta, to na Leonarda. Tom nie umie pływać. Powinam im powiedzieć, że tam jest. Że tonie. Jeśli im powiem i go uratują, może zniszczyć mi życie. Jeśli im nie powiem, wszystkie moje sekrety pójdą razem z nim na dno. Ale czy mogłabym to zrobić? Pozwolić człowiekowi utonąć?

- Była sama - wyprzedza mnie Leonard.

- Jest pan pewien?

- Tak, jak najbardziej.

- Nie! - krzyczę resztkami sił. - Nie byłam sama. Tom jest w wodzie. On nie umie pływać.

- Mówił pan, że była sama. - Policjant wygląda na zdziwionego. Ma do tego prawo.

- Nie widziałem nikogo więcej - prostuje Leonard.

Policjant woła kolegę i obaj ponownie wchodzą do wody, oświetlając latarkami fale. Jeden z nich mówi coś przez radio, ale nie rozumiem słów.

- Tom nie umie pływać - powtarzam, obserwując policjantów.

- Może to i lepiej - cicho komentuje Leonard.

Rano dowiaduję się, że ciało Toma zostało wyłowione o świcie. Warunki pogodowe w nocy były zbyt trudne, żeby przeprowadzić akcję ratunkową. Prawdopodobnie utonął kilka minut po tym, jak wpadł do wody.

Płacę. Tom był moim wieloletnim przyjacielem. Opłakuję wszystkie spędzone wspólnie lata i miłe chwile. Razem przebrnęliśmy przez studia, razem pracowaliśmy. Był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Nie płacę za Tomem, który mnie okłamywał, ani tym, który podkradał moje pieniądze, próbując obwiniać za to Leonarda.

- Od dłuższego czasu wzbudzał moje podejrzenia. - Leonard siada przy moim szpitalnym łóżku. Przydzielono mi ten sam pokój co wcześniej. Luke jest w drodze, wraca z dziewczynkami od rodziców. Poprosiłam go, żeby nie przywoził naszych dzieci do szpitala.

- Więc dlaczego nic z tym nie zrobiłeś? To nie musiało się tak skończyć.

- Nie miałem dowodów. Nie mogłem nic zrobić. Wiesz, że Tom jest magikiem, jeśli chodzi o komputery. Poustawiał wszystko tak, żeby wyglądało, jakbym to ja był winny. Tyle dla niego zrobiłem. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak mi się odwdzięczy.

- Widocznie miał swoje powody.

- Wiesz, co miał? Na koncie długi hazardowe i problemy porozwodowe. Brakowało mu pieniędzy na codzienne życie. Klasyczny przypadek.

- Żałuję, że mi o tym nie powiedział, przecież bym mu pomogła. Dałabym mu te cholerne pieniądze, nie musiał ich kraść.

- Tom zawsze myślał, że pozjadał wszystkie rozumy.

- Potrzebował pomocy. Nie tylko finansowej.

- Clare, chciałbym cię o coś spytać...

Domyślam się, o co mu chodzi. Jestem Leonardowi winna prawdę, ale chcę też pozostać lojalna wobec Luke'a. Nikt nie musi wiedzieć o tym, co stało się wczoraj na molo.

- Luke zaraz tu będzie - zmieniam temat. - Zostawił pielęgniarkę wiadomość, że podrzuci dziewczynki do Pippy i przyjedzie do mnie. Nie chcę, żeby dziewczynki widziały mnie w szpitalu. Wolę, żebyśmy spotkały się wieczorem w domu. O ile mnie stąd wypuszczą. A co z mamą? Może powinieneś sprawdzić, co u niej?

- Jest u niej koleżanka. Wcześniej obejrzał ją lekarz i podał środki uspokajające.

- Powinam być przy niej. Gdyby nie to, że mam składać zeznania, pojechałabym prosto do niej. Ale nie chcę więcej policji w domu. Nie po tym wszystkim. Nie wiem, jak mama by to zniosła.

- Na pewno nie chcesz, żebym był obok, kiedy będą cię przesłuchiwać? Będą zadawać mnóstwo pytań.

- Przecież wiesz, że sobie poradzę. Poza tym nie ze mną powinni rozmawiać, ale z Marthą. Nie wiesz, czy zaczęła już mówić?

- Nie. - Leonard kiwa przecząco głową. - Milczy jak zakłeta. Nawet kiedy powiedziałem jej o śmierci Toma, nie odezwała się słowem. Odwróciła się i wlepiła wzrok w ścianę.

- Co się z nią będzie?

- Będzie sądzona w Ameryce. Poza tym, że wjechała do Anglii na fałszywych dokumentach, nie popełniła tu żadnej zbrodni. Najpewniej zostanie deportowana do Stanów, gdzie aresztują ją za morderstwo i wytoczą proces. Nagranie, które znalazłaś w mieszkaniu Toma, posłuży jako główny dowód.

- Na Florydzie ciągle jeszcze mają karę śmierci - mówię, skubiąc gips.

- Jeśli postara się o dobrego adwokata, pewnie dostanie wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie sądzę, żeby skazali ją na śmierć.

- Niezależnie od tego, co zrobiła, nie życzę jej tego. Chcę tylko, żeby odnaleziono ciało Alice. - Zaczynam płakać. Pierwszy raz ogarnia mnie obezwładniające poczucie straty.

Leonard obejmuje mnie, a ja wypłakuję mu się w ramię. Jestem pewna, że ten drobny gest to początek czegoś nowego między nami, ale nie jestem jeszcze w stanie myśleć o przyszłości. Najpierw musimy zrobić porządek z przeszłością.

Mija może dwadzieścia minut od wyjścia Leonarda, kiedy do pokoju wchodzi Luke z policjantami.

- Cześć. Spotkałem ich na korytarzu. Przepraszam, że zamiast bukietu kwiatów, który mężowie powinni przynosić żonom, mam tylko taki prezent.

Moje serce wypełnia radość. Czuję, że nam się ułoży. Uśmiecham się do niego.

- Nie szkodzi. Wybaczam.

Luke też się uśmiecha, całuje mnie w czoło i siada na brzegu łóżka. Bierze mnie za rękę i zwraca się do policjantki:

- O czym chcieliście państwo porozmawiać z moją żoną?

- O kilku sprawach. Przede wszystkim pani Pippa Stent wycofała zarzuty

w sprawie zniszczenia mienia.

- To dobrze. Dziękuję.

- Nie udało nam się zidentyfikować sprawcy na podstawie nagrania z kamer. Osoba, która wynosiła puszkę farby z garażu, miała na sobie czapkę baseballową i pani Stent była przekonana, że to nie pani. Powiedziała, że podejrzewa panią... to znaczy pannę Munroe. Ale biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, nie będziemy dalej prowadzić tej sprawy.

- Pippa nie ma żalu - powiedział Luke. - Rozmawiałem z nią dzisiaj. Powiedziała, że zadzwoni za kilka dni, żeby się z tobą spotkać.

- Potrzebujemy informacji na temat wypadku, który miał miejsce na pani posesji, ale ponieważ jest on powiązany z nowym śledztwem, odezwą się do pani w tej sprawie moi koledzy z CID^[4].

- Czy to wszystko?

- Tak. Będziemy w kontakcie. Prosimy jednak, żeby w najbliższym czasie nie opuszczała pani terytorium kraju. Koledzy z CID będą wdzięczni.

- Rozumiem.

- Dziękuję. W takim razie żegnamy się. - Evans i Doyle wychodzą.

Zostajemy sami z Lukiem.

- Tak się cieszę, że cię widzę - wyrzucam z siebie radośnie. Jego obecność przynosi mi ulgę.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Leonard wszystko mi opowiedział. Przepraszam, że nie wierzyłem w to, co mówiłaś o Alice. To znaczy o Marcie.

- Jak mama to przyjęła? Czuję, że Leonard nie powiedział mi prawdy.

- Więc ja będę z tobą szczerą. Nie przyjęła tego najlepiej.

- Muszę się z nią zobaczyć. I z dziewczynkami. Jak się czują?

- Zostaną dzisiaj u Pippy. Wiem, że bardzo chcesz je zobaczyć, ale biorąc pod uwagę stan mamy, myślę, że nie powinny na razie wracać do domu.

- Dobrze. - Muszę to zaakceptować. - Ale jutro muszę je zobaczyć, i to niezależnie od wszystkiego. - Spoglądam na nasze splecione dłonie. - Luke, jest coś, o co muszę cię spytać.

- Hm... - Wzdycha ciężko. - Zabrzmiało złowieszczo.

- Wierzę, że nie spałeś z Marthą, i przepraszam, że cię o to oskarżyłam.

- Ale...? Bo czuję, że jest jakieś „ale”.

- Tom pokazał mi zdjęcie, na którym jesteście we dwójkę. Na plaży. Obejmujecie się. Całujecie.

Luke patrzy na mnie zdezorientowany, po czym oznajmia stanowczo:

- Przysięgam, Clare, że nigdy nie całowałem się z Marthą. Nigdy. Nie mam pojęcia, skąd Tom mógł wziąć takie zdjęcie.

- W porządku, wierzę ci. Chciałam się tylko upewnić.

- A gdzie widziałaś to zdjęcie? Prawdę mówiąc, sam chętnie bym je zobaczył.

- Jest na laptopie Toma. To pewnie Photoshop. Ale chciałam to usłyszeć od ciebie.

- Photoshop? Tom faktycznie lubił bawić się zdjęciami na komputerze, więc wcale by mnie to nie zdziwiło. Po co w ogóle pokazywał ci to zdjęcie?

- Chciał nam narobić jeszcze więcej problemów. Zapomnij o tym. Już nie może nas skrzywdzić. - Nie jestem pewna, czy bardziej próbuję przekonać siebie, czy jego. Całuję Luke'a, a on odwzajemnia pocałunek. Zatapiam się w chwilowej rozkoszy. Już dawno nie całowaliśmy się w ten sposób.

- Pani Tennison, musimy panią stąd jak najszybciej wydostać - rzuca z wieloznacznym uśmiechem.

Boże, tęskniłam za nim. Tak się cieszę, że wrócił.

Przyniósł mi czyste ubrania i pomaga je włożyć. Później czekamy na wypis. Mam wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale w końcu się udaje.

Jednak mam jeszcze coś tutaj do załatwienia:

- Zanim pójdziemy, chciałabym zobaczyć się z Martha.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może powinnaś odczekać, aż emocje trochę opadną?

- Nie, muszę zobaczyć się z nią teraz. Chcę wiedzieć, gdzie dokładnie zakopała ciało Alice. - Ostatnie słowa z trudem przechodzą mi przez gardło, ale kiedyś wreszcie oswoję się z tą bolesną prawdą. - Muszę mieć pewność, że zostanie odnalezione najszybciej, jak to możliwe.

- Policja się tym zajmie. Nie musisz... - Luke głaszcze mnie po głowie.

Biorę go za rękę i uśmiecham się. To miłe, że się o mnie troszczy.

- Wiem, ale potrzebuję czegoś, na czym mogłabym się skupić. Czegoś pozytywnego. Boję się, że jeśli nie będę mieć pewności, że ją odnajdą, załamie się.

Wsiadamy do windy i jedziemy na oddział, na który Martha została przeniesiona z intensywnej terapii. Kiedy wchodzimy na korytarz, w którym znajduje się jej sala, zaczynam odczuwać niepokój. Do pokoju po lewej wbiega pielęgniarka. Drzwi zamykają się za nią z hukiem. Ze środka dobiegają zdecydowane, nagłaćce komendy. Kolejna pielęgniarka wybiega i chwytą stojącą w korytarzu maszynę, która wygląda na defibrylator.

Podchodzimy do recepcji. Na tablicy z tyłu wisi lista pacjentów z numerami pokoi. Przeglądam ją, szukając nazwiska.

Kendrick, Alice - pokój nr 3

Patrząc na numery pokoi. Zdenerwowana ruszam przed siebie, a Luke łapie mnie za rękę. To z pokoju numer trzy dobiegały te odgłosy.

Wyrywam się Luke'owi i wbiegam do środka. Pielęgniarka wykonuje resuscytację. Martha leży na ziemi. Obok niej białe prześcieradło przerobione na stryczek.

- Martha! - krzyczę.

Pielęgniarka odwraca się i popycha mnie w ramiona Luke'a.

- Nie możecie tu wchodzić! Natychmiast wyjdźcie! - Zamyka za sobą drzwi.

Kolana się pode mną uginają, ale Luke'owi udaje się mnie złapać. Przy dyżurce jest kilka krzeseł. Luke prowadzi mnie tam i siadamy.

- Próbowała się powiesić - mówię zrezygnowana. - Dlaczego?

Wiedziałam, że jest zdolna do wielu rzeczy, ale nie podejrzewałam jej o próbę samobójczą. Myślałam, że Martha jest jedną z tych osób, które za wszelką cenę, nawet kosztem innych i bez wyrzutów sumienia, potrafią o siebie zadbać. Cóż, myliłam się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Odnalezienie ciała Alice zajęło amerykańskim władzom prawie tydzień. Do tego kolejne cztery dni na potwierdzenie tożsamości testami DNA. Płytki dół, który policjant nazwał grobem, znajdował się w gęstym lesie kilka metrów od szlaku turystycznego. Piechurzy i turyści przechodzili ledwie rzut kamieniem od tego miejsca, ale nikt nic nie zauważył. Sama odczuwam wyrzuty sumienia, że byłam tak blisko, a jej nie odnalazłam.

Jesteśmy na Florydzie z Lukiem, mamą i Leonardem, żeby Alice wyprawić pogrzeb.

Myśleliśmy o tym, żeby sprowadzić ciało do Anglii, ale w końcu uznaliśmy, że Ameryka to jej dom, a Patrick Kennedy był jej ojcem i powinna zostać pochowana obok niego. Niezależnie od tego, że ktoś może nas wziąć za nieczułych.

Leonard i mama wreszcie są razem. Nie wiem, czemu nigdy wcześniej nie powiedzieli mi o tym, co ich łączy. Przecież nie miałabym nic przeciwko temu.

Powoli oswajam się z faktem, że Leonard jest moim ojcem. Kiedy długo o tym myślę, wydaje mi się to absurdalne, ale staram się odpychać te myśli na bok i po prostu się nad tym nie zastanawiać. Nie jest to łatwe, bo nie mam w zwyczaju odpuszczać, ale staram się nauczyć nowego podejścia do życia. Trochę upodobnić się do Luke'a. Zrywanie ze starymi nawykami nie jest proste, ale zaczynam się temu poddawać. Ograniczyłam nawet pracę do trzech dni w tygodniu.

Leonard zatrudnił nową asystentkę. Zmieniliśmy nazwę na Carr & Tennison, Solicitors.

Luke też wprowadza zmiany w swoje życie. Z początkiem roku akademickiego zacznie wykładać na studiach wieczorowych. Oczywiście są to zajęcia ze sztuki. Powiedział, że chciałby więcej zarabiać, żeby mieć większy wkład finansowy w prowadzenie gospodarstwa domowego. Jestem zadowolona z nowego podziału ról. Dziewczynki, a w szczególności Hannah, tym bardziej. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie moja kolej, żeby zawieźć je do szkoły i przedszkola. Jestem pewna, że niedługo przestanie to dla nich być atrakcją, ale cieszę się tym, póki mogę. Umówiłam się nawet na kawę z jedną z mam, którą przedstawiła mi Pippa, a nasza przyjaźń wróciła na dawne tory. Teraz jeszcze bardziej doceniam jej towarzystwo.

Jak na Florydę jest wyjątkowo chłodny dzień. Patrzymy na trumnę, kiedy pastor odprawia ceremonię. Mama stoi obok mnie i pochlipuje cicho. Przykro mi, że nie potrafię ulżyć jej cierpieniu.

Roma i Nathaniel również przyszli złożyć kondolencje. Bałam się, że mama i Roma się nie polubią, ale moje obawy okazały się bezpodstawne.

Zjednoczyły się w żałobie po młodej dziewczynie, którą obie traktowały jak własną córkę. Wczoraj spotkały się, żeby porozmawiać o Alice. Roma opowiadała o niej mamie i chociaż wiem, że momentami było to dla Marion bolesne, zarazem przyniosło ukojenie. Dostała też trochę filmów rodzinnych i nowe zdjęcia. Teraz myślę, że Tom musiał wykraść fotografie z mojej torebki tuż po wypadku.

- Dziękuję, że przyszedłaś - mówię do Romy. - I dziękuję, że porozmawiałaś z mamą. To dla mnie wiele znaczy.

Roma przytula mnie i mówi:

- Przypominasz mi Alice nie tylko z wyglądu. Macie podobne charaktery. Alice byłaby dumna, że ma tak wspaniałą siostrę. Bardzo cię kochała.

Przełykam łzy, które nachodzą mi do oczu.

- Dziękuję. Ja też nigdy nie przestałam jej kochać.

Ruszamy z Lukiem do samochodu. Mama i Leonard idą za nami w swoim tempie.

- Wszystko w porządku? - Luke obejmuje mnie.

Opieram głowę na jego ramieniu.

- Tak. Będzie dobrze. - Wyglądam przez okno samochodu na grób Alice. Chciałabym, żeby to wszystko ułożyło się inaczej. Kiedy Alice do nas napisała, wątpiłam w swoją tęsknotę za siostrą. Wciąż nie wiem, czy wtedy za nią tęskniłam, ale jestem bardziej niż pewna, że tęsknię za nią teraz i będzie mi jej brakować do końca moich dni.

Drzwi samochodu otwierają się. Mama i Leonard wchodzą do środka. Luke prosi kierowcę, żeby odwiózł nas do hotelu.

- W końcu cię znalazłyśmy, droga Alice - mówi mama, patrząc na grób, kiedy samochód odjeżdża.

Jeszcze nigdy nie cieszyłam się na widok domu tak bardzo, jak dzisiaj. Udało mi się zdrzemnąć w samolocie, ale mama jest zmęczona i od razu znika w swoim pokoju.

- Pojadę do biura - mówi Leonard. - Zobaczymy się w weekend.

Podchodzę do niego i przytulam ze słowami:

- Dziękuję za wszystko. Za to, że zaopiekowałeś się mamą. To wiele dla mnie znaczy.

- Nie musisz mi za nic dziękować. Ja już tak mam. Opiekuję się ludźmi, łącznie z tobą - odpowiada wesoło.

- Dziękuję. - Uśmiecham się leciutko.

- Wiesz, że jutro jest pogrzeb Toma? - pyta Leonard.

- Tak, wiem, jednak nie pójdę. Niby chcę, ale czuję zarazem, że oplakuję śmierć osoby, którą znałam tylko połowicznie. Kiedy dodam do tego, kim był naprawdę, mam mętlik w głowie.

- Potrzebujesz czasu. Jeszcze sobie to wszystko poukładasz. Blizna pozostanie, ale nauczysz się z nią żyć.

Odprawiam Leonarda do samochodu. Idziemy, a ja trzymam go pod rękę.

- Wiem. Mam już kilka blizn. Ta będzie tylko kolejną do kolekcji - rzucam lekko, próbując rozluźnić atmosferę.

Kiedy zatrzymujemy się, Leonard mówi:

- Clare, chciałem cię o coś zapytać.

- Tak... - odpowiadam powoli. - Pytaj.

- Tamtej nocy, kiedy byłaś z Tomem na molo. Co on ci powiedział?

- Nic ważnego.

- Nie pokazywał ci żadnych zdjęć w telefonie?

- Nie.

Leonard przez chwilę świdruje mnie spojrzeniem, po czym stwierdza:

- Cóż, jeśli ktoś nawet znajdzie jego telefon, najpewniej i tak jest już kompletnie zniszczony przez sól morską.

- Pewnie tak.

Przez chwilę milczymy. Leonard wygląda, jakby wahał się, czy powiedzieć coś jeszcze, ale ogranicza się tylko do trzech słów:

- Czas na mnie.

- Do zobaczenia, Leonard.

Kiedy wyjeżdża przez bramę, wracam do domu i idę do swojej sypialni. Zamykam drzwi i wchodzę do garderoby. Wszystkie buty trzymam na półeczce starannie ułożone parami. W rogu szafy stoją czarne oficerki do kolan, które bardzo rzadko noszę, ale jakoś nie potrafię się z nimi pożegnać. Zanurzam rękę w jednym z nich i wydaję z niego czarnego smartfona. To telefon Toma. Schowałam go do kieszeni, zanim wpadłam do wody.

Pytanie Leonarda wytrąciło mnie z równowagi. Co, jeśli słona woda nie zniszczyła telefonu i moje zdjęcie wciąż na nim jest? Zabieram parę szpilek i telefon do łazienki. Wyjmuję kartę sim i nożyczkami do paznokci tnę ją na trzy małe kawałeczki. Zawijam je w chusteczki i spuszczam w toalecie. Potem chowam telefon w ręcznik, żeby stłumić hałas, i rozbijam go obcasem szpilki. Słyszę, jak pęka szybka. Powtarzam czynność kilka razy i odwijam ręcznik. Telefon jest pogruchotany na kawałeczki.

Zawijam to, co z niego zostało, w ręczniczek do rąk i wkładam do torby z rzeczami na siłownię, notując sobie w myślach, żeby w ciągu najbliższych kilku dni wyrzucić każdą z części do innego kosza na śmieci.

Schodzę na dół. Luke siedzi przy komputerze.

- Postanowiłem skorzystać z chwili spokoju, żeby sprawdzić mejle.

- Dobry pomysł. Ja nawet boję się pomyśleć, ile mejli dostałam. Przez cały wyjazd miałam wyłączony telefon. - Po tych słowach włączam aparat.

- Zaparzyć ci herbaty? - proponuje Luke. - Mój komputer strasznie wolno chodzi.

- Bardzo chętnie. Tęskniłam za dobrą brytyjską herbatą. - Klikam w pocztę. - Dostałam czterdzieści mejli. Większość z nich to pewnie spam.

Przeoglądam pocztę. W lawinie wiadomości o mały włos je przegapiam. Dwa mejle od Toma Eggara. Upuszczam telefon, jakby poparzył mnie w rękę.

- Cholera jasna!

- Wszystko w porządku?
- Nic się nie stało.

Podnoszę telefon z ziemi i czytam pierwszą wiadomość zatytułowaną „Plan B”.

Cześć, Clare.

Ustawiłem tę wiadomość, kiedy byłaś w Ameryce. Zaczęłaś węszyć wokół Marthy i wiedziałem, że w końcu odkryjesz, co knujemy. Jeśli to czytasz, to znaczy, że nie zgodziłaś się na mój Plan A, ja pewnie jestem w więzieniu (choć mam szczerą nadzieję, że jednak nie) albo zniknąłem z powierzchni ziemi i nikt nigdy nie znajdzie ani mnie, ani moich pieniędzy.

Po co do ciebie piszę? Realizuję swój Plan B aka ZEMSTA. Jeśli przyjąłabyś moją ofertę, nie dostałabyś tej wiadomości.

Niestety nie będę mógł czerpać satysfakcji z realizacji swojego planu, ale wyobraź sobie, że siedzę teraz na plaży, popijam zimne piwo i zastanawiam się, jak wytłumaczysz się z tego Luke’owi.

Miłego życia!

Tom

W pośpiechu otwieram kolejną wiadomość. Już sam jej tytuł sprawia, że robi mi się niedobrze:

Lepszy wróbel w garści

Zdjęcie, które Tom pokazał mi na molo, powoli się ładuje.

Leżę na dwuosobowym łóżku, jestem na wpół naga. Fotograf musiał stać przy moich nogach. Leżę na plecach, patrząc w aparat z półotwartymi oczami. Jedną ręką odgarniam włosy, drugą opieram na udzie. Zdjęcie zostało zrobione w nocy, kiedy poszliśmy z Tomem do Crow’s Nest.

Przez te wszystkie lata nie miałam pojęcia, że zrobiliśmy te zdjęcia. Zastanawiam się, czy byłam pod wpływem alkoholu, czy czegoś mocniejszego.

Czytam wiadomość.

W treści jest data. Tydzień później byliśmy z Lukiem w pubie. Podana data to noc, w którą wyszliśmy z Tomem do miasta. Przy niej napisał:

Kto jest ojcem?

Pod spodem imię „Hannah” i jej datę urodzenia. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, o co mu chodzi.

- To dziwne - mówi Luke, jakby czytał w moich myślach. - Dostałem mejla od Toma.

- Nie otwieraj go! - krzyczę i biegnę do kuchni. - To wirus! Skasuj go natychmiast. Zawirusuje ci cały komputer! - Odpycham Luke’a i zabieram mu myszkę.

- Dobrze, uspokój się, Clare. Skąd wiesz, że to wirus?

- A co by to miało być? - Kasuję mejla ze skrzynki odbiorczej i z kosza. - Ktoś musiał włamać się na jego konto. Przecież Tom nie żyje. Nie mógł ci wysłać mejla z grobu.

Luke parzy herbatę, a ja kasuję mejla ze swojego telefonu. Tom musiał jakoś ustawić pocztę, żeby mejl przyszedł z opóźnieniem. Jak newsletter czy

coś w tym stylu. Będę musiała przejrzeć wszystkie foldery na jego komputerze i zniszczyć dysk twardy, niezależnie od tego, czy przechowywał na nim jakieś dane, czy nie. Nie zamierzam ryzykować. Później zniszczę pendrive'y. Po tym, jak wyłowili mnie z morza, Leonard poszedł do mieszkania Toma i zabrał z niego pendrive'y i laptopa. Nie chciał, żeby policja dowiedziała się o oszustwie finansowym. Wolał, żeby jego śmierć została uznana za wypadek. Policja łyknęła tę wersję.

Siadam obok Luke'a i uśmiecham się. Nie chcę, żeby kiedykolwiek podważał swoje ojcostwo. Sama nie chcę wiedzieć, jak było naprawdę, i nie zamierzam przeprowadzać badania DNA. Co by to dało? Mój mąż jest ojcem Hannah. Nie ma znaczenia czy biologicznym, czy nie.

- Kocham cię - mówię.

- Ja ciebie też, kotku. - Daje mi całusa.

Wtulam się w niego i zamykam oczy, żeby zapomnieć o zdjęciu, które przed chwilą widziałam, i o wszystkim, co jest z nim związane.

Czasami najciemniej nie jest wcale w mroku bezgwiazdnej nocy, kiedy chmury przesłaniają blask księżyca. Czasami ciemniej jest pod naszymi powiekami, kiedy zamkniemy oczy i widzimy jedynie tańczące na nich iskierki. A najciemniej - kiedy oczy mamy szeroko otwarte i oglądamy drobinki kurzu oświetlone promieniami słońca.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, dziękuję całemu zespołowi z HarperImpulse, który ciężko pracował nad przygotowaniem tej książki do publikacji.

Dziękuję mojemu agentowi za wsparcie i dobre rady.

Wyrazy miłości i podziękowania dla mojej rodziny za to, że zawsze mi kibicuje!

NOTKA OD AUTORKI

Drogi czytelniku,

Dziękuję, że poświęciłeś swój czas na przeczytanie mojej książki. Mam nadzieję, że ci się podobała.

Zawsze fascynowała mnie dynamika relacji w rodzinie nie tylko ze względu na to, jak bardzo jest skomplikowana, ale też jaki wpływ mają poszczególne jednostki na dynamikę całej grupy. Pochodzę z rodziny, w której była czwórka dzieci. Sama również mam czwórkę i nieraz doświadczałam, jak wejście kogoś do pomieszczenia może wpłynąć na przebywające tam osoby. Mogą nas wychowywać ci sami rodzice, których cele wychowawcze nigdy się nie zmieniały, a jednak każdy z nas może mieć zupełnie inny charakter i na inny sposób pojmować, co jest dobre, a co złe. Może to przybrać formę niewidzialnej energii, która przepłynie przez pokój, zmieniając jego atmosferę czy to na lepsze, czy na gorsze.

Chciałam to zawrzeć w swojej opowieści o Clare i Alice i pokazać, jak pojawienie się Alice/Marthy wpłynęło na Clare i na to, jak odczuwa swoją pozycję w rodzinie, a także jak zmieniło jej stosunki z mężem i matką.

Clare i Marion były przekonane, że jeśli Alice wróci, wszystko ułoży się jak w bajce. Chciałam rozwinąć ten wątek. Szczególnie Clare miała problemy z dopasowaniem swoich oczekiwań do rzeczywistości i codzienności oraz z emocjami, które się w niej w związku z tym obudziły. Oczywiście miała powody, żeby czuć dysproporcję między oczekiwaniami a rzeczywistością, ale co by było, gdyby prawdziwa Alice faktycznie wróciła do domu? Czy byłaby w stanie pokochać ją tak, jak myślała? Za to Marion była zaślepiona na wszelkie problemy, bo czekała na powrót córki również dlatego, żeby ulżyć swojemu poczuciu winy spowodowanemu tym, że pozwoliła jej odejść.

Niektóre z tych pytań umieściłam w „Pytaniach do dyskusji”.

Przejdźmy do scenerii. Brighton jest mi bardzo bliskie. Panuje w nim wielka różnorodność, ma wielkomiejski charakter. Jest gwarny i nie bez powodu nazywa się go „nadmorskim Londynem”, mimo to udaje mu się zachować charakter brytyjskiego kurortu.

Brighton przyciąga turystów i kiedy zaczęłam pisać tę powieść, postanowiłam wykorzystać jako jeden z plenerów wieżę obserwacyjną The Brighton Eye. Kiedy książka była w fazie redakcji, The Brighton Eye zostało zdemontowane i zastąpione wieżą Brighton i360. Na szczęście obie atrakcje działały w ten sam sposób, więc nie wpłynęło to na rozwój fabuły.

Bardzo się cieszę, że mogłam umieścić akcję w Brighton, tak jak w kilku poprzednich książkach. Jestem pewna, że jeszcze tam wrócę w kolejnych publikacjach!

Jak już mówiłam, dziękuję za poświęcenie czasu na przeczytanie mojej

powieści. Jeżeli macie ochotę, nie wahajcie się i piszcie do mnie za pośrednictwem mojej strony internetowej czy mediów społecznościowych. Uwielbiam dostawać listy od czytelników. Jeśli podobała się wam moja powieść, napiszcie o waszych wrażeniach, choćby to miały być tylko dwa zdania. Wasze opinie są niezastąpione i bardzo cenne dla mnie.

A jeśli dostaliście tę książkę jako członkowie klubu książki, możecie podyskutować, odpowiadając na pytania, które znajdziecie niżej.

Jeszcze raz dziękuję!

Sue

KLUB KSIĄŻKI: PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Dlaczego Marion za wszelką cenę chciała zaakceptować Alice? Jakie uczucia i myśli wpływały na jej decyzję?
2. Czy więź pomiędzy matką a córką lub dwiema siostrami mogą być na tyle silne, żeby przetrwać dwudziestoletnią rozłąkę?
3. Jak byście się zachowali, gdyby w waszym życiu pojawił się ktoś obcy, twierdząc, że jest waszym zaginionym bratem lub siostrą?
4. Clare była kobietą sukcesu, a Luke rodzicem, który większość czasu spędzał w domu. Czy myślicie, że dla dziecka ma znaczenie, który z rodziców więcej się nim zajmuje?
5. Czy myślicie, że pracujące na pełen etat matki mają większe poczucie winy niż ojcowie?
6. Czy myślicie, że dziadkowie są równie dobrymi opiekunami dzieci co rodzice? Czy jest dla nich ważne, kto się nimi opiekuje, czy wystarczy im, żeby czuły się kochane i zadbane?
7. Czy Clare dobrze zrobiła, nie mówiąc Luke'owi o mejlu od Toma, i jakie może to mieć konsekwencje? Czy jest to fair w stosunku do Luke'a i Hannah?
8. Czy myślicie, że Martha żałowała swoich czynów?
9. Jak Marion i Clare poradzą sobie z faktem, że już nigdy nie spotkają Alice?

[1] O ile w Polsce marmolada oznacza przetwór z przetartych z cukrem owoców, Brytyjczycy za marmoladę uważają przetwór z cytrusów (przyp. tłum.).

[2] Popularna w Wielkiej Brytanii pasta do smarowania chleba, która powstaje z drożdży jako produkt uboczny w procesie warzenia piwa. Ma wielu sympatyków, ale często uważana jest też za przejaw dziwnego smaku (przyp. tłum.).

[3] Women's Institute (WI) - stowarzyszenie zrzeszające kobiety w Kanadzie i Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

[4] CID (Criminal Investigation Department) - nazwa wydziału kryminalnego w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: *Sister, Sister*

Pierwsze wydanie: Harper Impuls, A division of HarperCollins Publishers LLC, Londyn, 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2017 by Sue Fortin

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: ARCANGEL.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3509-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.